

Jerzy
Giedroyc

AUTOBIOGRAFIA
NA CZTERY RĘCE



INSTYTUT



LITERACKI

* PARYŻ *



Jerzy
Giedroyc

AUTOBIOGRAFIA
NA CZTERY RĘCE



BIBLIOTEKA
· CZYTELNIKA ·

Jerzy
Giedroyc

AUTOBIOGRAFIA
NA CZTERY RĘCE

Opracował i posłowiem opatrzył
KRZYSZTOF POMIAN

1999

CZYTELNIK · WARSZAWA

Opracowanie graficzne
ANDRZEJ HEIDRICH

Wybór i opis ilustracji
JACEK KRAWCZYK

Fotografie z archiwum Instytutu Literackiego

Indeks osób zestawił
JACEK KRAWCZYK

Redaktor
MONIKA ZIÓLEK

Redaktor techniczny
HANNA ORŁOWSKA

Korekta
ANNA PIĄTKOWSKA
IWONA REMBISZEWSKA

© Copyright by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
and Institut Littéraire SARL, and Krzysztof Pomian, 1994, 1996

ISBN 83-07-02688-1

SŁOWO WSTĘPNE

W Polsce, zarówno w Kraju jak na emigracji, utrwalił się niedobry zwyczaj, że każdą działalność publiczną usiłuje się otaczać tajemnicą. Dotyczy to spraw politycznych i kulturalnych, a przede wszystkim finansów. Ten zwyczaj, wyniesiony z lat konspiracji, gdy jakże często zacierano granicę między tym, co trzeba było ukrywać przed władzą, a tym, co wolano ukryć przed własnymi zwolennikami, zakorzeniony jest w braku tradycji demokratycznych i w lekceważeniu dla opinii publicznej lub w lęku przed nią opartym na przekonaniu, że społeczeństwo nie dorosło do tego, by być właściwie informowane. Zaś jego skutkiem jest rosnące zobojętnienie obywateli na sprawy publiczne, nieufność w stosunku do polityków i działaczy społecznych, podejrzewanie jednych i drugich o pospolite złodziejstwo, mnożenie się plotek, graniczących często z oszczerstwem. W tym negatywnym nastawieniu do sfery publicznej utwierdza obywateli brak odpowiedzi zainteresowanych na zarzuty pod ich adresem; gdy z rzadka dochodzi do procesów, trwają one w nieskończoność, uwiłkane w skomplikowane procedury prawne. Wszystko to tworzy pożywkę dla demagogów, dla rzekomych rzeczników prostych ludzi, dla posiadaczy łatwych i prostych recept na szybkie osiągnięcie powszechnego dobrobytu. Dziedziny, gdzie tajność jest uzasadniona nadrzędnym interesem państwa, są nieliczne. Wszelkie próby utajnienia innych dziedzin grożą w perspektywie stabilności politycznej i demokracji.

Od początku swego istnienia „Kultura” walczyła o jawność życia publicznego na emigracji. Później domagaliśmy się

jawności, w tym również — finansowej, od opozycji demokratycznej i od „Solidarności”.

Takie stanowisko zobowiązuje. Toteż teraz, gdy nieubłaganie zbliża się kres mojej aktywności, uważam za swój obowiązek złożenie w sposób możliwie szczegółowy i udokumentowany sprawozdania z tego, co robiłem od moich pierwszych kroków w życiu publicznym. Jest to sucha relacja, a nie próba tłumaczenia się czy usprawiedliwiania. Wnioski pozostawiam czytelnikom.

Chcę tu bardzo podziękować Krzysztofowi Pomianowi, bez którego ta Autobiografia na cztery ręce nigdy by nie powstała. Dziękuję również ks. Zenonowi Modzelewskiemu, że zrezygnował z włączenia tej pozycji do serii Świadkowie XX wieku stworzonej przez Editions du Dialogue. Umożliwiło to wydanie jej w „Czytelniku” w ramach Archiwum „Kultury”.

JERZY GIEDROYC

CZEŚĆ PIERWSZA W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

RODZINA

Gdybym miał zwięźle scharakteryzować klimat domu moich rodziców, jako jego cechę szczególnie uderzającą wymieniłbym przede wszystkim wielką tolerancję. W domu było dużo książek — dwie wielkie szafy — głównie polskich, ale również francuskich i rosyjskich. Bardzo wcześnie zacząłem czytać, co przyszło mi bez trudu, tak że nawet nie pamiętam, kiedy i w jakich okolicznościach do tego doszło, a że jako dziecko byłem często chory, dużo leżałem w łóżku w pokoju bibliotecznym. Zbiór książek moich rodziców był zapewne przypadkowy, bardzo kresowy. Ale obok encyklopedii i wydawnictw patriotycznych — różnych druczków, takich jak np. *Jeszcze Polska nie zginęła* z zabawnymi rysunkami — była tam również literatura nowoczesna i sporo książek historycznych, które wywarły na mnie wielki wpływ. Pochłaniałem wtedy nieprawdopodobne ilości lektur, w tym wiele całkiem nieodpowiednich dla mego wieku: Tetmajera *Pannę Mery* i inne takie rzeczy. Budziło to przerażenie, gdyż, oczywiście, popisywałem się tym w rozmowach. Ale było tolerowane. Podobnie, gdy wróciłem z Moskwy, okazało się, że palę papierosy. To też było tolerowane, co uważam za bardzo rozsądne.

Tradycją rodzinną prawie się nie interesowałem. Zajmował się tym głównie ojciec, który miał różne dokumenty, album z fotografiami i dziewiętnastowieczne dagerotypy. Wszystko to uległo niestety zniszczeniu w czasie Powstania Warszawskiego, gdyż zostało zdeponowane przez mego brata Zyg-

munta w jakimś klasztorze, a pocziwe siostry ze strachu wszystko spaliły. Ojciec rzadko rozmawiał ze mną o przeszłości rodziny, zapewne dlatego, że widział, jak mało mnie to interesuje.

Do 1919 roku moi rodzice mieszkali w Mińsku Litewskim. Rodzina była mocno zubożała. Majątki skończyły się wraz z pradziadkiem Lucjanem, oficerem gwardii w wojsku rosyjskim, który popełnił samobójstwo. Po jego śmierci, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, zarząd mieniem objęła rada rodzinna, która roztrwonila absolutnie wszystko, tak że mój dziadek został bez niczego, z jakimś małym folwarczkiem koło Smiłowicz, w bardzo trudnych warunkach. Dlatego mój ojciec skończył studia farmaceutyczne i pracował jako aptekarz. Atmosfera w domu była dosyć kryzysowa, dosyć biedna. Zwłaszcza po powrocie do Polski przeżywaliśmy okres bardzo ciężki. Chodzenie do gimnazjum było wtedy dla mnie kłopotliwe, ponieważ było to gimnazjum im. Jana Zamoyskiego, bardzo dobre gimnazjum, gdzie zebrало się towarzystwo dość specjalne, skądinąd sympatyczne, ale w którym czułem się fatalnie po prostu ze względów materialnych, z powodu ubioru.

W Mińsku mieszkalem do 1916 roku. Jedną z moich ówczesnych zabaw z rówieśnikami było kładzenie się na torach, wzdłuż, rzecz jasna, tak by leżeć pod jadącym pociągiem, dając tym dowód odwagi. Ale ponieważ były to lata wojny, pasjonowało mnie wtedy zwłaszcza wojsko. Przez miasto przechodziły i zatrzymywały się w nim różne oddziały i tabory, niekiedy uderzająco egzotyczne, jak Czerkiesi. Kiedyś jaćś żołnierze, bardzo mili, pozwolili mi wsiąść na wóz i zabrali mnie ze sobą; odnaleziono mnie już kilkanaście kilometrów za Mińskiem i odstawiono do domu, nie zważając na moje protesty. W Mińszczyźnie stacjonowało też wojsko polskie, tj. korpus Dowbora; służyło w nim wielu znajomych i

krewnych, którzy bywali w domu i których często spotykałem. Dzięki nim zetknąłem się z legendą Piłsudskiego; jego drukowane portrety docierały i do Mińska, i do Moskwy, podobnie jak piosenki legionowe. Wtedy właśnie zaczęła się moja fascynacja postacią Piłsudskiego.

Z lat mojej nauki domowej pamiętam tylko lekcje gry na fortepianie, co było dla mnie katorgą. W 1916 roku wysłano mnie do gimnazjum do Moskwy. Zamieszkałem tam na stacji, gdzie poza mną było kilkunastu chłopców. Wtedy zetknąłem się po raz pierwszy z językiem rosyjskim i z kulturą rosyjską, gdyż w domu mówiło się wyłącznie po polsku. Jestem wprawdzie wielkim antytalentem językowym, ale rosyjski opanowałem całkiem szybko i dobrze, co sprawiło mi potem kłopoty, gdy przyjechałem do Warszawy. Przyjęto mnie do trzeciej klasy gimnazjum pod warunkiem zdania egzaminów z polskiego i z historii Polski. Profesorem historii był pan Pieczynis, staruszek, powstaniec z 1863 roku, z siwymi, długimi wąsami. Zadał mi pytanie o Henryka Walezego, z czego byłem szalenie zadowolony, bo temat dobrze znałem. Zacząłem więc z zapalem recytować. Aż tu nagle staruszek sinieje, wstaje, bije pięścią w pulpit katedry i woła falsetem: „Nie pozwolę, by mi tu, w polskim gimnazjum, odpowiadało po rosyjsku”. Bo ja, odruchowo, zacząłem mówić po rosyjsku. Potem mi to przeszło i dziś źle mówię po rosyjsku, choć bardzo dużo czytam w tym języku.

W Moskwie nie miałem żadnej rodziny. Ale w Petersburgu miałem stryja Wiktora. Trudno o nim powiedzieć, że był zrusyfikowany, choć siedział w sprawach czysto rosyjskich i odegrał pewną rolę w jednym z ostatnich powstań na Kaukazie. W każdym razie, gdy w Moskwie wybuchła rewolucja i moją stację rozpędzono, wybrałem się do niego. Z Moskwy do Petersburga jechało się wtedy rzemiennym dyszlem: pociągiem na gapę, jakimś transportem, ciężarówką. Było to

bardzo zabawne. Wszędzie leżała porzucona broń, więc zbierałem bagnety i jakieś inne części uzbrojenia. Narkotyzowałem się: gdy odkręcało się gilzę od karabinu, to proch miał zapach karmelków i ja ten proch wachałem. Wtedy też zacząłem palić.

W sumie zachowałem z tego okresu dobre wspomnienia. Z bolszewikami nigdy się nie zetknąłem. Moje wrażenia z rewolucji były naskórkowe: jakieś pochody, na których czele szły dziewczyny, wszystkie ubrane na czerwono. Uderzały mnie objawy sympatii dla Polski. Kiedy ułani Dowbora przyjechali odbierać jakieś polskie sztandary z Kremla, widziałem, jak tłum dosłownie niósł tych ułanów z końmi na rękach. Nastroje antypolskie odezwały się później, gdy korpus Dowbora zaczął być atakowany jako armia reakcyjna. Był nią zresztą, gdyż Polacy — ziemianie, wolne zawody, przemysłowcy — stanowili w Mińszczyźnie warstwę uprzywilejowaną, bez wielkiego kontaktu z ludnością.

Z Moskwy wróciłem do Mińska, gdzie chodziłem do gimnazjum prof. Massoniusa. Z Mińska, wraz z rodzicami, pociągiem ewakuacyjnym wyjechaliśmy do Warszawy, zabierając ze sobą tylko kilka walizek i jakieś tobołki. Podróż przypominała pod wieloma względami powrót Cezarego Baryki z Baku. W Warszawie zamieszkaliśmy na Marszałkowskiej, ale ojciec wkrótce został kierownikiem apteki w szpitalu św. Łazarza, na Książęcej, z czym związane było mieszkanie służbowe. Mieszkalem tam aż do mojego ślubu. W domu miałem bardzo dobry kontakt zwłaszcza z mamą. Ojciec był trudniej dostępny.

Po wyprowadzeniu się od rodziców zamieszkałem na Brzozowej 12 w domu PKO. Były to trzy pokoje na trzecim piętrze, niestety bez windy, ale bardzo wygodne. Utrzymywałem oczywiście nadal stosunki z rodzicami, dość luźne jednak, gdyż sprowadzały się głównie do spotkań podczas świąt ro-

dzinnych oraz na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Zbierało się wtedy u rodziców nieco szersze grono rodzinne, gdyż przychodziły również ciotki, których miałem bardzo dużo. I tak to trwało do wojny. Już po wojnie dowiedziałem się, że rodzice zostali zamordowani w czasie Powstania Warszawskiego. Matkę z ciotką Elą rozstrzelano, ojciec został zastrzelony na ulicy w bliżej nie znanych okolicznościach.

Miałem dwóch braci: Zygmunta i Henryka. Zygmunt, młodszy ode mnie o trzy lata, trzymał się na dystans: miał zupełnie inne niż ja zainteresowania i był bardzo zamknięty w sobie. Bardzo bliskie stosunki łączyły mnie natomiast z Henrykiem, którego z uwagi na różnicę wieku między nami — szesnaście lat — traktowałem bardziej jak syna niż jak brata. Henryk, którego umieściłem w „Polsce Zbrojnej”, znalazł się wraz ze mną w Rumunii. Zygmunt został w Polsce. Był inżynierem rolnikiem i uchodził za dobrego specjalistę, ale po wojnie miał spore kłopoty; wprawdzie nie był przesłuchiwany ani nękany z mojego powodu, może dlatego, że byliśmy bardzo oszczędni w porozumiewaniu się, ale nie awansował i zajmował jakieś drugorzędne stanowiska. Po wojnie nie widzieliśmy się ani razu. Zmarł w 1973 roku.

Henryk, który po wyjeździe z Rumunii był ze mną w Brygadzie Karpackiej, w jednym oddziale, jest w pewnej mierze moją ofiarą. We Włoszech dostał stypendium na studia w Bolonii. Opanował doskonale włoski i zaliczył bez trudu pierwszy rok politechniki. Kiedy Drugi Korpus przenosił się do Londynu, nikt nie chciał mu specjalnie pomóc, zapewne ze względu na niechętny stosunek do mnie, a sytuacja Instytutu Literackiego też była wtedy bardzo trudna. Skończyło się tym, że poszedł do fabryki i pracował u Wall'sa, kręcąc lody razem z Miedzińskim. Dopiero kiedy stanęliśmy na nogi, ściągnęliśmy go do Maisons-Laffitte. Do Henryka należy u nas administracja. Jest jedynym człowiekiem w naszym zespole,

który ma poczucie porządku: pracuje od godziny do godziny, wypowiada się rzadko, ale jego oceny są bardzo rzeczowe i krytyczne. Mam wobec niego wyrzuty sumienia, że nie potrafiłem bardziej mu pomóc czy bardziej ułatwić mu życia. Konfliktów czy tarć między nami nigdy nie było. Z jego strony była pełna przywiązania lojalność. Zawsze wiedziałem, że mogę na niego liczyć.

W 1931 roku ożeniłem się z Tatianą Szwecow, Rosjanką urodzoną w Polsce, którą poznałem w czasie studiów. Oboje byliśmy bardzo młodzi i zupełnie niedoświadczeni, a w dodatku ja byłem stale pochłonięty pracą, tak że już przed wojną było w toku postępowanie rozwodowe, zresztą przy zachowaniu dobrych stosunków. We Wrześniu, ponieważ miałem do dyspozycji samochód mojego przyjaciela, Rowmunda Piłsudskiego, mogłem zabrać Tatianę do Rumunii, gdzie bardzo mi pomagała jako łącznik w utrzymywaniu kontaktów z moim ministrem, Romanem, który był internowany razem z Beckiem, a przede wszystkim ze Śmigłym, któremu wozila różne materiały. Obecnie mieszka w Londynie, gdzie stała się dość wybitną specjalistką w dziedzinie archeologii greckiej.

Najwięcej bawiłem się chyba w okresie szkolnym, w ósmej klasie, dzięki kilku przyjaciołom, jak Stanisław Żeleński i bracia Czapliccy, z którymi chodziliśmy bardzo często na bale i inne imprezy towarzyskie i jeździli na pikniki. Później byłem stale zajęty. W latach studenckich byłem zaprzyjaźniony z kilkoma osobami: z Jankiem Pożaryskim oraz z panną Babiańską i z panną Olą Stypułkowską, która była gwiazdeczką na Uniwersytecie Warszawskim jako wybitnie przystojna dziewczyna; spotykaliśmy się na terenie wydziału zagranicznego Polskiego Związku Akademickiego. Ale na ogół moje życie towarzyskie było bardzo ubogie. Chodzenie do kawiarni było z reguły połączone z załatwianiem jakichś spraw. Lubilem bale

emigracji rosyjskiej, które uważałem za bardzo przyjemne i chętnie brałem w nich udział. Właśnie na jednym z takich balów poznałem moją przyszłą żonę.

Po ślubie nie prowadziliśmy życia światowego. Niekiedy grywano u nas w brydża, co było specjalnością Tatiany; mnie karty nudzą. Bywało u nas bardzo mieszane towarzystwo: Antoni Roman z żoną, Wojciech Zaleski z ONR-ABC, Bernard Singer. W sumie byłem stale zapracowany i poświęcałem na rzecz roboty życie osobiste i towarzyskie. Urlopy brałem rzadko, przeważnie spędzałem je w Rumunii lub Bułgarii. Na Zachód, do Belgii, Francji, Stanów Zjednoczonych, wyjeżdżałem służbowo, co pozwalało na nawiązywanie różnych znajomości. Ale wakacje wołałem spędzać na Wschodzie, nie tyle ze względu na ceny, choć i to odgrywało pewną rolę, ale dlatego, że mi to bardziej odpowiadało; wołałem pojechać do Rumunii, którą bardzo lubilem, niż do Francji. Spędziłem kiedyś dwa tygodnie w Deauville i bardzo się tam wynudziłem.

Prezesowanie korporacji, wydział zagraniczny i Myśl Mocarstwowa w latach studenckich, później wydawanie pism i różne zajęcia społeczne łączone z pracą zarobkową w PAT, a po studiach — praca zawodowa w Radzie Ministrów i w ministerstwach oraz rozległe lektury — wszystko to zostawiało bardzo mało wolnego czasu. W godzeniu tych różnych zajęć pomagało mi to, że bardzo mało sypiałem. Przez dłuższy czas cierpiałem zresztą na bezsenność i byłem o krok od domu wariatów. Wyciągnął mnie dr Semerau-Siemianowski, który doprowadził do tego, że wystarczyły mi trzy lub cztery godziny snu plus pół godziny leżenia po obiedzie, jeśli było można. Dawało mi to masę czasu.

Zawsze pasjonowała mnie literatura rosyjska. Czytałem po rosyjsku prawie tyle co po polsku, tzn. bardzo dużo. Wśród moich ówczesnych lektur z tej dziedziny figurowali Dostojewski, Leonid Andriejew, Rozanow. Najważniejszą dla mnie po-

wieścią Dostojewskiego byli *Bracia Karamazow*. Do *Biesów* jestem nastawiony niechętnie, chyba dlatego, że jest to jedyna książka Dostojewskiego, którą przeczytałem w tłumaczeniu polskim. Było tak ohydne, że zniechęciło mnie do samej książki. Czytałem autorów sowieckich, m.in. Babla i chyba wszystkie rzeczy Pilniaka; ze względów może nie tyle literackich, co politycznych, utkwiła mi w pamięci jego książka o Frunze, która spowodowała popadnięcie autora w niełaskę. Czytałem też Erenburga, choć nie bardzo go lubiłem. W ogólności starałem się śledzić literaturę sowiecką, do której miałem stosunkowo łatwy dostęp.

W kołach emigracji rosyjskiej kontakty osobiste miałem głównie z Filosofozem, który wydawał pismo „Za swobodu”. Był to człowiek bardzo ciekawy, o szerokich zainteresowaniach literackich i kulturalnych; „Za swobodu” drukowała różnych głośnych pisarzy, którzy dzisiaj są całkiem zapomniani, jak np. Arcybaszew. Ciekawi ludzie byli też w kręgu „Verbum”, m.in. poetka Chiriakowa, która współpracowała z ks. Kornilowiczem. Z całym tym środowiskiem byłem bardzo blisko. Przy „Za swobodu” był klub literacki zorganizowany przez Filosofoza; nazywał się „Domik w Kołomnie”. Poza Rosjanami przychodzili tam Czapscy, Stempowscy, Tuwim, Maria Dąbrowska. Rozmawiano tam na tematy czysto literackie. Moja znajomość z Czapskim sięga tych czasów, choć była to wtedy znajomość bardzo przelotna.

Mój stosunek do języka rosyjskiego, do literatury i poezji rosyjskiej był postawą obronną. Wolę poezję rosyjską od poezji polskiej. Ale bardzo się bałem pochłonięcia Polski przez żywioł rosyjski. Takie niebezpieczeństwo było zupełnie realne. Znakomita większość zesłańców wtopiła się w społeczeństwo rosyjskie. Nawet w okresie międzywojennym to zagrożenie nie przestało istnieć. Widać to było zwłaszcza na Kresach. W Wilnie np. cała inteligencja żydowska mówiła po

rosyjsku i żyła tylko kulturą rosyjską. Ogromne powodzenie chórów Kozaków dońskich, które często przyjeżdżały do Polski, powodzenie Wertyńskiego, którego sam byłem wielbicielem, fakt, że w każdym towarzystwie, po dwóch-trzech kieliszkach wódki, śpiewano romanse cygańskie, a w bardziej poważnym rejestrze liczba i poczytność przekładów z literatury rosyjskiej, którą „Wiadomości Literackie” były zafascynowane — wszystko to świadczyło o ciśnieniu kultury rosyjskiej na Polskę.

Z czytanych przed wojną pisarzy zachodnich wymienię Conrada, który mnie zawsze bardzo interesował i którego czytałem wszystko, co było dostępne. Lubię zwłaszcza *Jądro ciemności* i *Nostromo*. Nie przepadam za *W oczach Zachodu*; książka ta wydała mi się zbyt propagandowa, zbyt prymitywnie jednostronna. Ze Skandynawów, których sporo czytałem — tłumaczono ich zresztą w dużych ilościach — na pierwszym miejscu stawiam Hamsuna: nie *Głód*, lecz *Błogosławieństwo ziemi*. Tomasz Mann nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia. Natomiast czytałem z przejęciem powieści niemieckie poświęcone pierwszej wojnie światowej. Nie lubiłem francuskich powieściopisarzy katolickich, szczególnie Mauriaca, ale już po wojnie zachwycił mnie jego *Bloc-notes*; jest to najlepsza rzecz, jaką napisał. Dodam z literatury ukraińskiej *Wołyń* Samczuka.

Wspomnę jeszcze o kilku ważnych lekturach na pograniczu literatury i polityki. Była wśród nich książka Malaparte-go *Technika zamachu stanu*, którą uważam za bardzo wybitną, i apologetyczna biografia Mussoliniego napisana przez Emila Ludwiga. Miałem okres fascynacji Chestertonem, bardzo wtedy lansowanym przez kręgi katolickoprawicowe. Zainteresował mnie zwłaszcza *Napoleon z Notting Hill*, proroctwa książka o problemie nacjonalizmu, która ukazała się po polsku w bardzo złym tłumaczeniu i którą warto by wznowić.

Chesterton pokazuje, jak poszczególne gminy Londynu ulegają nacjonalizmowi, co zaczyna się od niewinnych rozbieżności, a kończy — wojną domową. Chesterton obudził we mnie zainteresowanie literaturą angielską, m.in. Dickensem, Kiplingiem itp.

SZKOŁA. STUDIA

Warszawa w roku 1919 zrobiła na mnie wrażenie miasta nudnego i biednego: na ulicach widziało się ludzi w drewnianych trepach i wszystko wyglądało mało pociągająco. Nie tylko na tle Moskwy. Również na tle Mińska. Na moje szczęście wybuchła wojna bolszewicka i zaczęło się dziać coś ciekawego. Byłem wtedy w harcerstwie, w którym jednak długo nie zabawiłem: wyrzucono mnie za palenie papierosów. Jako harcerz poszedłem do wojska na ochotnika i pracowałem jako telefonista w D.O.Gen. 1 w Warszawie, na czele którego stał generał Latinik; odbierałem rozmaite szyfry, telefony itp. Był to epizod pasjonujący i dla mnie bardzo korzystny. Uczyłem się wtedy podle, miałem dwie poprawki — z matematyki i z zoologii — i groziło mi repetowanie klasy. Ale gdy wróciłem jako bohater, poprawki okazały się symboliczne, choć z matematyką nadal byłem na bakier i tak już zostało.

Historia i polski nie ratowały mnie. Miałem wyjątkowo inteligentnych profesorów, ale byłem niezależny: często wygłaszałem poglądy lub pisałem wypracowania, które były nieortodoksyjne i bardzo się nie podobały. Byłem krytyczny wobec wieszczów, natomiast pasjonowałem się Brzozowskim i Żeromskim. Z polską tradycją romantyczną zetknąłem się dopiero w gimnazjum; przyznaję, że po prostu mnie nudziła. Od Brzozowskiego za to nie sposób się było oderwać. Czytałem wtedy jego utwory powieściowe: *Dębina* i *Płomienie*,

które wywarły na mnie wielki wpływ. Ale największy wywarł Żeromski. Byłem żeromszczykiem i w pewnym sensie zostałem nim do dziś. *Przedwiośnie*, które czytałem znacznie później, było dla mnie wielkim przeżyciem, może dlatego, że mój ojciec był w Warszawie jednym z twórców związku zawodowego pracowników miejskich i na tym tle miał wiele konfliktów i awantur. Wprawdzie ojciec nie rozmawiał ze mną na te tematy, ale często zabierał mnie na zebrania związku. Żyłkę społeczną częściowo odziedziczyłem po nim.

Wszystko to było w gimnazjum źle widziane. Gimnazjum było bardzo endeckie. Było to gimnazjum dla burżuazji. Trafiłem tam, gdyż przyznano mi stypendium. Moje poglądy przeciwstawiały mnie większości. Było w tym z mojej strony dużo buntu czy nonkonformizmu. Nadto już wtedy szacunek dla legalizmu walczył we mnie z tendencjami rewolucyjnymi; zostało mi to do dziś. Toteż zamach majowy był dla mnie przeżyciem tragicznym. Ale to było już w czasie studiów.

Do endeckości poczuwała się w gimnazjum znaczna część uczniów. Inaczej było z nauczycielami. Poza historykiem, o którym już wspomniałem, pamiętam nauczyciela literatury polskiej, prof. Kaczyńskiego, któremu wiele zawdzięczam. Nie był ortodoksyjny. Spokojnie przyjmował moje wygłupy czy krytyczne uwagi naruszające świętości; tolerował to, a nawet popierał. Był też prof. Weigel, który jako pierwszy przekonał mnie, do łaciny. Przedtem nie znośłem jej, może dlatego, że miałem nauczyciela, pana Wąsika, z którym stale wojowałem, nie tylko dlatego, że wymagał wyłącznie kucia słówek i deklinacji; byliśmy w ogóle antagonistycznie nastawieni do siebie. Prof. Weigel natomiast zainteresował nas poezją, Owidiuszem, i nagle łacina okazała się bardzo ciekawa. Mniej ważny był dla mnie prof. Nowak-Dłużewski, który później odegrał pewną rolę: pisał w PAX-ie i zajmował się literaturą staropolską.

Moja rodzina była wierząca i praktykująca. Co do mnie, choć nigdy nie przeżyłem kryzysu religijnego, stałem się wcześniej dość obojętny wobec kwestii religijnych czy metafizycznych. Mój względny antyklerykalizm ukształtowały stosunki z księżmi katechetami, zwłaszcza z księdzem Szmigielskim, z którym byłem w konflikcie. Nie znośm też biskupa Szlagowskiego, opiekuna gimnazjum, typowego kościelnego krasomowcy, który miewał niekiedy wykłady czy kazania w bardzo pięknej kaplicy gimnazjum; obecność była obojętna. Rewoltował mnie przymus chodzenia do spowiedzi.

W latach trzydziestych stykałem się z księdzem Kornilowiczem. Były to jednak stosunki czysto towarzyskie i użytkowe. Z uwagi na moją pozycję w ministerstwie oraz dzięki Kajetanowi Morawskiemu, który był wiceministrem skarbu, i dzięki Rogerowi Raczyńskiemu mogłem dość dużo dla nich zrobić. Byłem w stanie załatwiać różne pomoce dla Lasek i odsuwać od nich zagrożenia m.in. podatkowe. Wszystko to nie miało wiele wspólnego z religią. Inaczej było w przypadku moich kontaktów z jezuitami, do których trafiłem zupełnie przypadkowo w pierwszych latach „Buntu Młodych”.

Jezuitów odwiedzał mój ówczesny przyjaciel i współpracownik, Janek Popławski, którym powodowały względy czysto religijne. Janek namówił mnie pewnego dnia, żeby tam przyjść. Klasztor koło Katedry był czarujący i niezmiernie mi się tam podobało. Zwłaszcza podobał mi się superior. Przychodziłem tam coraz częściej, tak że był okres, gdy zacząłem całkiem poważnie myśleć o wstąpieniu do zakonu. Rozmowy z superiorem na ten temat były bardzo daleko posunięte. Ale on mnie od tego odwiódł. Wy tłumaczył mi, że jest to zamysł nie przemyślany, zbyt uczuciowy, że nie zdaję sobie sprawy z jego skutków, że nie będę się mieścił w klauzurze jezuickiej.

Pokusa wstąpienia do klasztoru miała niewątpliwie za tło przeżycia religijne, ale podświadomie musiała odgrywać w tym rolę legenda jezuitów jako zakonu politycznego. Tak bym to dziś widział. Ale wtedy o tym nie myślałem. Później nie miałem żadnych powrotów do Kościoła czy przeżyć religijnych. Przeszło mi to kompletnie; aż zaudto, gdyż jestem człowiekiem indyferentnym. Ale od czasu do czasu budziła się we mnie potrzeba przeżyć mistycznych. Był długi okres, gdy zaczytywałem się *Królem-Duchem* Słowackiego; później odkryłem Raymonda Abellio, francuskiego pisarza ezoterycznego, który mnie bardzo zainteresował i o którym wiele dyskutowaliśmy z Józim Czapskim.

Ostatnim moim przeżyciem związanym z religią była wizyta u księży-robotników. Zaprowadził mnie do nich Antoni Marylski, którego poznałem, gdyż przyjaźnił się z Józim i przyjechał do Paryża, by go odwiedzić. Poszliśmy do domu, gdzie mieszkali. W rozmowie z nimi wyczuwało się od razu ich bezradność w stosunku do marksizmu. W tym punkcie byli bardzo słabi, toteż zaudto marksizmowi ustępowali bądź wręcz zaczynali popadać pod jego wpływy. Ale ich opowieści o pracy w fabrykach i o stosunku robotników do nich były pasjonujące. A ich intencje i cała ich działalność budziły mój najwyższy podziw. Po raz pierwszy spotkałem ludzi tak ofiarnych i tak bez reszty oddanych. Miałem wtedy pomysł, z którego nic nie wyszło i który został wyśmiany przez Turowicza, by stworzyć instytucję księży-robotników w Nowej Hucie. Zrealizowało się to, ale dwadzieścia lat później i w innej formie.

W latach szkolnych nie czytałem gazet. Nie pamiętam nawet, czy czytali je moi rodzice. Ale w domu panowały poglądy bardzo ostro antyendeckie. Decydująca była tu zapewne kresowość naszej rodziny, dla której endecki model Polaka-katolika był po prostu nie do przyjęcia, jak nie do przyjęcia dla

niej była idea Polski jednonarodowej i jednowyznaniowej. Wynikało to również z zainteresowań związkowych ojca, którego nastawienie polityczne określiłbym jako samorządowe z pewnym odcieniem — ale tylko odcieniem — socjalizmu. Gdzieś w tle był Abramowski, choć nie wiem, czy ojciec zetknął się kiedykolwiek z kręgami jego wyznawców.

Wśród kolegów gimnazjalnych miałem Stasia Niemyskiego, z którym pospołu wojowaliśmy z endekami, braci Czaplickich, a przede wszystkim Stasia Żeleńskiego, syna Boya. Stanowiliśmy paczkę, którą łączyły wspólne zainteresowania literackie. Boyowie mieszkali wtedy na Smolnej, naprzeciwko gimnazjum. Spotykaliśmy się tam wieczorami na seanse literackie: czytaliśmy na głos różnych znanych autorów — pamiętam zwłaszcza Ibsena i Strindberga — i piliśmy likier różany. Patrzyliśmy z pogardą na ludzi, którzy chodzą w długich spodniach: jak można chodzić w długich spodniach? Prawdziwy mężczyzna powinien nosić pumpy. Żyliśmy jeszcze pod pewnymi względami w klimacie Młodej Polski. Nasze gusty dyktowało poniekąd wydawnictwo Biblioteka Polska, które mieściło się na Nowym Świecie w lokalu, gdzie po jego bankructwie usadowiła się Café Italia. Wydawnictwo założył właściciel wielkich zakładów drukarskich w Bydgoszczy, który sam był poetą i działaczem w Poznaniu. Było ono bardzo aktywne; wydało m.in. całego Sieroszewskiego i całego Wyspiańskiego. Dzięki jednej z moich ciotek, która pracowała w tym wydawnictwie i odgrywała w nim pewną rolę, dostawałem stamtąd książki; na kupowanie ich nie miałem za wiele pieniędzy.

Poza tym korzystaliśmy z ogromnej biblioteki Boya, którego wtedy poznałem. Sam Boy sprawił na mnie złe wrażenie. Był nudny, ponury, a spotkań u niego nie lubiłem tym bardziej, że miał meble wedle wzorów Wyspiańskiego: wybitnie niewygodne; siedzenie u niego na krześle było prawdziwą

katorgą. Bardzo lubiłem za to jego żonę, która była rzeczywiście czarująca. Staszek Żeleński pasjonował się teatrem. Poza tym był chłopcem bardzo trudnym: wyrzucono go chyba ze wszystkich gimnazjów w Krakowie, Zakopanem i gdzie indziej; dopiero u Zamoyskiego jakoś się utrzymał do matury, może dlatego właśnie, że stworzyliśmy naszą paczkę.

W gimnazjum wybór Narutowicza spowodował ogromne podniecenie. Biegaliśmy słuchać przemówienia gen. Hallera w Alejach Ujazdowskich. Później poszedłem obejrzeć pogrzeb. Wszystko to pogłębiło podziały. W klasie dochodziło wręcz do bójek.

Ponieważ do końca nie byłem zdecydowany, co ze sobą zrobić po maturze, jak to się zwykle dzieje w takich przypadkach, zapisałem się na prawo. Studia zacząłem w 1924 r. Wśród profesorów Wydziału Prawa był wtedy Petrażycki, moja miłość, tym większa, że zwalczano go bardzo na Uniwersytecie; jego konkurentem był Jarra, potworny profesor, którego podręczniki trzeba było wykuwać na pamięć. Petrażycki za to był znakomity. Chodziłem na jego zajęcia, choć były nieobowiązkowe; zresztą w pierwszym okresie studiów mało chodziłem na Uniwersytet, gdyż musiałem pracować zarobkowo. Pracowałem w biurze ogłoszeń PAT na Krakowskim Przedmieściu, gdzie wypisywałem ogłoszenia komorników i inne takie nudziarstwa. Zarabiałem za to zupełnie nieźle; starczało i na moje wydatki, i na pomoc dla domu.

Prac Petrażyckiego wtedy nie znałem; zetknąłem się z nimi znacznie później. Ale byłem z nim w stosunkach osobistych: przychodziłem do jego mieszkania na rozmowy i asystowałem przy dyskusjach, które się u niego odbywały; mogłem siedzieć w kącie i słuchać. Petrażycki wykladał wtedy filozofię prawa, a właściwie socjologię. Był to jedyny profesor prawa, z którym miałem bezpośredni kontakt. Pozostałych spotykałem tylko na egzaminach. Dwa miesiące przed każdą sesją

egzaminacyjną brałem urlop, trochę udawałem, że choruję, i kułem do egzaminów, a że miałem szczęście, jakoś zdawałem je na trójki.

Na historię zapisałem się dopiero na ostatnim roku prawa. Szło mi o odroczenie służby wojskowej, więc zacząłem wtedy studiować historię ukraińską u prof. Korduby, co było dla mnie wielkim przeżyciem, bo poza mną byli tam sami Ukraińcy, którzy patrzyli na mnie ze zdumieniem, jak gdybym był żelaznym wilkiem. Na seminarium prof. Korduby uczęszczałem chyba półtora roku. Zawdzięczam mu orientację w literaturze ukraińskiej i sporo kontaktów z późniejszymi działaczami ukraińskimi. Historię ukraińską wybrałem chyba przez przekorę. Ale również dlatego, że zupełnym przypadkiem poznałem w owym czasie księdza Rzewuskiego, bazylianina, który był bliskim człowiekiem arcybiskupa Szeptyckiego. Ta postać zupełnie niesamowita, jak z Dostojewskiego: połączenie nienormalności z geniuszem — miała na mnie dość duży wpływ.

Podział na endeków i nieendeków, choć bardzo ważny, nie wykluczał jednak stosunków towarzyskich czy koleżeńskich. Toteż na pierwszym roku studiów, zresztą zupełnie przypadkowo, dzięki kilku kolegom szkolnym, wstąpiłem do korporacji „Patria”, która była całkiem endecka: jej pierwszym prezesem czy założycielem był Janusz Rabski. Nie tylko mi to nie przeszkadzało, ale stosunkowo szybko zostałem „barwiarzem”, a nawet prezesem korporacji. Trafiłem na moment, kiedy odchodzili starzy działacze akademicki, jak Władysław Wolski, później urzędnik w MSZ; współpracowaliśmy ze sobą w Rumunii, a potem na emigracji.

Jako prezes przewodniczyłem kołu międzykorporacyjnemu, gdyż było to przewodnictwo rotacyjne i akurat w okresie mojej prezesury przypadło na „Patrię”. Po wypadkach majowych stosunki między piłsudczykami a ruchem korp-

racyjnym były bardzo zadrażnione, m.in. ze względu na korporantów zabitych na lotnisku; udało mi się częściowo spowodować poprawę tych stosunków. Z ruchem korporacyjnym był bardzo związany 36 pułk Legii Akademickiej. Doprowadziłem, nie bez walki, do tego, że już w 1927 roku korporacje wzięły udział w święcie pułkowym. Znacznie później, gdy przyjęto deklarację ideową Młodzieży Wszechpolskiej, próbowałem spowodować rozłam, mobilizując stare korporacje, jak „Polonia”, „Arkonía”, „Jagiellonia”, do zwalczania wpływów endeckich, bez większego powodzenia. A gdy moja korporacja też przyjęła jako swoją tę deklarację, doszło do kryzysu i wystąpiłem.

Ponadto była praca w Bratniaku. Pamiętam przezabawną historię z Kiepurą. Poszliśmy do niego z prośbą, by dał koncert na rzecz Bratniej Pomocy. Kiepura powiedział nam: „Doskonale. Ja to chętnie zrobię i na pewno będziecie z tego mieli bardzo dużo pieniędzy. Chcę tylko, żebyście załatwili mi doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego”. Przekraczało to oczywiście nasze możliwości i do koncertu nie doszło. Cały Kiepura!

W tym okresie pracowałem też społecznie w wydziale zagranicznym Polskiego Związku Akademickiego, do którego wciągnął mnie mój kolega z korporacji, Janek Pożaryski. Różnica wieku między nami była dość duża, bodaj koło dziesięciu lat. Janek pochodził z Petersburga. Odznaczał się dużym wyrobieniem politycznym, a z przynależności był bardzo umiarkowanym członkiem ONR, o poglądach zbliżonych do grupy ABC. Głównie interesowała go polityka zagraniczna. Miał doskonałe stosunki w międzynarodowym świecie akademickim; sięgały one od Francuzów do Anglików czy Amerykanów. W normalnych warunkach byłby doskonałym kandydatem na przyszłego ministra spraw zagranicznych. Ale był w opozycji.

Później Janek pracował w Związku Wydawców. Gdy na kilka miesięcy przed wybuchem wojny jechałem z ministrem Romanem do Stanów Zjednoczonych, gdzie poza rokowania-
mi było również otwarcie Wystawy Światowej, włączyłem Janka do wycieczki dziennikarzy jako sekretarza Związku Wydawców. Wojna zastała go w Warszawie. Dość szybko nawiązałem z nim łączność i bardzo chciałem go wyciągnąć, ale on nie chciał wyjechać, by nie zostawić matki. Zdecydował się na to po jej śmierci, wpadł przy przekraczaniu granicy i zginął w obozie koncentracyjnym.

Nasza praca w wydziale zagranicznym polegała na organizowaniu kontaktów z organizacjami studenckimi na świecie. Mieliśmy z nimi spotkania, a raz pojechaliśmy z Jankiem do Jugosławii na zaproszenie barona Wrangla. W Jugosławii była wtedy mała Rosja, państwo w państwie, ze swymi podchorążówkami, uczelniami itp. Serbowie bardzo ją hołubili. Wrangel przyjął nas wspianale w Dubrowniku. Spędziliśmy tam trzy czy cztery dni. Z delegacji zagranicznych pamiętam tylko lotewską: przyjechał jakiś pan, który mógł spokojnie być naszym ojcem, z dwoma innymi; pili w sposób nieprawdopodobny, czegoś takiego nigdyśmy nie widzieli. Nie byłem abstynentem, ale w życiu korporacyjnym nie konsumowano dużo alkoholu. Głównie piło się piwo, ale i to raczej dla dekoracji. Korporacje, przynajmniej te, które znałem, nie były przealkoholizowane.

Kiedy Strumph-Wojtkiewicz zwrócił się do Pożaryskiego, by znalazł kogoś, kto by prowadził w „Kurierze Warszawskim” kronikę życia studentów polskich i zagranicznych, Pożaryski mnie do tego wydelegował. Tak oto zacząłem uprawiać trochę dziennikarstwa. Później dorywczo pracowałem w redakcji „Warszawianki”, z którą byłem bardzo zaprzyjaźniony. Był to organ Strońskiego. Spotkałem tam kilku ciekawych ludzi: Włodzimierza Perzyńskiego, Mariana Grzegorzcyka.

Zamach majowy był dla mnie konfliktem bardzo dramatycznym. Byłem wprawdzie piłsudczykiem, ale zarazem miałem bardzo mocne poczucie legalizmu. Legalizm zwyciężył. Pierwszego dnia wydarzeń, wraz z kilkoma kolegami, poszedłem do Belwederu. Wchodziło się tam jak do młyna. Dano mi jakiś karabin i kazano stać na warcie od strony Łazienek. A Stanisław Grabski chodził od jednego z nas do drugiego i powtarzał: „Przecież to jest bez sensu, my nie możemy się tu utrzymać”. I to mówił szczeniakom, studentom. Zrobił na mnie takie wrażenie, że nazajutrz wróciłem do domu. Wyleczyło mnie to zupełnie z parlamentaryzmu, pogłębiło nastawienie propiłsudczykowskie i przekonanie o konieczności rządów autorytarnych.

DOŚWIADCZENIA ZAWODOWE I POLITYCZNE

Gdzieś w połowie 1928 roku zacząłem pracować w biurze prasowym Rady Ministrów. Wprowadził mnie tam Jan Karczewski, zwany Nulkiem. Był to oficer Drugiego Oddziału, przydzielony do biura Rady Ministrów, skąd później przeszedł do Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych, a następnie — do MSZ jako konsul generalny w Tuluzie. Gdy wybuchła wojna, poszedł do wojska i po kampanii francuskiej znalazł się w Londynie, w Pierwszym Korpusie. Chciałem go nawet ściągnąć do siebie do Propagandy. Wkrótce po wojnie zmarł na atak serca. Była to bardzo kolorowa postać: wielka inteligencja, niezależny umysł, autor kilku całkiem ciekawych powieści. A jego kontakty były nadzwyczaj rozgałęzione. Mimo różnicy wieku zaprzyjaźniliśmy się, przeszliśmy na ty. On i jego przyjaciele jak gdyby zaopiekowali się mną, a ja bardzo dobrze czułem się w tym towarzystwie, zwłaszcza gdy nabrało cech półmafijnych.

Karczewskiego spotkałem u Tadeusza Morawskiego, brata Kajetana; poznaliśmy się w jakichś okolicznościach towarzyskich i bardzo polubili. Tadeusz Morawski prowadził dość otwarty dom, gdzie spotykał się, niezbyt liczny zresztą, odłam sfer arystokratyczno-ziemiańskich, nastawiony jeśli nie wręcz propiśsudczykowski, to w każdym razie antyendecko. Poznałem tam Zdzisława Lubomirskiego. Bywali tam również: Jan Moszyński z „Czasu”, sekretarz osobisty Janusza Radziwiłła, Piasecki, przedstawiciel sił konserwatywnych w kancelarii Senatu, Wielowieyski, konserwatysta i członek Komitetu Narodowego w czasie rokowań wersalskich, Remigiusz Grocholski, były adiutant Piłsudskiego, a później, w czasie tej wojny, twórca „Wachlarza”, i inni, których nie pamiętam; przez ten dom przewijało się wiele osób.

W moim życiu wielką rolę odgrywały przypadki. Jednym z nich było poznanie Staszka Zaćwilichowskiego, który wpłynął na mnie w sposób zasadniczy. Był to człowiek genialny, oficer Drugiego Oddziału w Wilnie. W czasie zamachu majowego przyniósł on jakiś meldunek do Piłsudskiego, do Komendy Miasta. Ten fascynujący grubas spodobał się Piłsudskiemu, który powiedział mu: „Zgłoś się do mnie, dziecko, jak się to wszystko skończy”. Zaćwilichowski zgłosił się i Piłsudski skierował go do gabinetu Bartla. Poznałem go przez Nulka Karczewskiego, który się z nim przyjaźnił, gdy już pracowałem w biurze prasowym Rady Ministrów.

Zaćwilichowski miał bardzo duże ambicje polityczne. Ale nie były to ambicje osobiste. Nie chciał być ministrem czy kimś takim. Lubił znajdować się tam, gdzie podejmowano decyzje. Gdy rząd Bartla upadł, przeszedł do gabinetu Ignacego Matuszewskiego, ministra skarbu. Potem wyjechał do Genewy w dość nieokreślonym charakterze jako korespondent. Choć nie władał żadnym językiem poza rosyjskim, potrafił z miejsca zdobywać sobie ludzi. Toteż po kilku zaledwie dniach pobytu

w Genewie królował w kawiarni „Bawaria”, gdzie spotykali się dziennikarze i wszystkie ważne osobistości. Do niedawna wisiała tam nawet jego karykatura. Kiedy ostatni raz byłem w Genewie, jeszcze ją widziałem. Z Genewy wrócił do Drugiego Oddziału; wkrótce po powrocie, jadąc na jakiś proces szpiegowski, zginął w wypadku samochodowym. Lubił szybką jazdę. Prowadził jak wariat. Miał dwadzieścia osiem lat.

Był prawą ręką Bartla i prawdziwym motorem jego gabinetu, gdzie odgrywał rolę znacznie większą niż Stempowski czy Grzybowski. Bartel się z nim bardzo liczył. Zaćwilichowski miał dziwne, ale dobre metody pracy: potrafił organizować sobie grupy ludzi. Jedną z nich był „klub złośliwych szczeniaków”, jakeśmy go między sobą nazywali. Byli to głównie sekretarze ministrów, a klub polegał na tym, że siedziało się razem na wódce i załatwiano sprawy państwowe, dublując Radę Ministrów i ustalając, co trzeba zrobić, co zasugerować. Zaćwilichowski doskonale tym manewrował.

To był twór całkiem luźny. Później powstało coś bardziej zorganizowanego, nazywało się to Zakon Nieznanego Żołnierza; pisał o tym szczegółowo Drymmer w „Zeszytach Historycznych” (22/1972). Był to bardzo dziwny zespół, w którego skład wchodziło wielu oficerów, głównie marynarki, ale również Drugiego Oddziału, sekretarz generalny PAT, prezydenci Gdyni i Poznania, wielu wyższych urzędników z MSZ, m.in. sam Drymmer. Był to poniekąd klub dyskusyjny, ponieważ zaś grono, które próbowało ustalać wytyczne dla polityki państwa i sugerować pewne decyzje. Ono to właśnie inspirowało politykę gospodarczą Matuszewskiego. Ale zajmowano się tam bardzo różnymi dziedzinami: od polityki zagranicznej do polityki personalnej czy socjalnej; pamiętam wielkie dyskusje wokół reformy rolnej, rozbudowy marynarki czy portów na Bałtyku. Z oficerów Drugiego Oddziału był tam m.in. Niezbrzycki, którego wtedy poznałem; zresztą nie znosili

się z Zaćwilichowskim, co obserwowałem z rozbawieniem, gdyż było to po części związane z rywalizacją o moją duszę.

Za szefa w biurze prasowym Rady Ministrów miałem Zygmunta Hładkiego z MSZ. Moje obowiązki polegały na odsiadrywaniu zebrania Rady Ministrów, które wlokły się do późna w nocy, by dotrzeć do końca i pomóc w opracowaniu komunikatu. Poza tym byłem chłopcem na pobieguszki. Tak np., w przeddzień końca okresu dekretów, okazało się nagle, że na dwóch dekretach brakuje podpisu Marszałka Piłsudskiego. Zaćwilichowski zadzwonił do Belwederu. Odpowiedziano mu, że Marszałek jest niewidzialny i nic nie można zrobić. Wtedy Zaćwilichowski kazał mi wsiąść w samochód i jechać do płk. Wendy, by te podpisy uzyskać. Wenda wysłuchał mnie, oświadczył: „Marszałek czaruje”, i kategorycznie odmówił wejścia do jego pokoju, by przedstawić mu dekrety do podpisu. Zatelefonowałem więc do Zaćwilichowskiego i zrobiła się straszna awantura. W końcu do Wendy zadzwonił sam Bartel, niezwykle kategorycznie. Wenda podszedł do drzwi, zapukał, przeżegnał się i wszedł. Przez otwarte drzwi zobaczyłem ciemny pokój i odbłask ognia w kominku. Zapanowała dziwna, nieoddychalna atmosfera. Jakby jakieś fluidy unosiły się w powietrzu. Miałem wrażenie, że tam rzeczywiście odbywają się czary. Samego Piłsudskiego nie widziałem, tylko kominek czy jakiś mebel. Ale ta atmosfera zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Co znaczyło: „Marszałek czaruje” — nie wiem do dziś.

W biurze prasowym nie brakowało również zabawnych historii. Pewnego dnia, kiedy posiedzenie Rady Ministrów przeciągało się w nieskończoność, kilku dziennikarzy z czołowych pism krajowych czekało w biurze na wyniki. W pewnej chwili, bodaj z inicjatywy Nulka Karczewskiego, wzięto w obrotu Konrada Wrzosa, czołowego publicystę „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z Krakowa. Został uroczystie pro-

klamowany Związek Pracujących dla Państwa, Którzy z Tego Mają Guzik. Wrzosowi obcięto wszystkie guziki w garderobie. Mnie przypadł wielki biały guzik, bodajże od jego kalesonów. Następnego dnia było uroczyste przyjęcie u ambasadora francuskiego, p. Laroche; w zaproszeniu zaznaczono, że należy przyjść *avec decorations*. Niewiele myśląc, włożyłem ten guzik do kłapy. Na przyjęciu był z protokołu dyplomatycznego MSZ Witold Wehr, popularnie zwany Wiciowerem. Zaczął kręcić się koło mnie, uważnie przypatrywał się guzikowi, i wreszcie zapytał, co to za odznaczenie. Nie chciał wierzyć moim zapewnieniom i przez dłuższy czas miał do mnie pretensję, że ukrywam przed nim nie znany mu order.

W 1930 r. zacząłem pracować w Ministerstwie Rolnictwa, gdzie Zaćwilichowski zrobił ze mnie sekretarza ministra Połczyńskiego, bardzo sympatycznego ziemianina z Pomorza. Był to doskonały specjalista od spraw rolniczych, który z miejsca zaczął prowadzić dosyć energiczną politykę rolną, przede wszystkim w obronie cen zboża i jego eksportu; m.in. zorganizował międzynarodową konferencję krajów wschodnioeuropejskich, która miała dość duży rezonans na świecie. Był on jednak zupełnie zdezorientowany, jeśli chodzi o życie polityczne w Warszawie, personalia itp. W tych sprawach byłem jego głównym informatorem. Dość szybko nabrał do mnie zaufania i, pochlebiam sobie, sympatii. Był chyba jedynym ministrem bardzo niezależnym. Tak np. w czasie posiedzenia Rady Ministrów, na którym odrzucono jego propozycję, a w rządzie był wtedy Marszałek Piłsudski, rzucił teczkę na stół i podał się do dymisji. Zrobiło to duże wrażenie. Dymisji nie przyjęto i uchwalono jego propozycję. Opowiadał mi, że na posiedzeniach Marszałek siedział okragiem na krześle, z głową położoną na oparciu, przeważnie milcząc i bystro przypatrując się uczestnikom.

Połczyński zabrał mnie na Kongres Eucharystyczny w Po-

znaniu, gdzie pojechał jako przedstawiciel prezydenta. Byli tam też biskup Bandurski i ksiądz Żongółłowicz, z którym się zresztą przyjaźniłem. Z powodu ich obecności na Kongresie doszło do dość gorszących scen, gdyż Bandurski był legionistą, pilsudczykiem, a Żongółłowicz, jezuita, wiceminister oświaty, uchodził za zausznika Piłsudskiego, co było wielką przesadą; Piłsudski go znał, bardzo ceniał, ale sprawami kościelnymi w ogóle się nie interesował. Żongółłowicz, niesłychanie ciekawy człowiek, wraz z Borkowskim, który kierował wydziałem wyznań, prowadzili politykę bardzo inteligentną, ale idącą pod włos Kościoła, nawet w czasach Franciszka Potockiego. Toteż obaj, Bandurski i Żongółłowicz, stali się przedmiotem wrogich demonstracji. Do tego doszedł w pewnym momencie konflikt z powodu metropolity Szeptyckiego, gdyż nastroje biskupów były ostro antyukraińskie.

Polczyński zastanawiał się, czy opuścić demonstracyjnie ten Kongres, czy jednak zostać. Wysłał mnie nawet samolotem wojskowym do Schaetzla, który był w Radzie Ministrów, bym zreferował sytuację i przywiózł odpowiedź: zostać czy wyjechać. W tym przypadku kardynał Hlond odgrywał dziwną rolę, gdyż manewrował tym wszystkim. Później spotkałem się z kardynałem Hlondem, gdyż Polczyński wysłał mnie do Częstochowy, bym odbył z nim rozmowę na temat stanowiska jego i Kościoła wobec wyborów do parlamentu. Była to bardzo ciekawa rozmowa, gdyż Kościół poszedł właściwie na współpracę z rządem. Z kardynałem Hlondem miałem jeszcze kilka rozmów na różne tematy, za każdym razem w Częstochowie. On interesował się tym, co ja robię, tak że te rozmowy, dość długie, przybierały chwilami charakter bardziej osobisty. Dotyczyły też metropolity Szeptyckiego. Z trudem, ale udało mi się chyba przekonać kardynała Hlonda, że trzeba zmienić stosunek do Szeptyckiego i do Kościoła greckokatolickiego.

Po odejściu Polczyńskiego objąłem referat prasowy i zajmowałem się stosunkami z parlamentem; to zawsze należało do mnie. Później byłem sekretarzem kolejnych ministrów: Ludkiewicza i Nakoniecznikowa-Klukowskiego. Ale gdy do ministerstwa jako wiceminister przyszedł Roger Raczyński, z którym byłem bardzo zaprzyjaźniony, zostałem jego sekretarzem. Była to postać niezwykle interesująca: wielka inteligencja całkowicie nie skoordynowana. Miał zainteresowania artystyczne: uprawiał malarstwo. Wedle Józia Czapskiego robił to źle, ale wnikliwie malarstwo studiował. Miał też zainteresowania humanistyczne: pomagał Znaniowskiemu i jego uczniom, jeśli się nie mylę, nawet finansowo. Był bardzo mało poznański.

Kariere zaczął w MSZ dzięki swej matce, pani Róży, osobie wyjątkowej, którą ceniał Marszałek Piłsudski. Po zamachu majowym został wojewodą poznańskim i odegrał istotną rolę. Sytuacja w Poznańskim była trudna. Było to województwo antyrządowe. Chodziło o znalezienie kogoś, kto by był człowiekiem reżymu, a zarazem nie był przywieziony w tecze, lecz pochodził z rodziny znanej na tym terenie. Roger Raczyński spełniał wszystkie te warunki. Lepszego kandydata nie można było znaleźć. Późniejsze mianowanie do Poznania Piotra Borkowskiego było nieporozumieniem.

Jako wojewoda poznański Roger Raczyński wiele zajmował się m.in. sprawami polskimi na Opolszczyźnie: pomaganiem w ratowaniu zagrożonych majątków, udzielaniem jakichś cichych kredytów itp. Następnie został wiceministrem rolnictwa. Kolejne dwa lata spędził, zajmując się swoim majątkiem w Rogalinie, i w 1938 roku został ponownie ściągnięty do MSZ i mianowany ambasadorem Polski w Bukareszcie.

Moje stosunki z nim były stosunkami zarazem podwładnego i przyjaciela. Był dla mnie — a pochlebiam sobie, że i ja byłem dla niego — jednym z najbliższych ludzi. W stosunkach

pozasłużbowych byliśmy na ty. Często bywałem w Rogalinie, przeważnie sam. Z żoną byłem u Rogera chyba tylko raz czy dwa razy, gdyż on właściwie domu nie prowadził. Jego żona, Helena, mieszkała w Rogalinie i rzadko bywała w Warszawie, a Roger wiódł życie raczej kawalerskie. Było to bardzo dobre małżeństwo, ale Roger był kobieciarzem; miał wielkie powodzenie i niekiedy był nawet nazbyt lekkomyślny pod tym względem.

W Ministerstwie Rolnictwa Roger odgrywał większą rolę, niżby życzył sobie tego Poniatowski. Poniatowski był człowiekiem dość oschłym. A Roger miał dużo wdzięku i ktoś taki jak Adam Rose, który był dyrektorem departamentu ekonomicznego i filarem ministerstwa, miał z nim bliższe stosunki niż z Poniatowskim. Poniatowski miał grono swoich wyznawców, do których zaliczał się Czesław Bobrowski, wtedy redaktor bardzo ciekawego pisma „Gospodarka Narodowa”.

Raczyński był nadto człowiekiem o dużej wyobraźni politycznej. To on jako ambasador Rzeczypospolitej w Bukareszcie uratował ciągłość państwa polskiego dzięki rozwiązaniu problemu prezydentury. Była to decyzja bardzo ciężka, gdyż wymagała zagrania przeciwko Beckowi i wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi. Ale nie było innego wyjścia. Wszystko odbyło się zresztą jak najbardziej legalnie, za zgodą prezydenta Mościckiego.

Rozbieżności między nami nie pamiętam. Kiedy zerwałem z Rowmundem Piłsudskim, miałem pełne poparcie Rogera. Po okresie naszej współpracy w Bukareszcie utrzymaliśmy kontakt. Gdy Roger został posłem przy rządzie greckim i zamieszkał w Kairze, a Brygada Karpacka po Tobruku wyszła z Libii, widywaliśmy się dość często w Kairze. Ostatni raz widziałem go w okresie, gdy już zaczynałem organizować Instytut Literacki i byłem w Palestynie, gdzie likwidowałem rozmaite polskie placówki z ramienia Ministerstwa Informacji.

Z powodu popsucia się samolotu znalazłem się przymusowo na kilka dni w Atenach. Rozmawialiśmy o sytuacji, którą oceniał pod wpływem brata, Edwarda, może nieco łagodniej niż ja, ale różnice dotyczyły tylko odcieni. Zastanawiał się, co będzie robił, i mówiliśmy nawet o tym, że przyłączy się do Instytutu Literackiego i będzie naszym ministrem spraw zagranicznych. Ale wkrótce potem Roger zmarł niespodzianie na atak serca. Tak jak w przypadku Piotra Borkowskiego, śmierć pokrzyżowała nasze plany.

Nasza przyjaźń sięgała czasów Myśli Mocarstwowej. Była to organizacja założona przez Rowmunda Piłsudskiego, który mnie do niej wciągnął; znałem go przelotnie z ruchu korporacyjnego, bo on był w „Regii”. Było to w 1928 r. Wkrótce po moim przystąpieniu do Myśli Mocarstwowej Rowmund zapadł na jakąś chorobę płuc i wysłano go na kurację do Francji; przed wyjazdem błagał mnie, bym go zastąpił, i tak utknąłem w tej organizacji. Myśli Mocarstwowej zawdzięczam spotkanie z Marszałkiem Piłsudskim. Poszliśmy do niego w trójkę, Roger Raczyński, Rowmund i ja, by mu złożyć adres hołdowniczy. Rowmund bardzo o to zabiegał, więc Piłsudski zgodził się nas przyjąć. Ale gdy przyszliśmy do Belwederu, Piłsudski wyszedł, podał nam rękę i powiedział: „A ja w tym czasie idę na spacer. Do widzenia panom”. I tyleśmy go widzieli.

W okolicach 1935 r. popadłem w konflikt z ministrem Juliuszem Poniatowskim, który uznał, że się marnuję, że bycie urzędnikiem politycznym to zajęcie bez przyszłości i że powinienem zostać ekonomistą; wobec czego przydzielił mnie do departamentu ekonomicznego do Adama Rose. Sprzeciwiłem się temu i podałem się do dymisji. Ale wtedy właśnie wybuchła sprawa Berezy. W „Buncie Młodych” ukazał się artykuł Aleksandra Bocheńskiego zatytułowany *Kirow a Pieracki*, za który ówczesny premier, Kościłkowski, postanowił

wysłać mnie do Berezy. Zwrócił się zatem do Poniatowskiego, by zwolnił mnie z pracy, gdyż nie może przecież posłać do Berezy urzędnika państwowego. Dowiedziałem się o tym od Rogera Raczyńskiego, któremu Kościalkowski powiedział to całkiem oficjalnie.

Zrobiła się z tego szalona awantura. Wszyscy moi przyjaciele wstawiali się za mną bez skutku, aż nagle sprawa ucichła. Dopiero po bardzo długim czasie dowiedziałem się, że Poniatowski na Radzie Ministrów zagroził podaniem się do dymisji, jeśli dojdzie do internowania mnie. A przecież wtedy odchodziłem już z Ministerstwa Rolnictwa, a moje stosunki z Poniatowskim nigdy nie były szczególnie dobre. Łączył nas chyba tylko Stanisław Stempowski, który był bibliotekarzem w ministerstwie i do którego często zachodziłem. Dzięki niemu zetknąłem się z Tadeuszem Szturm de Sztremem, który zajmował się wtedy opracowywaniem *Pamiętników chłopów*, co mnie interesowało; publikowałem pewne materiały, które dostałem od niego, i trochę pomagałem mu w zbieraniu różnych relacji. Ale nasza znajomość nie wyszła poza to.

Z Ministerstwa Rolnictwa przeszedłem w końcu 1935 r. do Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Ministrem został tam Antoni Roman. Znałem go z Zakonu Nieznanego Żołnierza, do którego należeli i on, i jego brat, wybitny matematyk, profesor politechniki. Antoni Roman był wtedy radcą ekonomicznym w MSZ. Bardzośmy się zaprzyjaźnili nie tylko z przyczyny udziału w zebraniach u Zaćwilichowskiego, ale osobiście, zwłaszcza że on, z tytułu zajmowanego stanowiska, miał różne sprawy do załatwienia w Ministerstwie Rolnictwa. Mieliśmy więc liczne kontakty urzędowe. Roman był później naszym posłem w Sztokholmie; jak został ministrem przemysłu i handlu — to ściągnął mnie do siebie. Początkowo byłem urzędnikiem politycznym, a później zastępcą naczelnika wydziału prezydialnego; naczelnikiem tego wydziału zostałem dopie-

ro w 1939 r. Nasza przyjaźń nie utrudniała nam współpracy. Byliśmy dosyć zgrani. O mojej działalności redaktora pisma właściwie opozycyjnego Roman, rzecz jasna, wiedział, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Kluby, do których należałem, otwierały duże możliwości kontaktów osobistych, te zaś odgrywały w ówczesnych stosunkach ogromną rolę. Tak np. przez Maję Prądyńską, która była współzałożycielką Legionu Młodych, a potem sekretarką „Buntu Młodych”, zetknąłem się z Adamem Skwarczyńskim, u którego bardzo często bywałem. Były to spotkania czysto prywatne. W tym okresie zajmowałem się przysposobieniem rolniczym, robotnikami, przysposobieniem wojskowym itp. Nie dawało to może wielkich rezultatów, ale pozwoliło mi zyskać duże doświadczenie. Skwarczyńskiego interesowały zwłaszcza sprawy wiejskie, ja zaś byłem bardzo krytycznie nastawiony do „Siewu” i całej roboty Gierata, zwłaszcza do dożynek w Spale, zupełnie humorystycznych z uwagi na poprzebieranych za chłopów nauczycieli, którzy tańczyli przed prezydentem. To był nasz wspólny teren.

W widzeniu przez Skwarczyńskiego polskiej rzeczywistości było coś z Brzozowskiego i Żeromskiego: przykładał on „odzyskany śmietnik” do ideału Polski, był rozpięty między rzeczywistością a swym wysokim wyobrażeniem Polski, jaka powinna być. Z rozmów z nim zapamiętałem te, które były związane z pismem „Droga”. Brał w nich udział Wilam Horzyca, wtedy też poznałem Stanisława Vincenza, który tam bywał. Dyskusje były zupełnie nie zorganizowane i poruszały często sprawy przypadkowe. Jednym z ważnych tematów były fałszerstwa wyborcze. Na tym tle Vincenz ustąpił z „Drogi”, którą finansował, gdyż jako nafciarz rozporządzał wtedy wielkimi pieniędzmi. Były też konflikty między Skwarczyńskim a ministrem spraw wewnętrznych na tle czysto moralnym. Symbolem Skwarczyńskiego mogą być wybory do Sej-

mu, gdzie Piłsudski był na pierwszym miejscu, a on sam — na ostatnim. Z upływem czasu Skwarczyński przesuwiał się coraz bardziej na margines.

Brałem pewien udział, zresztą bez wielkiego powodzenia, w organizowaniu z jego inicjatywy młodzieży państwowej. Pracowałem wtedy w Narodowym Związku Młodzieży Akademickiej i organizowaliśmy wybory: robiliśmy blok, do którego wchodziło „Odrodzenie” wileńskie — Dembińskiego znałem już przedtem i byłem z nim w przyjaźni — i my, a które bojkotowały Legion Młodych i Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Wybory te wygraliśmy znaczną większością, chyba dlatego, że rzuciliśmy na miasto plakaty o nożownictwie młodzieży endeckiej, co nam dało stosunkowo dużą liczbę mandatów.

Sanacji niezmiernie zależało na uzyskaniu wpływów na młodzież akademicką, toteż bardzo się nią zainteresowano. Z inicjatywy Kawałkowskiego, który był wtedy dyrektorem departamentu szkół wyższych w Ministerstwie Oświaty, odbyło się spotkanie przedstawicieli młodzieży z Marszałkiem Piłsudskim. Spotkanie, na którym Marszałek zapytał Ksawerego Pruszyńskiego — o urodzie rzeczywiście bardzo tatarskiej — skąd pochodzi. I wypowiedział słynne zdanie, że Polska jest jak obwarzanek: wszystko, co jest wartościowe, jest na Kresach, a w środku — dziura.

Dalsze rozmowy z Dembińskim nie przebiegły dobrze: zabrano się do tego bardzo niezręcznie i zaproponowano mu wysokie stanowisko, bodaj dyrektora departamentu w Ministerstwie Oświaty, co go od razu odrzuciło. W rozmowach brał udział również Jędrzychowski, który był dla mnie bardzo nie-sympatyczny. Później straciliśmy kontakt i spotkaliśmy się dopiero po kongresie intelektualistów we Lwowie zorganizowanym przez Kuryluka. (Notabene „Sygnały” to była bardzo interesująca grupa. Z jej członków znałem Tadeusza Hollen-

dra, który ogłosił nawet jakieś fraszki w „Buncie Młodych”. Zetknąłem się też przez Vincenza z panią Blumenfeld, która wydawała to pismo za pieniądze swego męża, przemysłowca, właściciela fabryki „Laokoon”). Spotkaliśmy się w Warszawie, z inicjatywy Dembińskiego, który już odchodził od komunizmu. Sam zaczął mówić o nawiązaniu kontaktów, o napisaniu czegoś do „Polityki”, ale potem to się wszystko urwało. On niewątpliwie przeżywał wtedy jakiś kryzys; nie wiem, na jakim tle i jak głęboki.

Podjęta próba organizowania młodzieży robotniczej doprowadziła mnie do nawiązania kontaktu z Wieniawą. Zgłosiłem się do niego wkrótce po zamachu majowym, gdy był komendantem miasta. Ponieważ potrzebowałem dla mojej organizacji lokalu, prosiłem go, by przydzielił mi jakieś pomieszczenie w tzw. koszarach Blocha przy alei Trzeciego Maja, zrujnowanych i przeznaczonych do rozbiórki. Wieniawa spełnił mą prośbę i wszystko funkcjonowało zupełnie nieźle: młodzi robotnicy zbierali się tam, robili jakąś gazetkę, ale ostatecznie skończyło się na niczym z powodu bezrobocia. Później spotkałem Wieniawę raz czy dwa na gruncie towarzyskim; chyba dwukrotnie miał odczyt w Myśli Mocarstwowej w zamkniętym gronie. Były to kontakty przyjemne, ale dość luźne.

Po Wrześniu jako ambasador opiekował się uchodźcami, m.in. prof. Kucharzewskim, autorem *Od białego caratu do czerwonego*, i ojcem Bocheńskim. Wieniawa niewiele o nich wiedział, ale starał się jak mógł, pomagał w załatwianiu wyjazdu do Stanów Zjednoczonych i w innych sprawach. Była to wybitna inteligencja, bardzo błyskotliwa, toteż doskonale rozumiał, że Beck go cenił. Gdy wydawało się prawdopodobne, że zostanie premierem, korespondował z Wieniawą, proponując mu objęcie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Legenda Wieniawy jako niefrasobliwego ułana jest dla niego

bardzo krzywdząca. Miał on wprawdzie okres awantur pijackich, mniej lub bardziej zabawnych, przy czym korzystał z dużej bezkarności, bo lubiano go w środowisku literackim, a zarazem był pupilem Piłsudskiego, który tolerował jego wyskoki, choć nie znosiła go pani Piłsudska. Ale po śmierci Piłsudskiego awantury się skończyły.

Wieniawa przeżył śmierć Piłsudskiego wyjątkowo ciężko. Nie pamiętam już, kto opowiadał mi, że gdy odprowadzano trumnę Piłsudskiego do pociągu, podczas defilady przed trumną na Polu Mokotowskim, Wieniawa, który dowodził tam brygadą kawalerii, chciał się rzucić pod konie; obecni przy nim oficerowie zorientowali się w tym i powstrzymali go. Wtedy dokonał się w nim przełom. Beck, który go bardzo lubił, wziął go do MSZ. Wieniawa przestał pić i znakomicie wywiązywał się ze swych obowiązków. Jego raporty były doskonałe, a jego talenty towarzyskie ułatwiły mu zaprzyjaźnienie się z Ciano, dzięki czemu mógł m.in. pomagać w przerzucaniu ludzi do wojska z Rumunii przez Włochy. Włosi nie tylko na to przystali, ale nawet dali bezpłatny transport i bardzo nam pomogli.

Epizod z prezydenturą, który zaciążył w jakiejś mierze na pamięci Wieniawy, był niefortunnym pomysłem Mościckiego. Mościcki myślał o ustanowieniu swym następcą Sosnkowskiego, o którym nie było żadnych wiadomości. Ponieważ z nominacją prezydenta nie można było dłużej zwlekać, Mościcki, jak przed nim Piłsudski, uznał, że jeśli jest ktoś, do czyjej uczciwości i honoru można mieć pełne zaufanie, to jest nim Wieniawa; jeśli zostanie prezydentem, to na pewno ustąpi po przyjeździe Sosnkowskiego. Ale Sosnkowski nie byłby Sosnkowskim, gdyby nie siedział w Budapeszcie nie wiedząc jak długo, zamiast przyjechać od razu.

Wracam do czasów wcześniejszych, których klimat bardzo dziś trudno oddać. Tak np., choć byłem tylko niskim rangą

urzędnikiem, byłem jeśli nie zaprzyjaźniony, bo to za dużo powiedziane, to w każdym razie w bliskich stosunkach z Prystorem i ze Sławkiem. Prystora poznałem przez Tadeusza Zajączkowskiego, który był sekretarzem Adama Skwarczyńskiego, a przez pewien czas również redaktorem odpowiedzialnym „Polityki”. Był to brat Łata, który Łata spędził u Skwarczyńskiego i znał wszystkich. Był blisko zaprzyjaźniony z Prystorem, którego poznałem u niego, z czego później, gdy Prystor był już w niełasce, wywiązała się bliższa znajomość. Sławka z kolei poznałem przez Nulka Karczewskiego, który znał go jeszcze z czasów peowiackich i był z nim w przyjaźni. Sławka widywałem raz lub dwa razy na miesiąc, głównie w Sejmie, gdzie dużo przesiadywałem.

Sławek był człowiekiem wyjątkowo szlachetnym. U źródeł jego samobójstwa było poczucie, że został zdradzony i że Piłsudski został zdradzony. Chodziło o prezydenturę i o Śmigłego, w czym bardzo nieprzyjemną rolę odegrał Miedziński, który przyczynił się do wyeliminowania Sławka. Byłem zwolennikiem konstytucji kwietniowej. Ale zarazem byłem przeciwny wprowadzonej równocześnie ordynacji wyborczej, której nie waham się określić mianem totalitarnej. Odsunięcie Sławka było następstwem zwycięstwa zwolenników orientacji totalitarnej, którzy inspirowali Śmigłego; dużą rolę odegrali w tym minister Grabowski, Klub 11 listopada pod opieką płk. Strzeleckiego, Koc, który flirtował z Bolesławem Piaseckim. To była tendencja rosnąca.

Co do mnie, w owych latach związany byłem raczej z ludźmi przegrywającymi, jak Prystor czy Sławek. Bierze się to stąd, że lubię sprawy przegrane. Budzą one we mnie natychmiastową sympatię. Mój stosunek do Śmigłego był więcej niż negatywny. Uczestniczyłem w rozmowach na temat zastąpienia go Sosnkowskim. Ale w Rumunii zająłem się Śmigłym, bo uważałem to po prostu za swój obowiązek. Otóż kiedy po-

znałem Sławka, miałem świadomość, że reprezentuje on orientację przegrywającą. Moją ostatnią pilsudczykowską nadzieją był właśnie Sosnkowski. Ale nic z tego nie wyszło.

Sosnkowski był wyjątkową, rzeczywiście wyjątkową inteligencją. Był chyba inteligentniejszy od Piłsudskiego. Ale Piłsudski umiał podejmować decyzje. Niekiedy mogło mu to przychodzić z trudem, ale gdy trzeba było decydować — decydował i nie bał się opinii publicznej. Sosnkowski natomiast nigdy tego nie potrafił. Jako szef sztabu znakomicie przygotowywał i wykonywał decyzje Piłsudskiego. Stworzenie armii polskiej dosłownie z niczego jest tylko jego zasługą. Gdy jednak był pozostawiony samemu sobie, kończyło się na hamletyzowaniu. W jego listach pisanych w czasie wojny do Rogera Raczyńskiego są zadziwiające trafnością i po dziś dzień aktualne analizy sytuacji międzynarodowej. Ale nic z nich nie wynika.

Sosnkowski przyjaźnił się z Rogerem Raczyńskim: utrzymywali kontakty towarzyskie, polowali. Wykorzystałem to i kiedyś, gdy byliśmy tylko we trzech, poruszyłem sprawę Śmigłego i ewentualnej zmiany na stanowisku Naczelnego Wodza. „A kto pan jest?” — zapytał mnie na to Sosnkowski. Odpowiedziałem urzędowo: „Jestem sekretarzem wiceministra rolnictwa itd.” On popatrzył na mnie i powiedział: „To są tematy, o których ja z panem nie będę dyskutować”. A przecież nie chodziło o wojskowy zamach stanu, lecz o stworzenie ruchu politycznego, który by postawił sprawę zastąpienia Śmigłego Sosnkowskim, co jednak wymagało jego zgody. Później rozmawiał z nim jeszcze, z mojej inicjatywy, jego bliski przyjaciel, Czesław Świrski, ale i to nic nie dało.

Z Sosnkowskim spotkałem się ponownie w maju 1939 r. Wróciłem wtedy ze Stanów Zjednoczonych przekonany, że wojna jest nieuchronna i że trzeba coś zrobić, gdyż Amerykanie zupełnie nie orientują się w naszych sprawach. Ponie-

waż zaś stosunki między Śmigłym a Sosnkowskim były złe, przyszło mi do głowy, by wysłać Sosnkowskiego do Stanów na czele misji wojskowej i politycznej. Sosnkowski wysłuchał mnie i powiedział, że się zastanowi. Po upływie mniej więcej dziesięciu dni pplk Kowalczewski, oficer do zleceń gen. Sosnkowskiego, zawiadomił mnie, że generał się zgadza, jeżeli min. Beck mu taką misję zaproponuje. Sytuacja była paradoksalna. Min. Becka nie znałem, a w hierarchii urzędniczej stałem zbyt nisko, by móc takie sprawy załatwiać. W końcu przez Drymmera, choć byłem z nim wtedy pokłócony, doprowadziłem do tego, że min. Beck wyraził swoją zgodę. Ale było to już na dwa dni przed wybuchem wojny. Wychodzi tu na jaw kunktatorstwo, które tkwiło w charakterze Sosnkowskiego i które bardzo mnie do niego rozczarowało.

W sprawie ruchu politycznego, który by miał wynieść Sosnkowskiego na Naczelnego Wodza, porozumiewałem się z działaczami ONR-ABC, z którymi byłem w kontakcie. W rozmowach tych, zresztą bardzo luźnych, uczestniczyli m.in. Wojciech Wasiutyński, Wojciech Zaleski, z którym byłem za przyjaźniony, Bajkowski, przedstawiciele młodzieży endeckiej, bardzo spokojnej, przynajmniej dla mnie, którzy się do tego zapalili. Rozmawiałem z nimi, bo nie było nikogo innego, a oni też byli gotowi opowiedzieć się za Sosnkowskim. Oczekiwaliśmy od niego tego przede wszystkim, że ustano- wi w Polsce państwo praworządne.

Wróć do tego. Teraz chciałbym podsumować okres mojego sekretarzowania. Pozostawił on na mnie ślady. Odgrywałem wtedy poniekąd rolę szarej eminencji, zajmowałem się inspirowaniem moich szefów. Miałem tę szczęśliwą sytuację, że z reguły pracowałem z przyjaciółmi czy dobrymi znajomymi; gdy Poniatowski mnie wyrzucił z Rolnictwa, Roman wziął mnie do Przemysłu i Handlu. Rzecz jasna, takie stosunki z przełożonymi ogromnie ułatwiały działanie niejako za ich po-

średnictwem. Wyniosłem z tego, co dziś oceniam negatywnie, poza przyzwyczajeniem się do bycia szarą eminencją, pewien typ uczynności, która wynikała z obowiązków sekretarskich, skłonność do załatwiania spraw ludziom najzupełniej bezinteresownie. Czesław Miłosz, którego przed wojną nie znałem, mówił o mnie: „uczynny radca z Ministerstwa Rolnictwa”. Nie mogę powiedzieć, by takie określenie mojej działalności mnie zachwycało.

SANACJA

Tym, co najbardziej raziło mnie w Polsce przedwojennej, była niepraworządność obecna we wszystkich dziedzinach. Wyrażająca się w powszechnej korupcji, w roli protekcji, w bardzo niezdrowych stosunkach w wojsku. Pracując w ministerstwach, miałem wgląd w pracę administracji. Dużo dowiadywałem się też od Rogera Raczyńskiego, który był dłuższy czas wojewodą poznańskim, i od Borkowskiego. Polityka Lamonta na Pomorzu, polityka Bociańskiego na Wileńszczyźnie były zupełnie przerażające. Pomysły ze szlachtą zagrodową, palenie cerkwi — wszystko to prowadziło do katastrofy. I nie sposób było znaleźć sprzymierzeńców, by zająć się naprawą tego wszystkiego. Jeśli opowiadałem się za mocną, a nawet autorytarną władzą, to dlatego, że moim zdaniem nie wymagała ona jednomyślności, a zarazem umożliwiała jakąś przemyślaną politykę państwa i praworządność.

Ale przywiązanie do praworządności współwystępowało u mnie zawsze ze skłonnościami rewolucyjnymi; godziłem jedno z drugim na różne sposoby, zależnie od wymogów chwili. Jednak nawet wtedy, gdy usprawiedliwiałem działania niekonstytucyjne czy sam usiłowałem je podejmować, miałem na widoku naprawę państwa, uczynienie go lepszym,

bardziej sprawiedliwym, bardziej logicznym. Dlatego np. uważałem Brześć za uzasadniony. Centrolew był realnym zagrożeniem, zamierzał robić w Polsce rewolucję, a nastroje w Krakowie — i nie tylko w Krakowie — były bardzo prorewolucyjne. Internowanie działaczy Centrolewu było w tych warunkach aktem obrony koniecznej; chociaż gwałciło immunitet poselski i było nielegalne, leżało w interesie państwa. Natomiast traktowanie więźniów w twierdzy brzeskiej przez Kostka-Biernackiego i innych było godne potępienia.

Podobnie było z Berezą. Pomysł stworzenia takiego miejsca odosobnienia był uzasadniony ogromnymi lukami w polskim prawie karnym, które nie miało żadnych przepisów pozwalających zwalczać spekulacje, korupcję, *trafic d'influence* itp. Mówię, rzecz jasna, o przestępstwach czysto kryminalnych. Było to zresztą przedmiotem poważnych prac ustawodawczych prowadzonych przez min. Grabowskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Bereza miała być środkiem tymczasowym. Ale stała się narzędziem załatwiania porachunków politycznych z Ukraińcami, komunistami i każdym, kto nie odpowiadał rządowi, jak np. Mackiewicz.

Dla mnie wartością nadrzędną było państwo. Byłem przekonany, że rozsadzają je odśrodkowe dążenia poszczególnych narodowości, z którymi trzeba dojść do porozumienia, jeśli państwo polskie ma w ogóle istnieć. Koncepcja Polski piastowskiej była mi z gruntu obca. Uważałem ją za pomniejszanie Polski. Polska leży w miejscu otwartym na wszystkie wiatry historii. Ale Polska nie potrafiła być ani mocarstwem, ani Czechosłowacją. Była państwem z Gombrowicza, które nie podejmowało prób rozwiązania jakichkolwiek problemów. Chaosem.

Był, rzecz jasna, jakobiński, a zatem centralistyczny i polonizacyjny, program endecji. Ale endecy nigdy nie rządili. Była też federacyjna wizja Piłsudskiego. Ale sam Piłsudski

zrezygnował z niej, jak sądzę, już po traktacie ryskim. Traktat ryski był przełomem w życiu Piłsudskiego, jak potem było nim zabójstwo Narutowicza. Odtąd był to już zupełnie inny człowiek. Przestał wierzyć w długotrwałość państwa polskiego. I dlatego skupił się tylko na polityce zagranicznej i na wojsku. Nie miał żadnych wielkich planów na przyszłość. Dążył tylko do opóźnienia końca niepodległości. Taki obraz Piłsudskiego wyrobiłem sobie już w okresie międzywojennym, ostatecznie w okresie przyjscia Śmigłego i odejścia Sławka, czyli gdzieś w roku 1936–37.

Ze sprawami narodowościowymi zetknąłem się już w pierwszych latach uniwersyteckich. Ale momentem przełomowym było spotkanie, we wczesnych latach trzydziestych, z Huculszczyną pod wpływem dr. Piotra Kontnego, który był w pewnym sensie konkurentem Jerzego Stempowskiego i Stanisława Vincenza, i sam był w Huculszczynie zakochany. Piotr Kontny, który był doktorem filozofii, mieszkał w Stanisławowskim i żył w środowisku huculskim. Zainteresował się Huculami i starał się im pomagać, co sprawiało, że miał nie najlepsze stosunki z administracją. Był to człowiek dość niepozorny, ale miał tę zaletę, że działał konkretnie, czego nie można powiedzieć o Stempowskim czy o Vincenzie, którzy traktowali Huculszczynę bardzo literacko.

Zetknąłem się z Kontnym, gdyż on zorientował się z „Buntu Młodych” w naszych zainteresowaniach i napisał list, a następnie przyjechał do Warszawy. Po czym odbyłem z nim kilka wycieczek terenoznawczych na Huculszczynę. Dzięki niemu nawiązałem kontakty z działaczami huculskimi. Pamiętam, że udało się wtedy załatwić ważną dla nich sprawę importu kukurydzy, która była tam podstawą wyżywienia. Nasza produkcja kukurydzy była zupełnie niewystarczająca, a import kukurydzy z Rumunii całkiem niepotrzebnie obłożono dość wysokim cłem. Na szczęście udało się spowodować jego

zmniejszenie. Był to teren bardzo drażliwy politycznie nie tylko z polskiego punktu widzenia. Również dla Ukraińców, którzy twierdzili, że Huculi to Ukraińcy, co powodowało różne lokalne napięcia, gdyż Huculi nie mieli świadomości narodowej. Uważali się po prostu za tamtejszych.

Jeździłem na Huculszczynę czysto prywatnie, organizowałem tam zebrania i wtedy przekonałem się naocznie o fatalnej polityce polskiej na tych terenach. Zorganizowałem delegację Huculów do Prystora, który był wtedy ministrem opieki społecznej. Z tej okazji Nakoniecznikow-Klukowski, ówczesny wiceminister przy Radzie Ministrów, a poprzednio wojewoda lwowski, wezwał mnie i powiedział: „Czy pan wie, że kiedy pan jeździł na Huculszczynę, wydałem polecenie aresztowania pana? Na szczęście dla pana, pan szybko wyjechał. Przestrzegam pana przed dalszymi takimi podróżami”. Zresztą później, kiedy Klukowski, skądinąd nieprawdopodobnie chamidło, został ministrem rolnictwa, miałem z nim zupełnie dobre stosunki.

Huculszczyna była początkiem mojej działalności na odcinku ukraińskim. Miałem bardzo żywe kontakty z biskupem Chomyszynem ze Stanisławowa. Utrzymywałem również stosunki z UNDO i z redaktorem „Diło”, Kedrynem-Rudnickim, do czego wróć, oraz z Doncowem, redaktorem ukraińskiego „Wistnyka”, czołowym ideologiem i publicystą nacjonalistycznym. Na prośbę Ministerstwa Spraw Zagranicznych stworzyłem pismo „Wschód”. W MSZ uważano, zresztą bardzo słusznie, że trzeba zająć się problematyką wschodnią. Wobec czego zwrócono się do mnie, abym zorganizował pismo temu poświęcone. Zrobiłem to i doprowadziłem do wydania pierwszego numeru. Ale później nie miałem na to czasu i Bączkowski, który był redaktorem „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” i specjalizował się w sprawach ukraińskich, przejął pismo i je prowadził. Ja odegrałem w tej sprawie tylko rolę akuszerza. Z Bącz-

kowskim byliśmy zaprzyjaźnieni. Zetknąłem się z nim przez jakieś kontakty prometejskie i przez Ukraińców, takich jak Małaniuk, wybitny poeta ukraiński, który mieszkał w Polsce.

Interesowałem się nie tylko czystą polityką. Uprawiałem również stale jakąś działalność społeczną. Tak np. zupełnie przypadkowo zająłem się problemem rybaków Kaszubów. Kiedyś, gdy niezbyt dobrze się czułem, pojechałem w marcu na Hel. Tam zamieszkałem u jakiegoś rybaka, u którego spędziłem kilka dni. Zobaczyłem wtedy, w jak ciężkich warunkach żyją ci ludzie i jak są traktowani z największą podejrzliwością przez władze. Ponieważ miałem jakiegoś przyjaciela w Urzędzie Morskim, zająłem się propagandą spożycia ryb morskich i nawet sfinansowałem wydawnictwo pod nazwą *Pani Florentyna*, które zawierało przepisy kulinarne. Wszystko to było robione prywatnie. Ministerstwo Rolnictwa wykorzystywałem tylko wtedy, gdy zajmowałem się młodzieżą wiejską, tzn. przysposobieniem rolniczym. Oczywiście, miałem bezpłatny bilet kolejowy pierwszej klasy z gabinetu ministra i zawsze byli jacyś przyjaciele, u których można było mieszkać; we Lwowie np. zatrzymywałem się u Piotra Borkowskiego. Tak że to wszystko nie było bardzo kosztowne.

Jeśli mniejszości interesowały mnie szczególnie, to dlatego, że byłem przekonany, iż trzeba szukać z nimi porozumienia, gdyż inaczej one nas rozsada. Weźmy sprawę żydowską. Gdzieś w początku lat trzydziestych poznałem Żabotyńskiego. Jego idea walki o niepodległą Palestynę bardzo mnie zafrapowała. Zainteresowałem się tym dzięki Drymmerowi. Ludzie Żabotyńskiego dostawali od władz polskich dość znaczną pomoc, mogli nawet prowadzić ćwiczenia wojskowe. Program Żabotyńskiego był moim zdaniem jedynym sposobem na wyjście Żydów z Polski; wszystkie pomysły z Madagaskarem wydawały mi się zupełnie niepoważne, ale Palestynę uważałem za realną.

Moje związki z Żydami — to był głównie „Nasz Przegląd”, a zwłaszcza mój przyjaciel Bernard Singer, o którym pisałem gdzie indziej. Singer wiedział o moich rozmowach z Żabotyńskim i wywoływało to między nami tak ostre spory, że szybko przestaliśmy o tym mówić. Singer, jak cały nurt, który reprezentował, stawiał na współżycie polsko-żydowskie w obrębie państwa polskiego. Interesowała go przy tym tylko inteligencja żydowska. Ani on, ani nikt inny w jego środowisku nie miał żadnego pomysłu, jak rozładować getta. Również ja sam sprawę gett znałem tylko z opowiadań. Nigdy się tym bezpośrednio nie zajmowałem.

Warszawa nie miała żadnej jednolitej i spójnej polityki narodowościowej. Decyzje podejmowali we własnym zakresie wojewodowie. Niektórzy ministrowie też usiłowali działać tak, jak uważali za słuszne. Jeden wojewoda pacyfikował Ukraińców, a inny szukał z nimi porozumienia. Józewski prowadził własną politykę na Wołyniu, a Bociański — na Wileńszczyźnie, Kostek-Biernacki polonizował Polesie, Kasprzycki jako wiceminister spraw wojskowych tworzył szlachtę zagrodową i palił cerkwie. Przemysłanej polityki państwa nie widziałem przez cały czas mego życia politycznego w Polsce międzywojennej.

Weźmy problem białoruski, którym zajmowali się Swianiewicz, Wysłouch i wiele innych osób w Wilnie. Walczyli oni z administracją, która zlikwidowała jedyne gimnazjum białoruskie, jakie istniało. Było pismo literackie, to zamykano je i trzeba było stale walczyć w Warszawie, by pozwolono mu istnieć, gdyż nie sposób było przekonać o tym Urzędu Wojewódzkiego. Inny przykład, dotyczący tym razem Ukraińców. Masłosojuz świetnie pracował. Zaczął wprowadzać swój nabiał na rynek łódzki i docierać do Warszawy. Wobec tego Poniatowski zajął się zwalczaniem Masłosojuzu w obronie spółdzielczości polskiej.

Temu człowiekowi, skądinąd szlachetnemu, wielu rzeczy nie można było wytłumaczyć. Tak więc chciał on osuszać i parcelować Polesie. Wszyscy znawcy przedmiotu uważali, że to nonsens, gdyż po dwóch-trzech żniwach warstwa czarnoziemiu czy łu ulegnie zniszczeniu; a że pod nią jest piasek — więc stworzy się pustynię. Na tym terenie można prowadzić tylko duże gospodarstwa hodowlane. Ale dla Poniatowskiego duże gospodarstwa — i to hodowlane — były nie do przyjęcia ze względów zasadniczych. Jego wrogiem był chłop kułak. Chciał mieć średnich i drobnych rolników i spółdzielczość. Prowadzono np. intensywną parcelację w Wielkopolsce, gdzie osadzano bezrolnych z Małopolski. Nie liczono się przy tym z różnicą klimatu i ciężką ziemią wymagającą zupełnie innych metod uprawy. W rezultacie po dwóch latach, gdy tam pojechałem, znalazłem tylko jednego osadnika. Mieszkał we Wrześni i pracował jako fryzjer. Ale nie było sposobu, by wytłumaczyć to Poniatowskiemu. Asystowałem przy wielu konferencjach na ten temat między nim a Raczyńskim. Wszystkie zostały bez skutku.

Jedyną spółdzielczością, która zdała egzamin, była spółdzielczość ukraińska. Łatwo to zrozumieć: inteligent ukraiński nie miał gdzie pracować. Po skończeniu studiów, przeważnie w Czechosłowacji, w Polsce nie było dla niego miejsca ani w urzędach, ani gdzie indziej. Wobec tego siedł na wieś. Inżynier, który pracował początkowo nawet nie jako kierownik, ale jako pracownik spółdzielni w jakiejś zapadłej wsi, stawiał ją na nogi. Władze polskie zwalczały tę spółdzielczość ukraińską, broniąc polskich interesów gospodarczych: odkrywano szlachtę zagrodową, której trzeba było bronić przed zalewem grekokatolików, i podejmowano inne, równie rozsądne działania.

Na temat niebezpieczeństwa ukraińskiego i konieczności porozumienia z Ukraińcami miałem kilka rozmów z Józew-

skim, który te sprawy dobrze rozumiał i który sam siedł w tym kierunku. Była to wybitna inteligencja, ale połączona z naturą nazbyt artystyczną; brakowało mu żelaznej woli dla urzędywistnienia swych poglądów. Toteż nigdy nie wykorzystał swych dobrych stosunków z Piłsudskim. Podobnie, gdy był ministrem spraw wewnętrznych, mógł dużo zrobić, ale nie przeprowadził żadnej reformy i nad ministerstwem nie panował.

O polityce narodowościowej dyskutowałem przede wszystkim z takimi ludźmi jak Piotr Borkowski, który był wojewodą lwowskim, a później poznańskim, i odgrywał bardzo wielką rolę. Trochę rozmawiałem też z Niedziałkowskim. Moje stosunki z nim zaczęły się od tego, że miałem imiennika, Jerzego Juragę-Giedroycia, który był prekursorem ONR czy innych polskich faszystów i który ciągle robił awantury: wybijał szyby w „Kurierze Porannym” itp., za co mnie atakowano w prasie, ponieważ byłem wtedy prezesem „Patrii”. To doprowadzało mnie do furii, więc chodziłem po redakcjach, by prostować te pomówienia. Zaszedłem też do „Robotnika”, gdzie spotkałem się z Niedziałkowskim. I z tłumaczenia tych nieporozumień, co on bardzo przyzwoicie załatwił, wywiązała się znajomość.

Widywaliśmy się od czasu do czasu, rozmawiając głównie o sprawach ukraińskich czy mniejszościowych. Spotykaliśmy się bądź w „Robotniku”, bądź w kawiarni, raz czy dwa razy na miesiąc. Nasze spotkania ożywiły się bezpośrednio przed wojną, gdy pojawił się wysunięty przez Borkowskiego i Łosia projekt autonomii dla Małopolski Wschodniej w zakresie szerszym niż ten, jaki przysługiwał Śląskowi. Wyglądało to wcale nieźle. Ale gdy z tym projektem autonomii przyszedłem do Niedziałkowskiego, to powiedział mi, że PPS absolutnie na to nie pójdzie. A kiedy zwróciłem uwagę, że to jest przecież we własnych uchwałach PPS, odpowiedział, że polskie

związki zawodowe w żadnym przypadku tego nie zaakceptują. Uważał te związki za tak nacjonalistyczne, że coś takiego odrzuca.

Zapewne wiele rzeczy nas różniło z PPS, gdyż my reprezentowaliśmy wewnętrzną opozycję w obozie piłsudczykowski. Ale sprawą ukraińską staraliśmy się zainteresować wszystkie siły polityczne w Polsce. Stąd rozmowy z PPS. Stąd również bardzo trudne rozmowy z płk. Wendą, szefem Ozone, który początkowo był naszymu projektowi zdecydowanie przeciwny, ale którego w końcu udało się przekonać i zyskać jego aprobatę. Prowadziliśmy również rozmowy z Ukraińcami: z Mudryjem, który był wicemarszałkiem Sejmu, i z „Diło”.

Moje kontakty z Mudryjem i z UNDO, a przede wszystkim z „Diło” były dosyć bliskie, gdyż przyjaźniłem się z Kedrynem-Rudnickim, który był redaktorem naczelnym tego pisma; jego korespondent warszawski, Kotorowicz, był sprawozdawcą parlamentarnym „Polityki”. Z Rudnickim widywaliśmy się podczas moich pobytów we Lwowie albo w Sejmie, gdzie on spotykał się z ukraińską grupą parlamentarną. Również z Mudryjem spotykaliśmy się często. Zachowywał się on zresztą świetnie. Po klęsce wrześniowej, kiedy Sikorski tworzył Radę Narodową, pojawił się pomysł, by go do niej dokooptować; Mudryj zgodził się, ale nic z tego nie wyszło, gdyż rzecz została storpedowana przez Kota.

W sumie, w Polsce panowały bałagan i bezhołowie. Może przeczerziam obraz. Ale przecież natychmiast po klęsce wrześniowej wszyscy zdradzili albo się załamali. Attaché wojskowy w Bukareszcie, Zakrzewski, odmówił posłuszeństwa Stachiewiczowi i z miejsca postawił na Sikorskiego, a polecenia Stachiewicza nie były honorowane. „Jako oficer przestaje uznawać pana autorytet. Nasza klęska jest pana winą” — powiedział Stachiewiczowi ten człowiek mianowany przez niego

jako bardzo pewny. I tak było na wszystkich szczeblach. Przywołam zresztą na poparcie mojego zdania materiały komisji do zbadania przyczyn klęski wrześniowej — zamieszczone w „Zeszytach Historycznych” — których nie sposób czytać bez obrzydzenia.

Polacy — to okropny naród. Zapewne, każdy naród jest okropny. Ale Polacy odznaczają się szczególną słabością charakteru i nie wykształconą administracją. Również o Francji można wiele złego powiedzieć. Na szczęście dla niej, ma ona administrację, która nie uległa zmianom od czasów monarchii i jest kręgosłupem tego kraju. W Polsce takiej administracji nie było. Myśmy nie zdążyli jej ukształtować; nie poświęciliśmy zresztą temu zbyt wiele uwagi.

Szukałem alternatywy. Ludzi zdolnych prowadzić inną politykę. Stąd moja, krótkotrwała zresztą, stawka na Śmigłego, bezpośrednio po śmierci Piłsudskiego, a później stawka, równie krótkotrwała, na Sosnkowskiego. Polsce potrzebny był autorytet, który by umiał pewne decyzje narzucić i wprowadzić w życie. Może Beck był do tego zdolny, ale ja go nie znałem. Tak jak ja to widziałem, nie było nikogo, kto by miał koncepcję polityki wewnętrznej i zagranicznej, którą by się starał narzucić i realizować. Wiele osób uważało, że taką koncepcję ma, byli to jednak ludzie niepoważni. Wychodziło pismo „Zaczyn”, z którym współpracował bardzo miły Szczapa-Krzewski; pismo tym się odznaczało, że artykuły, zamiast nazwisk autorów, były podpisywane numerami. Takich prób było więcej, ale wszystko to nie różniło się zasadniczo od „Zadruży” Stachniuka z jego starosłowiańskimi pomysłami.

Prawica też była zupełnie rozbita. Między ONR-ABC a ONR-Falangą były istotne różnice. Walczyłem z tym obozem, choć z grupą ABC próbowałem znaleźć wspólny język i w wielu przypadkach mi się to udawało. Wasiutyński czy Wojciech Zaleski reprezentowali jednak stosunkowo niewiele.

Bolesława Piaseckiego widziałem tylko dwa razy w życiu i za każdym razem miałem wrażenie przeciętności. Raz spotkaliśmy się w związku z moim bratem, Henrykiem, który był wtedy w szóstej czy siódmej klasie gimnazjum im. Zamoyskiego i pewnego dnia zjawił się u mnie ze znaczkiem Falangi w klapie. Zrobiłem mu piekielną awanturę. On tłumaczył się tym, że w klasie go do tego namówiono i że to brat pana Piaseckiego mu ten znaczek wręczył.

Wtedy pojechałem do Piaseckiego i zrobiłem następną awanturę, żądając, by nie wtrącał się do moich spraw rodzinnych i nie uprawiał wobec mnie żadnych prób szantażu, bo było zupełnie wyraźne, że chodzi o pokazanie, iż brat Giedroycia jest oenerowcem. Piasecki lojalnie tej umowy dotrzymał. Po raz drugi rozmawialiśmy za sprawą Henryka Łubieńskiego. Rozmowa ta zostawiła mi wrażenie wyjątkowo mętne: perspektywy światowe, Polska, religia. Podczas tych dwóch rozmów nie miałem wrażenia kontaktu z wybitną indywidualnością i nie traktowałem Piaseckiego poważnie. Już po wojnie, ale też bardzo dawno, Piasecki zapytał, czy moglibyśmy się spotkać w Wiedniu. Odpowiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, by się spotkać i porozmawiać. Ale dalszego ciągu nie było.

Słowem, prawica była równie rozbita, co obóz piłsudczykowski. Po śmierci Piłsudskiego nie widziałem ani jednej osoby, która by uosabiała jakąś perspektywę dla Polski. Nie wyobrażałem sobie jednak, że znajdę się kiedyś w sytuacji emigranta. Wynikało to może z mojego nastawienia wobec życia. Jestem człowiekiem, który stara się walczyć do końca nawet wtedy, gdy sprawa jest przegrana. I nie znajduję czasu na jałowe roztrząsania. Zawsze też, co było moim nieszczęściem, interesowałem się tysiącem spraw, choć powinienem się skupić na dwóch lub trzech. Stąd ogromne rozproszenie, nad którym już dzisiaj nie panuję. Gdybym się bardziej sku-

pił na „Kulturze” i „Zeszytach Historycznych”, wyniki byłyby może lepsze.

Mówiąc o braku przemyślanej polityki państwa mam na myśli nie tylko politykę narodowościową. Również politykę społeczną i politykę rolną. Takie przerażające wypadki, jak bunt chłopów w Lesku, spowodowany pogłoską, iż Potoccy wykopują akta pańszczyźniane, świadczyły, że niewiele w tym zakresie zrobiono. Z tego brała się moja niechęć do tzw. państwowotwórczej roboty Gierata i „Siewu”, która w gruncie rzeczy wychowywała tylko oportunistów.

Było kilka osób w wojsku, do których miałem zaufanie, jak np. płk Kowalewski. Jego rola zaczęła się w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Był geniuszem w dziedzinie szyfrów. Nasze zwycięstwo w dużym stopniu zawdzięczamy temu, że Kowalewski umiał złamać szyfry sowieckie. Później był attaché w Moskwie, bardzo dobrze wiedział, co się tam dzieje, a gdy go odwołano do Kraju, został pierwszym organizatorem Ozonu. Z Ozonem mieliśmy raczej złe stosunki, ale z Kowalewskim łączyło nas zainteresowanie sprawami sowieckimi. W czasie wojny Kowalewski był naprzód w Rumunii, gdzie blisko współpracowaliśmy; został tam niecały rok i zorganizował komitet opieki społecznej, który, gdy wszystkie instytucje polskie uległy likwidacji, prowadził jako jedyny sprawy polskie i był partnerem do rozmów z Rumunami. Później Kowalewski był w Portugalii, gdzie zajmował się akcją kontynentalną.

Byliśmy przekonani, że Polska jest zagrożona. Mieliśmy w „Polityce” zebrania klubowe, na które zapraszało się rozmaite osobistości, w tym — oficerów, szefów biur wojskowych w ministerstwach, m.in. w moim Ministerstwie Przemysłu. Z tego, co mówili, wynikało, że praktycznie nie ma żadnych poważnych przygotowań do wojny. Przypominam sobie pewien dramatyczny epizod. Był właśnie płk Kowalewski, było

kilku innych wojskowych oraz Studnicki. Jeden z pułkowników mówił o przygotowaniach na wypadek wojny. Po wysłuchaniu go Studnicki powiedział: „Przecież jak będzie wojna, to musimy przegrać”. Zrobiła się martwa cisza pełna napięcia, które jakoś się jednak rozładowało. Ale ta martwa cisza utkwiała mi w pamięci.

„BUNT MŁODYCH”

W Myśli Mocarstwowej byłem prezesem Komitetu Wykonawczego oraz Zarządu Głównego Drużyn Ludowych Mocarstwowej Polski. Te drużyny wzięły się ze spotkania z Dzendzlem, najmłodszym sekretarzem Witosy, który pokłócił się ze wszystkimi swoimi kolegami z PSL i z którym nawiązały się bardzo sympatyczne kontakty. Młodzieżą rolniczą zajmował się Polakiewicz, wicemarszałek Sejmu. Dzendzel zerwał z nim, przejął jego organizację i zaproponował nam zajęcie się młodzieżą wiejską z położeniem nacisku na przysposobienie zawodowe. Bardzo mnie to zainteresowało i przez jakieś dwa lata zajmowałem się tym. Dało mi to sporo doświadczenia, ale rezultaty były raczej niewielkie, pomijając przysposobienie rolnicze, które miało pewne powodzenie. Moją rolą było zdobywanie na to środków, gdyż były to rzeczy kosztowne. Wziąłem też raz udział w dożynkach w Spale, które wyglądały w sposób wręcz humorystyczny, o czym już wspominałem. Zajmowałem się nadto w Myśli Mocarstwowej Legią Akademicką, która prowadziła przysposobienie wojskowe.

Prezesem Komitetu Wykonawczego Myśli Mocarstwowej zostałem z woli starszych panów, którzy mieli nad tym wszystkim protektorat. Byli wśród nich Bohdan Podoski, wicemarszałek Sejmu i twórca konstytucji kwietniowej, Roger Raczyński i Artur Potocki, bardzo sympatyczny pan, który, choć

interesował się polityką, ograniczał się tylko do finansowania Myśli Mocarstwowej.

Z Rowmundem Piłsudskim rozstałem się politycznie, gdy on zrobił wolte: zerwał z obozem neokonserwatywnym i chciał przejść do tzw. naprawczych, którzy wydawali pismo „Przełom” i byli lewicowym skrzydłem piłsudczyków. Bardzo ich nie lubilem. Toteż po przejściu Rowmunda do nich pokłóciliśmy się i wyszedłem z Myśli Mocarstwowej. Odtąd widywaliśmy się rzadko, głównie na gruncie służbowym, gdyż on również pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, w departamencie morskim.

Pomysł wydawania pisma pojawił się w okresie rozejścia z Rowmundem. Przedtem była „Civitas Academica”, którą wydawała grupa krakowska i którą zajmował się Konstanty Łubieński, choć nominalnie byłem jej redaktorem odpowiedzialnym. Była też „Myśl Mocarstwowa”, którą redagował w Poznaniu Konstanty Troczyński. Właściwym początkiem mojej działalności redaktorskiej był jednak „Dzień Akademicki”, tygodniowy dodatek do „Dnia Polskiego”, konserwatywnego dziennika, gdzie dano mi do dyspozycji dwie strony i nie wtrącano się do tego, co tam publikowałem.

Kiedy wycofałem się z działalności organizacyjnej w Myśli Mocarstwowej, zatrzymałem pismo, które przekształciło się w „Bunt Młodych”, pozostając nadal dodatkiem do „Dnia Polskiego”. Autorzy „Civitas Academica” i „Myśli Mocarstwowej” zaczęli wtedy pisywać do „Buntu Młodych”, który stał się pismem centralnym; lokalne inicjatywy zanikły. Moimi pierwszymi współpracownikami byli Zbyszek Jordan i Konstanty Troczyński, z którymi później rozstałem się. Jordan poszedł ostro na lewo i odnalazł się w lewicy ZPMD, a Troczyński, który był postacią bardzo ciekawą, siedział w Poznaniu, co powodowało trudności komunikacyjne; zresztą pisał mało.

Nazwę „Bunt Młodych”, która zastąpiła „Dzień Akademic-

ki", wymyślił mój przyjaciel Janek Popławski, który wziął ją z tytułu artykułu Rowmunda Piłsudskiego ogłoszonego nieco wcześniej. Janek został później administratorem „Buntu Młodych” i bardzo mi pomógł. Był to dziwny nieudacznik z pokolenia wychowanego jeszcze w Rosji; wrócił do Polski po rewolucji i reprezentował mieszaninę poglądów monarchistycznych z anarchizmem. Jego ojciec był znanym w Petersburgu lekarzem i kolekcjonerem. Udało mu się przez Komisję Likwidacyjną powstałą po wojnie polsko-bolszewickiej wywieźć bardzo cenne zbiory, które potem ofiarował Muzeum Narodowemu w Warszawie.

W ministerstwie fakt wydawania przeze mnie pisma pod nazwą „Bunt Młodych” nie wywołał szczególnych komentarzy. Ponieważ jednak początkowo podpisywałem pismo, zwrócono mi uwagę, że lepiej, by miało ono redaktora odpowiedzialnego. Zgodziłem się z tym i rolę tę wziął na siebie Tadzio Zajączkowski, sekretarz Adama Skwarczyńskiego. Była to sytuacja typowo polska, gdzie zasadnicze znaczenie miały stosunki i znajomości. Byłem w opozycji, byłem bliski ustanowienia rekordu rozmaitych konfiskat, niemniej jednak należałem do obozu rządowego, choć znajdowałem się na jego marginesie.

Gdy usamodzielniliśmy się jako pismo, rozstaliśmy się z „Dniem Polskim”. Nasza sytuacja materialna była trudna, ale raz jeszcze uratowało nas szczęście i znajomości. Roger Raczyński był zaprzyjaźniony z Żychlińskim, prezesem najbogatszej chyba instytucji w Polsce: Związku Cukrowników Poznańskich. Żychliński, właściciel drukarni Mazowieckiej w Warszawie, dał nam półroczny kredyt, który był właściwie podarunkiem. Ułatwiło nam to życie tak, że byłem nawet w stanie płacić honoraria. Po pół roku zaczęliśmy stawać na nogi, gdyż pismo przynosiło skromny, bo skromny, ale dochód.

Poza maszynistką i gońcem nikogo nie zatrudniałem. I Maja Prądyńska, która była sekretarzem redakcji, i ja mieliśmy naszą pracę zawodową. Lokal dostałem od magistratu za symboliczną opłatą, też dzięki znajomościom, gdyż jeden z moich kolegów korporacyjnych był dygnitarzem w magistracie. Nakład wynosił pięć do sześciu tysięcy i to się rozchodziło; zwroty były nieduże. Przeżyliśmy trudny okres, gdy byłem w wojnie z Miedzińskim, któremu nie podobala się nasza linia polityczna, wobec czego „Ruch”, który miał monopol kolportażu, przestał nas rozprowadzać. Skończyło się to kompromisem. Szefem biura prasowego Rady Ministrów został Tadeusz Świąciecki, z którym się przyjaźniłem, i sprawę dało się załatwić.

Janek Popławski odszedł z „Buntu Młodych” ze względów zdrowotnych. Miał też jakieś kłopoty rodzinne. Udało się go wtedy wysłać na Bliski Wschód jako korespondenta PAT-a, co było właściwie przykrywką dla jego działalności jako agenta Drugiego Oddziału. Załatwiłem to przez Niezbrzyckiego. Mówiło się wtedy dużo o możliwej wojnie polsko-sowieckiej, czemu towarzyszyło wielkie zainteresowanie Bliskim i Środkowym Wschodem. Sam Niezbrzycki jeździł kilkakrotnie do Persji, gdzie była jakaś placówka, i Iraku, i szło o to, by stworzyć coś w Libanie; tam właśnie posłano Popławskiego. Wrócił stamtąd ciężko chory na płuca; zachowałem z nim tylko kontakty osobiste. W „Buncie Młodych” już nie pracował.

Gdy Popławski odszedł, jego funkcję przejęła Maja Prądyńska. Poznałem ją, gdyż była bardzo związana z Adamem Skwarczyńskim; jej siostra była jego żoną, a ona mu przez jakiś czas sekretarzowała i, jak sądzę, z jego inicjatywy była m.in. współzałożycielką Legionu Młodych. Zetknąłem się z nią chyba przy okazji dożynek. Skwarczyńskiego interesowała moja ocena tych uroczystości, więc mnie zaprosił; w spotkaniu uczestniczyła Maja Prądyńska i wtedyśmy się poznali.

Wyrośla z tego bliższa znajomość i przyjaźń, której następstwem było, że Maja zaczęła pracować w „Buncie Młodych”. Jej rola w nim jest nie do przecenienia. Była to Zosia Hertz „Buntu Młodych”. Bez niej po prostu nie dałbym sobie rady. Maja po śmierci Skwarczyńskiego była sekretarką Kajetana Morawskiego jako wiceministra skarbu. Było to bardzo pomocne, gdyż pozwalało załatwiać wiele spraw.

Codziennie po godzinach biurowych Maja była w „Buncie Młodych”. Cała robota techniczna, łącznie z prowadzeniem rachunków, była na jej głowie. Ja kończyłem pracę w ministerstwie gdzieś koło czwartej lub piątej i wtedy szedłem do redakcji. A ponieważ zawsze byłem nocnym markiem, siedziałem więc tam przeważnie do jedenastej-dwunastej. Czytałem materiały i robiłem numer.

Maja miała bardzo rozbudowane kontakty i duży talent łagodzenia konfliktów: umiała skupiać ludzi i łagodzić kany, co stało się szczególnie ważne, gdy zaczęliśmy organizować wieczory klubowe „Polityki”, gdzie dyskutowano o sprawach niekiedy bardzo drażliwych w gronie osób, których poglądy często były najzupełniej rozbieżne. Mieliśmy bardzo duży lokal i w naszych wieczorach uczestniczyło od czterdziestu do sześćdziesięciu osób. Bywali tam zarówno Stanisław Grabski, jak Studnicki, a poza tym dziennikarze, sporo wojskowych, jacyś Ukraińcy, trochę posłów, głównie z Jutra Pracy Jana Hoppego, z którym łączyły nas niezbyt bliskie, ale poprawne stosunki, i który niekiedy sam przychodził. Przychodziło też trochę członków ONR-ABC: Wojciech Zaleski, Bajkowski, Janek Pożaryski.

Maja organizowała te wieczory: przeważnie raz na tydzień, rozsyłała zawiadomienia i pełniła honory domu. Liczyłem się też z jej zdaniem w sprawach redakcyjnych, do których miała — jak Zosia — podejście zdroworozsądkowe, często słuszne. Ale szczególnie cenne były jej kontakty piłsudczykowskie. Przez

nią poznałem bliżej pułkownika Wendę, który był szefem sztabu Ozonu i który był zawsze blisko związany ze Śmigłym, jeszcze z czasów wojny bolszewickiej. Przez nią poznałem też generała Stanisława Skwarczyńskiego, szefa Ozonu.

Po wybuchu wojny Maja znalazła się w Rumunii, skąd wyjechała do Francji, gdzie Stroński wziął ją do Ministerstwa Informacji. Było to z jego strony posunięcie tym ładniejsze, że po ogłoszeniu przez „Politykę” artykułu Leona Kozłowskiego o masonerii Stroński wytoczył nam proces, który przegraliśmy. Kiedy Sikorski, bodaj osobiście, interweniował u Strońskiego, by usunął ze swojego resortu osobę o tak sanacyjnych powiązaniach jak Maja, Stroński odmówił i zatrzymał ją w ministerstwie aż do końca. Po wojnie przeniosła się do Kanady.

Członkowie zespołu „Buntu Młodych” mieszkali w różnych miastach. W Warszawie byli stale Stanisław Skwarczyński, Miś Pruszyński, Studentowicz, a wiele osób przyjeżdżało; Adzio Bocheński był bardzo często. Zebrali redakcyjnych prawie nie było. Nie umiem tak pracować. Wolę załatwiać sprawy indywidualnie czy w małym gronie. Linię redakcyjną pisma ustalałem ja. I ja podejmowałem decyzje. Nie znaczy to, że nie hamletyzuję. Ale czynię to wyłącznie na własny użytek. Nadto zaś jestem podobny do tego faraona, który kazał sobie wypisać na piramidzie, że jego jedyną zasługą była umiejętność otaczania się ludźmi inteligentniejszymi od siebie.

Dla mnie autorytetem w sprawach mniejszości był Stanisław Swianiewicz. Autorytetem był Adzio Bocheński, zwłaszcza gdy chodziło o politykę zagraniczną. W pewnym okresie ważną rolę odgrywał Miś Pruszyński, który wbrew swym kapitalistycznym powiązaniom — pracował w „Lewiatanie” — był nastawiony bardzo radykalnie; jego reportaże z Zagłębia były konfiskowane i wywołały ogromne poruszenie. Był okres, gdy oskarżano nas o kryptokomunizm, gdyż Miś pojechał do Zagłębia, dotarł do bezrobotnych i uczciwie opisał

to, co widział. W dziedzinie ekonomii autorytetem był niewątpliwie Studentowicz.

Zatwierdzanie artykułów do druku należało, rzecz jasna, do mnie. Niekiedy radziłem się kogoś innego, zależnie od tematu artykułu. Kilkakrotnie odbyły się np. dyskusje z Adziem Bocheńskim na tematy niemieckie, gdyż on w pewnych sprawach szedł za daleko, był pod zbyt wielkim wpływem Studnickiego. Na ten temat były między nami spory. Adzio opowiadał się za ścisłą współpracą Polski z Niemcami, ja zaś podzielałem raczej pogląd Swianiewicza, który uważał tę współpracę za konieczną, ale uważał też, że nie powinna iść za daleko. Ale w stanowisku Adzia, jak zresztą w stanowisku Studnickiego, nie było żadnych sympatii pronazistowskich. W czasie okupacji Studnicki zachował się z wielką godnością, a jego memoriał z grudnia 1939 r., którego kopię przesłał mi do Bukaresztu, rezygnował wprawdzie z korytarza, ale domagał się dla Polski całkowitej niezależności. W dziedzinie polityki wewnętrznej miałem burzliwe dyskusje z Adziem na temat Brześcia, gdyż on nie podzielał mojego poglądu, że internowanie posłów Centrolewu było konieczne.

Działem kulturalnym kierował w „Buncie Młodych” Czesław Straszewicz, który pracował zarazem w „Prosto z mostu” Stanisława Piaseckiego. Ja z „Prosto z mostu” żadnych kontaktów nie miałem. Stanisława Piaseckiego widziałem tylko parokrotnie. Związki „Buntu Młodych” z jego pismem wynikały po prostu z układów personalnych. Było kilka osób: Paweł Zdziechowski, Żejmo Żejmis, Anatol Listowski — cała taka paczka. Poznałem ich przez Myśl Mocarstwową, o którą się ocierali. Przez nich z kolei poznałem Straszewicza, który bardzo mi przypadł do serca i z którym szybko nawiązała się współpraca. Jego najbliższym przyjacielem był Bolesław Mi-ciński. Straszewicza nie interesowała polityka. Był skupiony na sprawach kultury. Podobał mi się w nim zwłaszcza jego

bardzo swoisty humor. Zarazem Straszewicz miał zasady moralne, którym dawał wyraz w swym postępowaniu: poszedł do wojska i zawsze uważał, że musi poświęcić swoje sprawy osobiste, gdy wymagają tego przyzwoitość czy patriotyzm. Pod tym względem wyróżniał się na tle naszych pisarzy.

Wśród pisarzy przyciągaliśmy tych zwłaszcza, którzy nie czuli sympatii do „Wiadomości Literackich”. Był wśród nich Jerzy Andrzejewski, z którym moje kontakty były nie najlepsze; nie mieliśmy żadnych starć, ale po prostu nie odpowiadaliśmy sobie. Niezbyt udany był też kontakt ze Stefanem Napierskim, choć przez jakiś czas miał on nawet autonomiczną stronę literacką w „Polityce”. Brakowało mu wtedy trybuny, gdyż jego pismo — nazwy nie pamiętam — zostało zamknięte. Szukał miejsca, gdzie by mógł wypowiadać się i lansować swoich autorów, i zwrócił się z tym do mnie.

Stało na tym, że jego strona będzie całkiem autonomiczna i przez niego w pełni finansowana: płacił on wszystkie honoraria i dobierał współpracowników wedle swego gustu. Drukował np. wiersze Czesława Miłosza, którego wtedy zupełnie nie znałem. Trwało to niecały rok. Rozstaliśmy się bez żadnego szczególnego powodu. Chyba dlatego tylko, że Napierski był strasznym dziwakiem. Lepiej ułożyło się z Teodorem Parnickim, któremu załatwiłem nawet przed wojną stypendium na wyjazd na Bałkany, gdzie chciał zbierać materiały do nowej książki. Ale w przeddzień wojny wrócił do Polski.

Wyznaczniem linii politycznej „Buntu Młodych”, zarówno pisma, jak całej grupy, która się wokół niego skupiała, było nastawienie państwowe. Rzeczą zasadniczą było dla mnie wtedy wzmocnienie władzy państwowej; z tego wynikał na przykład mój stosunek do Brześcia. Ważny też był nacisk, jaki kładliśmy na sprawę mniejszościowe, i pewien radykalizm społeczny, raczej umiarkowany; w większym stopniu tenden-

cje te reprezentował Zbigniew Jordan, z którym rozstaliśmy się, gdy przeszedł do lewego skrzydła Młodzieży Demokratycznej. Ponownie nawiązałem z nim współpracę dopiero w czasie wojny. Nie uważam jednak stanowiska „Buntu Młodych” za konserwatywne; dotyczyć by to mogło wyłącznie Adzia Bocheńskiego, który rzeczywiście podkreślał swój konserwyzm. Ale inni współpracownicy pisma, ze mną włącznie, bynajmniej się do konserwyzmu nie poczuli. Nie zgadzam się z oceną Marcina Króla, który widzi w „Buncie Młodych” sztandarowy organ nurtu konserwatywnego w okresie międzywojennym. Bierze się to stąd, że oparł się on tylko na kilku numerach i nazbyt wybił rolę Borkowskiego, którego bardzo ceniłem i z którym współpracowałem, ale który bynajmniej nie odgrywał roli wiodącej. Jeśli był on dla mnie guru, z którego zdaniem bardzo się liczyłem, to wyłącznie w sprawach narodowościowych.

Dla mnie cały ruch konserwatywny był ruchem nie bardzo poważnym. Grupa, która nazywała się grupą zachowawczą, miała na czele Bobrzyńskiego — syna wielkiego historyka — który był, prawdę mówiąc, osobnikiem dość tępy. Wielowieyskiego uważałem za postać nieco śmieszną. Zdzisława Lubomirskiego bardzo lubiłem; był to człowiek sympatyczny, ale nic więcej. Jediną osobistością, obdarzoną autorytetem i którą rzeczywiście szanowałem, był w tym środowisku Janusz Radziwiłł: miał wyrobione poglądy w każdej dziedzinie, zarówno gdy szło o politykę zagraniczną, jak o sprawy gospodarcze, i wielką inteligencję. Ja uważałem się za pilsudczyka, za marginesowego pilsudczyka. Pewnym autorytetem był dla mnie Sławek. Był nim też Prystor, którego rola jest w Polsce nie doceniana, choć była to postać bardzo wybitna.

Nazwę „Bunt Młodych” zmieniliśmy na „Polityka”, bo uważaliśmy, że przestajemy być młodymi. Zresztą miałem wtedy projekty szerszej działalności politycznej: liczyłem na stworze-

nie klubu parlamentarnego. Nie chcieliśmy tworzyć partii, ale zamierzaliśmy wystawić kandydatów na posłów. Poza Studentowiczem, Aleksandrem Bocheńskim i Józefem Winiewiczem mieli to być Swianiewicz, Poczobutt-Odlanicki, Stanisław Skwarczyński i Seweryn Wysłouch, socjolog zajmujący się problematyką mniejszości narodowych — wszyscy z Wilna. Swianiewicz rzadko pisywał w „Buncie Młodych”, ale odgrywał w naszym środowisku ważną rolę jako animator Instytutu Badań Europy Wschodniej w Wilnie i znawca problematyki białoruskiej, i ogólnie — mniejszości narodowych, oraz gospodarki niemieckiej. Brał udział w naszych zebraniach klubowych i stale dostarczał rozmaitych opracowań i materiałów.

Nasze projekty nie ograniczały się tylko do utworzenia klubu parlamentarnego. Myślałem o przekształceniu „Polityki” w dziennik, a ponieważ chciałem być jego redaktorem, zamierzałem odejść z ministerstwa. Utworzenie dziennika było dość realne, gdyż drukarnia Mazowiecka obiecała udzielić nam rocznego kredytu. Redakcja nie była jeszcze skompletowana, ale rzecz była całkiem możliwa i na tyle zaawansowana, że miałem nadzieję uruchomić dziennik już w 1940 r.

Stanowisko polityczne środowiska „Buntu Młodych” zostało wyłożone w broszurze *Polska idea imperialna* (Warszawa, Wydawnictwo „Polityki”, 1938). Napisał ją komitet, do którego wchodził Adolf i Aleksander Bocheńscy, Stanisław Skwarczyński i Kazimierz Studentowicz; ja napisałem tylko zupełnie formalną notę wstępną. Podkreślano tam potrzebę władzy państwowej silnej, niezależnej od wahań opinii publicznej, zwłaszcza we wszystkim, co dotyczy polityki zagranicznej i wojska, a zarazem bezwzględnie przestrzegającej zasad praworządności. W polityce zagranicznej, o której pisał Adzio Bocheński, wysuwano jako cel główny niedopuszczenie do porozumienia Niemiec ze Związkiem Sowieckim, z czego wynikała konieczność zbliżenia z Niemcami. W sprawach

narodowościowych, które były dziedzina Ȧla Bocheńskiego, sprzeciwiano się represjom wobec mniejszości i polityce polonizacyjnej, postulując szeroko pojmowaną autonomię dla Małopolski.

Sprawy gospodarcze wreszcie omawiali Studentowicz i Skwarczyński, którego interesowała głównie problematyka wsi i rolnictwa. Patrzył na to bardzo trzeźwo. Jako rozwiązanie problemów wsi proponował gospodarkę farmerską i walkę z przeludnieniem przez uprzemysłowienie Polski; reforma rolna niczego nie załatwiała, gdyż ziemi było po prostu za mało. Uprzemysłowienie było jedynym sposobem na odciążenie ze wsi kilkumilionowej rzeszy bezrolnych czy małorolnych. Krytyka polityki Kwiatkowskiego przez Studentowicza brała się stąd, że była ona jego zdaniem nazbyt klasyczna. Kwiatkowski stale obawiał się inflacji, utrzymywał za wszelką cenę wysoki kurs złotego, traktował jako rezerwę Banku Polskiego wyłącznie złoto, nie uwzględniając np. dewiz. Z tych względów hamował też rozwój przemysłu zbrojeniowego. Co do nas, uważaliśmy, że należy bardziej rozbudowywać przemysł zbrojeniowy, gdyż nasza ocena stopnia zagrożenia Polski była od początku bardzo pesymistyczna. Słowem, byliśmy zdania, że trzeba zerwać z klasyczną doktryną monetarną i przyspieszyć uprzemysłowienie oraz zbrojenia.

Jest jeden rozdział *Polskiej idei imperialnej*, którego sformułowania są dziś nie do obrony. Dotyczy on kwestii żydowskiej i został napisany przez Kazimierza Studentowicza. Ale wtedy te sformułowania nikogo z nas nie raziły. Byliśmy przekonani, że istnieje w Polsce problem żydowski, który jest problemem getta i którego nie da się rozwiązać w trybie asymilacji. Ponieważ zaś Żydzi byli rozrzućeni po całym kraju, nie można było domagać się dla nich autonomii, jak dla Ukra-

inóć. Za jedyne rozwiązanie uważaliśmy zatem masową emigrację Żydów z Polski do Palestyny. Stąd moje kontakty z Żabotyńskim, które skądinąd budziły wiele zastrzeżeń w różnych kołach, w tym — żydowskich.

Emigracja bowiem była bardzo trudna. Emigracja do Austrii i Niemiec, dość masowa przed pierwszą wojną światową, skończyła się, a Stany Zjednoczone były przeciwne imigracji Żydów. W 1939 roku byłem razem z min. Romanem w Nowym Jorku. Galanteria skórzana w Polsce była w rękach Żydów. Eksport w tym zakresie szybko rósł po opanowaniu przez Niemcy Austrii i Czech, które w tej dziedzinie przedtem dominowały, i szło o to, by uzyskać na rozwój tego rzemiosła jakieś większe kredyty żydowskie. Podczas pobytu w Stanach Antoni Roman i Tadeusz Łychowski, naczelnik wydziału w ministerstwie i znany ekonomista, prowadzili rozmowy na ten temat z Jointem. W wyniku tych rozmów, skądinąd bardzo nieprzyjemnych, Joint obiecał dać na ten cel 10 czy 15 milionów dolarów. Ale pod jednym warunkiem: rząd polski miał nie dopuścić do emigracji Żydów do Stanów Zjednoczonych. Na zaskoczenie Romana i Łychowskiego nasi rozmówcy odpowiedzieli, że „Żydzi kapotowi” pobudzają tylko antysemityzm w Stanach Zjednoczonych, czemu oni chcą przeciwdziałać. Toteż mogą udzielić pomocy jedynie pod wspomnianym warunkiem.

W tym stanie rzeczy nie było, naszym zdaniem, innego wyjścia, jak popieranie koncepcji państwa Izrael, czyli masowej emigracji Żydów z Polski do Palestyny. Ale rozdział o sprawie żydowskiej w *Polskiej idei imperialnej* szedł, niestety, o wiele dalej. Był napisany językiem, który dziś wydaje się wręcz rasistowski, choć w swoim czasie różnił się od języka rasistów. I proponował prawną dyskryminację ludności żydowskiej w Polsce, by zmusić ją do emigracji. Przy czym au-

tor borykał się ze sprzecznościami, wobec których był bezradny, bo światopogląd katolicki, co przypominał z aprobatą, zabraniał prześladowania Żydów, a poza tym zależało mu na wyjątkowym traktowaniu Żydów poczuwających się do polskości i związanych z kulturą polską.

Sprzeczności te były udziałem nas wszystkich. Choć, o czym już wspominałem, nasze stosunki z Ozonem nie były dobre, ulegaliśmy w jakiejś mierze nastrojom panującym w obozie rządowym, który w deklaracji Ozonu, jak to określił mój przyjaciel Bernard Singer, „zetatyzował antysemityzm”. A zarazem każdy z nas miał przyjaciół Żydów. Co więcej, z wyjątkiem Studentowicza, odrzucaliśmy antysemityzm, jak zresztą całą ideologię endecką. Toteż było wielu Żydów współpracowników „Buntu Młodych”. Jednym z nich, bardzo często obecnym w piśmie, był Ignacy Reisler, którego poznałem przez Piotra Borkowskiego i z którym wiele widywałem się we Lwowie; po wojnie, jako Jerzy Sawicki, był on oskarżycielem z ramienia Polski w Norymberdze, a później — prokuratorem. Kontakt ze mną nawiązał po wojnie dość późno.

Zresztą, choć napisałem notę wstępną do *Polskiej idei imperialnej*, pod całością wyłożonych tam poglądów nie mógłbym się raczej podpisać. Bardzo w niej mocne akcenty katolickie nie odpowiadały bynajmniej moim przekonaniom. Traktowałem katolicyzm głównie w kategoriach politycznych. Dla mnie w *Polskiej idei imperialnej* najważniejsze były sprawy ustrojowe i sprawy mniejszościowe, zwłaszcza sprawa ukraińska. Rozdziały temu poświęcone w pełni wyrażały moje stanowisko. Inne rzeczy bądź interesowały mnie mniej, bądź czułem się wobec poruszanych problemów zupełnie bezradny, jak właśnie wobec problemu żydowskiego. Tak że Studentowicz mógł odgrywać decydującą rolę w określeniu naszego stanowiska wobec sprawy żydowskiej i w bardzo mocnym akcentowaniu katolicyzmu.

LUDZIE „BUNTU MŁODYCH”

Niewiele było przed wojną — o ile w ogóle były — środowisk, których członkowie odegrali po wojnie, gdy uległy one rozproszeniu, tak wielką i tak różnorodną rolę, jak członkowie środowiska „Buntu Młodych”. Byli wszędzie: w Kraju i na emigracji, w służbie PRL i po stronie jej przeciwników, wśród autorów i współpracowników Instytutu Literackiego i wśród jego nieprzejeźdźnianych niekiedy wrogów. Przy czym niemal każdy z nich wniósł jakiś wkład, często znaczący, do historii Polski, a zwłaszcza — do historii kultury polskiej.

Środowisko „Buntu Młodych” skleiło się z grup skupionych wokół rozmaitych pism. W Krakowie wychodziło pismo, gdzie pisywali Pruszyńscy i Łubieński, którzy przyszli do nas. Doszli Bocheńscy. Kontakty zawierały się w świecie akademickim, głównie przez Mieczysława Pruszyńskiego i przez Konstantego Łubieńskiego, których znałem już przedtem z gruntu towarzyskiego. Przez Mieczysława Pruszyńskiego poznałem jego brata, Ksawerego. Bocheńskich poznałem przez Pruszyńskich, ale Adzia — głównie przez Stanisława Cata-Mackiewicza, którego poznałem w Sejmie. Cat wtedy adiutantował Sławkowi i był członkiem Komisji Konstytucyjnej. Mieliśmy przyjazne stosunki, a poza tym było kilka osób z jego redakcji, takich jak Wyszomirski i Charkiewicz, które mnie interesowały.

Kontakt ze Studentowiczem z kolei nawiązał się na terenie ministerialnym. On wtedy był w Banku Gospodarstwa Krajowego i spotkałem go na jakiejś konferencji w ministerstwie. Był to okres, gdy jeszcze zajmowałem się trochę sprawami rolniczymi i wiejskimi, a on był w takiej sympatycznej, ale słabej organizacji, która skupiała inteligencję pochodzenia chłopskiego i próbowała coś robić dla odrodzenia wsi. Stu-

dentowicz bardzo mi się spodobał. Był to człowiek bardzo bojowy, doskonały ekonomista, bardzo odważny i dużo ryzykujący; jego wojna z Kwiatkowskim była imponująca. Jeśli idzie o sprawy gospodarcze, miał on całkowitą słuszność, co przyznaję tym łatwiej, że politycznie rozstaliśmy się jeszcze przed wojną. Nasze rozejście się wtedy nie było zupełnym zerwaniem. Chciałem go umieścić na liście, którą zamierzaliśmy wystawić w 1940 roku w wyborach do parlamentu.

Jego artykuł o Adamie Doboszyńskim zamieściłem trochę z przekory, trochę dla sensacji; Doboszyńskiego zresztą znałem przelotnie z pracy w wydziale zagranicznym Polskiego Związku Akademickiego, gdyż był bardzo czynny na Politechnice Gdańskiej.

Wśród czołowych autorów „Buntu Młodych” znajdowali się bracia Pruszyńscy. O reportażach Mieczysława już wspominałem. Trudniej układała się współpraca z Ksawerym, co w końcu doprowadziło do konfliktu. Zarysował się on na tle nieprzyjemnych cech ambicjonalnych Ksawerego Pruszyńskiego. Jechałem przez Lwów na wakacje do Rumunii. Borkowski, u którego zatrzymałem się jak zwykle, skontaktował mnie z małopolskim potentatem, bodaj w dziedzinie drożdży, panem Liebermannem, skłonny bezinteresownie finansować „Politykę”, gdyż pismo bardzo mu odpowiadało. Propozycję przyjąłem z zachwytem i pojechałem na wakacje. Gdy wróciłem do Warszawy, zjawił się u mnie Adzio Bocheński, bardzo zażenowany, i powiedział: „Wiem, że to nie jest w porządku, ale jestem bardzo zaprzyjaźniony z Ksawerym Pruszyńskim, a Pruszyński doszedł do porozumienia z panem Liebermannem i zakładamy pismo. Bardzo mi przykro, ale pójdę z Pruszyńskim”. Pismo istotnie zostało założone. Nazywało się „Problemy” i przestało wychodzić po wydaniu kilku numerów. Co nie przeszkodziło potem Ksaweremu pisywać regularnie w „Polityce” jako Grabiec (teksty te zostały staran-

nie pominięte w wyborze jego publicystyki, który ukazał się w Warszawie po wojnie).

Cała sprawa miała charakter czysto osobisty. Nie było między nami żadnych rozbieżności ideowych. Zresztą Ksawery, pomijając kwestie zasadnicze, własnych poglądów politycznych nigdy nie miał. Był jak błona fotograficzna. Weźmy Hiszpanię. Ksawery jechał do Franco, ale przez pomyłkę trafił do republikanów. Gdyby nie to, napisałby nie *W czerwonej Hiszpanii*, ale *W białej Hiszpanii*. Miał bardzo piękną kartę w kampanii norweskiej i w kampanii francuskiej. Po klęsce przeprowadził swój pluton przez całą Francję aż do Marsylii. Miał tam sierżanta o nazwisku z *Popiołów*, co bardzo mu imponowało. Ale kiedy dotarli do Marsylii, przestał się nim w ogóle interesować. Inna sprawa: Ksawery, Miś i Adzio, pod wrażeniem klęski Francji, byli nastawieni nieprzychylnie do Sikorskiego; postanowili zatem, że pojadą z Marsylii nie do Londynu, ale na Środkowy Wschód, do Brygady Karpackiej, i zaczęli szukać transportu. Pewnego dnia Ksawery dostał depeszę od Sikorskiego wzywającą go do Londynu. I bez żadnych wyjaśnień, nie pożegnawszy się z bratem, ruszył przez góry do Hiszpanii.

Wśród czołowych autorów „Buntu Młodych” jedno z pierwszych miejsc zajmował też Adolf Bocheński, człowiek kolo-salnej erudycji i wielkiej bezkompromisowości. Na tym tle były między nami znaczne różnice, gdyż u mnie taktyka odgrywała dużą rolę. Dlatego też kłóciliśmy się o stosunek i do Brześcia, i do Berezy. Adzio postanowił udać się do Berezy i dać się tam zamknąć w obronie Mackiewicza; z trudem go od tego odwołem. Marzył o karierze dyplomatycznej. Załatwiłem mu praktykę konsularną naprzód w Kijowie, a potem w Pradze czeskiej. Ale on miał stosunek krytyczny do Becka, nawet nie wiem dlaczego.

Gdy miała wyjść jego książka *Między Niemcami a Rosją*,

miałem nadzieję, ponieważ byłem w dobrych stosunkach z Wiktorem Skińskim, inteligentnym dziennikarzem, który prowadził wydział prasowy MSZ, że dostanę dotację na jej wydanie. Gdy Adzio się o tym dowiedział, zabronił mi tych starań, oświadczając, że jeśli MSZ da mi choćby pięć złotych, to on wycofa książkę. Uważał, że nie może być dotowana przez nikogo, gdyż to by go do czegoś zobowiązywało. A on nie chciał wiązać się i podpisywać się bezkrytycznie pod polityką MSZ.

Dla Adzia sprawą zasadniczą była zgodność słów i czynów. Gdy jego koncepcja współpracy z Niemcami przegrała, poszedł do wojska i dał dowody legendarnej odwagi. Był zbyt religijny, by popełnić samobójstwo, ale szukał śmierci. Po Monte Cassino zainteresowała mnie działalność korpusu francuskiego generała Juin. Aby nawiązać bliższe stosunki z Francuzami, zaproponowałem Andersowi zrobienie z Adzia oficera łącznikowego. Anders się do tego bardzo zapalił, ale Adzio kategorycznie odmówił. Przedtem, po wylądowaniu tam aliantów, proponowano mu zresztą wysłanie do Afryki Północnej jako oficera łącznikowego. Mogło to być wstępem do wymarzonej przezeń kariery dyplomatycznej, tym bardziej, że ambasadorem przy gen. de Gaulle'u był tam Kajetan Morawski, którego Adzio bardzo cenił. Ale i w tym przypadku odmówił.

Adzio w wojsku był kimś, kogo się określa mianem łama-gi: źle się ubierał, nie umiał zapiąć sobie spinaczy. Ale miał ogromną popularność, bo potrafił wstać godzinę przed wszystkimi i zrobić coś dla innych albo przyjąć wartę poza kolejką w niewygodnych godzinach. Był niezwykle uczynny i bezinteresowny. Wyrażała się w tym chyba jego religijność. Kiedyś, kiedy był w Rzymie, rozmawialiśmy w trójkę, ojciec Bocheński, Adzio i ja. Adzio bardzo ostro atakował ojca Bocheńskiego: „Bo ty nie masz poczucia miłości” wołał. Było to bardzo trafne, ale zarazem bardzo charakterystyczne dla Adzia.

W „Buncie Młodych” należała do niego polityka zagraniczna i sprawy historyczne. Interesował się m.in. ekonomią, ale to, co pisał na te tematy, to była zupełna abrakadabra. Nie zniechęcało go to, że jego artykuły ekonomiczne stale odrzucałem.

Utkwiło mi w pamięci kilka rozmów z nim z gatunku tych, które Witkacy określiłby jako „rozmowy istotne”. Jedna odbyła się, gdy Ksawery Pruszyński zrobił rozłam i założył „Problemy”; wspominałem już o niej. Ale ta ciężka przecież rozmowa nie wpłynęła w żadnym stopniu na nasze stosunki osobiste. Mieliśmy też dwie czy trzy ważne rozmowy podczas wojny, we Włoszech. Dotyczyły one przyszłości Polski. Byliśmy zgodni co do konieczności normalizacji stosunków z Niemcami. Uważaliśmy, co zresztą stwierdzał przedostatni numer „Polityki”, wydany w sierpniu 1939 roku, że prowadziemy wojnę z hitleryzmem, a nie z Niemcami. Było to wprawdzie oficjalne stanowisko aliantów, ale nie było to stanowisko polskie. W kołach polskich panował pogląd, że prowadzimy wojnę z Niemcami.

W sprawach społecznych Adzio miał bardzo słabe wyczucie i tu dochodziło między nami do ostrych dyskusji, gdyż ja byłem bardzo radykalny. Chciałem tego, co się dziś nazywa państwem dobrobytu czy sprawiedliwości społecznej. Byłem raczej na pozycjach socjaldemokratycznych, podczas gdy Adzio zajmował stanowisko konserwatywne, bez cudzysłów. Chociaż sprawy społeczne mało go interesowały, bardzo zależało mu na utrzymaniu roli arystokracji czy wielkich posiadłości. „Przecież nie będziesz parcelować Radziwiłła” — mówił. A ja byłem skłonny parcelować Radziwiłła bez żadnych wahań.

Bardzo różnił nas również stosunek do Rosji, której Adzio nie znał i nie lubił. Zarzucał Czapskiemu i mnie, że jesteśmy pod zbyt wielkim wpływem Rosji i języka rosyjskiego, co on,

jako Europejczyk, uważał za zupełnie niezrozumiałe. Nie było to tak skrajne jak u Wacka Zbyszewskiego, ale jego nastawienie było pełne nieufności i niechęci wobec Rosji. Były to zresztą rozmowy dość abstrakcyjne, bardziej historiozoficzne niż polityczne.

Olo Bocheński, brat Adzia, odgrywał w „Buncie Młodych” bardzo ważną rolę, zwłaszcza w sprawach ukraińskich, w których był naszym rzecznikiem. Mieliśmy całkowicie zgodne poglądy na ten temat. Był on zresztą powodem mego niedosłego zesłania do Berezy jako autor artykułu *Kirow a Pieracki*. Tytuł sugerował, że zabójstwo Pierackiego było wynikiem polityki wobec Ukraińców, a przede wszystkim — prowokacją polskich służb specjalnych. Ale zasadnicza teza Bocheńskiego, nie do przyjęcia dla obozu pilsudczyków, głosiła, że represje zawsze powodują takie reakcje i że do niczego nie prowadzą. Myśmy uważali, że trzeba skończyć z represjami wobec Ukraińców i że jedynym wyjściem jest wprowadzenie autonomii w Małopolsce Wschodniej.

Olo był programowym kolaborantem skłonny współpracować nawet z Niemcami po przegranej wojnie. Ale tym się różnił od Studnickiego, że rozszerzył to na Polskę Ludową. Przecież to on wymyślił Bolesława Piaseckiego. Po wojnie utrzymywaliśmy z rzadka kontakty przez jakieś okazje; jeśli przyjeżdżał tu ktoś ze wspólnych znajomych, jak np. Frankowski, to przywoził listy od niego. A po Październiku Olo dwa czy trzy razy przyjeżdżał do Paryża i wtedy spotykaliśmy się. Podczas tych spotkań unikaliśmy jednak rozmów o polityce bieżącej. Kultywowaliśmy więzi przyjacielskie i sentymenty; łączyła nas już tylko przeszłość.

Piotra Borkowskiego poznałem przez Bocheńskich, których był krewnym. Matka Adzia i Ola była z domu Borkowska. Piotr Borkowski był przedstawicielem szkoły austriackiej w dobrym tego słowa znaczeniu: człowiekiem bardzo wyro-

bionym, umiejącym nawiązywać kontakty ze społeczeństwem i z ludźmi; odegrał dużą rolę w stosunkach z Ukraińcami i z Żydami. Gdy była akcja wyborów do Sejmu i walka o „jedynkę”, listę pilsudczyków, zwołał wszystkich rabinów i cadyków do wspaniałej sali wojewódzkiej we Lwowie, wygłosił do nich przemówienie, w którym bardzo pochlebnie powitał elitę świata żydowskiego, „żydowskich Potockich i Lubomirskich”, po czym podszedł do cadyka z Góry Kalwarii i pocałował go w rękę. Żydzi oszaleli. Nie tylko głosowali, ale też w dużym stopniu finansowali wybory.

Borkowski na pewno nie był antysemitą. Miał znajomych i przyjaciół Żydów zarówno w sferach gospodarczych, jak i kulturalnych. Ale to było zagrane z całą świadomością. Podobnie miał doskonałe i bardzo szerokie kontakty z Ukraińcami, nawet w najgorszym okresie; sięgały one od Szeptyckiego do Doncowa, który był faszyzującym nacjonalistą. Był dla nich niewątpliwym autorytetem. Okazało się to zresztą po wkroczeniu Sowietów, gdy to właśnie Ukraińcy przeprowadzili go na stronę niemiecką.

Borkowski był naprzód wojewodą lwowskim, później poznańskim. I w Poznaniu przegrał, gdyż zupełnie nie pasował do tego miasta. Był to cygan. Jego dzień pracy we Lwowie polegał na tym, że często chodził po kawiarniach czy „handelkach”, rozmawiał z ludźmi, był bardzo rozluźniony. Poznań tego nie lubił. W Poznaniu wojewoda — to musiał być bardzo wielki autorytet. A Piotr Borkowski potrafił wyjść do pociągu, żeby powitać swoją żonę, w pantoflach i w futrze narzuconym na piżamę. Poznaniakom nie mieściło się to w głowie. Po okresie poznańskim wyszedł ze służby państwowej i jako osoba prywatna zajął się sprawami ukraińskimi, m.in. uzyskaniem autonomii dla Małopolski Wschodniej, co było na dobrej drodze, ale co uniemożliwiła wojna.

Po wojnie, którą spędził w Kraju, Borkowski został konsu-

lem generalnym w Rzymie. Wielu komunistów miało wobec niego długi wdzięczności z okresu przedwojennego i wojennego; kilku uratował życie. A ponieważ miał interesy spadkowe we Włoszech (jego żona miała krewnych w arystokracji włoskiej), więc zrobiono go konsulem generalnym w Rzymie, licząc się z tym, że nie wróci. Zachowywał się zresztą w sposób najzupełniej niezależny. Utrzymywał z nami kontakty najzupełniej jawne, a i my nie mieliśmy do niego pretensji, że został konsulem nowych władz. Za dobrze go znałem. Jego zachowanie było zresztą przyczyną jego antagonizmu z prof. Stanisławem Kotem, który był wtedy ambasadorem Polski Ludowej w Rzymie i próbował działać przeciw wojsku, przeciw Andersowi. Borkowski nie tylko trzymał się z dala od tych posunięć, ale był im wręcz nieprzychylny. Widywałem go wtedy bardzo często. Gdy Instytut Literacki przenosił się do Paryża, była nawet mowa o tym, że on wstąpi do naszego zespołu i przyjedzie do Lafitu. Ale tak się złożyło, że równocześnie dostałem od niego list, że przestaje być konsulem i po powrocie z Polski przyjeżdża do nas, oraz depeszę o jego śmierci.

Do czołowych autorów należał również Wraga, czyli Niezbrzycki, którego znałem z Zakonu Nieznanego Żołnierza i który był naszym ekspertem od spraw sowieckich; będzie o nim jeszcze mowa. Tu zauważę tylko, że związki z Niezbrzyckim były pretekstem dla posądzania nas o bycie ekspozyturą Drugiego Oddziału, który miał nas rzekomo finansować. Nic takiego nie miało jednak miejsca. Z Niezbrzyckim łączyło „Bunt Młodych” wspólne zainteresowanie Związkiem Sowieckim, Rosją i Ukrainą.

Cat-Mackiewicz miał do nas stosunek przyjazno-odporny. Osobiście bardzośmy się lubili, a zarazem bardzośmy się nie zgadzali. Łącznikiem między nami był Henryk Łubieński, któremu „Słowo” zawdzięczało swe przekształcenie się z gazety

prowincjonalnej w ogólnopolską, gdyż prowadził on rubrykę informacji politycznych, a z którym ja byłem bardzo zaprzyjaźniony. Mackiewicz przyjaźnił się z Adziem Bocheńskim i z Misiem Tyszkiewiczem, mężem Ordonki, którego znałem z Myśli Mocarstwowej; przez niego poznałem jego brata, Jana Tyszkiewicza, który, nim zginął w wypadku, był posłem na Sejm, jednym z wybitniejszych przedstawicieli młodszego pokolenia obozu konserwatywnego.

Przejdę teraz do poznaniaków, których czołowym przedstawicielem był wśród nas Jan Frankowski. Należał on w „Buncie Młodych” do tzw. młodego pokolenia. Wysoko go wtedy ceniłem, gdyż miał bardzo rozległe kontakty, m.in. ze Stanisławem Mikołajczykiem jako prezesem Związku Kółek Rolniczych w Poznańskim; stąd dowiedziałem się o istnieniu Mikołajczyka. W sprawach społeczno-gospodarczych Frankowski był na ogół bardzo rozsądny. Potem dopiero okazał się kompletnym oportunistą. W „Buncie Młodych” interesował się szczególnie działalnością społeczną; jego reportaże o działalności na wsi czy akcjach społecznych były bardzo dobre i interesujące. Jego wielką zaletą była też umiejętność wynajdywania różnych ciekawych ludzi; wśród jego znajomych i przyjaciół był np. Kazimierz Sołtysik, dziwna postać, trudna do scharakteryzowania, polski Gandhi, demonstrujący swoje antyklasowe stanowisko. Znamienne dla niego było, że gdy przyjeżdżał do Warszawy i odwiedzał mnie w domu, to moją gospodynię, Bronisławę, całował w rękę. Sołtysika interesowała prowincja, po której stale jeździł; jego relacje o inteligencji prowincjonalnej były pełne ciekawych spostrzeżeń.

Innym przedstawicielem Poznania był wśród nas Józef Winiewicz. Redagował on „Dziennik Poznański” i z pisma, które było właściwie pismem endeckim, zrobił pismo konserwatywne, reprezentujące interesy ziemiaństwa poznańskiego.

Robił to z całym przekonaniem i bardzo przyzwoicie. Ale kiedy po śmierci Piłsudskiego przystąpiono do tworzenia Ożonu, Winiewicz zaczął się powoli odcinać i od strony piłsudczykowskiej, i od strony ziemiańskiej, i zajął postawę wyczekującą. W czasie wojny pracował w akcji na Kraj w Budapeszcie i w Stambule; potem w Londynie zajmował się przygotowaniem konferencji pokojowej i odbudowy Kraju po wojnie.

Żona Winiewicza, która była krewną jakiegoś dygnitarza komunistycznego, przyjechała po wojnie do Londynu i przekonała męża, że może zrobić wielką karierę w Polsce. Winiewicz mieszkał wtedy w jednym domu z Kajetanem Morawskim i Mają Prądyńską i miał nawet jakąś narzeczoną, gdyż z żoną nic go specjalnie nie łączyło. Była to bliska krewna, która go zmusiła do małżeństwa; ich córka, Magda, umarła podczas wojny. Ale perspektywa kariery przeważała. Winiewicz wyjechał bez pożegnania się z kimkolwiek. Nawet nie wrócił do domu, by zabrać swoje rzeczy.

Byliśmy w bardzo żywym kontakcie w Rumunii, a i później, gdy był w Budapeszcie i w Stambule, pisywaliśmy do siebie; przysyłał mi do Tobruku papierosy. Ale po wojnie nie widzieliśmy się ani razu. Na pewno był bardzo lojalnym ambasadorem i ministrem PRL, gdyż był z natury oportunistą, ale wiernym wobec każdego, kto miał władzę. Odchodził dopiero wtedy, gdy jego chlebodawca słabł. Gdy odwołano go ze stanowiska ambasadora w Stanach Zjednoczonych i nie było wiadomo, co się z nim będzie działo, Burnham zwrócił się do mnie z pytaniem, czybym nie przyjechał do Waszyngtonu porozmawiać z Winiewiczem i dowiedzieć się, czyby nie został na emigracji. Powiedziałem wtedy Burnhamowi, że to nie ma żadnego sensu i że należy zaproponować Winiewiczowi jakąś odpowiedzialną funkcję, np. dyrekcję Wolnej Europy; gdyby ją przyjął, byłby świetnym i lojalnym współpracow-

nikiem. Byłem gotów, gdyby mu taką ofertę przedstawiono, pojechać do Waszyngtonu i z nim porozmawiać; przypuszczałem, że by się zgodził. Ale Burnham niczego takiego nie był w stanie załatwić.

W oddziale krakowskim Myśli Mocarstwowej byli m.in. Kostek Łubieński i Miś Tyszkiewicz, którzy byli zaprzyjaźnieni z oboma braćmi Zbyszewskimi. Przez nich poznałem Wacława, z którym wkrótce nawiązała się współpraca, pełna awantur, gdyż zmuszenie go do napisania artykułu, który obiecał napisać, wymagało na ogół zwabienia go do redakcji i zamknięcia na klucz. On dobijał się wtedy do drzwi, krzyczał, protestował, aż po pewnym czasie zapadała cisza i gdzieś po niecałej godzinie słychać było pukanie do drzwi i głos Zbyszewskiego, który domagał się, by goniec redakcyjny przyniósł mu z baru porcję bigosu. Znaczyło to, że artykuł jest gotów. Nie znałem człowieka, który by pisał z taką łatwością. Pisał ręcznie, bez żadnych poprawek, tak że tekst można było posłać wprost do drukarni. Często musiałem jednak odbywać z nim dyskusje, gdyż pisał rzeczy, na które nie mogłem przystać. Np. gdy zaatakował generała Skwarczyńskiego, musiałem to zatrzymać ze względu na Maję. Nie szło mi o to, by go nie krytykować, ale o to, by robić to w sposób przyzwoity, nie zaś wymyślając mu od bałwanów, idiotów itp.

Jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, to byliśmy ze Zbyszewskim mniej więcej zgodni, pomijając jego skrajną wizję przeludnienia świata. Tematy ustrojowe go nie interesowały. Poza sprawami gospodarczymi pasjonowały go polityka zagraniczna i plotki. Również co się tyczy polityki zagranicznej, byliśmy w zasadzie zgodni, z tym tylko, że Zbyszewski miał obsesję antyrosyjską. Głosił najzupełniej serio, że Rosję należy podbić i podzielić, przyznać każdemu państwu kolonię na jej terenie i zakazać mówienia po rosyjsku; Rosjanie powinni mówić po francusku. Brzmi to humorystycznie, ale on to

mówił ze śmiertelną powagą. Był dość krytyczny wobec Francji i bardzo proangielski. W Niemczech zajmowała go głównie gospodarka, m.in. eksperyment Schachta; między nim a Świąiewiczem, który śledził to z bliska, nie było większych rozbieżności. Był zresztą w dobrych stosunkach ze Studnickim.

Gdzieś w 1938 roku, gdy „Słowo” wileńskie stanęło na nogi, gdyż przestało być organem lokalnym i zyskało czytelników w całej Polsce, Mackiewicz mógł sobie pozwolić nie tylko na rozjazd, ale również na wysłanie Wacka do Londynu jako korespondenta. Tam też zastała go wojna i tam spotkaliśmy się po sześciu latach niewidzenia, gdy odkomenderowano mnie z Drugiego Korpusu do pracy w Ministerstwie Informacji. Z Londynu Zbyszewski przysłał do „Polityki” tylko jedną czy dwie korespondencje. Współpracę nawiązaliśmy ponownie już w „Kulturze”.

Był to bardzo ciekawy człowiek, który zmarnował swe ogromne możliwości. Jako dziennikarz zdobywał pierwsze ostrogi w „Czasie” krakowskim, który miał wtedy wielką pozycję. Później robił karierę w MSZ. Zniszczyła ją jego lekko-myślność: gdy był pierwszym sekretarzem Ambasady RP w Tokio, zaczął opowiadać jakieś okropne anegdoty o ambasadrowej angielskiej. Anglicy, rzecz jasna, dyskretnie zaprotowali i poprosili o odwołanie go. A Drymmer nie tylko go odwołał, ale po prostu wyrzucił. Wtedy Barański zaangażował go do działu ekonomicznego Banku Polskiego. Ale Zbyszewski tak się tam zachowywał, że był z punktu widzenia dyscypliny urzędniczej zupełną katastrofą: to przychodził do biura, to go nie było. Barański, który go znał i cenil, powiedział mu: „Panie Wacławie! Niech pan nie przychodzi do biura. Proszę tylko o trzy referaty miesięcznie na tematy, które będą panu podawał”. Zbyszewski zjawiał się po tygodniu z trzema referatami i inkasował pieniądze. Referaty były zresztą świetne.

Znał znakomicie kilka języków obcych, ale nigdy nie udało się go namówić na pisanie do prasy zagranicznej. Już po wojnie, gdy napisał jakiś wybitnie dobry artykuł, mówiłem mu, by przełożył go na francuski, gdyż „Le Monde” na pewno by to wziął. Nigdy tego nie zrobił. A przecież po likwidacji agend rządu na uchodźstwie był w bardzo trudnej sytuacji. Przyjęto go wtedy do polskiej sekcji Głosu Ameryki w Monachium. Zachowywał się tam w sposób niedopuszczalny. Dyrektorką sekcji była pani Grabowska, osoba nieprzyjemna, dosyć twarda, ale on traktował ją w sposób zupełnie potworny. Siedząc w sąsiednim pokoju, przy otwartych drzwiach, potrafił mówić o niej najgorszymi słowami i wyprawiał inne zupełnie nieprawdopodobne historie. Był to człowiek, któremu było bardzo trudno pomóc. W ostatnich latach zaczął mieć obsesję, że umrze pod płotem, z braku pieniędzy. Nie miał etatu w Wolnej Europie, choć bardzo dużo tam pisywał, gdyż Nowak całkiem słusznie wołał go mieć poza biurem. Bardzo mało czytał. Cała jego wiedza brała się z „Monde'u” i z rozmów z kelnerami w małych restauracyjkach czy z portierem jego hoteliku. Twierdził, że jest to głos ludu.

Ostatnią postacią z tej galerii jest Kisielewski, który zresztą dość wiernie opisał naszą ówczesną współpracę. Kontakt został nawiązany bodaj przez kogoś z Legionu Młodych. Kisiel zaproponował, że będzie prowadził dział muzyczny. Gdy przyszedł, powiedziałem mu, że dział muzyczny nas stosunkowo mało interesuje, ale może pisać na inne tematy, m.in. o literaturze. Kisiel pisał więc o muzyce niezbyt wiele. Ogłosił natomiast kilka ważnych artykułów o sprawach gospodarczych; bronił w nich Poniatowskiego, którego myśmy atakowali. W tej dziedzinie były między nami różnice zdań. Nie było ich natomiast w sprawach kulturalnych, choć wydawałoby się, że powinny być wystąpić. Tak się bowiem złożyło, że osoby zajmujące się kulturą w „Buncie Młodych” były — jak już wspo-

minałem — związane z „Prosto z mostu”. Ale Kisielowi to bynajmniej nie przeszkadzało. Polityka go wtedy nie ciągnęła; nie przychodził na nasze zebrania klubowe, nie pamiętam też, by zajmował stanowisko nawet w sprawach tak drastycznych, jak Bereza. Pierwszym objawem jego zainteresowań politycznych był dla mnie, już po wojnie, jego debiut powieściowy *Sprzysiężenie*.

O tym, że przeżył wojnę, dowiedziałem się z jego felietonu w „Tygodniku Powszechnym”, gdzie mówił o redakcji „Buntu Młodych” bez wymieniania nazwy pisma, rzecz jasna; pisał o redakcji na Długiej, opisywał ruiny domu, gdzie się mieściła, i opowiadał kilka wspomnień z nią związanych. Wtedy nawiązaliśmy ponownie kontakt. Początkowo miał on charakter czysto osobisty: posyłałem mu paczki i starałem się pomagać. Po raz pierwszy spotkaliśmy się chyba w 1957 roku. Będzie o nim jeszcze mowa.

CZĘŚĆ DRUGA WOJNA

BUKARESZT

Wojna nie była dla mnie zaskoczeniem. Przewidywałem ją. A ponieważ byłem bardzo związany z Antonim Romanem, który był zarazem moim zwierzchnikiem i przyjacielem, wyjechałem razem z nim. W bałaganie, jaki zapanował, urzędowanie było niemal sparaliżowane; np. nie doszło do ogłoszenia moratorium, tak że później Niemcy bardzo skrupulatnie egzekwowali od ludności wszystkie należności wobec państwa. Antoni Roman proponował podjęcie takiej decyzji na zebraniu Rady Ministrów jeszcze przed wyjazdem z Warszawy, mówił o tym również na zebraniu rządu w Łucku, ale Kwiatkowski i Śmigły kategorycznie się temu sprzeciwili.

W Równem wyglądało, że zatrzymamy się na dłużej. Na polecenie min. Romana zacząłem wydawać pismo „Ostatnie Telegramy”. Wykorzystałem dziennikarzy z „Polski Zbrojnej”. Pismo było bezpłatne, dwustronicowe; ukazały się trzy numery. Informacje pochodziły z nasłuchu radiowego, od biura prasowego RM oraz od władz cywilnych i wojskowych znajdujących się w Łucku. Nakład wynosił 6 tysięcy egzemplarzy. Nie wiem, czy jakikolwiek egzemplarz zachował się po dziś dzień. Rachunek z drukarni w moich papierach jest jedynym świadectwem istnienia tego pisma.

Gdy znaleźliśmy się w Śniatyniu, min. Roman posłał mnie do Kołomyi, gdzie stacjonowało Naczelne Dowództwo. Miałem tam z jego polecenia coś doręczyć adiutanturze Śmigłego. Przyjechałem do Kołomyi i zastałem tam euforię, gdyż przyszły wiadomości o zwycięstwie Sosnkowskiego. Wenda,

który tam był, polecił mi założyć radiostację w Śniatyniu, korzystając z obecności pracowników radia lwowskiego. Euforia udzieliła się i mnie, i w tym nastroju wróciłem do Śniatynia. Ale następnego dnia rano dostałem wiadomość od min. Romana, który był gdzieś w okolicy, że mam przyjechać do niego i że przekraczamy granicę, gdyż wkroczyły Sowiety, co było dla wszystkich zupełnym zaskoczeniem.

W Rumunii rząd internowano w Baia Herculanium. Mościcki był gdzieś osobno. Śmigły początkowo w Craiowej, a później — w Dragoslavele. Miałem zamiar jechać dalej do wojska, bo nie widziałem dla siebie w Rumunii nic do roboty. Ale Roger Raczynski, który był wtedy ambasadorem w Bukareszcie, zatrzymał mnie jako swego prywatnego sekretarza.

W ambasadzie panował niesłychany chaos. Była ona dosłownie oblężona przez tłumy uchodźców. Trzeba było zająć się dziesiątkami, jeśli nie setkami osób z najwyższych władz rządowych i wojskowych. Był problem mienia państwowego, które trzeba było zabezpieczyć lub uporządkować, jak np. FON; został on z braku miejsca ulokowany w piwnicach ambasady, a jego porządkowaniem zajęli się pracownicy minister Wacław Jędrzejewicz z byłym ministrem Floyar-Rajchmanem. Szczupły personel ambasady, nie przygotowany do tego rodzaju pracy, był zagubiony. A przede wszystkim — i to jest nieprzyjemna cecha polska — był zupełnie zdemoralizowany. Z miejsca pośpiesznie usuwano portrety prezydenta Mościckiego czy marszałka Rydza-Śmigłego, a przecież zarówno prezydent, jak i rząd egzystowali jeszcze mimo internowania. Prześcigano się w potępianiu sanacji i polityki Becka.

W tej trudnej sytuacji Raczynskiemu bardzo pomagał jego dawny przyjaciel, Kajetan Morawski. Ta pomoc była szczególnie cenna, gdyż Morawski był człowiekiem bardzo zrównoważonym i dobrze zorganizowanym. Było to jednak niewystarczające. Takie były okoliczności, w jakich Raczynski

zaproponował mi, bym został w ambasadzie w charakterze jego prywatnego sekretarza. Z uwagi na naszą przyjaźń i wcześniejszą współpracę, propozycję tę przyjąłem bez wahania.

Przed wszystkim trzeba było uporządkować sprawy najważniejsze, tj. rejestrację mienia państwowego, oraz zorganizować pomoc i opiekę nad uchodźstwem, czym zajął się Arciszewski, były poseł RP w Bukareszcie. Równie palącą sprawą była ewakuacja wojskowych do Francji, a lotników — do Anglii.

Sprawą najpilniejszą było jednak wyznaczenie przez prezydenta Mościckiego swego następcy. Musiało to nastąpić przed upadkiem Warszawy, który mógł być potraktowany przez wiele państw na świecie jako likwidacja państwa polskiego. W tej sprawie bardzo często jeździłem z Raczynskim do prezydenta. Nie wchodzę tu w szczegóły, gdyż po zakończeniu tej sprawy została opracowana w ambasadzie przez Raczynskiego, Ponińskiego i mnie notatka, którą zresztą w swoim czasie zamieściłem w „Kulturze”; przedrukowuję ją raz jeszcze wśród załączonych dokumentów.

Trzeba było stworzyć pismo dla mas uchodźczych, nie tylko w celach propagandowo-informacyjnych, lecz przede wszystkim aby ułatwić poszukiwania rozproszonym rodzinom czy znajomym. Przeniesiono więc do Bukaresztu polonijne piśmko wychodzące w Czerniowcach; jego redakcję objął Syruczek, były redaktor tzw. prasy czerwonej. Znaleźcie odpowiednich ludzi było niezmiernie trudne. Powszechny był kompleks przegranej kampanii wrześniowej; każdy chciał dostać się do wojska. Tak np. prokurator Władysław Żeleński odmówił zajęcia się sprawą łączności z Krajem, a był o to proszony nie tylko przez ambasadę, lecz także przez prof. Kota. Sam dostawałem ponaglające listy od Adolfa Bocheńskiego i od braci Pruszyńskich, bym przyje-

chał do Francji, gdzie formowano wojsko polskie. Odmówiłem, gdyż uważałem, że więcej mogę zrobić zostając w Rumunii, niż szkoląc się na żołnierza.

Całą robotę paraliżowało typowe polskie piekło. Została utworzona komisja badawcza złożona z osób darzonych zaufaniem przez prof. Kota. Najśmieszniejsze było, że z miejsca zatrudniono w niej sędziego Luksemburga, który był przecież sędzią od spraw specjalnej wagi, a więc takich, które bardzo ocierały się o różne afery polityczne. Poszczególni ministrowie przysyłali swoich przedstawicieli, domagając się tworzenia dla nich oficjalnych stanowisk wicekonsulów, by nadać im charakter bardziej urzędowy i zabezpieczyć ich przed zainteresowaniem władz rumuńskich. Stwarzało to niezmiernie dużo komplikacji i kosztów.

Nieoceniony prof. Kot zorganizował coś na kształt tajnej policji, której zadaniem było pilnowanie osób uważanych za szczególnie niebezpieczne. Tak np. ministra Becka, który był internowany w Braşov, pilnowały policja rumuńska, ma się rozumieć, i policja niemiecka; ale przede wszystkim pilnowali go ludzie prof. Kota, którzy dokładnie rejestrowali wszystkich odwiedzających. Prawdopodobnie tutaj powstała legenda o mojej działalności sanacyjnej, gdyż stosunkowo często musiałem przyjeżdżać do Braşov oficjalnie z ramienia ambasady bądź też by odwiedzić ministra Antoniego Romana, który był internowany razem z Beckiem.

Wśród spraw, które absorbowały mnie szczególnie, był powrót Śmigłego do Polski. Zdrada Rumunów zaskoczyła wszystkich; zamiast udzielić nam *droit de passage*, internowali rząd i wojsko. Śmigły był przekonany, że przejeżdża przez Rumunię jako Naczelnny Wódz, który ma być przyjmowany ze wszystkimi honorami przysługującymi jego randze. Gdy tylko został internowany, zaczął myśleć o powrocie do Polski. Był na to zdecydowany. Wymagało to jednak przy-

gotowań, tak że doszło do tego dopiero w połowie grudnia 1940 r.

Przedtem nie znałem Śmigłego. Ale byłem w dobrych stosunkach osobistych z Wendą. W Rumunii zaprzyjaźniłem się również ze Szczapą-Krzewskim, którego dawniej widywałem przelotnie, ale właściwie nie znałem. Był on bardzo bliski Śmigłego jeszcze z czasów legionowych i brał czynny udział w przygotowaniu jego ucieczki do Polski. Samego Śmigłego widywałem wielokrotnie i dużo z nim rozmawiałem. Rozmowy dotyczyły m.in. przebiegu wojny. Pytał mnie również, jak będzie przyjęty w Kraju, jeśli się tam zjawi. Odpowiedziałem bardzo brutalnie i używając nieco romantycznego porównania: „Pan się rozbije jak butelka rzucona o skałę”. Ale było to tylko pytanie sondujące. Zresztą uważałem bez wahania, że Śmigły powinien wrócić do Kraju. Główna trudność polegała jednak na zdobyciu pieniędzy, aby sfinansować jego działalność.

Na kilka dni przed wybuchem wojny, co zresztą świadczy o stopniu nieprzygotowania, Śmigły polecił Niezbrzyckiemu zorganizowanie POW, do czego Niezbrzycki zupełnie się nie nadawał i z czego nic nie wyszło. Gdy Niezbrzycki znalazł się w Bukareszcie, wymyśliliśmy, że oświadczy, iż pożyczył od Rogera Raczyńskiego na zlecenie marszałka sto tysięcy dolarów na tę robotę; było to całkiem prawdopodobne, gdyż Raczyński był osobiście człowiekiem bardzo zamożnym. Na podstawie tego oświadczenia płk Smoleński, szef Drugiego Oddziału, dość wtajemniczony w te sprawy, dał mi te pieniądze, abym zwrócił je Raczyńskiemu, a ja przekazałem je Śmigłemu.

Było to podstawą całej jego działalności i jego organizacji, którą prowadził wiceminister Julian Piasecki; był on wtedy na Węgrzech, skąd kierował wraz z żoną Wendy całą akcją na Polskę. Przekazanie mi tych pieniędzy odbyło się zresztą w sposób śmieszny. Ambasada była pełna ludzi, w każdym

pomieszczeniu ktoś urzędował, więc płk Smoleński i gen. Malinowski, którym zlecono likwidację rachunkowości Drugiego Oddziału, siedzieli w kłozecie, trzymając na kolanach walizę z dolarami, i pracownicy odliczali banknoty, by złożyć potrzebną sumę.

Dużo pracy miałem w samej ambasadzie. Staralem się ustalić łączność z Krajem, w czym pomogły mi bardzo dobre kontakty z Ukraińcami, nawet z UWÓ, która przez pewien czas przenosiła moją korespondencję. Kierowałem ją do znajomych o różnych orientacjach politycznych: do Janka Pożaryskiego; do Jana Hoppego, z którym moje kontakty przed wojną były dość luźne, choć grupa, którą skupił wokół siebie, interesowała mnie jako jeden z odłamów opozycji wewnątrzsanacyjnej; do Studnickiego; do Niedziałkowskiego, a po zamordowaniu go przez Niemców do wdowy po nim.

Nie miałem przy tym żadnych celów politycznych. Chodziło mi przede wszystkim o udzielenie pomocy finansowej osobom — nawet nie organizacjom — które uważałem za wartościowe. Sam nie próbowałem montować żadnej organizacji, ale znając moich korespondentów byłem pewien, że prowadzą jakąś działalność. Pierwsze reakcje były zresztą różne. Aleksander Bocheński np. miał projekty kolaboracji z Niemcami. Wyobrażał sobie, że wraz z Januszem Radziwiłłem i innymi będą mogli stworzyć jakiś marionetkowy rząd. Dostałem od niego kartkę zwyczajną pocztą: „Nie bądź głupi, wracaj, robimy rząd”.

W Bukareszcie Niemcy podjęli próbę nawiązania ze mną kontaktów. Pośredniczyła w tym ich ambasada, ale rozmówca przyjechał z Berlina. Do Wolskiego, który przed wojną pracował w ambasadzie w Rumunii i znał cały korpus dyplomatyczny, zwrócił się jego znajomy, radca ambasady niemieckiej, z pytaniem, czy mógłby zorganizować spotkanie kogoś,

kto przyjedzie z Niemiec, ze mną i z nim. Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu. Obraz sytuacji w Kraju miałem wtedy, jak sądzę, dość wierny. O Palmirach np. dowiedziałem się bardzo szybko. Uważałem jednak, że trzeba rozmawiać, skoro nadarza się taka sposobność, aby wysondować drugą stronę, a zarazem określić warunki jakiegóż możliwej współpracy, w tym przypadku — wojny przeciw Sowietom.

Nie porozumiewałem się w tej sprawie z nikim, ale po fakcie zawiadomiłem o wszystkim Rogera Raczyńskiego. Gdzieś w połowie 1940 r. doszło więc do spotkania, w którym poza mną uczestniczyli ze strony polskiej Władysław Wolski i Ryszard Piestrzyński. Niemiec, który na nie przyszedł, chciał wiedzieć, czy byłoby możliwe nawiązanie współpracy z Polską i na jakich warunkach. Odpowiedziałem, że jedynym tematem, na który możemy rozmawiać, jest odbudowa niepodległości Polski, z tym że możemy dyskutować na temat Gdańska i korytarza, z którego gotowi jesteśmy nawet zrezygnować. Twierdziłem też, że porozumienie z Polską jest dla Niemiec rzeczą niezmiernie ważną z uwagi na niebezpieczeństwo rosyjskie. Bardzo wyraźnie stawiałem tezę, że Niemcy bez Polski nie są w stanie wygrać wojny z Rosją. To było moje założenie. Przyjęte to zostało z pewnym sceptycyzmem i na tym się skończyło. Wiem, że ten sam rozmówca prowadził również rozmowy sondażowe z ministrem Arciszewskim.

A poza tym z Polski przyjeżdżało mnóstwo ludzi, którymi trzeba się było zajmować. Przyjechali Ciołkosz, Grosfeld i inni. Pod koniec roku w Bukareszcie zjawił się prof. Tennenbaum, którego przedtem osobiście nie znałem. Zamieszkał u mnie, zaprzyjaźniliśmy się i wieleśmy ze sobą rozmawiali. Był to bardzo ciekawy ekonomista i sympatyczny typ masona. Dużo mówiliśmy m.in. o sprawach narodowościowych. Byłem wtedy w kontakcie z Mudryjem, który był gotów wyjechać na

Zachód do Rady Narodowej. Tennenbaum się do tego zapalił. Powiedział mi, że wyjeżdża do Francji, że jest przyjacielem Sikorskiego i że załatwi, by jak najszybciej wydano polecenie sprowadzenia Mudryja, a przy okazji zgłosi wniosek, by mnie wzięto na kierownika biura do spraw mniejszości przy Radzie Ministrów. Jakoż wkrótce przyszła szyfrówka z mianowaniem mnie na to stanowisko i z poleceniem, bym stanął się w Paryżu jak najszybciej. Zdecydowałem się przyjmując tę nominację. Ale do Francji nie dojechałem, bo nie mogłem dostać wizy. Poselstwo francuskie miało zakaz wydania mi wizy. Był również zakaz wydania mi wizy wojskowej.

Oba zakazy spowodował Kot, który miał do mnie ogromne pretensje o artykuł Leona Kozłowskiego o masonerii w Polsce, gdzie był on wymieniony jako jeden z głównych masonów. Kot bardzo protestował przeciw temu artykułowi i był z jego powodu na mnie wściekły, czego nie ukrywał. Z osób wymienionych w tym artykule przyzwoicie zachował się tylko Stroński, o czym już wspominałem. Kot wierzył ponadto, że jest tajny rząd sanacyjny w Rumunii, który przygotowuje się do wkroczenia do Polski pod koniec zwycięskiej wojny. I że to ja jestem przedstawicielem tego rządu w Bukareszcie, przystawionym do Rogera Raczynskiego. Uważał mnie zatem za osobę bardzo niebezpieczną, której trzeba bacznie pilnować. Uzasadniać tę legendę o działalności mafijnej przeciw Sikorskiemu miała m.in. obecność na Węgrzech, a potem w Stambule, Józefa Winiewicza, mojego bliskiego współpracownika z czasów „Buntu Młodych”, który prowadził wtedy działalność na Kraj.

Prawdą jest, że moje stanowisko wobec Sikorskiego i wobec rządu Sikorskiego było negatywne. Do Sikorskiego zraziła mnie jego małostkowość i mściwość. Był człowiekiem, dla którego decydujące były porachunki za przeszłość.

Bezpośrednio po klęsce obóz sanacyjny był całkowicie załamany i chciał lojalnie współpracować. Ale te propozycje współpracy były bezwzględnie odrzucane. Beck zawiadomił, że dostarczy wszystkie materiały będące w jego posiadaniu. A Sikorski, zamiast skorzystać z tej oferty, odpowiedział mu w sposób po prostu ordynarny. Tak samo postąpiono ze wszystkimi innymi. Do tego dochodziła arogancja i zarozumiałość, przy całkowitym uzależnieniu się od Francji. Nie wolno obejmować władzy za sprawą obcego państwa. A Sikorski został wypromowany przez Francuzów, zwłaszcza przez ich ambasadora, Noëla. Kilka dni przed klęską wrzesniową, kiedy rząd jeszcze urzędował, Sikorski zjawił się w Bukareszcie i odbywał w gabinecie attaché wojskowego, płk. Zakrzewskiego, konferencje z udziałem radcy Ponińskiego i ambasadora Noëla. Już wtedy zaczęła się konspiracja na rzecz Sikorskiego i ucieczka szturwielów z tonącego okrętu.

Kandydatem Mościckiego na jego następcę był Sosnkowski, o którym nie było żadnych wieści. Ponieważ zaś Mościcki, co powiedział Rogerowi Raczynskiemu, miał pełne zaufanie do uczciwości Wieniawy, jak Piłsudski, który wyznaczał go do zbierania głosów podczas różnych głosowań w GISZ-u, gdyż, jak mówił, „do niego mogę mieć zaufanie, on nie będzie oszukiwać” — przeto mianował Wieniawę prezydentem, pod warunkiem, że ustąpi na rzecz gen. Sosnkowskiego, jak tylko ten się odnajdzie. Nie wywołało to zastrzeżeń Anglików, którzy nie mieli negatywnego stosunku do Wieniawy. Utrącenie jego osoby było dziełem Francuzów i Sikorskiego. Pojawiały się też dziwne pomysły. Lieberman uważał np. całkiem poważnie, że należy zrezygnować z trzymania się państwowości i wrócić do formuły komitetu narodowego. Edward Raczynski z trudem wytłumaczył mu, że jest to kwestia ambasad i w ogóle całej istniejącej prawowitości i struktury państwowej — nie

mówiąc o wojsku — której żaden komitet narodowy nie będzie posiadał.

Wiedziałem o tym wszystkim, gdyż miałem bardzo dobrą łączność z Paryżem dzięki temu, że była tam Maja Prądzyńska i inni znajomi. Dostawałem całą prasę i to, co przychodziło przez dłuższy czas rumuńską pocztą dyplomatyczną do Rogera Raczynskiego, tak że miałem informacje na bieżąco. Zapewne nie małą rolę w zachowaniu Sikorskiego i jego ekipy grało przekonanie, że takie posunięcia, jak mianowanie Wieniawy przez Mościckiego, są próbami obozu sanacyjnego, by utrzymać się przy władzy. Ale nie było to decydujące, przynajmniej w pierwszym okresie, gdyż sanatorzy byli wtedy gotowi bez wyjątku do lojalnej współpracy. Odpowiedzią na to były deportacje, odmawianie prawa wjazdu do Francji, a później wysyłanie na Wyspę Węzów czy do Afryki.

W rezultacie Sikorski, pochłonięty zwalczaniem sanacji, nie przeprowadził reformy w wojsku. Zdecydowało przyzwyczajenie zawodowego oficera. Nie przyszło mu do głowy to, co propagował Pruszyński w sposób może niezbyt poważny, ale moim zdaniem słuszny: zmienić korpus oficerski. Marynarki i lotnictwa nie trzeba było reformować, gdyż obie od początku bardzo dobrze funkcjonowały. Ale wojska lądowe wymagały reorganizacji. Zdolnych generałów było bardzo niewiele. Beztalencia były liczne. Potrzebne było odnowienie kadr. Stawka na młodych. Tego Sikorski i jego ludzie zupełnie nie rozumieli.

Sikorski obawiał się piłsudczyków w Rumunii jako konkurentów, którzy mogą przed nim wrócić do Kraju, gdyż stale pamiętał o Dmowskim i Piłsudskim. Było to myślenie kategoriami partyjnymi i personalnymi. A dla mnie sprawa Śmigłego była bardzo prosta: on chciał spełnić swój obowiązek przyzwoitego wojskowego i wziąć udział w walce, bez żadnych ambicji. I dlatego starałem się mu pomóc. Prawdą jest,

że, pomijając prof. Tennenbauma, nie miałem żadnych stosunków z osobami bliskimi Sikorskiemu; byłem piłsudczykiem i ludzi z kręgu piłsudczyckiego znałem, podczas gdy moje kontakty z opozycją sprowadzały się tylko do ONR-ABC i socjalistów.

Prawdą jest też, że środowisko „Buntu Młodych” różniło się od orientacji, której przewodził Sikorski. Oni byli profrancuscy; naszym zdaniem — nazbyt profrancuscy. Myśmy byli o wiele bardziej powściągliwi w stosunku do Francji i Anglii, a nasze próby porozumienia z Niemcami były dostatecznie czytelne, by kontaktu z nami szukano również od strony niemieckiej. Ale dla sikorszczyków te rozbieżności polityczne nie były problemem. Ważne dla nich były tylko sprawy personalne; uważali, że ja należę do mafii piłsudczyków, która chce objąć ponownie władzę w Polsce, i dlatego odnosili się do mnie podejrzliwie. Może pewną rolę odegrały w tym również moje wypowiedzi lub listy z akcentami krytycznymi wobec Francuzów za nieprzystąpienie do wojny wbrew obietnicom, za zablokowanie udzielonej nam pożyczki i za skandaliczną organizację armii polskiej we Francji.

Aby spowodować moje odejście z ambasady w Bukareszcie, nowa ekipa Drugiego Oddziału, też z inspiracji Kota, usiłowała mnie skompromitować; moją osobą zajmował się szczególnie major, a później pułkownik Orłowski. Wszyscy uchodźcy chcieli wtedy wyjeżdżać do jakichś możliwie egzotycznych krajów i potrzebowali listów do rumuńskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą o poparcie starań o uzyskanie wizy. Te listy — to były druczki, które nie odgrywały żadnej roli; każdy, kto przychodził, taki druczek dostawał. Oskarżono mnie jednak, że wydawałem te druczki za pieniądze.

Z Kotem spotkałem się wtedy tylko raz. Był on zaprzyjaźniony z Ignacym Kleszczyńskim, dziennikarzem z „IKC”, który pisywał również w „Polityce”. Kiedyś poszliśmy w Bukaresz-

cie na kolację, podczas której, z właściwym mi darem wtrącania się do nie swoich spraw, zacząłem tłumaczyć Kotowi, że jest teraz jedyna okazja, by odmłodzić cały aparat zarówno wojskowy, jak i administracyjny, gdyż niepodobna opierać się dłużej na starej kadrze, która w wielu przypadkach nie zdała egzaminu. Kot wysłuchał tego wszystkiego, po czym powiedział: „Proszę pana. Młodzi pójdą do wojska, a rządzić będziemy my”. Później, gdy Czapski mnie ściągnął do Propagandy, Kot specjalnie przyjechał z Kairu do Andersa z moim *dossier*, które wykazywało, że jestem człowiekiem bardzo niepewnym i defraudantem.

Demonizowanie mojej osoby trwało bardzo długo. Również w wojsku byłem na polecenie Kota gorliwie inwigilowany. Mam na to bezsporny dowód. Gdy już zamieszkałem we Francji, zaprzyjaźniłem się z panem Soroką, ludowcem, który przechowywał część archiwum prof. Kota. Kiedyś zaprosił mnie do siebie i zaproponował, bym przejrzał niektóre akta, bo „mogą być dla Pana bardzo interesujące”. I rzeczywiście natrafiłem tam na list Adolfa Bocheńskiego (pisany ze Środkowego Wschodu do Wacława Zbyszewskiego w Anglii), który został przejęty przez ludzi Kota i którego oryginał był zachowany w jego archiwum. Przytaczam ten list, bo jest bardzo charakterystyczny:

ODPIS

TAJNE

ppor. Adolf Bocheński 29

Polish Forces PAIForces

18/VII.43

proszę o zwrot 24/8 JK.

List do Wacława Zbyszewskiego

Kochany Waciu,

Nie można powiedzieć, abyś mnie nadmiernie psuł listami, ja jednak z cierpliwością godną lepszej sprawy raz na rok



Sierpień 1920. Jerzy Giedroyc jako telefonista w Dowództwie Okręgu Generalnego Warszawa



Lata 20. Porucznik Zaćwilichowski



Lata 30. Minister Antoni Roman



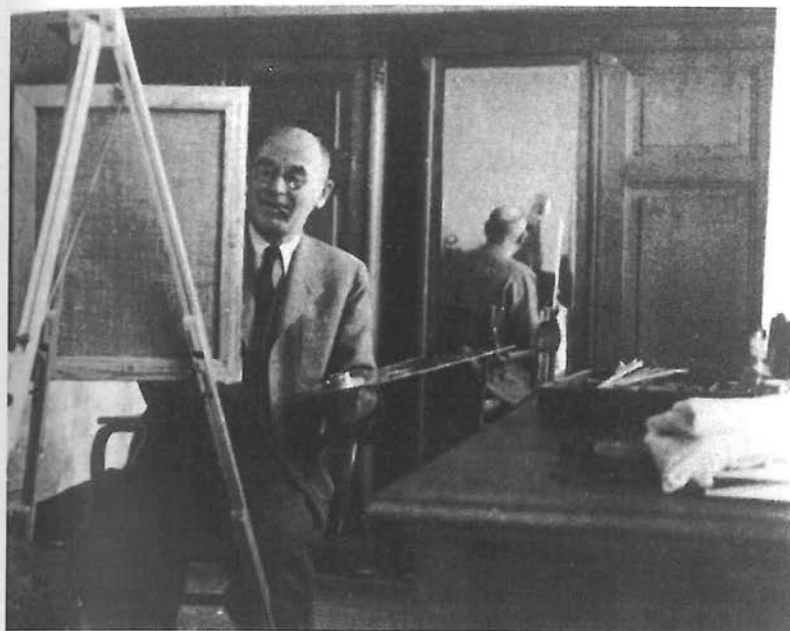
Maj 1938. Ambasador Roger Raczyński składający listy uwierzytelniające
w Bukareszcie



Lata 30. Maria Prądyńska



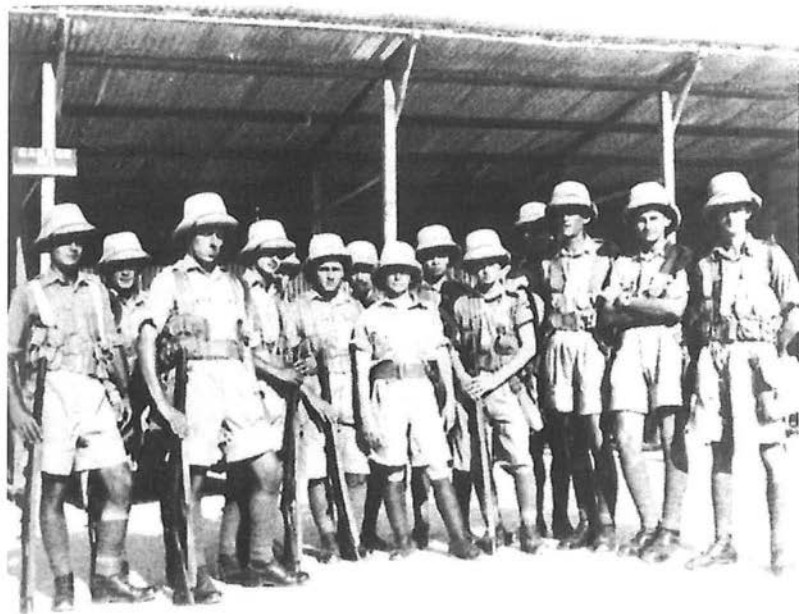
Maj 1939. Na pokładzie m/s Piłsudski — od lewej Jerzy Giedroyc, Bernard Singer, Luna Ciechanowiecka, Ksawery Pruszyński — powrót z Wystawy Światowej w Nowym Jorku



1940. Marszałek Edward Śmigły-Rydz internowany w Dragoslavele w Rumunii



Kwiecień 1940. Plutonowy podchorąży Adolf Bocheński w mundurze
Brygady Podhalańskiej przed zaokrętowaniem do Norwegii



Boże Ciało 1941, Łatrun w Palestynie. Pierwszy z lewej Jerzy Giedroyc,
czwarty z lewej Henryk Giedroyc



Listopad 1943, Herzliya koło Tel Awiwu. Od lewej Jerzy Zielicki, Józef Czapski,
Jerzy Giedroyc



Na pierwszym planie od lewej generał Władysław Anders
i rotmistrz Jerzy Klimkowski



1945, Rzym. Juliusz Mieroszewski



Wiosna 1945, Rzym. Jerzy Giedroyc i Józef Czapski



Lato 1949, Maisons-Laffitte, 1 av. Corneille. Jerzy Stempowski.
Fot. Henryk Giedroyc



Lata 50., Gwatemala. Andrzej Bobkowski



Lata 40., Paryż. Jerzy Giedroyc

do Ciebie pisuję od 4 lat i nie otrzymałem jeszcze ani jednej odpowiedzi.

Ogólne położenie tutaj uległo dużej zmianie od czasu wyjazdu stąd Misia i można powiedzieć, że ogólna atmosfera uległa dużemu ożywieniu. Muszę wymienić tu dwa fakty, które na tę zmianę wpłynęły. Przede wszystkim skład otoczenia dowódcy Armii na Wschodzie. Wykazuje ono duże zainteresowanie dla tych spraw, które były przedmiotem i naszych rozważań przed wojną. Adiutantem jest Eugeniusz Lubomirski, bardzo miły człowiek, ale bez ambicji w tym kierunku. Oficerami do zleceń są na przemian dwaj oficerowie, a mianowicie rtm. Klimkowski i pułkownik Bobiński. O obu na pewno jeszcze usłyszysz w życiu. K l i m k o w s k i odznacza się szalonym temperamentem i tym, co Niemcy nazywają Schlagfertigkeit, zainteresowania jego kierują się ku zagadnieniom wschodnim. Działają nań pewne wpływy ONR, aczkolwiek wobec braku ostatecznej krystalizacji poglądów mógłby właściwie przejąć sposób zapatrywania się „Buntu Młodych” na te sprawy. Oczywiście, tylko jednak o ile chodzi o zewnętrzną treść poglądów. Nie wydaje mi się, aby był dojrzały do zrozumienia konieczności pewnego uniwersalistycznego sposobu ujmowania tych zagadnień oraz podłoża moralnego stosunków międzynarodowych. O ile chodzi o wykształcenie i wyrobienie, to nie osiągnął na razie potrzebnego niveau. Przez parę miesięcy bardzo intensywnie się z nim kontaktowałem, ale obecnie nasze stosunki uległy silnemu rozluźnieniu. B o b i ŋ s k i jest natomiast człowiekiem wyrastającym pod wszystkimi względami wysoko ponad przeciętność. Wydaje mi się, że niewątpliwie odegra on w przyszłości bardzo poważną rolę. Niestety jednak główne jego zainteresowania idą w kierunku mego obecnego fachu, nie zaś dawnego. I w tym ma jednak sporo do powiedzenia i rozumie wszystko. Poza tym jest tam młody S t r o ŋ s k i, syn

Stanisława. Dość słaby jak na poziom naszej generacji, dobry, o ile chodzi o porównanie z generacją od nas młodszą. Urobiony pod wpływem ONR, posiada właściwą tej organizacji salate w głowie. Poza tym biedak lubi zbyt często zaglądać do kieliszka.

Najważniejszym jednak człowiekiem w otoczeniu jest Józio Czapski. Zupełnie nasz człowiek, o ile chodzi o poglądy, szalenie energiczny i w ogóle pierwszorzędny. Równoważy on w dużej mierze wpływy Strońskiego. Jest on szefem Wydziału Oświaty i Propagandy w Armii na Wschodzie.

Drugim faktem, który uważam tu za najważniejszy, jest wyciągnięcie (nareszcie) Jurka Giedroycia (oby żył wiecznie) z linii i upakowanie go do propagandy na stanowisko sekretarza Czapskiego. Znasz go na tyle, aby wiedzieć, że to mu wystarczyło, aby w całkiem niewidoczny sposób podporządkować sobie najważniejsze agendy, oczywiście w ścisłym porozumieniu z Józkiem Czapskim, z którym żyjemy w najbliższej przyjaźni. Jurek G. z każdym rokiem się wyrabia i uważam go zupełnie stanowczo w naszym pokoleniu za najpoważniejszego kandydata na premiera, gdyby te kandydatury były wybierane stosownie do istotnej wartości człowieka. Jego zasadnicze zalety to jest sztuka postępowania z ludźmi, sztuka organizowania i rzeczowość. Trzeba przyznać jednak, że i pod względem koncepcyjnym bardzo się wyrobił ostatnio. O ile chodzi o charakter, to po przejściach w Rumunii stetryczał trochę i stał się mniej przyjacielem całej ludzkości jak przedtem. To mu jednak wyszło, ogólnie biorąc, na dobre.

Ciekawą można by przeprowadzić paralelę między Misiem Pruszyńskim i Giedroyciem. Miś jest niewątpliwie wybitnie uzdolniony wojskowo i znakomicie się pod tym względem spisywał. Giedroyc żadnych talentów wojskowych nie ma i jak zaczął swą służbę wojskową od stopnia strzelca, tak jest

nim do dziś dnia. Wejścia do podchorążówki odmówił. W Tobruku był cały czas, co zresztą nie było zbyt przyjemne ze względu na grad bomb. Miś natomiast jest zupełnie pozbawiony charakteru politycznego i właściwie nie ma żadnych ustalonych przekonań, tylko stosunki osobiste z ludźmi najróżniejszych obozów. Kot zrobił go swoim sekretarzem czy czymś takim, co go skłoniło do napisania jakiejś broszury o stosunkach polsko-rosyjskich, podobno okropnej, w której dowodzi, że to nasi geniusze wystrychnęli na dudków Stalina z Mołotowem. Zaznaczam, że tego opus nie czytałem, ale mówił mi o nim wiarygodny i bezstronny Lityński. Ostatecznie poszedł do lotnictwa, gdyż podkreślam, że wojskowo ma wielkie zalety i charakter, ale nie w innych dziedzinach. Nie rozumie on, że człowiek powinien wybrać sobie jakiś kierunek czy jakąś ideologię i nie zmieniać jej zależnie od serii śniadań. Zawiodłem się na nim. Ma wszystkie wady i Ksawerego, i nawet (horribile dictu) Kleszczyńskiego. Proszę Cię, pokaż mu ten list, gdyż chcę, aby wiedział, co myślę o całej jego kotjadzie.

Giedroyc jest niewątpliwie człowiekiem w zupełnie innym stylu. W ogóle niepodobna sobie wyobrazić, aby jakiś cykl śniadań mógł przerobić jego linię. To on ludzi przerabia, a nie ludzie jego. Miś jest niewątpliwie bardzo zdolnym człowiekiem i chciałbym go widzieć na stanowisku ministerialnym. Nigdy jednak nie wprowadziłbym go do właściwego kierownictwa. Giedroyc natomiast to jest *capacitas*, która może sięgnąć tam, gdzie się sprawy decydują.

Wracając do spraw bardziej przyziemnych — zdaje się, że otrzymałeś zaproszenie do współpracy w tygodniku „Orzeł Biały”. Jest to organ APW opanowany mniej więcej przez współpracowników, którzy albo należeli do dawnej „Polityki”, albo po wojnie do niej się zaczęli przyznawać. Pismo jest bardzo bogate i bardzo słabo redagowane przez Józefa Poniatowskiego z „Gospodarki Narodowej”. Jeżeli

potrzebujesz pieniędzy, to mogę ci gwarantować, że oszczędzać nie będą. Podziwiałem niedawno twoje świetne pióro w recenzji z Mackiewicza i z Maurois. „Wiadomości Polskie” to doskonale redagowane pismo, szkoda, że psuje je grafomania Nowakowskiego. Nie rozumiem, jak publicysta na tak niskim poziomie może być dopuszczony do tak dobrego pisma. Ksawerego najlepszy był (formalnie) artykuł wobec Rosji. W tym, co normalnie pisze, jest niestety jak zwykle mnóstwo grafomanii i ciągła chęć zachwycania czytelnika swoją wiedzą historyczną, która jest pod wielkim znakiem zapytania. Czasem się to przekształca w zwykłą szmirę. Czekam z niecierpliwością jego książki o Kościuszcze, aczkolwiek irytuje mnie w niej ciągłe dążenie do schlebienia naraz wszystkim. Niemniej jednak jest to wielki talent publicystyczny, tylko nie może pisywać zarobkowo. Musi pisywać wtedy, kiedy naprawdę ma myśl z pogranicza literatury i polityki.

Wyobraź sobie, że odkryłem tu niespodziewanie wielką capacitas w tej dziedzinie, która nas interesuje. Jest to niejaki Jan Ułatowski, były attaché prasowy poselstwa w Budapeszcie. Fenomenalnie uzdolniony człowiek, nie rozumiem, że dotąd tak mało znany. Rozmawiałem długo z Kotem. Wydał mi się silną indywidualnością, o ile chodzi o charakter, i wielkim znawcą de la chose politique, ale jego koncepcje i inteligencja wydają mi się nieciekawe. Pewnie będzie bidolacha czytać ten list. Bardzo zdrowo tak się czasem dowiedzieć o sobie prawdy. Imponuje mi natomiast swoim wspaniałym rzeczywistym demokratyzmem i chęcią rozmawiania z każdym, który się do niego zgłosi. W obecnym rządzie niewątpliwie najwybitniejsza jednostka.

Kiedy po wojnie Kot znalazł się w Paryżu, był w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Mieszkał w jakimś hotelu

koło Opery i był, jak się dowiedziałem, po prostu bez pieniędzy; nie miał nawet na zapłacenie hotelu. Wtedy pojechałem do niego i zaoferowałem mu pomoc, tj. zapłacenie tego hotelu; trzeba też było zabezpieczyć około pięćdziesięciu walek jego materiałów i dokumentów, głównie naukowych. Kot zamieszkał wtedy u nas przez kilka dni i bardzo zaprzyjaźnił się, co nie przeszkadzało mu nadal żywić jego różnych manii. M.in. twierdził uporczywie, że zamach na Sikorskiego zrobili Polacy. Tyle tylko, że już nie oskarżał o to Andersa, ale mówił o grupie nazistowskiej w Pierwszym Korpusie w Anglii.

Był to wybitny uczony, wobec którego nieprzyzwoicie zachowała się Maria Dąbrowska. Kot powiedział mi kiedyś, bodaj pod koniec lat czterdziestych, że chciałby kogoś wykształcić, kto by mógł kontynuować jego badania naukowe. Zapytałem go zatem, czy nie liczy się z powrotem do Kraju. Odpowiedział, że gdyby mu zapewniono możliwość pracy i przydzielono sekretarza znającego łacinę, toby natychmiast wrócił. Napisałem do Marii Dąbrowskiej, wykładając jej całą tę historię i bardzo prosząc, by zajęła się tą sprawą. A ona mi nawet nie odpisała, choć wiem, że mój list do niej doszedł. A przecież powinna była mieć do Kota bardzo pozytywny stosunek, choćby ze względu na Jerzego Stempowskiego.

Ambasadę w Bukareszcie zlikwidowano 4 listopada 1940 r. Przedstawicielstwo interesów polskich objęli Chilijczycy, którzy okazali się agentami gestapo. Z ambasadorem Chile ustalono, że stworzone będzie biuro polskie, którego szefem będzie ja, a w którego skład wejdą m.in. Wolski, Piestrzyński, mjr Ziemiański i Sypniewski. Wkrótce potem przyjechał Mikiciński. Była to bardzo tajemnicza postać: rosyjski Żyd, który robił interesy z Chile przed wojną i był w Warszawie chilijskim konsulem honorowym. Zaraz po wybuchu wojny wypłynął w Stambule i zaczął się zajmować szmuglem między Polską

a Niemcami: wywoził z Polski różne panie, m.in. Sosnowską, a wwoził do Polski ogromne pieniądze. Zdobył sobie zaufanie Kota, a ponieważ w ambasadzie były wielkie ilości złotych, które leżały w piwnicach, więc on to zabierał i wwoził do Polski. Trzeba przyznać, że załatwiał to przyzwoleniem. Ale zaufania do niego nie mieliśmy. Później Anglicy, których bardzo niepokoiła jego działalność w Stambule, porwali go, wywieźli na Środkowy Wschód i rozstrzelali.

Mikicińskiego interesowała przede wszystkim sprawa ewakuacji wojska, czym się zajmował Ziemiański. Gdy odmówiliśmy mu dostępu do tych spraw, zwolnił mnie z zajmowanego stanowiska w ambasadzie chilijskiej i zażądał mego natychmiastowego wyjazdu z Rumunii, rzekomo na żądanie władz rumuńskich, co było oczywistą nieprawdą.

Poselstwo chilijskie nie było uznawane przez Anglików, którzy współpracowali jedynie z nami. Urzędowanie odbywało się w sposób bardzo zabawny, bo po mieszkaniach prywatnych, kawiarniach, a nawet w Athénée Palace, który był zarekwirowany przez Niemców. Dla zwykłej publiczności był dostępny tylko parter z barem i czytelnia. Tam głównie urzędował Włodek Wolski. Było to niewątpliwie najbardziej bezpieczne miejsce.

Z Bukaresztu wywieźli mnie Anglicy. Byłem zaprzyjaźniony z ambasadą angielską, zwłaszcza z Hankeyem; moje kontakty z nim ułatwiał fakt, że on doskonale znał sprawy polskie i mówił po polsku. Były to stosunki nie tylko osobiste, ale również oficjalne: z ramienia Raczyńskiego chodziłem na konferencje w ambasadzie angielskiej, w których uczestniczył często konsul generalny, Doran, bardzo nieprzyjemny typ, zapewne przedstawiciel angielskiej Dwójki. Dyskutowano tam m.in. zorganizowanie sabotażu w Ploiești, aby uniemożliwić Niemcom wykorzystywanie nafty rumuńskiej, nic z tego jed-

nak nie wyszło. Gdy Anglicy musieli zlikwidować swą ambasadę, Hankey przyjechał do mnie i powiedział, że za dwie godziny wyjeżdżają i że muszę wyjechać z nimi, gdyż wedle ich informacji grozi mi niebezpieczeństwo. Miała z nim wyjechać również córka Beckowej, ale w ostatniej chwili odmówiła.

Razem ze mną wyjechała reszta członków Sekcji Polskiej. Został tylko major Ziemiański, który prowadził akcję wojsko-wywiadowczą w ramach tzw. akcji kontynentalnej; kierował nią płk Kowalewski w Lizbonie. Przed wojną mjr Ziemiański był szefem ochrony Marszałka Piłsudskiego; w Rumunii był pod nazwiskiem Mościbrodzki. Jego dalsze losy były tragiczne. Zaaresztowany pod koniec wojny przez Niemców, przeszedł ciężkie śledztwo i był torturowany. Przejęty później przez Sowietarzy, został wydany Polsce Ludowej. Z polskiego więzienia wyszedł z zupełnie zrujnowanym zdrowiem. Bardzo się z nim przyjaźniłem i bardzo go ceniłem. Staralem się mu pomagać do końca jego życia.

Nasza placówka miała niełatwe zadanie. Ambasada wyjechała w dużym popłochu. Kontrolując jej gmach po wyjeździe, natrafiliśmy na zbiór bardzo cennych map Bałkanów, skryzynie z bronią i amunicją („visy”), jakieś fragmenty radiostacji. Broń zatopiliśmy w jeziorze, mapy odwiozłem Anglikom, którzy byli uszczęśliwieni, bo właśnie były niezmiernie potrzebne. Na szczęście załatwiliśmy to bardzo szybko, gdyż następnego dnia był nalot Żelaznej Gwardii na ambasadę. Przy tych wszystkich kłopotach było trochę rzeczy ciekawych politycznie. Utrzymywałem w tym czasie bardzo żywą korespondencję z Norbertem Żabą, który był na naszej placówce w Finlandii. Korespondowaliśmy z powodzeniem, używając atramentu sympatycznego. Od niego dowiedziałem się o rosnącej koncentracji wojsk niemieckich w Finlandii. Niestety ta wiadomość

została przyjęta z wielkim sceptycyzmem zarówno przez Anglików, jak przez naszą ambasadę w Ankarze.

Drugą bardzo ważną sprawą była oferta Maniu, szefa rumuńskiej Partii Narodowo-Chłopskiej, który był wielkim autorytetem w społeczeństwie rumuńskim. Władysław Wolski znał go bardzo dobrze jeszcze z okresu przedwojennego. Otóż Maniu wezwał go do siebie i oświadczył, że gotów jest wyjechać potajemnie z Rumunii i założyć Komitet Wolnych Rumunów. Przekazaliśmy tę informację natychmiast do Stambułu, ale nigdy nie dostaliśmy odpowiedzi. Trudno dziś ustalić, czy to nie zainteresowało Anglików, czy też jest przykładem polskiego niechlujstwa.

W Stambule zostałem około miesiąca. Musiałem zdać sprawozdanie z okresu po wyjeździe ambasady i czekałem na przyjęcie do wojska. Byłem zdecydowany nie podejmować żadnej pracy. W Rumunii miałem masę ważnych i ciekawych rzeczy do zrobienia, toteż nie bardzo się do wojska spieszyłem. Ale w Stambule nie miałem nic do roboty. Chyba żebym szukał jakiejś posadki, gdzie spokojnie można tę wojnę przeczekać. Wobec tego zgłosiłem się do wojska. Byłem wprawdzie zwolniony ze służby, ale na komisji przyznano mi „A” kolonialne. Od tej chwili skończyły się też wszystkie moje kłopoty z Kotem i Sikorskim. Kot miał szczególny stosunek do wojska. Był np. taki konsul Kański, który prowadził działalność Stronnictwa Narodowego w Bukareszcie. Typowy endek, z którym utrzymywałem względnie dobre stosunki. Był on w wielkiej wojnie z Kotem. Gdy znalazł się w Stambule, zamierzano wziąć go do wojska. Na to Kot powiedział: „Nie, tak go niszczyć nie można. Zrobię go konsulem generalnym w Nairobi”. Wojsko było w pojęciu Kota zesłaniem. Tak więc z chwilą, gdy znalazłem się w wojsku, byłem wedle Kota zamknięty i unieszkodliwiony. Co nie wykluczało dalszej inwigilacji.

WOJSKO

Ze Stambułu pojechałem do Palestyny, do Brygady Karpackiej. Byłem tam w ośrodku zapasowym, w kompanii szkolnej. Bocheński i Pruszyński byli już w Egipcie, ale zaraz nawiązali ze mną kontakt. Szkolenie trwało trzy miesiące. Stamtąd pojechaliśmy do Egiptu, a potem był Tobruk. Dla mnie były to przyjemne wakacje, poza ostrzeliwaniem, bombardowaniem i nalotami, które działały na nerwy: śliczne morze, śliczna plaża. Brygada Karpacka była wybitnie inteligentna i w moim schronie utworzył się od razu klub dyskusyjny: spotykano się tam wieczorami i dyskutowano, co wywołało po jakimś czasie zaniepokojenie Drugiego Oddziału, który, zapewne z braku innych zajęć, pilnie nas obserwował. Przestrzegano nas, że takie rozmowy nie powinny mieć miejsca, a Erdmanowi zabrano nawet pamiętnik, który pisał, i nigdy go nie oddano; albo go zniszczono, albo gdzieś zginął, jak wiele innych rzeczy. Poza tym w transportówce był Ignacy Kleszczyński, który zaczął wydawać pismo „Przy kierownicy w Tobruku”, w czym mu pomagałem. Wychodziło na papierze pakowym i było bardzo zabawne.

W naszych dyskusjach uczestniczyli Erdman, Adzio Bocheński, pewien pisarz i poeta, który potem wrócił do Kraju, a którego nazwiska nie pamiętam, i wiele innych osób. Dyskutowano głównie o przyszłości, o urządzeniu Polski po wojnie. Wyobrażenia o tym były dość rewolucyjne, zwłaszcza w kwestiach socjalnych; mówiono o potrzebie reform, zaczynając od samego wojska, przy czym ujmowano je radykalnie. Sam byłem bardzo radykalnie nastawiony, zwłaszcza wobec spraw gospodarczych i narodowościowych. Reforma rolna nie mogła rozwiązać moim zdaniem przeludnienia wsi bez intensywnego uprzemysłowienia zdolnego wchłonąć bezrobocie. Spraw ustrojowych, konstytucyjnych nie porusza-

no; nikogo to chyba specjalnie nie interesowało. Dużo mówiono o antysemityzmie, może dlatego, że w kompanii, w której byłem, było bardzo wielu Żydów, inteligentów, przeważnie adwokatów. Nie mieliśmy wtedy pojęcia o wyniszczeniu Żydów w Polsce, zastanawiano się więc nad tym, jak rozwiązać problem biedoty żydowskiej. Zresztą o sytuacji w Kraju wiedzieliśmy bardzo mało. To, co przenikało do Bukaresztu, dotyczyło głównie spraw wojskowych, tzn. ruchu oporu, i tylko w bardzo nikłym stopniu życia społecznego. A na Środkowy Wschód żadne wiadomości z Kraju nie docierały.

Z Tobruku przeniesiono nas do Palestyny, a stamtąd — do Iraku. W Palestynie mieliśmy początkowo okres wypoczynku po kampanii, która była bardzo męcząca i w której toku Brygada poniosła duże straty. Później zaczęło się bardzo intensywne szkolenie, głównie w dziedzinie obsługi samochodów i motocykli, której znajomość była bardzo słaba. Co do mnie, zajmowałem się również działalnością oświatową: organizowałem odczyty dla żołnierzy, pogadanki itp. Później w Iraku, kiedy zjawili się wojsko Andersa, wybuchł silny antagonizm między nim a Brygadą, o czym dalej. Szło to tak daleko, że kiedy Czapski zaproponował mi przejście do Propagandy, a ja tę propozycję przyjąłem, Kopański, który mnie nie znał, najwyżej coś o mnie słyszał, powiedział mi: „Jak tam będzie panu bardzo źle, niech pan da znać, a natychmiast pana odbierzemy”. A mój dowódca, mjr Woźniak, zapewnił: „Jak będzie trzeba, to cię odbijemy”.

Było to głębsze niż pospolite rywalizacje wojskowe. Już wtedy krążyła legenda, że Anders jest przeciw Sikorskiemu. Nastawienie Brygady Karpackiej było lojalistyczne, pro-Sikorskie; kiedy były próby Klimkowskiego, to Brygada — wtedy już dywizja — była zdecydowana je pacyfikować. A gdyby był jakiś pucz ze strony Andersa, to byłby bunt dywizji. Później to się zupełnie rozeszło, dzięki temu, że Anders, jaki był, taki

był, ale był doskonałym dowódcą z ogromnym wyczuciem żołnierza. Pamiętam taką scenę z wizyty Sikorskiego na Środkowym Wschodzie: Sikorski idzie przed kompanią honorową, zatrzymuje się przed jakimś żołnierzem, który płacze z wrażenia; było to dla niego ogromne przeżycie, stał przecież przed wybawicielem. A Sikorski zachowuje drewnianą twarz, stawia kilka szablonowych pytań, staje przed następnym i powtarza się to samo. Drewniany człowiek. Natomiast Anders miał bezpośredni stosunek do ludzi i był bardzo demokratyczny.

Weźmy oficerów oświatowych: byli to przeważnie strzelcy, najwyżej podoficerowie. Wprowadzono wtedy, co było rewolucją, tzw. PRO (*Public Relations Officer*), który miał zielone patki, wyrównanie z pieniędzy wojska do stopnia podporucznika, prawo bywania w kasynie; słowem, zostawał oficerem. Była to inicjatywa Czapskiego i moja, ale Anders bez chwili dyskusji na to poszedł. Inny przykład: szkolnictwo. Prowadził je, razem z naszym nieżyjącym przyjacielem, Zielićkim, płk Aleksandrowicz, wspałały człowiek, rektor Akademii Weterynaryjnej we Lwowie, z ładną przeszłością naukową i w najlepszym sensie tego słowa humanista. Postawił on to szkolnictwo na doskonałym poziomie. Ale nie przydało się to chyba na nic. Gdy przyszedłem do Propagandy, nawiązałem kontakt z Lechoniem i Polonią amerykańską; załatwiłem z nimi, że Amerykanie dadzą sto stypendiów na studia na politechnikach. Myślałem, że złapałem Pana Boga za nogi. A Aleksandrowicz, do którego z tym przyszedłem, obruszył się na mnie i oświadczył: „Gdyby mój syn w czasie wojny poszedł na studia, tobym się go wyrzekł”. I nikt nie poszedł. Po czym większość tych świetnie wyszkolonych przez Aleksandrowicza młodych ludzi zginęła pod Monte Cassino. Nie umieliśmy robić tego, co świetnie robili Czesi: szkolić ludzi i oszczędzać ich.

Gdy tylko zaczęli przyjeżdżać ludzie ze Związku Sowieckiego, jeszcze do Palestyny, powstało muzeum Drugiego Korpusu Wojska Polskiego, które prowadził Walerian Charkiewicz i które zebrało wszystkie materiały i relacje składające się na tzw. archiwum Andersa, obecnie w Stanfordzie. Każdy, kto przeszedł przez Związek Sowiecki, musiał spisać swoją relację. To wspaniały materiał. Solżenicyn, który uzyskał pozwolenie na zapoznanie się z tym archiwum, był wstrząśnięty, gdyż znalazł tam dane, o których nie miał pojęcia, nazwiska szefów poszczególnych łagrów itp. Co do mnie, to dowiedziałem się o tym, co działo się w Związku Sowieckim, dopiero od Czapskiego. Znałszy się bardzo przelotnie jeszcze przed wojną, a poza tym Czapski czytał „Bunt Młodych” i „Politykę” i przyjaźnił się z Adziem Bocheńskim. Toteż gdy zjawiał się na Bliskim Wschodzie, ściągnął mnie od razu do Propagandy.

Nasza pierwsza rozmowa była dosyć dramatyczna. Byłem wtedy mocno przeziębiony i leżałem w swoim namiocie. Czapski przyszedł z propozycją przejścia do Propagandy. A ja dostałem wtedy ataku czarnego pesymizmu: powiedziałem, że to wszystko nie ma sensu i nigdzie nie pojadę. Myślałem, że na tym sprawa się skończyła. Ale na Czapskim zrobiło to bardzo duże wrażenie i zaczął jeszcze mocniej nalegać. Przekonał mnie ostatecznie, pokazując mi możliwości tej pracy, ale jeszcze większą rolę odegrał jego bardzo serdeczny stosunek do mnie, przyjaźń, która nawiązała się między nami prawie z miejsca; w tym okresie Czapski był dla mnie kimś niezmiernie bliskim, najbliższym po Rogerze Raczyńskim. Major Klimkowski, oficer do zleceń Andersa, bardzo popierał pomysł Czapskiego, gdyż chciał mnie wciągnąć do swojej mafii.

Mafia założona w Iraku przez Klimkowskiego pod hasłem *salus rei publicae* była to impreza niepoważna, z wizją Polski sięgającej pod Smoleńsk; wydano nawet specjalną mapę z tymi granicami, którą później bolszewicy wykorzystali pro-

pagandowo. Klimkowski przejawiał niezwykle dynamizm, wydawał się człowiekiem bardzo zdecydowanym i twardym. Było w nim coś z watażki. I choć był bardzo prymitywny — a może właśnie dlatego — fascynował intelektualistów. Pod jego ogromnym wpływem byli Józio Czapski, Ulatowski, Adzio Bocheński. Poznałem go jeszcze w Bukareszcie, gdyż był pierwszym człowiekiem, który przyszedł z Kraju jako wysłannik Andersa: opowiadał o Andersie, o sytuacji w Polsce i zrobił wielkie wrażenie. Wysłano go natychmiast do Paryża, skąd wrócił do Kraju. Odbił tę drogę jeszcze kilkakrotnie. Ale podczas któregoś z jego pobytów przyszło polecenie z Paryża, by zerwać z nim wszystkie stosunki i zatrzymać go w Rumunii, gdyż ciążył na nim jakieś podejrzenia. Klimkowski przyjechał z Paryża ostatnim pociągami, jaki jechał przez Włochy w przeddzień wypowiedzenia przez nie wojny Francji. I znikł, nim dotyczące go polecenie do nas doszło; widocznie znanymi sobie drogami wrócił do Kraju.

Po powrocie do Polski został aresztowany przez Rosjan i trafił na Łubiankę. Gdy tworzone Korpus, Anders wziął go do siebie, gdyż miał go przed wojną w swoim pułku. Był on nominalnie dowódcą jakiegoś pułku, ale faktycznie był zaufanym adiutantem Andersa, zajmował się jego archiwum i Anders brał go wszędzie ze sobą, nawet na rozmowy ze Stalinem. I we wszystkich budził jakieś dziwne zaufanie. Jedną z osób, które oczarował, był prof. Kot, który, w czasie pobytu na Środkowym Wschodzie, spędzał godziny na rozmowach z nim, tak że poważnie mówiło się o zajęciu przez Klimkowskiego jakiegoś stanowiska w rządzie; ten flirt był posunięty bardzo daleko. Na Środkowym Wschodzie protegował go też angielski oficer łącznikowy przy Andersie, Hulls, postać dość dziwna, gdyż był żonaty z Rosjanką, która była w łagrach.

Gdy znalazłem się w Propagandzie, dowiedziałem się od Józia, że kiedy Drugi Korpus był w Rosji, Klimkowski uwa-

żał, że należy zbuntować się i opanować Kaukaz, żeby odciąć Rosję od ropy. Prowadził na ten temat głośne rozmowy w namiocie i nie krył się bynajmniej ze swymi poglądami. Wyglądało to na zupełną prowokację. Moi przyjaciele chcieli, bym wstąpił do mafii Klimkowskiego. Odmówiłem. I wtedy przyjechał Klimkowski. Nasza rozmowa była bardzo krótka. Powiedziałem mu, że nie mam zaufania do niego i do jego organizacji, co on przyjął z dziwnym spokojem: nie awanturował się, nie próbował mnie przekonywać.

Po czym były nieudane projekty zamachu na Sikorskiego podczas jego ostatniej wizyty na Środkowym Wschodzie. Nie znam szczegółów. Skończyło się tym, że Anders polecił aresztować Klimkowskiego i zabrać wszystkie dokumenty i materiały, które były w jego posiadaniu. Był on potem w angielskim więzieniu w Jerozolimie, skąd go wypuszczono pod koniec wojny. Wtedy wrócił do Polski, gdzie wydał kilka bardzo zakłamanych i antyandersowskich książek.

Trzeba przyznać, że Sikorski zrozumiał, o co szło, i rozegrał sprawę dość zręcznie. Obiecał Andersowi odsunięcie Kota, co do którego zgodził się, że jest szkodliwy i drażni, i że to on przez swą politykę personalną jest przyczyną wszystkich nieporozumień i kwasów. Zrobił też kilka gestów pod adresem pilsudczyków. Np. u gen. Wiatra nakazał odegrać *Pierwszą Brygadę*, mówiąc do orkiestry: „Pewnie jeszcze nie zapomnieliście”. Wiatr był rozsmarowany jak masło. Były to chwyt prymitywne, ale skuteczne. Później, już w Gibraltarze, rozmawiając z Ludwikiem Łubieńskim, Sikorski obiecał interweniować w sprawie wypuszczenia Becka z internowania w Rumunii. Przekonał go do tego Łubieński, który był sekretarzem Becka, nim poszedł do wojska i został oficerem łącznikowym w Gibraltarze, a który później był wiernym adiutantem Andersa. W końcu jednak Beck zmarł w Rumunii; wraz z nim przebywał w Rumunii mój minister, Antoni

Roman. Gdy Sowieci wkroczyli do Rumunii, Roman wrócił do Polski, gdzie objął stanowisko radcy ekonomicznego w MHZ. Nie wypuszczano go na Zachód, ale wyjeżdżał do Kairu i różnych dalekich krajów, skąd pisywał do mnie listy.

Czapski niemal natychmiast zaczął opowiadać nam o swoich przeżyciach w Związku Sowieckim i o Katyniu. Rozmowa na ten temat odbywała się głównie w łaziku, którym jeździliśmy po pustyni, odwiedzając rozmaite punkty, gdzie stacjonowało nasze wojsko. Siedząc w łaziku, owinięci mokrymi prześcieradłami, prowadziliśmy nie kończące się rozmowy. Okres spokojnych rozmów mieliśmy potem w Quizil Ribat, gdzie mieszkaliśmy cztery dni w tamtejszej szkole w związku z organizowaniem szkolnictwa w Drugim Korpusie i gdzie głównie siedzieliśmy w jakiejś arabskiej kawiarni i gadali. Kiedy sprawa Katynia stała się publiczna, stanowisko całego Drugiego Korpusu, z Andersem na czele, było jednoznacznie ostre. Opinia wojska, nie tylko mojego otoczenia, była najzupełniej jednolita. Uważaliśmy wszyscy, że to trzeba wyświetlić do końca. Na tym tle zarysowały się pierwsze konflikty Andersa z Sikorskim.

Moją pracę w Propagandzie zacząłem od bycia czymś w rodzaju sekretarza Czapskiego. Zająłem się wtedy reformą „Orla Białego”, który był tak nieudolnie robiony, że nawet nie ukazywał się na czas. Szło więc o zorganizowanie drukarni i uporządkowanie samej redakcji, która była równie pocziwa, co niesprawna. Dopiero po kilku miesiącach wziąłem się do wydawnictw. Zacząłem od stworzenia dziennika. Zaczął on właściwie wychodzić jeszcze w Bagdadzie, z inicjatywy Kota, jako pismo tzw. PIC (*Polish Information Center*). Ale jak tylko przyszedł red. Ludwik Rubel, który podporządkował się z miejsca Andersowi i zdradził Kota, zrobiło się z tego pismo Korpusu.

Potem powstało pismo codzienne w Palestynie. Do tego

doszły książki. Podlegały mi również takie pisma, jak „Parada”, które było właściwie pismem angielskim, ale na którego obsadę personalną i linię redakcyjną mieliśmy decydujący wpływ. W tym okresie zaczęła się moja znajomość z Mieroszewskim, choć on twierdził, czego ja nie pamiętam, że spotkaliśmy się kilkakrotnie jeszcze w Rumunii, gdzie on z ramienia ataszatu wojskowego jeździł po obozach i wygłaszał pogadanki do żołnierzy. Pierwsze spotkanie, które pamiętam, było w „Paradzie”. Było ono dość bezbarwne. Dopiero w Rzymie, w okresie likwidowania Drugiego Korpusu, poznaliśmy się bliżej i zaprzyjaźnili.

W Iraku zaczęła się również współpraca z Zosią. Gdy dostałem przydział do Propagandy, pojechałem pociągiem z Bagdadu do Quizil Ribat. W pociągu były straszliwe hałasy, ktoś się głośno śmiał, prowadzono donośną rozmowę, co mnie bardzo irytowało. Po przyjeździe umieszczono mnie w jakimś namiocie, jak każdego soldafona. Następnego dnia przyszedłem do namiotu Czapskiego, żeby zacząć urzędować, a tu jakaś ochotniczka włązi mi dość bezczelnie do namiotu i pyta o Czapskiego. Mówię: „Nie ma go”. „No to ja poczekam”. Byłem wściekły. Tak że pierwsze zetknięcie nie było zbyt udane. Później, w Bagdadzie, kiedy biuro Czapskiego zaczęło funkcjonować już nie tak bałaganiarsko jak przedtem, wspólna praca nas zbliżyła.

Mieliśmy następujące pisma: „Orla Białego”, „Dziennik Żołnierza”, a później w Bari również „Gazetę Żołnierza”. Moja rola w stosunku do nich polegała na nadzorze redakcyjnym: na doborze współpracowników i na prowadzeniu z nimi dyskusji. W „Dzienniku Żołnierza” był bardzo interesujący dodatek literacki. Starłem się tam wciągnąć wszystkich interesujących ludzi, zwłaszcza pisarzy i poetów. Chciałem też, by mieli nieco łatwiejsze warunki. Prawie wszyscy byli w linii. Organizowałem więc pod dowolnym pretekstem zebra-

nia literatów czy dziennikarzy, naprzód w Tel Awiwie, później w Neapolu, by mogli dostać przepustki i przyjechać na dwa-trzy dni. Dla nich to był pewien wypoczynek, a myśmy mogli ich wykorzystywać redakcyjnie czy zamawiać u nich materiały.

Jeszcze w Palestynie zetknąłem się z Broniewskim, którego przed wojną nie znałem. Miałem z nim bardzo serdeczne stosunki. Nie aż tak bliskie jak Mieroszewski, gdyż oni obaj z Broniewskim straszliwie wtedy pili i bardzo się lubili. Drukowaliśmy jego wiersze, które przez pewien czas szły jako artykuły wstępne. Była to moja inicjatywa. Ponieważ mieliśmy trudności z cenzurą, przyszło mi na myśl, że na wiersz nikt nie zwróci uwagi. Cenzurę mieliśmy tylko angielską; Anglicy mieli ludzi, którzy doskonale znali polski i którzy mieli pilnować, by nie ukazał się żaden artykuł antysowiecki. Stosunki z nimi były bardzo trudne. Ale wiersze zbagatelizowali. Mieli pretensje dopiero po fakcie, kiedy nic nie można już było zrobić.

Ze strony polskiej wtrącały się w nasze sprawy dowództwo i Dwójka. Po artykule pod tytułem *Libia i Cassino* miałem awanturę z człowiekiem niezmiernie sympatycznym i bardzo nam przyjaznym, którym był gen. Wiśniowski. Artykuł został odczytany jako zniesławienie Drugiego Korpusu; jak można Monte Cassino zestawiać z Tobrukiem? Razem z Józefem Poniatowskim, który był redaktorem naczelnym „Orla Białego”, byliśmy wezwani na odprawę i nie tylko zostaliśmy obsztorcowani, ale ukarano nas też aresztem domowym za obniżanie rangi Monte Cassino.

Poza Broniewskim poznałem wtedy kilku innych poetów: Bielatowicza, Olechowskiego, Międzyrzeckiego, który był podchorążym w jakimś pułku artylerii i bardzo podkochiwał się w Zosi. Gustawa Grudzińskiego poznałem później, już po Monte Cassino, na południu, kiedy szedł do podchorążówki.

Nie znalazłem wtedy niczego, co napisał, ale zaprzyjaźniliśmy się i ustaliliśmy, że po skończeniu przezeń podchorążówki będę zabiegał o przydzielenie go do „Orla Białego”, żeby objął dział literacki, co udało się załatwić bez większych oporów.

Książkami zająłem się dopiero w Rzymie. Przedtem nie było to potrzebne. W Jerozolimie działało wydawnictwo Scharfa, które zorganizował Łukasz Kurdybacha i które stworzyło wspólną bibliotekę. Działał też płk Tworzydło, który wydawał różne teksty na powielaczach, nie tylko regulaminy wojskowe. Janina Piłatowa przygotowała antologię na wzór przedwojennej *Mówią wieki*. W Rzymie stworzyłem bibliotekę „Orla Białego”. Dobór tytułów był dość przypadkowy. Nie zamierzałem wydawać klasyki. Chodziło mi o naświetlanie współczesnych tematów politycznych, o publicystykę. Chciałem móc wykorzystać ludzi i materiały z Anglii i Stanów Zjednoczonych. Byłem w kontakcie z pismem, które nazywało się „Tygodnik Polski” i było redagowane przez Lechonia; dostawałem od nich różne materiały i sam wiele im posyłałem. W Londynie była wtedy Maja Prądyńska. Przez nią starałem się ściągnąć do naszych pism publicystów mieszkających w Londynie, co podnosiło poziom, a zarazem stanowiło formę pomocy, gdyż Korpus miał dużo pieniędzy i płaciliśmy dobre honoraria.

Późnym latem 1944 roku — a nie w 1943, jak wydrukowano przez pomyłkę w jednym z wywiadów ze mną — zostałem usunięty z Propagandy. Odegrały w tym na pewno rolę naciski Londynu. Ale również to, że popsuły się moje stosunki z Andersem. W Londynie zastrzeżenia do mnie miał Kukiel. Nie podobało mu się, że reportaże i inne teksty pisał dla mnie Wańkowicz. Ogłaszał on wtedy m.in. *Listy perskie nie-Monteskiusza*. Kukiel przysłał na to szyfrówkę do Andersa, żeby natychmiast przerwać druk, bo może to narażać polsko-irańskie stosunki dyplomatyczne. Wańkowicz nie pisał nic nad-

zwyczajnego; reportaże jak reportaże. Ale Kukiel uważał to za strasznie groźne. Andersowi zależało wtedy bardzo na poprawnych stosunkach z Mikołajczykiem, więc wykorzystano to, by mnie usunąć, gdyż pewne strony mojej działalności różni ludzie uważali za szkodliwe.

Stanowisko Andersa wobec mnie było odbiciem jego stosunków z Czapskim. Czapski miał bardzo bliski i dobry kontakt z Andersem tak długo, jak długo był przy nim. Z chwilą gdy Anders został na południu Włoch, a Czapski znalazł się w Rzymie, ten kontakt bardzo się rozluźnił. Między mną a Andersem nie było żadnych istotnych różnic ani w stanowisku wobec Rosji, ani w stanowisku wobec Powstania Warszawskiego. Ale Anders w swoim stosunku do ludzi kierował się zawsze względami osobistymi. Z chwilą gdy wpływ Czapskiego osłabł, jego opinię o mnie zaczął urabiać płk Bąkiewicz, szef Dwójki, który był do mnie bardzo negatywnie nastawiony, chyba głównie z uwagi na nadmiernie, jego zdaniem, niezależne prowadzenie przeze mnie polityki wydawniczej. Postanowił on zmienić cały skład Propagandy. Toteż Józia wysłano do Paryża, by stworzył tam placówkę Drugiego Korpusu, usunięto Józia Zielickiego, który był zastępcą Czapskiego; zostawało pozbycie się mnie. Na moje miejsce przyszedł porucznik Telmany, który był pupilem Bąkiewicza.

Mnie wysłano wtedy do Gallipoli, do ośrodka szkoleniowego broni pancerniej, by wreszcie zrobić ze mnie oficera. Był to duży ośrodek, gdzie były podchorążówki i kursy. Spędziłem tam dobrych kilka miesięcy i odmroziłem sobie ręce. Moje szkolenie było powierzchowne i nikt go nazbyt poważnie nie traktował. Powierzono mi zadanie oficera oświatowego. Wyjechałem stamtąd na skutek depeszy Andersa wzywającej mnie do Londynu. Uratowało mnie to przed wydarzeniem, które nie wiem, jak bym przeżył. Dostałem od dowódcy ośrodka, płk. Szostaka, polecenie przygotowania akademii ku czci

Piłsudskiego i wygłoszenia referatu. W życiu nie mówiłem publicznie i nie wiedziałem, jak z tego wybrnąć. Na szczęście nagle przyszła depesza od Andersa wzywająca mnie pilnie do Londynu. Szostak wobec tego odesłał mnie czym prędzej do Rzymu i ta akademia została mi oszczędzona.

Sprawa ta miała swoje kulisy. Dodatkowym powodem, dla którego Bąkiewicz odnosił się do mnie nieprzyjaźnie, były moje stosunki z Niezbrzyckim. Bąkiewicz był do niego źle nastawiony, ponieważ z jego powodu bardzo wiele wycierpiał w niewoli sowieckiej. Był on przed wojną szefem biura studiów Drugiego Oddziału; gdy dostał się do niewoli sowieckiej, NKWD, czy jak to się wtedy nazywało, interesował się działalnością Oddziału, a zwłaszcza — Niezbrzyckim, i on był z tego powodu nieludzko katowany. Kiedy Niezbrzycki przyjechał do Włoch wygłaszać jakieś odczyty i spotkał się z Bąkiewiczem, ten powiedział mu od razu: „A ja przez pana wiele rzeczy przecierpiałem”.

Byłem z Niezbrzyckim zaprzyjaźniony jeszcze od czasów przedwojennych. Był wybitną inteligencją i dawał się lubić; bardzo mi pomógł w uzyskiwaniu informacji o Związku Sowieckim. Niezbrzycki, jako bardzo młody człowiek, działał w POW na Ukrainie i był pupilem starego Stempowskiego i Józewskiego. Był oficerem w oddziałach Petlury. Gdy to wszystko się skończyło, został przyjęty do Drugiego Oddziału na polecenie Piłsudskiego, który go pamiętał z tamtych czasów. W okresie, gdy Petlura już był w Krzemieńcu, Niezbrzycki przyjechał do Warszawy do Stempowskiego jako piękny esaul ukraiński. U Stempowskiego był wtedy Józewski, który uznał, że trzeba go koniecznie zawieźć do Piłsudskiego, gdyż może go to zainteresować. Pojechali więc do Belwederu. Piłsudski obejrzał piękny mundur Niezbrzyckiego i powiedział: „No, chłopcze, to do naftaliny. A ty się bierz do roboty”. Tak opowiadali mi to i Stempowski, i Niezbrzycki.

Niezbrzycki stał na stanowisku prometejskim, był zwolennikiem współpracy polsko-ukraińskiej i bardzo pomagał Bączkowskiemu w robieniu „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”. Poznałem go, jak już wspominałem, przez Zaćwilichowskiego, gdyż był, jak ja, członkiem tej zabawnej mafii, którą Zaćwilichowski stworzył. Ci dwaj nie lubili się zresztą, ponieważ Niezbrzycki zazdrościł Zaćwilichowskiemu jego roli i pozycji. Niezbrzycki, który zaczął robić karierę bezpośrednio przed wojną przy Śmigłym, znalazł się we wrześniu w Rumunii, skąd wyjechał do Francji, gdzie internowano go w Cerizay; Paryż Sikorskiego nie mógł go, rzecz jasna, tolerować, toteż padł, jak wielu innych, ofiarą czystki w Drugim Oddziale. Po klęsce Francji Niezbrzycki znalazł się w Londynie. Tam posłano go na Wyspę Węzów, gdzie internowano niewygodnych piłsudczyków, Dęba-Biernackiego i innych. Jego sytuacja zmieniła się dopiero po przyjściu Sosnkowskiego.

Wtedy zaczął działać jako publicysta. Zaprzyjaźnił się z Pragierem, który zlecał mu przygotowywanie różnych opracowań i memoriałów i z którym miał bliskie stosunki. Był też zaprzyjaźniony przez Juliusza Sakowskiego z „Wiadomościami”, tak że w kulisach tego światka londyńskiego zaczął odgrywać pewną rolę. To właśnie spowodowało wezwanie mnie przez Andersa do Londynu. Andersowi bardzo zależało na tym, by zostać Naczelnym Wodzem, którego obowiązki wtedy pełnił, ale którym nie był. Ówczesny rząd odnosił się do niego w sposób co najmniej nieufny, gdyż on nie należał do jego świata. Więc gdy Adam Pragier, pod wpływem Niezbrzyckiego, zwrócił się do Andersa, by pozwolił mi na przyjazd do Londynu, do Ministerstwa Informacji, gdzie miałem zostać dyrektorem Departamentu Kontynentalnego, Anders zgodził się na to chętnie, gdyż liczył, że będę mógł wykorzystać moje dobre stosunki z Pragierem, by skłonić Pragiera do poparcia jego kandydatury na Naczelnego Wodza. To była bardzo wy-

rażna kalkulacja. Po przyjeździe do Londynu zameldowałem się więc u Andersa, który przyjął mnie jak gdyby nigdy nic. Pragier zaczął rzeczywiście popierać Andersa na Radzie Ministrów, tak że z mego zadania się wywiązałem. Ale niewiele to Andersowi pomogło, gdyż Pragier został przegłosowany i uchwalono powołanie na Naczelnego Wodza Bora-Komorowskiego.

Moje dobre stosunki z Niezbrzyckim przetrwały jeszcze kilka lat i skończyły się bardzo dramatycznie. On zajmował stanowisko skrajne, nieprzejednane. Pisywał w „Syrenie” — było takie pismo w Paryżu. Na tle rozbieżności politycznych dochodziło między nami do poważnych scysji, tak że stosunki stopniowo ulegały ochłodzeniu. Ostatecznym powodem zerwania była sprawa Miłosza. Ale w Londynie współpracowaliśmy. Departament Kontynentalny zajmował się działalnością propagandowo-informacyjną na terenie Europy. Zorganizowano wtedy placówkę w Paryżu, której kierownikiem został Czap-ski, a wkrótce potem zaczęły się prace likwidacyjne, m.in., co było bardzo kłopotliwe, likwidowanie wszystkich agend rządu na Środkowym Wschodzie: PIC-u, wydawnictwa Scharfa, które było bardzo rozbudowane, itp. Wymagało to bardzo dużych zabiegów, m.in. finansowych, by dać ludziom jakieś odprawy.

Jedna ze spraw, które wtedy załatwiałem, dotyczyła Broniewskiego. Scharf wydał tom jego wierszy, *Drzewo rozpaczające*. Ponieważ zaś Broniewski zdecydował się na powrót do Polski, więc potraktowano to jako zdradę: tom wycofano ze sprzedaży, a honorarium nie zostało wypłacone. Uważałem to za nonsens i za zgodą Pragiera doprowadziłem do tego, że tom wrócił do sprzedaży, a honorarium Broniewskiemu zapłacono. Był to przypadek najbardziej drastyczny, ale inne też nie były łatwe. W Palestynie powstał ośrodek endecki, który chciał utrzymać za wszelką cenę „Gazetę Polską”, więc

musiałem tam pojechać, żeby te sprawy załatwić. Działalność informacyjno-propagandowa była raczej na drugim planie. Poza placówką Czapskiego, która coś robiła, pewne możliwości zarysowały się również w Portugalii dzięki płk. Kowalewskiemu, który miał tam dobre kontakty. Było to właściwie wszystko.

ANDERS

Nazwisko Andersa usłyszałem po raz pierwszy w związku z zamachem majowym. Był to jedyny oficer, do którego, chociaż opowiedział się po stronie prezydenta Wojciechowskiego, Piłsudski odniósł się bardzo pozytywnie i którego nawet awansował: uważał, że Anders zachował się z klasą, działając zgodnie z dyscypliną wojskową, ale bez żadnych kombinacji politycznych. Skądinąd Anders był wtedy bardzo atakowany za to, że rzekomo hodował swoje konie na obroku pułku, i za inne rzeczy w tym rodzaju. Tak że nazwisko jego było dość głośnie. Później były również wiadomości z gier wojennych, gdzie on bardzo dobrze wypadł i zyskiwał wyrazy uznania.

Ponownie usłyszałem o Andersie dopiero w końcu 1939 roku od Klimkowskiego, który przyszedł do Bukaresztu jako jego wysłannik czy kurier, wywołując sensację. Dowiedzieliśmy się wtedy, że Anders bił się i że jest ranny. Później, gdy już byłem w Brygadzie Karpackiej, zaczęto robić rejestr ludzi, którzy znają rosyjski i byliby skłonni pojechać do Rosji, by zostać instruktorami w wojsku Andersa. Zgłosiłem się, gdyż bardzo mnie to zainteresowało, ale cała ta inicjatywa skończyła się na niczym.

Z żołnierzami Andersa zetknęliśmy się w Egipcie, a później w Iraku, gdy przyszły pierwsze uzupełnienia do Brygady

Karpackiej, którą rozbudowano do rozmiarów dywizji. W Brygadzie Karpackiej stanowisko wobec nich było raczej niechętnie. Brygada była wojskiem bardzo szczególnym, bardzo inteligenckim, o bardzo rozluźnionej dyscyplinie. Nikomu do głowy nie przychodziło, by salutować sierżantowi czy podchorążemu. A tu przyszli przedwojenni żołnierze, ogoleni, zdyscyplinowani, którzy nawet starszemu strzelcowi oddawali honory z całym zapalem, co się bardzo nie podobało. Poza tym Brygada Karpacka bardzo zangliczała. Żołnierze potrafili chodzić w brązowych butach, co było zastrzeżone tylko dla oficerów, ale było powszechną modą. Brygada różniła się też od przyjezdnych ze Wschodu stylem życia. Ci ostatni byli wygłodzeni. Mieli zupełną obsesję na tym punkcie. Każdy zabezpieczał się od głodu, zbierając suchary i trzymając je w worku pod łóżkiem. Dla przeciętnego żołnierza Brygady było to tyleż wzruszające, co irytujące. W Brygadzie Karpackiej ludzi, którzy przeszli przez Rosję, właściwie nie było. Wspomnienia stamtąd traktowano jako egzotyczne opowieści i przyjmowano z niedowierzaniem. Było więc w stosunku do żołnierzy Andersa poczucie pewnej obcości. Toteż powszechnie mówiono o nich: „ci prawosławni” albo „ci lewoskrętni”.

Brygada Karpacka była bardzo zaprzyjaźniona z Australijczykami i niechętny stosunek do ludzi z Rosji udzielił się również Australijczykom. Kiedy jeździło się na przepustki do Tel Awiwu czy Jerozolimy, korzystało się z różnych okazjnych ciężarówek, które jechały w tamtą stronę. Było to na ogół wieczorem. Otóż kiedy stała grupka żołnierzy i jechała ciężarówka australijska, to szofer zeskakiwał i obmacywał czekających: jeżeli ktoś miał pas parciany, to go zabierał; jeżeli pas był skórzany, to go zostawiał. Pasy skórzane mieli przybysze z Rosji. Do tych niechęci doszły później rozbieżności polityczne. Dywizja Karpacka była bardzo lojalistyczna w stosunku do Sikorskiego i do rządu. Odnoszono się tam z pewną nieufno-

ścią do Andersa, gdyż były plotki o konflikcie między nim a Sikorskim. Potem intensywne szkolenia i działania wojenne to całkowicie zatępiły. Zresztą te rozbieżności nie miały żadnego wpływu na stanowisko wojska w sprawie Katynia. Było ono najzupełniej jednolite.

Po raz pierwszy spotkałem Andersa osobiście podczas małego nieoficjalnego zebrania, które odbyło się u niego z udziałem różnych osób, które lubił. Byli tam Zbigniew Racięski, Czapski, Zdzisław Bau; łącznie chyba siedem osób. Szło właśnie o sprawę Katynia i mówiło się, że jeśli rząd polski przyjmie wersję sowiecką, że Katyń zrobili Niemcy, to wojsko powinno wymówić mu posłuszeństwo. Były to, rzecz jasna, tylko luźne dyskusje. Sam Anders słuchał, ale nie zabierał głosu. Ci, co mówili, wypowiadali się jednak z całą swobodą. Uważano nawet, że należy przygotować rozkaz do wojska wyjaśniający, dlaczego robi się bunt. Anders nie wywarł na mnie wtedy jakiegoś szczególnego wrażenia.

Inaczej było podczas podróży Sikorskiego na Środkowy Wschód, gdy zobaczyłem różnicę między nim a Andersem. Anders doskonale znał nazwiska ludzi, pamiętał każdego, umiał porozumieć się z żołnierzem, nawiązać z nim od razu jakąś nić sympatii. Sikorski natomiast, co już opisałem, był człowiekiem zupełnie drewnianym, pozbawionym wyczucia. Toteż Anders był niesłychanie popularny w wojsku.

Później miewałem z nim sporo rozmów na różne tematy. W Korpusie było wielu Ukraińców, którzy zadeklarowali się w Rosji jako rzymskokatolicy, gdyż inaczej nie pozwolono by im wyjechać. Anders zgodził się natychmiast, by mogli oni wprowadzić poprawki do swoich akt i zadeklarować się jako grekokatolicy bez żadnych konsekwencji. Zgodził się też bez zastrzeżeń na wydanie modlitewnika grekokatolickiego po ukraińsku, do czego przekonałem biskupa Gawlinę, który był bardzo inteligentnym człowiekiem. Kiedy Drugi Korpus wy-

jeźdźał do Włoch, wystąpiła dość masowa dezercja żołnierzy Żydów. Nie zważając na naciski angielskie, bardzo silne, Anders zabronił ścigania ich. Brało się to chyba stąd, że doceniał znaczenie żydowskiego ruchu niepodległościowego. Toteż z jego ramienia Zieliński prowadził rozmowy z Beginem i z podziemnymi organizacjami żydowskimi, żeby zapewnić je o życzliwej neutralności Drugiego Korpusu, który nie zamierzał realizować angielskiej polityki na terenie Palestyny. A o demokratycznym nastawieniu Andersa świadczy, że bez wahania przyjął naszą koncepcję stworzenia instytucji PRO (*Public Relations Officer*), o czym była już mowa.

Do Andersa przychodziłem przeważnie razem z Józkiem. Jego bardzo sympatyczną cechą był brak jakiegokolwiek drylu wojskowego. Kiedy wysyłano mnie na konferencję w Kairze w sprawie przydziału papieru dla prasy, gdzie trzeba było walczyć z tzw. PIC-em Kota, który rywalizował z wojskiem, powstał problem, gdyż oficerowie nie potrafili zrozumieć, że jedzie prosty strzelec, a kierownicą jest kapral. Anders osobiście chodził z furką po namiotach i wydierał wszystkie papiery, klnąc swoich oficerów, żeby umożliwić tę podróż. Inną zaletą Andersa było to, że szybko i sprawnie podejmował decyzje. Miał bardzo dużo zdrowego rozsądku, ale łatwo ulegał wpływom. Józio bardzo lubił i bardzo cenił, gdyż był to oficer jego pułku w czasie wojny bolszewickiej. Ale Józio załatwiał z nim wszystko dzięki temu, że był u niego codziennie przy pierwszym śniadaniu, kiedy jeszcze Anders był w łóżku i rozpatrywał różne sprawy. Wytwarzało to bardzo swoiste stosunki. We Włoszech, kiedy Propaganda była w Neapolu czy w Rzymie, a Anders na froncie, te stosunki tak się rozluźniły, że Józio w końcu wygryziono i odszedł. Anders znalazł się wtedy pod wpływem płk. Bąkiewicza, człowieka bardzo inteligentnego, ale o mentalności dwójkarskiej, z którym byłem w bardzo złych stosunkach. Mówiłem już o tym.

W okresie włoskim widziałem Andersa kilkakrotnie w sprawie konfliktów z cenzurą angielską. Anders bronił naszego stanowiska. Później byłem u niego w Londynie, m.in. w sprawie stworzenia Instytutu Literackiego. Nie był on entuzjastą tego projektu, gdyż wierzył w bliską wojnę, ale nie miał nic przeciwko temu i podpisał rozkaz powołujący do życia Instytut z moją nominacją na dyrektora. Interesowała go głównie nasza działalność usługowa w stosunku do wojska. Ale moich argumentów, że trzeba mieć jakieś bardziej długofalowe plany, nie przyjmował po prostu do wiadomości.

Po wojnie zawsze meldowałem się u niego, kiedy byłem w Londynie, dokąd jeździłem często. Podczas wojny koreańskiej usiłowałem go przekonać, że powinien wydać apel do Polonii amerykańskiej, żeby wstępowała do wojska. Tłumaczyłem mu, że Amerykanie mają kompleks osamotnienia i że taki apel zrobi duże wrażenie na opinii amerykańskiej. Mówiłem bardzo cynicznie, że pobór jest już ogłoszony i że ci, którzy mają iść do wojska, i tak pójdą. Anders zaczął się wykręcać, że nie może wyjechać z Londynu, gdyż nie może zostawić żołnierzy. Pytam: jakich żołnierzy? Na co on mi odpowiada, że koła pułkowe. Zauważyłem, że w Londynie wystarczy generałów, by go zastąpić podczas dość krótkiej przecież nieobecności. Na co Anders się zdenerwował i powiedział: „Panie poruczniku, ja przecież nie jestem Piłsudskim”. Wobec tego trzasnąłem kopytami, powiedziałem: „Tak jest, panie generale. Nie jest pan Piłsudskim”. I wyszedłem.

Innych spotkań z Andersem nie pamiętam, choć widywałem go przelotnie, gdy przyjeżdżał do Francji. Załatwiałem z nim różne sprawy przez Ludwika Łubieńskiego, który był jego zaufanym adiutantem, czy przez Eugeniusza Lubomirskiego. W jego najbliższym otoczeniu było trochę osób, z którymi byłem w dobrych stosunkach. I byli tacy, którzy mnie serdecznie nie znosili. Pierwsze miejsce wśród tych ostatnich zajmo-

wał Zdzisław Stahl. Był to ponury endek. Przed wojną znałem go stosunkowo mało, chociaż spotykałem się z Piestrzyńskim i z całą tą grupą secesjonistów ze Stronnictwa Narodowego, którzy wstąpili do BBWR. Zobaczyłem go dopiero w Iraku.

W pierwszych oddziałach Andersa, które przysły na Śródkowy Wschód, była pani Ligia Żółkiewska-Żołądkowska. Byłem wtedy w kompanii transportowej, a ich obóz był niedaleko od naszego. Pani Żółkiewska opowiadała bardzo ciekawe rzeczy o Rosji: o Archangielsku, o lesozagotowkach, o reakcjach Białorusinów wywiezionych do okręgu archangielskiego, którzy wierzyli — gdy przyszła wiadomość o wybuchu wojny — że Piłsudski idzie ich wyzwalać. Było to tym bardziej przekonywające, że pani Żółkiewska nie ukrywała swoich poglądów komunistycznych. Była bardzo ideową komunistką, ale świetną świetliczanką, która prowadziła swoją robotę świetlicową bardzo przyzwoicie, bez żadnych akcentów propagandowych. Później poznał ją Józio i trochę się nią opiekowaliśmy.

Nagle zaczął ją tępić Stahl jako komunistkę, którą konieczne trzeba usunąć, żeby nie demoralizowała żołnierzy. Na ten temat mieliśmy szereg scysji. Ale Stahl postawił na swoim, tak że pani Żółkiewska pracowała potem w szpitalu jako siostra. Kiedyś dostała przepustkę i pojechała odwiedzić kogoś do Ancony. Na drodze, koło tego miasta, znaleziono jej trupa. Była goła, związana drutem kolczastym, bestialsko zamordowana. W moim przekonaniu zrobiła to polska Dwójka, ale nie miałem na to, rzecz jasna, żadnych dowodów. Chociaż razem z Czapskim bardzośmy szaleli, by wyświecić tę sprawę i doprowadzić do ukarania winnych, nigdy nie zdołaliśmy się dowiedzieć, co się stało.

Stahl był nieprawdopodobnym brutalem. I serdecznie nie znosił „Kultury”. A zarazem miał niestety pewien wpływ na

Andersa, choć nigdy nie należał do jego najbliższego otoczenia. Również Piestrzyński, osobowość bardzo miękka, miał do „Kultury” stosunek wybitnie niechętny, trochę na zasadzie zazdrości. W „Orle Białym”, którego po wojnie nadal redagował, nie było ataków na nas, ale było wyraźne pomijanie „Kultury” czy nawet mojej osoby. W szczególności moja rola w historii „Orla Białego” została znakomicie wymazana.

Anders był niewątpliwie bardzo wybitnym wojskowym na szczeblu dowódcy korpusu czy dowódcy armii. Nie wyobrażam sobie jednak, by jako Naczelný Wódz był lepszy od Śmigłego. Ale w warunkach emigracyjnych był niewątpliwie lepszy od wszystkich pozostałych. Jego popularność na emigracji, która była rzeczywiście ogromna, wynikała przede wszystkim z tego, że była to emigracja wojenna. Odgrywało tu rolę przywiązanie do dowódcy i legenda Monte Cassino. Chyba dlatego różne koła polityczne wołały mieć na stanowisku Naczelnego Wodza kogoś bardziej bezbarwnego. Ale po dziś dzień nie rozumiem, jak można było zrobić Naczelnym Wodzem Bora-Komorowskiego.

Jedynym zwycięskim polskim generałem w tej wojnie był Anders. Robienie Naczelnym Wodzem Bora-Komorowskiego — odpowiedzialnego za Powstanie, które przegrał — i to wtedy, gdy był internowany — to był w moim przekonaniu obłąd. Brało się to z typowo polskiego kultu męczeństwa. A poza tym Anders reprezentował Drugi Korpus, który na terenie Londynu był obcym ciałem.

Anders był również niebezpieczny dlatego, że dysponował dużymi pieniędzmi: rozmaitymi funduszami Drugiego Korpusu, którymi zarządzał przez dłuższy czas, nim powoli uległy wyczerpaniu. I wreszcie, nie był lojalny w stosunku do rządu, ale uprawiał własną politykę, o co nie mam do niego pretensji. Przy czym za bardzo ulegał Anglikom, jak wszyscy generałowie. Prowadzili oni we własnym zakresie rozmowy

z Anglikami na temat demobilizacji i w rezultacie zapomnieli np. o żołnierzach z 1939 roku, tzw. „wrześniowcach”, którzy znaleźli się w stalagach na terenie Niemiec, i o akowcach.

Kiedy nastąpiło zerwanie z Zaleskim i powstała Rada Jedności Narodowej, Anders poszedł z nią, a nie z Zaleskim. Przedmiotów sporu było kilka. Przede wszystkim kwestionowano prawowitość Zaleskiego jako następcy Raczkiewicza. Na to miejsce był bowiem wyznaczony Arciszewski, ale w ostatniej chwili Raczkiewicz, nie porozumiewając się z nikim, zmienił decyzję. Wszyscy wiedzieli, że Zaleski miał na niego ogromny wpływ i manewrował nim cały czas. Konstytucja kwietniowa dawała wprawdzie prezydentowi prawo wyznaczania następcy, ale porozumienia paryskie z 1939 roku stanowiły, że nie wolno mu tego zrobić bez zgody stronnictw. Stanowisko Andersa w tej sprawie było dyktowane po części względami ambicyjnymi. Nie był on człowiekiem, który by, jak Piłsudski, ogłosił się marszałkiem. Musiał mieć podpisany papierek. Gdy Zaleski mianował go generałem broni, przestał mu być potrzebny. Mówiąc to, jestem może niesprawiedliwy wobec Andersa. Ale jestem przekonany, że on zawsze musiał mieć jakieś podparcie. W sporze między Zaleskim a Radą Trzech „Kultura” nie zajęła stanowiska. Uważaliśmy, że cała sprawa jest niepoważna. Ale nasze sympatie były po stronie Rady Trzech, gdyż w otoczeniu Zaleskiego były przeważnie miernoty.

Anders odznaczał się bardzo spokojnym podejściem do spraw krajowych. Nie miał zacieklej postawy antypeerelowskiej. Umiał się zachować w sposób właściwy, choć podlegał naciskom różnych osób, takich jak Stahl. W polityce międzynarodowej nie wykorzystał możliwości, skądinąd bardzo nikłych, działania na rzecz sprawy polskiej, korzystając choćby z życzliwości de Gaulle'a. De Gaulle oświadczył po dojściu do władzy, że zawsze przyjmie trzech Polaków: Ander-

sa, Kajetana Morawskiego i Józefa Czapskiego. Ale Andersa nie udawało się bardzo długo namówić na przyjazd do Paryża. A jak przyjechał, to podczas spotkania z de Gaulle'em poruszał sprawy z punktu widzenia polityki międzynarodowej drugo- lub zgoła trzeciorzędne, takie jak pomoc dla kombatanów i inne kwestie życiowe. O żadnych sprawach politycznych nie wspominał i nic w tym zakresie nie osiągnął. Trudno mu to brać za złe, bo nawet tak doświadczeni dyplomaci jak Kajetan Morawski czy Edward Raczyński nie mieli żadnych sukcesów.

Do końca lubił Józia. Kiedy awansował go do stopnia podpułkownika, napisał do niego list mniej więcej taki: „Kochany Józiu, wiem, co o tym myślisz, ale zrób to dla mnie i przyjm ten awans”. A jego stosunki z „Kulturą” koniec końców nie były złe. Nie żywił do nas żadnej sympatii, ale zachowywał życzliwą tolerancję. Ostatecznie uważam, że przy wszystkich niedostatkach Andersa należy go jednak ocenić w sposób jak najbardziej pozytywny. Był niewątpliwie najwybitniejszą postacią emigracji.

CZEŚĆ TRZECIA
EMIGRACJA

POCZĄTKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO: RZYM

W ostatnim okresie wojny zacząłem myśleć o zorganizowaniu czegoś na przyszłość na wypadek katastrofy, tj. cofnięcia przez aliantów uznania rządowi polskiemu. Myślałem, że najlepiej to zrobić, tworząc ośrodki przystosowane do trwania przez dłuższy czas; chciałem np. zabezpieczyć różne instytucje zajmujące się propagandą, m.in. „Dziennik Polski”, co jednak nie znajdowało zrozumienia w Londynie, nawet u Pragiera. Moje pomysły zebrania pieniędzy na drukarnię i temu podobne cele były przyjmowane z dużą niechęcią. Panowało przekonanie, że istniejący stan rzeczy będzie trwał w nieskończoność; nie brano pod uwagę perspektywy gwałtownej likwidacji polskich instytucji. Wobec czego np. „Dziennik Polski” został zabezpieczony przez Pragiera bodaj tylko na piętnaście lat, po czym miał przejść na własność Kongresu Polonii Amerykańskiej. Ale nikt nie wierzył, że będzie on musiał tak długo wychodzić w Londynie.

Podobnie w dywizji gen. Maczka, gdzie prowadzono ciekawą robotę kulturalno-wydawniczą, w czym dużą rolę odgrywał Jeleński, też zaprzepaszczone wiele możliwości, bo Maczka to zupełnie nie interesowało. Myślałem wtedy np. o rekwirowaniu w Niemczech sprzętu drukarskiego na nasze potrzeby, ale nie znalazłem żadnego zrozumienia. Różniłem się od przywódców politycznych i wojskowych, ponieważ uważałem, że czeka nas długa emigracja, a oni liczyli na następną wojnę lub na powrót do Kraju, a poza tym okazywali

znaczną lekkomyślność. Były, rzecz jasna, w Londynie osoby, z którymi się przyjaźniłem i które myślały podobnie jak ja, ale jakiegoś ośrodka, który by podzielał moje poglądy, tam nie było. Toteż poprosiłem o odesłanie mnie z powrotem do Drugiego Korpusu, z którego byłem tylko odkomenderowany, i wróciłem do Rzymu z zamiarem stworzenia wydawnictwa, tj. Instytutu Literackiego.

Wymagało to zgody Andersa, z którym przed wyjazdem z Londynu odbyłem rozmowę na ten temat. Ale choć Anders decydował, duży wpływ w dowództwie miał Stanisław Gierat. Nie pomagał nam specjalnie. Ale szło głównie o to, by nie przeszkadzał. Gierat starał się wsadzić do Instytutu swoich ludzi i zapewnić sobie kontrolę. Nie był pod tym względem odosobniony. Tak np. minister Folkiński próbował z Londynu narzucać nam współpracowników, m.in. pana Pawlikowskiego, który był specjalistą od przekładów *Króla-Ducha*, a którego Folkiński chciał koniecznie włączyć do dyrekcji Instytutu. Byliśmy wprawdzie placówką wojskową i nie podlegaliśmy ministerstwu, ale zakresy kompetencji nie były jasno rozdzielone i każdy próbował wtrącać się do wszystkiego.

Gierat był dla mnie dużym rozczarowaniem. W czasie któregoś z kolejnych kryzysów w Wydziale Propagandy przyszło mi na myśl, by zaangażować Gierata na zastępcę Józia Czap-
skiego. Uważałem, że będzie dobry na tym stanowisku. Przekonałem do tego Józia, który przedstawił sprawę Andersowi i zyskał jego zgodę. Gierat z dużymi oporami, gdyż nie bardzo chciał odejść z pułku, przyjął tę ofertę. Ale z miejsca okazał się człowiekiem bardzo niedemokratycznym. Np. w Propagandzie, gdzie wiele osób nie miało stopni oficerskich, była wspólna stołówka; jadaliliśmy tam wszyscy: od szofera do Czap-
skiego. Dla Gierata było to nie do przelknięcia i powoli doprowadził do likwidacji tej stołówki. Był on wprawdzie

oficerem rezerwy, kapitanem łączności, ale reprezentował wszystkie cechy zawodowego wojskowego.

W Rzymie mieszkalem naprzód w zarekwirowanym dla wojska hotelu „Massimo d'Azeglio”, a później w pensjonacie, który bodaj nazywał się „Patrizia”, przy Piazza di Spagna. Ale choć spędziłem tam łącznie niemal dwa lata, żadnych szczególnych wspomnień z Rzymu nie zachowałem. Życie towarzyskie było bardzo ubogie. Nie bardzo miałem nawet czas na zwiedzanie i miasta właściwie nie znam.

Na miejscu zastałem Gustawa. I ściągnąłem od razu do Rzymu Zosię i Zygmunta. Zosia była bowiem z mojego powodu na swego rodzaju zesłaniu, gdyż pracowała w biurze oszczędności Żołnierzy Wojska Polskiego w Anconie jako księgowa. Juliusz Poniatowski, który prowadził wtedy działalność polskiej YMCA i wydawał sporo książek, chciał zatrzymać Zosię u siebie, ale mu na to nie pozwolono i zesłano ją do tego biura, a potem przeniesiono do Florencji do „Dziennika Żołnierza”. Razem zajęliśmy się organizowaniem Instytutu. Gen. Wiśniowski dał nam sto złotych funtów ze swego funduszu dyspozycyjnego i zgodził się na udzielenie nam pożyczki z Funduszu Wojska na zakup drukarni. Fundusz gromadził oszczędności żołnierzy, był bardzo dobrze prowadzony, a pożyczkę dla nas kontrolowała intendtura.

Poza tym nie mieliśmy jednak żadnych pieniędzy na prowadzenie naszej działalności. Zaczęliśmy więc „dorabiać” pieniądze w inny sposób. Zygmunt Hertz dzięki swym znajomościom uzyskał w dowództwie Korpusu ogromne ilości benzyny, która była we Włoszech na wagę złota. Była ona deponowana w jednym z klasztorów i sprzedawana w miarę potrzeby. Innym towarem były rzeczy z *salvage*, czyli z demobilu, wyrzucane przez Anglików. Wszystko to mogliśmy zabierać, jak np. nieco uszkodzone namioty, które w dużych ilościach sprzedaliśmy harcerstwu włoskiemu za dość poważ-

na sumę, bodaj kilku milionów lirów. Tak zebraliśmy pieniądze na uruchomienie drukarni.

Ale trudności były na każdym kroku. Przed wyjazdem z Włoch nie tylko każda dywizja, ale niemal każdy batalion czy każda kompania chciały wydać swoje pamiątkowe wydawnictwa w postaci albumów. Powierzano to nam za opłatą. Mieliśmy też inne zamówienia wojska: słownik polsko-angielski i angielsko-polski, albumy marynarki wojennej, zlecenia różnych agend wojskowych znajdujących się niekiedy w Londynie, dokąd trzeba było wysyłać to wszystko. A ponieważ łączność między Włochami i Anglią działała źle, było z tym dużo kłopotów. Również książki, które wydawaliśmy własnym sumptem, wysyłał do Londynu, gdzie powstała firma pod nazwą „Vistula”, którą prowadził Aleksander Piskor z pomocą Mai Prądyńskiej. Miała być wydawnictwem i ośrodkiem kolportażu. Wydrukowaliśmy nawet dla nich książkę Piskora *Siedem ekscelencji i jedna dama*. Poza tym miała zajmować się rozpowszechnianiem naszych książek. Skończyło się to jednak dość żałośnie, gdyż Piskor nie panował nad tym wszystkim. W końcu za nic nam nie zapłacił i musieliśmy z nim zerwać.

Instytut powstawał nie jako firma prywatna, ale jako agenda wojska. W jego skład wchodził wtedy Zofia i Zygmunt Hertzowie, Gustaw Herling-Grudziński, Władysław Wąchała, docent Tadeusz Siuta, bardzo interesujący i postrzelony naukowiec; ci dwaj, którzy później odpadli, byli nam narzuceni przez Gierata. Ponadto przydzielono do nas majora Sikorskiego z intendentury. Miał on zajmować się kontrolą naszej gospodarki. Szef intendentury, pułkownik Witek, był początkowo nastawiony do nas bardzo nieufnie, gdyż cała ta historia z drukarnią mu się nie podobała, ale potem stał się naszym wielkim przyjacielem.

W naszym wewnętrznym podziale pracy Zygmunt Hertz zajmował się sprawami handlowymi oraz stosunkami z Angli-

kami, z którymi umiał sobie znakomicie dawać radę, tak że szli nam we wszystkim na rękę; kiedyśmy się przenosili do Francji, dostaliśmy do dyspozycji cały wagon i mogliśmy zabrać nawet ukochany fotel Zygmunta; mogliśmy zresztą zabrać wszystko, cośmy chcieli, właściwie bez żadnej kontroli. Zosia zajmowała się m.in. rachunkowością, co było bardzo skomplikowane.

Gustaw zbierał materiały do projektowanych wydawnictw — ułożył antologię noweli wojennej — tłumaczył Koestlera *Krucjatę bez krzyża* i pisał. Wąchała zajmował się drukarnią. Gustaw mówił już wtedy po włosku, ale jeszcze dość słabo. Zygmunt umiał porozumiewać się we wszystkich językach. Zosia ma talent do języków, więc dawała sobie dość dobrze radę. Ale najlepiej z nas wszystkich mówił po włosku Siuta, który zajmował się zatem kontaktami z Włochami.

Z tytułu posiadania drukarni musieliśmy przecież składać zeznania podatkowe. Korzystaliśmy przy tym z pomocy adwokatów włoskich, ale i tak było to bardzo trudne. Gdy zrobiliśmy pierwszy bilans, wykazywał on bardzo nieznaczny dochód. Adwokat złapał się za głowę: „Co panowie robią! Przecież jeśli wykażecie dochód, to włoskie władze skarbowe ten dochód ustokrotnią, bo będą przekonane, żeście je oszukali. Musicie wykazać bardzo wysoki deficyt, a wtedy władze skarbowe podzielą go przez sto; w każdym razie zapłacicie mniej”. Ten system włoski był dla nas odkryciem.

Pomijając sprawy podatkowe, nasze stosunki z Włochami były raczej ograniczone. Wydaliśmy wprawdzie dwie książki po włosku: Kadena *Miasto mojej matki* i Hostowca *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*, gdyż przypuszczaliśmy wtedy, że zostaniemy we Włoszech na czas dłuższy, i mieliśmy nadzieję, że uda się nam wejść na rynek włoski. Okazało się to jednak kompletnie nierealne. Drukarnia była katastrofą. Nikt się na tym nie znał. Znaleźliśmy się w zupełnym impa-

sie. Drukarnią zajął się bardzo nieudolnie Wachała, a tymczasem zaczęła narastać ogromna konkurencja włoska. Zamówienia Drugiego Korpusu z Londynu, na które liczyłem, skończyły się. Od kardynała Sapiehy dowiedziałem się o dramatycznym braku literatury religijnej w Polsce, więc przypuszczaliśmy, że możemy drukować książki dla Polski, które by były finansowane przez Watykan. Złożyliśmy zatem wizytę sekretarzowi stanu, kardynałowi Montiniemu, późniejszemu Pawłowi VI, który nas przyjął, powiedział po polsku „Niech będzie pochwalony” i uznał inicjatywę za bardzo interesującą, ale zaraz dodał, że Watykan nie ma na nią pieniędzy.

Projekt stworzenia pisma wynikał ze wspólnych rozmów między Gustawem, Zosią i mną. Nazwę wymyśliłem chyba ja. Pierwotnie „Kultura” miała być biletem wizytowym, kwiatkiem do kożucha, i była pomyślana odpowiednio do tego jako kwartalnik raczej czysto literacki. Pierwszy numer przygotowaliśmy wspólnie z Gustawem. Ale naprawdę ważne były dla nas wtedy książki. Listę naszych pierwszych publikacji ułożyłem sam z dużą pomocą Zosi. Dwie pozycje na tej liście miały charakter programowy: *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Mickiewicza, które, ze względu na zasadniczy wstęp Gustawa, były naszym manifestem, oraz *Prometeusz* Stanisława Szpotańskiego, książka, która pokazywała, że życie na emigracji jest niezwykle ciężkie i często kończy się tragicznie. Wybrałem tę książkę, jak i *Księgi narodu*, bardzo celowo i świadomie, gdyż uważałem ją za przestrożę przed emigracją. Szpotański był pisarzem dość znanym przed wojną; wtedy już od dawna nie żył.

Początkowo mieliśmy bardzo ambitne plany wydawnicze. Myślałem o różnych seriach, m.in. o serii naukowej. Stąd książka dra Felsztyna, którego poznałem w wojsku i który zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, gdy rozmawialiśmy o energii atomowej; zaproponowałem mu więc opracowanie książki

na ten temat. Na tym trzeba było poprzestać, gdyż musieliśmy szukać kompromisu między naszymi pomysłami a oczekiwaniami nabywców. Toteż wydaliśmy wiele książek w celach zarobkowych. Dotyczy to powieści historycznych Sienkiewicza i Sieroszewskiego, powieści Struga czy trzech powieści Sergiusza Piaseckiego, który, gdy przyjechał do Włoch, okazał się pisarzem bardzo popularnym w wojsku. Okazał się również bardzo zabawny jako człowiek i w jakiejś mierze zaprzyjaźniliśmy się z nim, zwłaszcza Zosia.

Gdy dostaliśmy książkę Chałasińskiego *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*, wydaną w Kraju, byliśmy nią poruszeni. Przyjęliśmy ją bardzo krytycznie i uważaliśmy zgodnie, że jest niebezpieczna i że trzeba na nią koniecznie zareagować. Przed wojną zetknąłem się przelotnie z Chałasińskim, do którego żywiłem zresztą wiele sympatii. Z *Młodym pokoleniem chłopów* miałem pośrednio do czynienia przez Stanisława Stempowskiego i Tadeusza Szturm de Sztrema; pewne materiały drukowałem nawet w „Polityce” i trochę Chałasińskiemu pomogłem. Może dlatego tak ostro odebrałem jego książkę. W każdym razie zwróciliśmy się do Ulatowskiego z propozycją napisania odpowiedzi, a następnie wydaliśmy książkę Chałasińskiego z tą odpowiedzią.

Jan Ulatowski jest jednym z najbardziej nieznośnych ludzi, jacy są na świecie. Wielka inteligencja, doskonały krytyk sztuki. Znałem go przed wojną stosunkowo niewiele. Należał on do kręgu poznańskiego i był związany m.in. z Konstantym Troczyńskim. Ponownie nawiązałem kontakt z Ulatowskim, gdy znalazł się na Węgrzech, podczas gdy ja byłem w Rumunii. Zaczął wtedy organizować pismo emigracyjne, które nazywało się bodaj „Wieści Polskie” i było bardzo dobrze robione. Spotkałem go potem w Brygadzie Karpackiej.

W Tobruku Ulatowski był w linii, w batalionie. Wyszedł z tego z niezwykle kompleksem i roztrzęsionymi nerwami.

Dostał przydział do Drugiego Oddziału, gdzie zaczął natychmiast robić różne awantury i skandale. Plk Bąkiewicz zdenerwował się i chciał odesłać go do linii. Wtedy Ulatowski całkiem zdesperowany przyszedł do nas, do Czapskiego i do mnie, żebyśmy go uratowali i wzięli do Propagandy. Lekko-myślnie zgodziłem się włączyć go do redakcji „Orla Białego”, czego potem gorzko żałowałem, bo były z nim ogromne trudności.

Potem nasze stosunki były ograniczone. W Paryżu, ponieważ był w dość trudnych warunkach, dałem mu do tłumaczenia Burnhama. Zrobił to bardzo dobrze, ale, ponieważ miał do książki wiele zastrzeżeń, zaczął z Burnhamem korespondować. Biedny Burnham nie mógł zrozumieć, co to za dyskusja z nim za plecami Czapskiego i moimi.

Jego przeciwieństwem pod względem charakteru był inny nasz autor, Jan Bielatowicz, postać bardzo specjalna. Był to mój kolega z Brygady Karpackiej, ciekawy poeta, należący do kategorii przyzwoitych endeków. Był wielkim patriotą Brygady Karpackiej: to on napisał artykuł *Libia i Cassino*, za który wspólnie z Józefem Poniatowskim zostaliśmy ukarani aresztem domowym. Bielatowicz siedział w oddziale. Nie chciał wychodzić z linii, choć miał różne propozycje; uważał, że powinien być wyłącznie żołnierzem. Mogłem więc wykorzystywać go tylko częściowo, zamawiając u niego książki albo organizując mu — jak innym pisarzom — konferencje prasowe, co pozwalało ściągać go do Neapolu czy do Rzymu na trzy-cztery dni odpoczynku. Po wojnie Bielatowicz wyjechał z wojskiem do Anglii i tam się zdemobilizował. W Londynie objął redakcję „Życia”, pisma katolickiego, które później upadło; została tylko „Gazeta Niedzielną”. Zrobił też kilka opracowań. Widywaliśmy się dosyć często podczas moich wizyt w Londynie oraz tu, gdyż był u nas parokrotnie. Jego stosunki z Gustawem i ze mną były cały czas bardzo sympatyczne.

Nie pamiętam już, jak trafił do nas *Portret Kanta* Bolesława Micińskiego z długą, ciekawą przedmową Konstantego Régameya; zapewne to on przysłał nam tę książkę, gdyż byliśmy z nim w kontakcie. Jerzy Stempowski natomiast był bardzo zaprzyjaźniony z Czapskim; ja stykałem się z nim dość przelotnie, jeszcze w czasach, gdy był w gabinecie Bartla, ale znałem o wiele lepiej jego ojca. Józio skłonił Stempowskiego do przyjazdu ze Szwajcarii, gdzie mieszkał, do Rzymu i razem namówiliśmy go na podróż do Austrii i Niemiec, przy czym załatwiliśmy mu pieniądze i różne przepustki niezbędne po temu. Była to decyzja programowa. Chodziło o znalezienie różnych pisarzy ukraińskich. Później stosunki ze Stempowskim stały się bardzo bliskie.

Wiadomości z Kraju mieliśmy z różnych źródeł. Wspominałem o rozmowie z kardynałem Sapiehą. Nie wypadła najlepiej. Nie był on człowiekiem skłonny do rozmów. Zresztą nie znaliśmy się przedtem; gdy spotkaliśmy się, on chyba niewiele o mnie wiedział, a może i nic zgoła. Kierowała nim też zapewne ostrożność. W każdym razie rozmowa dotyczyła sytuacji w Polsce. Ponieważ jak zawsze wtrącam się w nie swoje sprawy, więc powiedziałem kardynałowi, że niewątpliwie będzie ofensywa komunistów na Kościół i że trzeba ją i opóźnić, i storpedować. M.in. uważałem, że Kościół powinien dobrowolnie rozparcelować posiadane majątki, zrobić gest, że to on daje bezrolnym ziemię, nie czekając, aż mu ją zabiorą komuniści. Sapieha bardzo się na to oburzył. Nie mieściło mu się to w głowie i potraktował to z dużą nieufnością.

Z przedwojennych współpracowników „Buntu Młodych” miałem w Rzymie kontakty z Piotrem Borkowskim, o czym już wspominałem, oraz z oboma braćmi Pruszyńskimi: z Mieczysławem, który pracował w ambasadzie u Kota, i z Ksawerym, który przyjeżdżał zabiegać o stanowisko ambasadora przy Watykanie. Z Mieczysławem widywaliśmy się jeszcze

później przez parę lat, gdy przyjeżdżał do Paryża; potem bał się chyba tych spotkań i przekazywał mi tylko pozdrowienia przez Wacka Zbyszewskiego, z którym się bardzo lubili. Stosunki z Ksawerym urwały się, gdy został dyplomatą z ramienia władz warszawskich; przesłał mi tylko dwukrotnie, ale bez słowa, jakieś pamiątki po mojej matce.

Z Polski do Rzymu przyjeżdżało wtedy sporo osób. Miałem bardzo przyjemne spotkanie z Jerzym Zagórskim, którego znałem jeszcze sprzed wojny. Widziałem się też, ale nie były to rozmowy przyjemne, z Dobraczyńskim. Nie cenilem go zresztą jako pisarza. Przywiózł mi wtedy książkę, którą właśnie był wydał pt. *Najeżdźcy*. Była to książka o okupacji hitlerowskiej. A to, co mówił, było dość banalne.

Proces przechodzenia do cywila trwał bardzo długo. Gdy nastąpiła pełna ewakuacja wojska z Włoch, stanęliśmy wobec konieczności zlikwidowania drukarni i przeniesienia się gdzie indziej. Było to tym ważniejsze, że Włochy robiły się coraz bardziej krajem na uboczu. Musieliśmy też liczyć się z tym, że ludzie przestali po prostu kupować książki. Problem powrotu do Kraju dla nas nie istniał. Nie było to przedmiotem żadnych rozmów. Nie myślało się o tym. Nikt też nas do tego nie namawiał. Władze warszawskie były wobec nas zupełnie obojętne. Niechęć czy wręcz wrogość zaczęły się później. Wielkiego wyboru nie mieliśmy. Wyjazdu do Londynu nie brałem w ogóle pod uwagę. Nie chcieliśmy przechodzić przez Korpus Przysposobienia. A stosunki panujące w Londynie na emigracji znałem i nie miałem na nie żadnej ochoty.

Toteż zdecydowałem się na przeniesienie Instytutu do Paryża. Paryż, niezależnie nawet od tego, że była tam placówka Czapskiego, był miejscem bardziej centralnym i bliższym Kraju niż Włochy. Ponadto przeniesienie się do Francji przedłużało nasz pobyt w wojsku z wszystkimi związanymi z tym korzyściami. Niemniej jednak była to decyzja dość ryzykanc-

ka. Skok w ciemność. Nawet Józio był temu dość przeciwny. Ale Zosia, Zygmunt i ja byliśmy zgodni, że jeżeli mamy coś robić, to poza Londynem i poza skupiskami polskimi. Wobec tego sprzedaliśmy drukarnię i wyjechaliśmy.

PIERWSZE LATA W PARYŻU

Do Paryża przyjechaliśmy jako wojskowi. Dopiero znacznie później, w 1948 roku, już chyba w ostatnim momencie, zdemobilizowaliśmy się w Calais. Staraliśmy się oddalić przejście do cywila jak najbardziej, gdyż bycie w wojsku dawało nie tylko żołd, ale i racje żywnościowe. Biurem likwidacyjnym we Francji kierował płk Jaklicz, który zachował się wobec nas bardzo przyzwoicie. Dostawaliśmy od niego przydziały żywności, nawet chleba. Ułatwiały nam również sytuację dość duże zapasy żywności, które zgromadziła placówka Józia. Były tu puszki konserw w wielkich ilościach, tak że nie tylko sami korzystaliśmy z tego, ale również pomagaliśmy różnym ludziom. Póki to trwało, Bobkowski i inni dostawali deputaty żywnościowe, co w owych czasach było bardzo wielką pomocą.

Przyjechaliśmy w trójkę: Zosia, Zygmunt i ja. Wąchała i Siuta odłączyli się od nas już wcześniej, by urządzić sobie życie na własną rękę. Gustaw, który był żonaty, nie zdecydował się na Paryż i wyjechał do Anglii do Korpusu Przysposobienia. Rozstaliśmy się bardzo przyjaźnie. Rozumiałem doskonale, że czym innym jest brać odpowiedzialność za siebie, a czym innym — za żonę, a on był w Krystynie niezwykle zakochany i w Londynie widział jakieś możliwości pracy w „Wiadomościach”. Nie sądzę jednak, by zachodziły w owych latach między nami jakieś rozbieżności stanowisk wobec rzeczywistości krajowej czy wobec emigracji.

Początkowo po wyjeździe Gustawa utrzymywaliśmy kontakt. Dyskutowaliśmy nawet o jego wkładzie do „Kultury” i o finansowych warunkach naszej współpracy. Gustaw uważał, że wymagam od niego zbyt dużo i nie może się na to zgodzić. Do tego doszła konkurencja „Wiadomości”, gdzie on wtedy pisał i do których bardzo się zbliżył. Nastąpiło wtedy między nami zerwanie stosunków. Polepszyły się one dopiero wtedy, gdy Gustaw wyszedł z Wolnej Europy i wrócił do Neapolu.

W Paryżu odnaleźliśmy Czapskiego i Zielickiego. Józio Zielicki był przed wojną działaczem harcerskim. Zajmował się młodzieżą, zwłaszcza biedną młodzieżą, w sposób bardzo interesujący i bardzo skuteczny. Po wkroczeniu Sowietów wziął udział w konspiracji, w ZWZ. Aresztowano go, skazano na jakiś bardzo wysoki wyrok i zesłano do łagru, skąd trafił do wojska, do Propagandy, gdzie został zastępcą Czapskiego, u którego w Iraku go poznałem. Pierwsze nasze spotkanie nie wypadło dobrze, gdyż on uważał mnie za człowieka postrzelonego, który może stać się złym duchem Czapskiego. Zielicki był społecznikiem nastawionym na pracę organiczną. Interesowało go szkolnictwo, a nie sprawy polityczne, i różne moje pomysły uważał za wariackie. Ale potem zaprzyjaźniliśmy się i Zielicki bardzo nam pomagał.

Gdy Józio Czapski objął placówkę Drugiego Korpusu i Ministerstwa Informacji w Paryżu, Zielicki został jego zastępcą, a gdy ta placówka zaczęła się kurczyć i likwidować, wyjechał do Londynu. Ponieważ był z wykształcenia matematykiem, zaczął wyklądać w szkołach polskich w Londynie, a później przeszedł do prywatnego szkolnictwa angielskiego. Był bardzo wybitny w swej dziedzinie, toteż mimo jego fatalnej angielszczyzny ceniono go wysoko. Doskonale dawał sobie radę z uczniami i potrafił zainteresować ich matematyką. Ucieleśniał typ działacza społecznego w najlepszym słowa tego

znaczeniu. Był naszym wielkim przyjacielem i był nam bardzo oddany. Miał bardzo dobre stosunki z Andersem, jeszcze z czasów sowieckich, i pomagał nam załatwiać u niego różne sprawy.

Poza Józiem i Zielickim zastaliśmy w Paryżu jeszcze kilka osób, które wprawdzie nie pracowały z nami, ale z którymi byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Był Władek Wolski, mój przyjaciel jeszcze sprzed wojny, który pracował w placówce Józia, gdzie robił biuletyn informacyjny dla prasy francuskiej. Był on doskonałym znawcą spraw rumuńskich i wschodnioeuropejskich. W czasie wojny należał, jak ja, do grupy, która po zlikwidowaniu ambasady została w Bukareszcie; Anglicy wywieźli nas razem do Stambułu. Wolski, który miał bardzo dobre stosunki z Rumunami, zdecydował się na polecenie swoich przełożonych wrócić do Rumunii i być tam, wraz z kilkoma innymi osobami, nieoficjalnym przedstawicielem władz polskich. Do Paryża przyjechał z Beckową. Była to ostatnia fala osób, które wyjechały z Rumunii już po zajęciu tego kraju przez armię sowiecką.

W Paryżu, u Józia, zetknąłem się też przelotnie z Jeleńskim. Wiedziałem o nim już wcześniej. Kiedy Anders wyrzucał mnie z Propagandy, to generał Rudnicki z dywizji gen. Maczka zaproponował mi przejście do siebie i zajęcie się działalnością wydawniczą, czego zresztą nie przyjąłem, choć był to gest tym miłszy, że generał Rudnicki mnie nie znał. Dowiedziałem się wtedy o działalności wydawniczej i kulturalnej w dywizji Maczka i o tym, że znaleźli się tam Vincenzowie, a z Vincenzem przyjaźniłem się jeszcze przed wojną; była też mowa o Jeleńskim.

Z innych bliskich nam osób jedną z najbardziej aktywnych był Bobkowski, który nie uczestniczył wprawdzie w naszych pracach organizacyjnych, ale bardzo dużo pisał; jego artykuł był już w pierwszym numerze „Kultury”, gdzie trafił za pośred-

nictwem Czapskiego. Bobkowskiego przed wojną nie znałem, ale znałem jego stryja, ministra, który był żonaty z córką prezydenta Mościckiego. Poznaliśmy się podczas mojego pobytu w Ameryce, w maju 1939 roku, gdy pojechałem tam na otwarcie wystawy międzynarodowej i na rokowania ministra Romana. Z ministrem Bobkowskim zrobiliśmy wtedy turę po ośrodkach emigracyjnych, aby mobilizować Polonię amerykańską.

Młody Bobkowski zrobił na mnie od razu świetne wrażenie. Był człowiekiem o ogromnej dynamice, o bardzo szerokich zainteresowaniach i o wielkiej umiejętności nawiązywania stosunków z ludźmi. Skala jego znajomości i kontaktów była bardzo szeroka. To, co pisał, pisał z własnej inicjatywy. Wybierał tematy, które go pasjonowały, i pytał, czyby to nas zainteresowało, albo przychodził z już gotowym tekstem.

Bobkowski wyjechał jednak do Gwatemali, gdyż był przekonany, że komunizm zwycięży w Europie i wszystko zaleje. Było też w nim jakieś obrzydzenie Europą i chęć zaczęcia życia na nowo. W Europie był to okres wielkiego strachu przed nieuniknioną inwazją sowiecką. O tym, jak był on silny, świadczy najlepiej fakt, że Amerykanie postanowili sporządzić listę ważniejszych osób, które trzeba w odpowiednim momencie wywieźć z Europy. Na odcinku polskim taką listę ustalał ambasador Kajetan Morawski. Kiedy Adela Żeleńska, która współpracowała z Morawskim, przyszła z tym do mnie, kategorycznie odmówiłem wypełnienia ankiety. Powiedziałem, że jeśli będzie wojna, to ja wracam do Polski; pójdę pod prąd, więc nikt nie zwróci na mnie uwagi, a w Polsce będę mógł coś zrobić. Zosia i Zygmunt także odmówili.

Bobkowski reagował na wszystko niesłychanie żywo i ostro. Żył w stanie ciągłego podniecenia, które często ocieślało się o pewną histerię. A wtedy był przekonany, że zbliża się koniec Europy. Pewnego dnia zjawiał się u nas, zupełnie

zdecydowany, tak że nie było żadnej dyskusji, i oświadczył, że wyjeżdża do Gwatemali. Dobrze się tam zaaklimatyzował i bardzo polubił Amerykę Południową. Gdy jego przedsiębiorstwo, które produkowało zminiaturyzowane modele samolotów, zaczęło się rozwijać i mieć sukcesy — dostał jakieś nagrody w Stanach Zjednoczonych — mógł kilkakrotnie przyjechać do Europy. Przez cały czas prowadziliśmy zresztą ożywioną korespondencję.

Do kręgu naszych paryskich znajomych należeli Zofia i Kazimierz Romanowiczowie oraz Adela i Władysław Żeleńscy. Władysława znałem jeszcze sprzed wojny. Utrzymywaliśmy kontakt z Kajetanem Morawskim, którego dosyć dobrze znałem przed wojną, kiedy był wiceministrem skarbu; znałem zresztą całą jego rodzinę i przyjaźniłem się z jego braćmi. Nasze stosunki nacechowane były z jego strony życzliwym krytycyzmem wobec nas; nie potępiał nas, ale uważał, że nasza działalność ma strony niepotrzebne, jeśli nie wręcz niebezpieczne — typowa reakcja dyplomaty. Byliśmy blisko z Anatolem Mühlsteinem, o którym dalej. Prowadziliśmy też sympatyczne dyskusje z Zygmuntem Zarembą z PPS.

Przez Zygmunta Hertza poznaliśmy Weissberga-Cybulskiego, autora *Wielkiej czystki*, której tłumaczenie polskie wydał wiele lat później. Zygmunt znał jego żonę jeszcze przed wojną, gdyż pracowała w biurze Solvaya w Warszawie. Z Weissbergiem i jego żoną byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Bywali u nas, a my bywaliśmy u nich. Weissberg pomógł nam, o czym dalej, przy zakupie naszego obecnego domu. Mówił doskonale po polsku. Był to rzeczywiście ciekawy człowiek, bardzo samodzielny myślowo. Nasza przyjaźń utrzymała się aż do jego śmierci, choć w naszych spotkaniach bywały duże przerwy, gdyż on ciągle rojeźdżał po świecie.

Nasze kontakty z klerem ograniczały się do arcybiskupa Gawliny i ojca Bocheńskiego. Arcybiskup Gawlina był bardzo

rozsądnym księdzem. Poznałem go w Drugim Korpusie, gdy zacząłem pracować w Propagandzie. Po wojnie, ilekroć był w Paryżu, zajeżdżał do nas. Zaś moja przyjaźń z ojcem Bocheńskim sięga czasów przedwojennych. Byliśmy w bardzo bliskich stosunkach jeszcze w latach studenckich. On działał na Uniwersytecie Poznańskim, okazując duże talenty organizacyjne i prasowe. Reprezentował ruch monarchistyczny. Nie pamiętam, jak nazywało się jego pismo, ale było doskonale redagowane i on na nim nawet zarabiał. Po zamachu majowym przyjeżdżał do Warszawy z ogromnym kijem, żeby zwalczać Piłsudskiego. W „Buncie Młodych” ojciec Bocheński ogłosił artykuł, który wywołał ogromne poruszenie: apoteozę „Rycerza Niepokalanej”. Był to reportaż z Niepokalanowa, napisany z pasją, brązowiaczy Niepokalanów.

W czasie wojny w Rzymie znowu widywaliśmy się często. Ojciec Bocheński wydawał pismo „W imię Boże”, które było w mojej gestii jako wydawcy czasopism Drugiego Korpusu. Do Fryburga trafił po awanturze z kardynałem Hlondem. Którejś nocy poszedł ze Stahlem do Hlonda, jak ten był w Rzymie, i zrobił tam niesłychany skandal; prawie brał się do bicia go za to, że prowadzi prowarszawską, prokomunistyczną działalność i że zdecydował się na powrót. Wtedy Watykan z miejsca wysłał go do Fryburga. A że jako zakonnik był bardzo karny, więc bez dyskusji wyjechał. W „Kulturze” ojciec Bocheński opublikował m.in. *Zarys manifestu demokratycznego*, który wydaliśmy w osobnej odbitce jako dokument programowy, podpisany przez zespół „Kultury”.

Początkowo, wiedząc o ogromnym czytelnictwie w wojsku i na emigracji, chcieliśmy oprzeć działalność Instytutu na wydawaniu książek. Kiedy okazało się, że gdy ludzie przestają dostawać stosunkowo wysoki żołd i muszą szukać pracy, ograniczają przede wszystkim swoje wydatki na kulturę, musieliśmy się całkowicie przestawić. Liczyłem jednak, że

pismo zastąpi książki, gdyż będzie tańsze i bardziej skuteczne. Pismo dawało też możliwość oddziaływania na Kraj, na czym zależało mi od początku. W każdym razie już pod koniec pobytu w Rzymie naszą najważniejszą sprawą stała się „Kultura”, która w związku z tym zmieniła formułę: z kwartalnika stała się miesięcznikiem, a z pisma literackiego — pismem wszechstronnym, przeznaczającym wiele miejsca na politykę i sprawy społeczne.

Drugi numer „Kultury”, pierwszy paryski, był wydrukowany bez nas, przy pomocy inżyniera Piaskowskiego, który twierdził, że się na tym zna. Dostał on od nas teksty, nim przyjechaliśmy z Rzymu, i oddał je do drukarni Władysława Langzama. Był to zresztą numer fatalny, gdyż z braku korekty roilo się w nim od błędów. Po przyjeździe chodziliśmy i szukaliśmy małej drukarni, aż znaleźliśmy drukarnię Czapnika, która miała pracowników Polaków. Wychodziły tam również jakieś pismka warszawskie. Współpracowaliśmy z Czapnikiem pięć lat, po czym wróciliśmy do Langzama. Po zamknięciu „Gazety Polskiej”, dziennika wydawanego przez Warszawę, który u niego wychodził, Langzam, nie chcąc zwalniać z pracy doskonałych polskich linotypistów, zaproponował nam, że może drukować „Kulturę”, i zaoferował bardzo dobre warunki. Później drukowaliśmy u niego również książki. Była to współpraca bardzo harmonijna.

Władysław Langzam był polskim Żydem, który zaczął jako linotypista i zrobił karierę w czasie wojny. Był oficerem w wojsku francuskim i został nawet we francuskiej strefie okupacyjnej wicegubernatorem jakiegoś miasta. Tam poznał wielu ludzi i nawiązał stosunki. Kiedy okupacja się kończyła, kupił na bardzo dogodnych warunkach maszyny drukarskie i cały niezbędny sprzęt, i po przewiezieniu go do Paryża założył niewielką, ale bardzo sprawną drukarnię, w której wydawaliśmy od 1952 roku „Kulturę” i wszystkie książki przez trzydzieści

siedem lat! — do chwili jej zlikwidowania w 1989 roku. Langzam rozwijał swoją drukarnię tym bardziej, że stał się potem przedstawicielem wszelakich maszyn drukarskich. Jako pierwszy sprowadził linotypy produkcji sowieckiej, które były doskonałe; opierały się naturalnie na modelach amerykańskich czy niemieckich, ale były ulepszone i tańsze. Langzam sprzedawał ich bardzo dużo. Sprowadził zresztą nawet sowieckich mechaników, którzy je w razie potrzeby remontowali.

Langzam mówił doskonale po polsku, czytywał „Kulturę” i czasami się z nami wyklócał. Zresztą bezinteresownie. Drukarnia była jego hobby, był do niej ogromnie przywiązany, ale niestety nie unowocześnił jej, nie z braku funduszy, lecz następcy. Żaden z jego dwóch synów nie chciał się tym zajmować.

Odchodziliśmy z żalem z tej drukarni, gdzie mieliśmy samych przyjaciół. Naszym linotypistą był Ukrainiec, Mikołaj Kudłyk, mówiący doskonale po polsku. Zaprosiliśmy go razem z kierownikiem produkcji, Marchandem, na wystawę czterdziestolecia „Kultury”. Wspominamy ten okres z pewną nostalgią, gdyż do tych wszystkich komputerów, które składają i drukują nasze pismo, nie możemy się przyzwyczaić. Dawniej w drukarni tętniło życie, którego obecnie w hali maszyn nie ma.

Kolportażem „Kultury” zajmowała się początkowo „Vistula” Piskora. Później przejął to „Gryf”. Była to firma stworzona przez Drugi Korpus, która miała w Londynie drukarnię i wydawała „Orla Białego”. Byliśmy z nią zaprzyjaźnieni przez Pawła Zarembę, którego poznaliśmy, gdyż był w polowym Wydziale Propagandy, u kapitana Bornholza, gdzie zajmował się bezpośrednio kolportażem oraz organizowaniem dla żołnierzy imprez kulturalnych i oświatowych. Gdy Korpus przeniósł się do Anglii, Zaremba objął „Orla Białego” wraz z drukarnią.

Był bardzo ciekawym człowiekiem. Tuż przed wojną skończył prawo i zaczął pracować w banku. Zmobilizowany, wojnę spędził w oflagu, dokąd trafił po kampanii wrześniowej. Wyszedł stamtąd po wojnie ze zrujnowanym zdrowiem. Mówił doskonale po angielsku — jego matka była Angielką — po niemiecku i po francusku. Miał ogromną umiejętność pisania w sposób bardzo przejrzysty, a pasjonował się historią. Napisał dla nas *Historię Stanów Zjednoczonych*, *Historię Dwudziestolecia* i *Historię Polski*; tej ostatniej niestety tylko pierwszy tom. Wydaliśmy wszystkie i miały wielkie powodzenie u czytelników. Kiedy w Londynie wszystko zaczęło się chwiać, przeszedł do Wolnej Europy i był do śmierci zastępcą i prawą ręką Jana Nowaka.

Liczba czytelników „Kultury” wzrastała z każdym rokiem. Wielkimi rynkami były dla nas m.in. Ameryka Południowa i Izrael, gdzie rozchodziło się ok. 500 egzemplarzy. Później przyszła jednak potworna inflacja i obecnie w takich krajach jak Argentyna, Brazylia czy Izrael — chociaż stosujemy dla nich zniżki — „Kultura” jest po prostu niedostępna ze względu na cenę. Nakład „Kultury” w szczytowym okresie był mniej więcej na poziomie 7 tysięcy egzemplarzy plus 3 tysiące egzemplarzy o zmniejszonym formacie, na papierze biblijnym, tzw. miniatur wysyłanych co miesiąc do Kraju. Nakład ten od 1989 roku zaczął katastrofalnie spadać. Wówczas zaprzestaliśmy, naturalnie, drukowania miniatur i przestawiliśmy się na wydawanie „Kultury” w Kraju. Nakład wynosi obecnie 3 tysiące egzemplarzy; są to głównie prenumeratorzy. Wydanie krajowe, identyczne z paryskim, ukazuje się z niewielkim opóźnieniem.

Przy całej swej pozornej racjonalności przyjazd do Paryża był poniekąd wariactwem. Nie wiedzieliśmy dobrze, jak sobie damy radę. Mieliśmy nadzieję, że coś wymyślimy. Mieliśmy niewielki kapitalik ze sprzedaży drukarni. Po spłaceniu

pożyczki z Funduszu Żołnierza została nam jeszcze całkiem okrągła suma, którąśmy gospodarowali. Później popadliśmy w poważne kłopoty finansowe i wtedy zaczęła się rola Józia jako wielkiego jałmużnika. Józio odbył dwie podróże na rzecz „Kultury”: do Stanów i do Ameryki Łacińskiej. Sfinansowały je całkowicie polskie hrabiny. Pani Cittadini, która uwielbiała Józia, zafundowała mu bilet i smoking. Pieniądze, zebrane po odczytach Józia, przyniosła tylko podróż do Stanów. Było tego sporo: 5 do 8 tysięcy dolarów, co na owe czasy było znaczną sumą. Podróż do Ameryki Południowej przyniosła znajomość z Berenbauem, a poza tym spowodowała wzrost liczby abonentów. Do tego doszło — co było też w dużej mierze zasługą Józia — fundowanie numerów.

Zaczął się od tego, że byliśmy bez grosza i Stefan Zamoyski — nasz wielki przyjaciel, któremu bardzo wiele zawdzięczamy, gdyż pomagał nam, jak mógł — namówił swoich krewnych Burbonów z Hiszpanii i przyniósł nam trochę pieniędzy. Zrobiliśmy numer i doszliśmy do wniosku, że to może być pewien pomysł. Spotkał się on z bardzo dobrym oddźwiękiem. Po Stefanie Zamoyskim włączył się Legion Młodych Polek z Chicago, który ufundował trzy numery, a poza tym dawał pieniądze na różne inne cele. Te sympatyczne panie organizowały raz do roku bal, który był bardzo popularny w Chicago i przynosił duże pieniądze.

Włączyła się też Polonia argentyńska. Ufundowanie numeru znaczyło, że pokrywa się jego rzeczywiste koszty, łącznie z honorariami. Później fundacja Forda zwróciła się do nas z propozycją numeru amerykańskiego, który oni wydawali we wszystkich językach; ktoś musiał im powiedzieć, że po polsku najlepiej robi to „Kultura”. Poza tym numerem, na którym myśmy bardzo dobrze zarobili, ten kontakt zaowocował, gdyż później oni radzili się nas przez jakiś czas przy przyznawaniu stypendiów Forda.

Nasze wydatki obejmowały nie tylko koszty wydawania „Kultury” i książek, wliczając w to nasze pensje. Bardzo szybko zaczęliśmy przecież wysyłać do Kraju książki oraz odbliski artykułów z „Kultury” na papierze biblijnym. Było tego w każdym przypadku od 500 do 700 egzemplarzy. Nikt nam w tym nie pomagał. Również moje wyjazdy, niezbyt liczne, poza pierwszym okresem, gdy często jeździłem do Berlina czy do Monachium, mieściły się jakoś w naszym budżecie, który był nadto obciążony pensją Jerzego Prądyńskiego, gdy był naszym korespondentem w Berlinie, oraz kosztami wydawanego przezeń biuletynu. Pieniądze szmuglowało się przez granicę, by wyminąć kontrolę dewizową; jeżdżąc do Niemiec, zajmowałem się również z zapalem szmuglowaniem do Francji maszyn do pisania z polskimi czcionkami, kupowanych w Niemczech Wschodnich, gdzie były bardzo tanie. Wreszcie sporo pieniędzy wydawaliśmy na zakup książek do naszej biblioteki, zwłaszcza literatury historycznej i pamiątkarskiej, która mnie szczególnie interesowała, oraz na prenumeratę prasy i czasopism.

Po przyjeździe do Paryża mieszkaliśmy przez parę dni w jakimś hoteliku na rue des Écoles, po czym przenieśliśmy się do Maisons-Laffitte, do domu przy avenue Corneille, „na Korneju”. Dom był wynajęty przez placówkę Józia na magazyny. Nikt w nim nie mieszkał, gdyż dom był zupełną ruiną. Składowano tu książki i żywność. Ale gdy zobaczyliśmy, że hoteliki są straszliwie niewygodne i że praca w tych warunkach jest niemożliwa, uznaliśmy, że najprostszą rzeczą będzie zainstalowanie się w tym domu, z którym zapoznaliśmy się, oglądając magazyn. Na co Józio powiedział: „Jeśli chcecie, to wprowadźcie się tutaj. Ja wam to oddaję, ale będziecie pokrywać wszystkie wydatki”. On sam mieszkał wtedy w Paryżu i wprowadził się na Kornej chyba w 1948 roku, gdy jego placówka została zamknięta. Jeszcze później wprowadziła się

Marynia Czapska, która wynajmowała mieszkanie w Paryżu, a ponieważ całymi dniami siedziała w bibliotece, albo Polskiej, albo Nationale, więc nie miała ochoty przenosić się do Maisons-Laffitte, gdyż w owych czasach podróż stąd do Paryża trwała długo.

Tę ruinę zamieniliśmy w biura i w mieszkania. Zosia wielokrotnie opowiadała o tym bohaterskim okresie, gdyśmy myli i szorowali ten dom, robiąc przy okazji różne odkrycia. Odkryliśmy w ten sposób kuchnię i łazienkę, które były tak zawalone gruzami, że nie było wiadomo, co tam jest. Początkowo byliśmy tylko w trójkę. Wkrótce dołączył do nas Jerzyk Łubieński, siostrzeniec Józia, który był w jego placówce. To on zawiadywał magazynami i zawarł umowę na wynajęcie tego domu, gdzie mieszkał z nami. Później zamieszkali też Józio, Marynia oraz sekretarka Józia, pani Kozłowska.

Umowę odnawialiśmy co roku, przy czym czynsz był stale podwyższany, aż przyszedł moment, gdy właściciel postanowił dom sprzedać i wyraźnie chciał się nas pozbyć. Ponieważ nie mogliśmy zgodzić się na nową, ogromną podwyżkę, wymówił nam mieszkanie, proponując zarazem kupno domu, a że było to dla nas niemożliwe, oddał sprawę do sądu, żądając eksmisji. Proces przegraliśmy, gdyż, jak się okazało, akt wynajmu był źle zredagowany.

Kiedy to nastąpiło, dowiedzieliśmy się przypadkowo, że w Maisons-Laffitte jest wolna posiadłość, z domem niesprzedanym, gdyż nie dającym się podzielić na mieszkania, które by można wynajmować, a przy tym za dużym dla jednej rodziny. Ale nigdy byśmy tego domu nie kupili, gdyby nie Weissberg-Cybulski, który prowadził wtedy biuro budowlane we Francji — czym on się nie zajmował! Jego biuro nie tylko wyceeniło ten dom, ale bardzo zbiło cenę: targowało się znakomicie z właścicielami i doprowadziło do obniżenia wyjściowej sumy bodaj o połowę, jeżeli nabywca zapłaci gotówką.

Do kupna domu zachęcił nas właściwie Berenbau, który był wtedy w Paryżu. Józio poznał go podczas swej tury po Ameryce Łacińskiej. Otóż poradził on, byśmy ogłosili zbiórkę. Co też zrobiliśmy. Dom kosztował 6 milionów 800 tysięcy starych franków. Zbiórka nie tylko pokryła tę sumę, ale dała sporą nadwyżkę, która pozwoliła na stworzenie Funduszu „Kultury”. Była też dla nas ogromną przyjemnością, gdyż okazała się plebiscytem czytelników, którzy masowo opowiedzieli się za „Kulturą”.

Zanim jednak do tego doszło, pomógł nam raz jeszcze Stefan Zamoyski, gdyż namówił milionera południowoamerykańskiego, Lopeza, który wynajmował część Hôtel Lambert, by pożyczył nam bezprocentowo pieniądze potrzebne na kupno domu. Pomógł nam również markiz de Boisgelin, który był przyjacielem Józia i któregośmy dość dobrze znali, bo był żonaty z Jolantą Wańkowiczówną, córką radcy handlowego w ambasadzie polskiej w Stanach Zjednoczonych. W czasie wojny służyła ona w wojsku amerykańskim i poznaliśmy ją jeszcze w Rzymie, a Boisgelin spotkał ją u Józia. Był w niej śmiertelnie zakochany.

Zakup domu wymagał rozwiązania nie tylko problemów finansowych, lecz również problemów prawnych, bo cudzoziemcom nie wolno było kupować nieruchomości. Malraux wystosował wtedy do odpowiednich władz wielkie pismo, które nas prezentowało i które pozwoliło usunąć tę trudność. Bardzo nam także pomogła Legia Honorowa, którą dostałem w 1937 roku. Jej działanie na administrację francuską było zdumiewające. Gdy nasz adwokat dowiedział się przypadkiem w rozmowie, że mam Legię Honorową, uznał, że problem jest niemal rozwiązany. Później odegrało to pewną rolę w uzyskaniu dla mnie zgody na zostanie dyrektorem Instytutu, czym nie miałem prawa być jako cudzoziemiec.

Początkowo byliśmy związani z „Libellą”, która, jako księ-

garnia, miała zgodnie z przepisami francuskimi prawa wydawnicze. Ale w pewnym momencie przerośliśmy „Libellé”, która nie mogła dłużej nas firmować. Otóż ówczesne przepisy zabraniały cudzoziemcom kierowania wydawnictwami czy przedsiębiorstwami; trzeba więc było wynajmować jakiegoś Francuza, który nominalnie był dyrektorem. Przy rejestrowaniu Instytutu Literackiego chcieliśmy tego uniknąć. Wydawało się to niemożliwe. I wtedy okazało się, że posiadanie Legii Honorowej pozwala rozwiązać również ten problem. Tak oto zostałem pierwszym cudzoziemcem dyrektorem wydawnictwa zaaprobowanym przez władze francuskie.

W początkach naszego pobytu stosunki we Francji były bardzo nieprzyjemne. NKWD porywał ludzi na ulicach, a pod Paryżem był obóz kontrolowany przez Sowietów. Polskie władze wojskowe poradziły mi nawet przy demobilizacji, bym dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa sfalszował swoje dokumenty, zmieniając miejsce urodzenia z Mińska Litewskiego na Warszawę, co też zrobiłem. Komunistyczna „l'Humanité” ogłosiła fotografię domu, gdzie mieściło się biuro placówki Czapskiego, zaznaczając krzyżykami okna, za którymi kryli się — jak wyjaśniano — „faszyści z armii Andersa”. W Maisons-Laffitte żadnych demonstracji nie było. Była jednak nieufność i podejrzliwość. Kłopotów z merostwem nie mieliśmy. Ale interesowała się nami policja. Kiedy czyściliśmy zrujnowany dom na Korneju, szukaliśmy jakiejś pomocy. Zgłosiła się kobieta, która okazała się bardzo pracowita, ale która — co zwróciło naszą uwagę — była strasznie ciekawska i stale się o coś dopytywała. Zaczęło się to nam nie podobać, ale ona pewnego dnia nie przyszła do pracy. Nie wiedzieliśmy, co się z nią stało, dopóki Zygmunt nie spotkał jej w komisariacie policji, gdzie poszedł coś załatwić. Okazało się, że była tam sprzątaczką i że ją stamtąd przysłano.

Był to jednak jedyny taki wypadek. Nie mieliśmy do czy-

nienia ze złośliwością czy szykanami władz francuskich. Cieszyliśmy się nawet pewnym poparciem. Kiedy Miłosz wybrał wolność i zamieszkał u nas, policja obawiała się, by go nie porwano, i dała nam na jakiś czas ochronę. Administracja francuska nigdy nie miała do nas pretensji, że naruszamy prawo azylu. Zachowywała się zawsze w stosunku do nas bardzo przyzwyczajenie i z dużą życzliwością.

Żyliśmy bardzo skromnie. Wypłacaliśmy sobie pensje minimalne. Prowadziliśmy wspólną kuchnię i stale mieliśmy dużo gości. Dopiero po wielu latach, kiedy sytuacja się nieco poprawiła, Zygmunt nabył za grosze jakiś używany samochód, którym z Zosią wyjeżdżali na urlopy. Co do mnie, nie odczuwam potrzeby urlopu; jest zawsze tyle zaległości, że z tego wybrnąć nie można, jeśli nie w robocie redakcyjnej, to w lekturach. Jest mnóstwo książek, które odkładam, by je przeczytać, i na które noce nie wystarczają. Toteż wypchnięto mnie na urlop bodaj tylko dwa razy, gdy miałem szczególnie ostre dolegliwości zdrowotne.

Nasz dom w Maisons-Laffitte był, jak to zauważył Kot Jeleński, falansterem. Ale między falansterem a klasztorem jest istotna różnica. W klasztorze możliwa jest samotność. Jedynym miejscem, za którym mam pewną nostalgię, jest klasztor dominikanów w Mosulu. Śliczny klasztor, z którym byłem zaprzyjaźniony; zawsze marzyłem, że kiedyś tam pojadę i tam zostanę. Była tam świetna biblioteka, całkiem świecka. Miałem wtedy złamaną nogę i urzędowałem u tych miłych dominikanów, korzystając z ich biblioteki. Zresztą życie klasztorne zawsze mnie pociągało. Dominikanie spotykali się tylko na modlitwach i posiłkach, a i to nie było konieczne, gdyż można było jeść u siebie w celi. Było się jednocześnie bardzo samotnym i miało się jakiś styk z innymi, ale bez dyscypliny, która by zmuszała do wspólnego życia, do falansteru.

Tak się złożyło, że zawsze prowadziłem życie aktywne. Co

gorsza, wklepałem się w wiele spraw ubocznych, miał skupić się na samym piśmie, co by na pewno wyszło mu na dobre. Ale ciągle pojawiają się jakieś sprawy, które pochłaniają mnie i odciągają. Toteż mam poczucie zmarnowanego życia. Mówię nie o ambicjach, ale o życiu czysto osobistym. Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem kosztem życia osobistego, którego nie mam. Bywa to niekiedy dość dokuczliwe. Przypuszczam jednak, że nie umiałbym żyć inaczej.

MIEDZY KRAJEM A LONDYNEM

Jedną z najpilniejszych dla mnie spraw było zbudowanie kręgu autorów „Kultury”. Niektórzy byli pod ręką, jak Czapski czy Bobkowski. Innych szukałem, kierując się moimi znajomościami przedwojennymi. Tak np. usiłowałem pozyskać dla „Kultury” Wojciecha Wasiutyńskiego, z czego nic jednak nie wyszło. Był to endek, ale świetny publicysta. Lepiej udało mi się ze Zbigniewem Jordanem, z którym rozstaliśmy się przed wojną, gdy poszedł ostro na lewo. Odnaleźliśmy się w Londynie, gdzie on pracował w Ministerstwie Informacji. Później zaczął pisać do „Kultury”, gdzie ogłosił kilka bardzo dobrych artykułów. Pisał niestety z dużym trudem i dlatego współpraca z nim nie była tak częsta, jak bym chciał.

Przez Bobkowskiego dostaliśmy do pierwszego numeru „Kultury” artykuł Krońskiego, który był jego znajomym. Gdy przyjechałem do Paryża, nawiązałem z Krońskim kontakt. Zastanawiał się on wtedy, czy zostać na emigracji, czy wrócić do Kraju. Rozmawialiśmy o tym, ale mówiliśmy też o naszej przyszłej współpracy. Mit Krońskiego jako „tygrysa”, o którym z przerażeniem i fascynacją pisze Miłosz, jest dla mnie zupełnie niezrozumiały. Interesowały go głównie sprawy bytowe. Mieszkał w ambasadzie i skarżył się, że stołówka jest

fatalna, że ma bardzo ciężkie warunki, że jak wróci do Polski, to nie wie, co będzie mógł robić; o żadnych sprawach politycznych czy ideologicznych nie było mowy. Te kontakty utrzymały się chyba pół roku, po czym nagle Kroński wziął i wyjechał.

Jeszcze inni autorzy zgłosili się sami, jak Florczak, który później, w 1949 roku, wrócił zresztą do Polski, co było dla nas zaskoczeniem. Florczak zjawił się na Korneju z dramatyczną wizytą pożegnalną, tłumacząc, że nie ma tu żadnej przyszłości i że musi wrócić. Powiedziałem mu, że bynajmniej go nie potępiam. Po czym stosunki urwały się na długo. Gdy zacząłem dostawać teksty z Polski podpisane „Pelikan”, nie wiedziałem nawet, że to Florczak; on sam ujawnił się całkiem niedawno.

Innym autorem, który zgłosił się do „Kultury”, był Melchior Wańkowicz. Przed wojną stykałem się z nim bardzo niewiele. Nasze stosunki nawiązały się w Bukareszcie, po Wrześniu. Polski Paryż tępił go dość zajadłe. Był pierwszym, który napisał książkę o wojnie, o Wrześniu. Książka została zakazana; ambasada dostała polecenie, by storpedować wydanie jej po polsku. Była to rzecz bardzo wańkowiczowska, podkreślająca bohaterstwo żołnierza i krzepiąca na duchu. Ale z Wańkowiczem walczone, bo uchodził za sanatora. Były też ogromne kłopoty z wysłaniem go z Rumunii, gdzie był zagrożony z uwagi na to, co pisał przed wojną o Niemczech. Z wielkim trudem, dzięki pomocy min. Arciszewskiego, udało się umieścić go na Cyprze, wraz z różnymi ważniejszymi osobistościami.

Później, gdy byłem w Drugim Korpusie, stwierdziłem, że Wańkowicz mieszka jako uchodźca w Jerozolimie, w bardzo ciężkich warunkach. Wtedy przyszło mi na myśl, by zatrudnić go jako korespondenta wojennego przy Drugim Korpusie. Okazało się jednak, że korespondentów wojennych mianuje Londyn, gdzie Wańkowicz był ciągle w niełasce. Ale zainteresowałem tym Andersa, który był bardzo podatny na

takie sugestie, i zrobiliśmy Wańkowicza urzędnikiem wojskowym. Miał jakieś paski, jakieś gwiazdki — prawie jak major. Wysłaliśmy go do Persji, skąd pisał reportaże pod tytułem *Listy perskie nie-Monteskiusza*, co spowodowało kategoryczną depeszę gen. Kukieła, który żądał natychmiastowego przerwania druku tych reportaży, gdyż groziły rzekomo dobrym stosunkom polsko-perskim. Gen. Kukiel nie miał zupełnie poczucia humoru.

Wańkowicz stał się rychło osobą niezmiernie popularną w Drugim Korpusie. Jego odczyty na terenie Środkowego Wschodu były doskonale i cieszyły się ogromnym powodzeniem. A on sam wrósł w Drugi Korpus i gdy zjawił się we Włoszech, to funkcjonował jako swego rodzaju kronikarz Korpusu. Był lubiany; szczególnie zajmował się nim generał Szyszko-Bohusz, który go bardzo cenił. Spotkaliśmy się w Rzymie, gdy pisał swe monumentalne dzieło o Monte Cassino, i utrzymywaliśmy wtedy sympatyczne stosunki osobiste. Gdy powstała „Kultura”, Wańkowicz był w Londynie i nawiązał z nami kontakt. Podejmował tematy, które mnie wtedy bardzo interesowały, i zajmował w stosunku do Kraju stanowisko zbliżone do mojego, z tym że był skłonny iść zbyt daleko na kolaborację z władzami warszawskimi. Jego *Klub trzeciego miejsca* wywołał duże poruszenie. Stosunki z nim były dość dobre. Ich ochłodzenie nastąpiło po jego wyjeździe do Polski. Utrzymały się głównie ze względu na moją przyjaźń z jego córką i z jego zięciem, Erdmanem, którego jednak nigdy nie zdołałem skłonić do pisania.

Uważałem, że Wańkowicz nie powinien był wracać. To było za tanie. Rozumiałem jego względy: był w sytuacji materialnej bardzo ciężkiej. Ferma, którą miał razem z Erdmanami, była deficytowa. Erdman pracował w fabryce dywanów, jego żona też gdzieś pracowała. Nie dawali sobie po prostu rady. Wszystkie podejmowane przez Wańkowicza próby

wyglaszania odczytów czy sprzedawania książek, w czym rozwijał ogromną pomysłowość, nie dawały skutków. Tak że on pojechał po prostu z powodu warunków materialnych.

Jeśli niezbyt chętnie traktowałem ten powrót, to dlatego, że był bardzo różny od powrotu Stanisława Mackiewicza, który natychmiast po powrocie do Polski zaczął działać: telefonował, pisał pod pseudonimami, zachowywał się z ogromną odwagą. A Wańkowicz przystał na ocenę *Monte Cassino*. Było to dość niesympatyczne. W wydaniu oryginalnym była fotografia Andersa. W wydaniu krajowym była wielka fotografia Wańkowicza. To już chyba przesada. Wańkowicz był w Polsce bardzo popularny i wydanie okrojonego *Monte Cassino* nie było dla niego warunkiem *sine qua non* egzystencji. Nie musiał się na to godzić.

Jego zachowanie w Kraju trudno mi ocenić. Ale z dwóch autorów kresowych, z których jednym był Wańkowicz — *Szczenięce lata* to świetna książka — a drugim Stanisław Mackiewicz, ten ostatni był mi niewątpliwie sympatyczniejszy. Znałem go chyba od 1927 roku, przez Adzia Bocheńskiego, który był z nim wtedy bardzo blisko. I miałem z nim nierówne wprawdzie, ale bardzo dobre stosunki. Pisywał zresztą w „Kulturze”, nawet jako premier. Do jego powrotu odniosłem się bardzo łagodnie, co zapewne świadczy o stosowaniu przeze mnie dwóch różnych miar do dwóch różnych osób. Może było tak dlatego, że Mackiewicz odezwał się do mnie prawie natychmiast po powrocie. Zawdzięczałem mu pierwsze informacje o wypadkach poznańskich, o czym mówił otwarcie przez telefon. A potem pisał u nas jako Gaston de Cerizay. Zresztą miałem dla niego zawsze szacunek za jego gest, za jego walkę o broń pancerną, co było powodem jego internowania w Berezie przez tego głupiego Sławoja; wszystko to było mi bardzo bliskie.

Bardzo lubię literaturę rosyjską. Otóż jedną z najlepszych

książek o Dostojewskim napisał Mackiewicz. Była to bardzo złożona postać. Typowy warchoł, jakich Polsce nie brakowało. Od Zborowskiego poczynając jest cała taka linia wybitnych Polaków, kompletnych samodurów. Jeśli mam słabość do Mackiewicza, to dlatego, że miałbym wszelkie dane, by być czymś w tym rodzaju. Ale nałożyłem na siebie gorset. Nie tylko w tej dziedzinie. Gdybym miał scharakteryzować siebie, używając porównania literackiego, powiedziałbym, że jestem człowiekiem typu Oblomowa. Przełamanie bezwładu przychodzi mi z wielkim trudem. Kiedy w wojsku byłem żołdakiem, co przynajmniej w pierwszym okresie nie było rzeczą przyjemną, tym, co mnie trzymało, było to, że — nawet w Tobruku — wstawałem pół godziny przed pobudką, by móc się spokojnie ogolić. Gdybym któregoś dnia się nie ogolił, miałbym poczucie spełzania w dół. Jeśli człowiek sobie na coś takiego pozwoli, to bardzo szybko staje się łajzą. Dlatego patrzyłem z sympatią na Cata, który nie narzucał sobie gorsetu, ale warcholił. A poza tym zawsze fascynowali mnie ludzie utalentowani.

Choć nie mieliśmy wątpliwości co do tego, że pozostanie my na Zachodzie, nasz stosunek do rzeczywistości polskiej nie był jej jednoznacznym i bezwarunkowym odrzuceniem. Chcieliśmy oddziaływać na tę rzeczywistość. A przede wszystkim chcieliśmy mieć obiektywną informację o tym, co się dzieje w Kraju. Dlatego właśnie wydaliśmy Jantę. Była to pierwsza obiektywna relacja z pobytu w Kraju, toteż uważałem, że koniecznie trzeba ją wydać, by ludzie nie mieli obrazu panującej tam sytuacji spaczzonego przez *Greuelpropagande*, by wiedzieli, jaka jest rzeczywistość, i by podejmowali decyzje z pełną świadomością. Nigdy jednak nie agitowaliśmy przeciw powrotowi czy za powrotem do Kraju.

Jantę poznałem jeszcze przed wojną, przez jego bardzo bliskiego krewnego, bodajże stryja, ministra rolnictwa Jantę-

-Polczyńskiego, którego byłem sekretarzem. Był to bardzo typowy przedstawiciel sfer konserwatywnościemiankich z Pomorza i Poznańskiego. Do Janty miał on stosunek dość lekceważący, choć ten był znanym dziennikarzem, drugą obok Fajansa gwiazdą polskiego reportażu międzynarodowego: jeździł po świecie, przywoził różnych ludzi do Polski itp. Wojna zastała go w Japonii, gdzie był attaché prasowym ambasady i gdzie został jeszcze jakiś czas po jej likwidacji dla uporządkowania różnych polskich spraw. Po czym poszedł do wojska, dostał się do niewoli i pracował u jakiegoś bauera. Ponieważ jego pobyt w Japonii bardzo mnie interesował, wywiązała się między nami korespondencja. Janta zjawił się tu w drodze do Polski, powiedział mi, że tam jedzie, i zapytał mnie, czy reflektuję na jego relację z tej podróży. Wtedy zamówiłem u niego reportaż z Polski.

Ogłoszenie ich pierwszego odcinka w „Kulturze” wywołało bardzo negatywne reakcje na emigracji. Przyznaję, że się ich nie spodziewałem. Było w tym zresztą trochę mojej winy. Janta bardzo często używał słowa „wyzwolenie”, które należało wziąć w cudzysłów, czego on nie zrobił, ale co ja powinienem był zrobić. Krytycznych głosów prasowych było zresztą niewiele. Najgroźniejsza była reakcja Andersa, który — zapewne pod wpływem Stahla czy kogoś takiego — zakazał kolportażu „Kultury” w Londynie. Instytut wprawdzie już się wtedy uniezależniał, ale byliśmy jeszcze w wojsku. Nie chciałem stawiać sprawy na ostrzu noża. Dlatego oświadczyłem, że przerywam druk reportażu w „Kulturze” i wydaję je na własny koszt w Paryżu. Był to jednak powód i pretekst, zresztą dla mnie wtedy bardzo wygodny, do całkowitego usamodzielnienia się. Zdawałem sobie sprawę, że rozbieżności między nami a emigracją londyńską będą narastać.

Janta zajął się później wspólnie z Aleksandrem Hertzem prowadzeniem antykwariatu książkowego w Nowym Jorku, który

rozwijał z dużym talentem. Potrafił wyciągnąć rozmaite książki z „żelaznej kurtyny” czy znajdować je na emigracji, tak że ten antykwariat bardzo dobrze funkcjonował. Ostatni raz miałem z nim do czynienia, gdy zawiadomił mnie, że ma ofertę któregoś z uniwersytetów amerykańskich na zakup archiwum „Kultury”. Janta ożenił się z Walentyną Pacewicz, która opiekowała się nim do końca jego życia z niezwykłym poświęceniem, zwłaszcza podczas jego ostatniej choroby. A był to rak w jego najgorszej formie.

Nasza chęć informowania emigracji o tym, co się dzieje w Kraju, doprowadziła do wydania pięciu „numerów krajowych”. Główna zasługa przypada tu Stanisławowi Gryziewiczowi, ekonomiście, którego znałem i z którym przyjaźniłem się jeszcze przed wojną, gdy pracował w Ministerstwie Rolnictwa, w departamencie ekonomicznym, u Adama Rose. Stworzył on w Londynie mały zespół, który zajmował się badaniem problemów społecznych i gospodarczych Polski, i który opracował różne tematy z tej dziedziny zupełnie bezinteresownie, tak że nie musieliśmy nawet płacić honorariów. Gryziewicz odpowiadał za wszystkie te numery; spieraliśmy się tylko o szczegóły. On przecież siedział w tych sprawach, a ja się w nich stosunkowo mało orientowałem. Myśleliśmy o stworzeniu komórki, która by kontynuowała tę robotę, ale niestety nie było na to pieniędzy. Wobec tego Gryziewicz musiał zająć się swoimi sprawami i wyjechał do Etiopii, gdzie miał jakiś kontrakt.

W pierwszych latach powojennych w Paryżu było bardzo wielu przyjezdnych z Kraju, o wiele więcej niż w Rzymie. Był wśród nich Jan Kott, z którym widziałem się wielokrotnie. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w Hôtel Lambert, gdzie wtedy mieszkałem, podczas jakiegoś krótkiego wyjazdu z Rzymu, a może w drodze między Rzymem a Londynem, gdyż wtedy jeździło się ciężarówką wojskową z Rzymu do Paryża, a stąd

samolotem do Londynu. Kott przyszedł do mnie. Były to rozmowy z człowiekiem pełnym euforii, że wszystko się tak doskonale w Polsce rozwija. Podkreślał, że jest świetnie przyjmowany przez Francuzów, że mieszka w jakimś znakomitym hotelu, czym się trochę chwalił; miałem do czynienia z człowiekiem szczęśliwym, co było rzadkie w owych latach. W późniejszych rozmowach Kott nie namawiał mnie do powrotu, ale do złagodzenia krytyk pod adresem reżymu, które uważał za przesadne.

Innym pisarzem, który zjawił się wtedy w Paryżu, był Adolf Rudnicki. Przyszedł do Józia i bardzo się tłumaczył, że napisał opowiadanie *Major Hubert z armii Andersa*; mój kontakt z nim był wtedy bardzo przelotny, chociaż znałem go trochę przed wojną i nawet drukowałem w „Polityce” jakieś jego teksty na tematy żydowskie. Ale po tym całym przeproszaniu Józia, tego samego dnia, na jakimś wieczorze zorganizowanym przez Czerwony Krzyż, na którym Józio też był obecny, odczytał właśnie to samo opowiadanie, nie zmieniając w nim ani przecinka. To mnie od razu ustawiło w stosunku do niego. Później widzieliśmy się dwu- lub trzykrotnie, z jego inicjatywy, ale nie miało to żadnego znaczenia.

W Paryżu ponownie spotkałem Dobraczyńskiego. Były to dyskusje dość obojętne, nie na tematy bieżące, ale wokół Powstania i okupacji. Zjawił się również Jerzy Zagórski z żoną; miałem z nimi dobre stosunki nawiązane jeszcze w Rzymie. Bardzo często rozmawiałem z Koźniewskim. Były to rozmowy politycznie obojętne. Dotyczyły wspomnień z czasów wojny: on był przecież wtedy kurierem i mieliśmy wspólnych znajomych. Koźniewski przedstawiał sytuację w Polsce bez naświetlania propagandowego, dość trzeźwo i dość spokojnie, z nastawieniem bliskim paksowskiego: trzeba współpracować, żeby coś zrobić. Jeszcze inna postać z tamtych lat: znany biblista, ksiądz Dąbrowski, który robił wrażenie brata

laty. Opowiadał mnóstwo anegdot o Sowietach, o tym, co się działo na Ziemiach Odzyskanych, gdzie kupował dzwony od żołnierzy sowieckich za butelkę wódki, i inne takie historie.

Ciekawsze były rozmowy z pupilem Brystygierowej, Dominikiem Horodyńskim, który był tu jako jeden z pierwszych i dość często tu przyjeżdżał. To już były rozmowy z wyraźnym nastawieniem propagandowym pro-Polska Ludowa. Dobrze mówił o Brystygierowej, nie wymieniając jej, rzecz jasna, z nazwiska, ale podkreślając, że ma dobrą znajomą, przez którą można wiele rzeczy załatwić, i że są ludzie zdolni do obiektywnej oceny spraw, ale to wszystko bez wielkiego nacisku. A poza tym bywało tu wiele osób, które spotykały się z Józkiem. Iwaszkiewicz namawiał go nawet do powrotu. Interesował go również Bobkowski. Nie podjął jednak żadnej próby nawiązania kontaktu ze mną. Podobnie Borejsza, który, witając się z Czapskim, zrobił całą scenę: ukląkł i pocałował go w rękę, po czym wygłosił wielką laudację pod jego adresem. Polował też na Bobkowskiego i innych, których próbował ściągnąć do Warszawy.

Zasadnicza rozbieżność między nami a Londynem polegała na tym, że my byliśmy nastawieni na oddziaływanie na Kraj, a oni chcieli od razu budować Polskę emigracyjną, państwo polskie na wygnaniu. Stali się samowystarczalni i byli pochłonięci tylko własnym życiem. Kraj był całkowicie odrzucony: zakaz drukowania w Kraju czy bojkotowanie książek wydanych w Kraju — to było przecięcie wszelkich więzi. Jeśli chcieli oddziaływać — to wyłącznie w trybie dywersyjno-dwójkarskim: przez jakieś WiN-y, Bergi i inne operacje tego rodzaju. Byłem temu kategorycznie przeciwny. Wiązanie się z różnymi wywiadami, żeby załapać na tym trochę pieniędzy i budować bardzo podejrzone siatki, było dla mnie zupełnie nie do przyjęcia.

Co do nas, podejmowaliśmy wszelkie możliwe próby dotarcia do Kraju. Tak np. pojechaliśmy z Józkiem na Międzynarodowy Festiwal Młodzieży do Berlina, co ułatwił nam Melvin Lasky z „Der Monat”, i przenieśliśmy na stronę wschodnią książki i druki. Ale szybko napotkaliśmy nieoczekiwaną trudność. W książkach, które rozdawaliśmy, był podany nasz adres w Berlinie, aby ułatwić nawiązanie kontaktów. Zjawili się tam kilka osób, które chciały wybrać wolność. Przeraziło mnie to. Ówczesny świeżo mianowany dyrektor Wolnej Europy, Jackson, odgrywał, jak się zdaje, dużą rolę w CIA. Gdy go poznałem, dowiedziałem się, że oni chcą zajmować się uciekinierami po to tylko, by szkolić ich jako agentów do przerzucenia z powrotem do Polski. Było to robione z całą amerykańską brutalnością. Popadłem na tym tle w konflikt z Amerykanami, gdyż namawiałem młodych ludzi, którzy chcieli wybrać wolność, by zrezygnowali z tego. A naszą akcję zawiesiliśmy.

Wysyłaliśmy natomiast książki pod fałszywymi okładkami i teksty drukowane na papierze biblijnym na różne adresy brane z książek telefonicznych, starając się często je zmieniać, by nikogo nie narażać i zapewnić jak najszerszy rozrzut. Podobnie korzystaliśmy z usług marynarzy. Kilku marynarzy, z którymi zresztą do tej pory utrzymujemy kontakty, zabierało książki do Kraju. Na wszystkie te przedsięwzięcia nie mieliśmy żadnych funduszy. Robiliśmy je własnym kosztem. Ileśmy tego wysłali, trudno powiedzieć. Zresztą nigdy takiej statystyki nie zrobiłem. Wreszcie bardzo ważnym działem naszych stosunków z Krajem była pomoc, jakiej udzielaliśmy różnym ludziom; łącznie w latach pięćdziesiątych obejmowaliśmy nią około trzydziestu osób. Wybierając je, kierowałem się moimi znajomościami przedwojennymi oraz wiedzą o ich losach. Korzystałem też z sugestii Kisielewskiego.

Rozbieżności między nami a Londynem dotyczyły nie tyl-

ko kontaktów z Krajem. Obecną granicę wschodnią Polski zaakceptowaliśmy bardzo szybko. Jednym z najważniejszych numerów „Kultury” był właśnie ten, w którym ogłosiliśmy list księdza Majewskiego w tej sprawie. Później „Kultura” zajęła zdecydowane stanowisko, że Lwów ma być ukraiński, a Wilno — litewskie. Granicą zachodnią interesowaliśmy się mniej. Nie wydaje mi się, by była ona dla mnie kiedykolwiek problemem. Problemem było wysiedlanie Niemców robione bez potrzeby w sposób niehumanitarny. Zapewne, Niemcy bardzo okrutnie postępowali wobec Polaków, ale nie było powodu, by naśladować ich pod tym względem. Problemem był również stosunek do Mazurów, Kaszubów i innych autochtonów wyniszczanych przez Polaków i przez Polskę. Zresztą emigracja jako całość dość szybko uznała granicę na Odrze i Nysie; wprawdzie Andersa oskarżano, że z niej rezygnuje, ale zarzuty te były bezzasadne. Emigracja nie zaakceptowała natomiast granicy wschodniej i w większości, jak sądzę, nie akceptuje jej po dziś dzień, może dlatego, że jest tu bardzo silne lobby lwowskie.

Różniliśmy się z Londynem również w ocenie tego, co się działo w Kraju. Myśmy nie myśleli o nim w kategoriach białoczarnych i nie uważaliśmy, że wszystko tam jest do niczego. Bardzo kłóciliśmy się np. z Juliuszem Poniatowskim, z którym zawsze miałem stosunki zarazem przyjacielskie i antagonistyczne. Poniatowski, może pod wpływem Czesława Bobrowskiego, który we wczesnych latach pięćdziesiątych też mieszkał w Paryżu, był zwolennikiem kolektywizacji. Ja byłem jej przeciwny, ale chętnie dyskutowałem na ten temat i zastanawiałem się, czy z tego coś może wyjść. Nie wykluczałem tego z góry i nie twierdziłem bez zbadania sprawy, że kolektywizacja jest wyłącznie szkodliwa. Uważałem, że trzeba ją przeanalizować, nim wyciągnie się jakieś wnioski. Inny,

późniejszy przykład: inicjatywa Mühlsteina załatwienia kredytów na modernizację polskich kopalń węgla, której byłem inspiratorem, została odebrana na emigracji jako kolaboracja i zdrada, jako popieranie reżymu. A dla mnie było jasne, że jest to niesłychanie ważne dla Polski, obojętne, czy będzie to Polska komunistyczna, czy nie.

Nie znaczy to, jakobyem miał poczucie, że reżym komunistyczny szybko upadnie. Miałem pewność, że upadnie imperium sowieckie, z czego wyśmiewał się do niedawna Kisielewski i nie on jeden. Ale zależało mi na tym, by Polska miała w bloku sowieckim stanowisko względnie autonomiczne, i uważałem, że w dążeniu do autonomii trzeba pomagać. Nastawienie to wynikało z przekonania, że możliwe jest rozluźnienie panowania sowieckiego nad Polską i jakieś, choćby bardzo ograniczone, usamodzielnienie się Polski w obrębie bloku. Nie uważałem, by wszystkie kraje były podciągnięte pod jeden strychulec. Uważałem, że trzeba próbować wywierać na nie wpływ i że może to być skuteczne. Stąd np. moje kontakty z Jugosławią. Miałem tam zamiar pojechać, co nawet ogłosił „Dziennik Polski”, ale do tego nie doszło.

Utrzymywałem wtedy pewne stosunki z Karolem Kewesem, pisującym jako K. S. Karol, który bardzo w owym czasie fermentował; później przez lata nie miałem z nim żadnych kontaktów, a gdy nawiązałem je ponownie przez Kołakowskiego, który się z nim przyjaźnił i mieszkał u niego podczas pobytów w Paryżu, to nie było już żadnej chęci współpracy ani z jego, ani z mojej strony. Zaproponowałem mu nawet, by napisał coś do „Kultury”, z czego jednak nic nie wyszło. Ale we wczesnych latach pięćdziesiątych, w okresie jego ząbkowania, był on bardzo zagubiony i też szukał jakichś rozwiązań; stąd próby tego pisemka, „La Tribune des Peuples”, które było bardzo interesujące i które spowodowało, że nawiązałem z nim stosunki.

Obaj byliśmy zdania, że trzeba stawiać na Jugosławię, by oddziaływać na blok sowiecki.

Kontakt z Džilasem nawiązał się dzięki temu, że zaprzyjaźniłem się z dyrektorem biblioteki uniwersyteckiej w Belgradzie, Subotinem, który był w Paryżu w swoich sprawach bibliotecznych, potrzebował jakiejś książki i do nas zadzwonił. Wokół niego skupiało się całe grono młodych Serbów, m.in. Jan Nowakowski, Serb pochodzenia polskiego, który pracował w agencji Tanjug w Belgradzie. Otóż Subotin, choć bardzo się tego bał, utrzymywał potajemnie kontakt z Džilasem. I to on powiedział mu, że można z nami rozmawiać. Na spotkanie z Džilasem pojechał raz Zygmunt, a raz Stempowski.

Miałem wtedy różne projekty oddziaływania przez Jugosławię na Polskę i inne kraje bloku sowieckiego. Myślałem, że należy spowodować założenie komunistycznej Wolnej Europy, na co Tito był bardzo otwarty. Ale nic z tego nie wyszło z braku kandydatów do pracy w takim radiu. W latach pięćdziesiątych, już po wizycie Chruszczowa w Jugosławii, ale jeszcze przed Październikiem, przy cichej tolerancji władz, wysłałem z Jugosławii masę książek do Polski i do Rosji. Nie miałem jednak żadnej sympatii do titoizmu. Ustrój jugosłowiański to nie był mój problem. Mój punkt widzenia na całą tę sprawę był, muszę to przyznać, dywersyjny. Ważne dla mnie były możliwości oddziaływania za pośrednictwem Jugosławii — i to wszystko. Później interesowałem się tamtejszymi eksperymentami społeczno-gospodarczymi, a zwłaszcza radami robotniczymi.

Rozbieżności między nami a emigracją londyńską dotyczyły nie tylko stosunku do Kraju. Dotyczyły również samej emigracji. Niemal od początku, a w każdym razie — od rozłamu i konfliktu z Zaleskim, wyrażałem pogląd, który znajdował zrozumienie w prywatnych rozmowach czy to z Raczyńskim, czy z Sabbatem, ale był nie do przeprowadzenia. Uważałem mia-

nowicie, że należy zachować stanowisko prezydenta i stworzyć przy nim komitet, nie żaden rząd, ale komitet.

Dzieliła nas poza tym ocena Dwudziestolecia, gdyż w odróżnieniu od Londynu my nie apoteozowaliśmy tego okresu. Mieliśmy stanowisko bardzo krytyczne wobec ówczesnej polityki narodowościowej — i nie tylko. Konflikt dotyczył również Skarbu Narodowego, gdyż „Kultura”, piórem Mieroszewskiego, domagała się jawności wszystkich spraw z nim związanych, wychodząc z założenia, że skoro emigracja daje nam pieniądze, to ma prawo wiedzieć, jaki robi się z nich użytek. Wywoływało to w Londynie reakcje zupełnie histeryczne. W jakiejś mierze rozumiem je, gdyż w tym okresie Skarb Narodowy dostawał pieniądze również od Amerykanów.

W naszych stosunkach z emigracją zasadniczym wydarzeniem była sprawa Miłosza. Dla nas nie było to żadnym problemem. Był to wszakże problem dla emigracji, która przyjęła go wrogo. Gdy obecność Miłosza u nas została ujawniona, zadzwoniłem z tą sensacją do Żenczykowskiego, który prowadził wtedy dział informacji politycznych w „Dzienniku Polskim” i z którym byłem w dobrych stosunkach jeszcze sprzed wojny. Potraktował mnie ostro. Odpowiedział i napisał to potem w „Dzienniku”, że jest to przyjmowanie zdrajcy. Było to jeszcze przed artykułem *Nie!* Była to więc reakcja na samo wybranie wolności przez Miłosza i jego zjawienie się u nas.

Emigracja londyńska zajmowała wtedy wrogie stanowisko wobec każdego, kto był związany z władzami PRL, a potem został na Zachodzie. Miłosz wywołał jednak większe namietności niż ktokolwiek. Były po temu dwa powody. Jednym było to, że był urzędnikiem w ambasadzie. Drugim był artykuł *Nie!*, w którym oświadczył, że nie jest emigrantem i nigdy nim nie będzie. Gdyby Miłosz ukorzył się przed emigracją, gdyby bił się w piersi, to prawdopodobnie stosunek do niego byłby zupełnie inny. Ale on z miejsca zajął stanowisko an-

tyemigracyjne. Mnie również artykuł *Nie!* bardzo się nie podobał, ale uważałem, że musi być zamieszczony, żeby Miłosz mógł się wypowiedzieć i sprecyzować swe stanowisko.

Tematem wymagającym osobnego omówienia są stosunki emigracji z Amerykanami. Zatrzymam się tu tylko przy Radiu Wolna Europa, którego uruchomienie przyjąłem może nie z entuzjazmem, ale w każdym razie z zadowoleniem. Jana Nowaka poznałem w okresie tworzenia rozgłośni. Uderzyła mnie jego ogromna ambicja. Byłem do niego początkowo nastawiony bardzo pozytywnie. Ale, jak zwykle, miałem skłonność do udzielania rad i sugestii, o które mnie nie proszono. Nowak wywnioskował z tego, że poluję na jego stanowisko, i zaczął traktować mnie podejrzliwie. Miałem z nim nawet dość ostrą rozmowę, w której toku wyjaśniłem, że nie jest moją ambicją bycie urzędnikiem amerykańskim. Ale jego to nie przekonało. Był bardzo zazdrosny o kontakty. Dość często przyjeżdżałem do Monachium w sprawach ukraińskich i niemieckich. Nowak nie mógł zrozumieć, dlaczego tam przyjeżdżam i nie mam zamiaru zachodzić do Wolnej Europy czy do niego.

Jeśli nastawienie Mieroszewskiego i moje do Wolnej Europy jako instytucji amerykańskiej było krytyczne, to dlatego, że w owych czasach pod tą nazwą występował obok radiostacji również Komitet Wolnej Europy, który finansował i w sposób bardzo brutalny kontrolował wszystkie instytucje emigracyjne od harcerzy po PPS, demoralizując emigrację. Edward Raczyński dostawał stamtąd pieniądze na Skarb Narodowy, a Białas stamtąd nie wychodził. Zacierała się przy tym granica między polityczną działalnością niepodległościową a przedsięwzięciami czysto wywiadowczymi, co doprowadziło w końcu do kompromitującej afery Bergu. Amerykanie uważali, co więcej, że Komitet Europy ma wyłączność na zajmowanie się sprawami polskimi.

Trzeba jednak przyznać Nowakowi, że starał się prowadzić politykę samodzielną i nie bał się ryzykować, by narzucić swoje stanowisko, dzięki czemu zdołał częściowo uniezależnić linię sekcji polskiej RWE od Amerykanów. Było tak w okresie dochodzenia Gomułki do władzy w Październiku 1956 r. Było tak również, gdy wynikła sprawa polskich granic zachodnich. Radio dostało zakaz poruszania tego tematu. Obchodzono to przytaczając głosy prasy światowej. Aż wreszcie doszło do strajku całego zespołu, który po raz pierwszy i chyba ostatni wystąpił jednolicie. Nikt się nie wyłamał i strajk został wygrany.

Nasze stosunki polegały na tym, że Nowak dość często przyjeżdżał do Paryża i spotykał się ze mną. Pewne sprawy załatwialiśmy telefonicznie, tak że nasza korespondencja była niewielka. Kiedy dostawałem informacje, których nie byłem w stanie wykorzystać równie dobrze i skutecznie, co Wolna Europa, a które dotyczyły rzeczy istotnych czy wymagających nagłośnienia, nie uważałem ich za mój monopol i nie miałem najmniejszych oporów przed podzieleniem się nimi z Nowakiem. Miał on przecież do dyspozycji radio, podczas gdy ja miałem tylko miesięcznik.

Próby wymieniania informacji czy dyskusji o sytuacji w Kraju były jednak często przyjmowane przez Nowaka z nieufnością; podejrzewał, że chcę nim manipulować. Ze swej strony odrzuciłem jego propozycję wydawania „Na antenie” jako dodatku do „Kultury” za pieniądze RWE. Nie chciałem mieć w „Kulturze” czegoś, na co bym nie miał żadnego wpływu. Ale nie chciałem też dostawać rządowych amerykańskich pieniędzy. Nowak był zresztą partnerem trudnym, tak że w końcu doszło do zerwania między nim a „Wiadomościami”, przy których umieścił „Na antenie” jako dodatek, gdyż redakcja „Wiadomości” nie chciała opublikować czegoś, na czym mu zależało.

Do konfliktu między nami doszło, gdy kiedyś oświadczyłem publicznie, że RWE jest jednak finansowana przez Amerykanów, podczas gdy polska działalność polityczna powinna być niezależna pod każdym względem. Nowak zareagował na to artykułem bodaj w „Dzienniku Polskim”, gdzie stwierdził, że nie mam żadnych tytułów do wypowiadania się w taki sposób, gdyż sam jestem uzależniony od Amerykanów. Zrobiłem wtedy wielką awanturę. Spotkaliśmy się w Londynie u Kazimierza Sabbata i zażądałem od Nowaka, by powiedział, na jakiej podstawie wysuwa takie oskarżenia. „Mam dowody, ale panu nie powiem”, odpowiedział. I odmówił jakichkolwiek wyjaśnień. Rozstaliśmy się wtedy bardzo zimno, bez podania ręki. Było to najostrzejsze spięcie między nami; upłynęło potem sporo czasu, nim nasze stosunki wróciły do normy. W sumie jednak, zważywszy nasze trudne charaktery, współpraca między nami układała się całkiem nieźle.

W tym punkcie warto może wyjaśnić sprawę moich mitycznych amerykańskich powiązań. Mitycznych, bo ich niemal nie było. Jedynym moim amerykańskim przyjacielem był Burnham. Po nim nie znałem już nikogo, z kim byłbym tak blisko. Fundusze z Lilly Endowment załatwił nam Merrill, syn bardzo bogatego bankiera z Bostonu, założyciel fundacji zajmującej się głównie zagadnieniami kultury i oświaty, który był w Polsce i w Polsce się zakochał. Poznał Miłosza, który mu o nas wspominał, bardzo się do nas zapalił, pytał o rozmaite projekty i nagle zawiadomił mnie, że jest zainteresowany Archiwum Rewolucji. Później raz jeszcze załatwił nam jakąś okrągłą sumę do naszej dyspozycji. Straciłem z nim od dawna kontakt, ale Miłosz nadal utrzymuje z nim stosunki. Była też instytucja amerykańska, którą prowadził Rudzki, i która zakupywała 100 do 150 egzemplarzy „Kultury” i każdej naszej książki i wskazywała, do jakiej księgarni mamy je wysłać. Trwało to bardzo długo. Było to dla nas ważne, ale nie było decydu-

jące. Nie sposób tego zresztą porównać z możliwościami, jakie mieli Rosjanie.

W początku lat sześćdziesiątych pojechałem do Stanów Zjednoczonych, statkiem, bo było znacznie taniej. „Kultura” sfinansowała tę podróż. Poza przejazdem nie było to bardzo kosztowne, bo w Nowym Jorku mieszkalem u Anieli Mieczysławskiej, a w Waszyngtonie był mój dobry znajomy sprzed wojny, mecenas Gidyński, który był jednym z dyrektorów Voice of America, tak że pobyt kosztował niewiele. Myślałem, że uda mi się dotrzeć do jakichś pieniędzy nierządowych. Major Janusz Iliński, ostatni attaché wojskowy Rzeczypospolitej w Waszyngtonie, był ożeniony z Amerykanką pochodzenia żydowskiego, córką bankiera. Miał on rozbudowane stosunki towarzyskie w Waszyngtonie i dużo mi obiecywał. Niestety jakiś miesiąc po moim powrocie z Ameryki dostałem wiadomość, że umarł.

Podczas tego pobytu nic właściwie nie załatwiłem. Okazało się, że nie sposób było wyminąć Komitetu Wolnej Europy. Pokładaliśmy nadzieje w pewnym bardzo znanym sowietologu, ale i to nic nie dało. Wszyscy odsyłali mnie do tego Komitetu, do którego należały sprawy polskie. A z nim nie chciałem rozmawiać. Widziałem się z Jacksonem, którego poznałem przed laty w Berlinie. Rozmawiałem z nim m.in. o możliwościach Polski na Wschodzie. I nagle on się roześmiał i powiedział trochę złośliwie: „Polskę to pan widzi na całym świecie”.

Do ważnych znajomości amerykańskich należy Zbigniew Brzeziński. Spotykałem się z nim, ilekroć był w Paryżu. Rozmowy te były dla mnie ciekawe, gdyż pozwoliły mi lepiej zrozumieć politykę administracji amerykańskiej. Z reguły rozmawialiśmy też o sytuacji w Polsce. Dość szybko zorientowałem się, że Brzeziński ma wielki wpływ na Nowaka, który jego sugestie traktował inaczej niż moje, tak że można było prze-

zeń załatwić pewne sprawy, które było trudno lub nie sposób załatwić wprost. Z Brzezińskim widziałem się również podczas mojej amerykańskiej podróży. Żadnej specjalnej pomocy nie zdołał mi udzielić, ale ułatwił mi niektóre kontakty.

Dwukrotnie dostałem ze Stanów teksty, których publikacja stała się wydarzeniem. Maszynopis Światły dotarł do mnie przez Nagórskiego juniora, który się zakochał w Światle. Podchodziłem do niego z dużą nieufnością i dlatego go nie wydałem, ale zainteresował mnie jako propaganda. Wywiad z Kuklińskim dostałem bezpośrednio od niego; przypuszczam, że pośrednikiem był tu Brzeziński, który jednak nigdy się do tego nie przyznał. Rzecz nie miała dalszego ciągu, bo Kukliński nie przyjął żadnej propozycji, a czyniono mu ich wtedy wiele.

LITERATURA I POLITYKA

Kontakt z Miłoszem został nawiązany przez Czapskiego podczas jego podróży do Stanów Zjednoczonych. Powiedzieliśmy wtedy Miłoszowi, że jak będzie miał jakieś kłopoty — to może na nas liczyć. Do spotkania doszło, gdy w panice zjawiał się w Maisons-Laffitte i powiedział nam, że musiał opuścić ambasadę — właściwie: uciec; pytał, czy może u nas zamieszkać i czy możemy odebrać jego rzeczy, gdyż bał się wrócić do swego mieszkania. Ale dla Miłosza przez cały czas byliśmy dobrymi faszystami, jakbym to w skrócie powiedział. Pierwsze nasze z nim dyskusje dotyczyły artykułu *Nie!*, który przekreślał rolę i znaczenie emigracji jako takiej. Mój stosunek do niego wynikał z przekonania, że jest on wielkim poetą — zawsze byłem pod wrażeniem jego poematu *Ocalenie* — co sprawia, że jest naszym obowiązkiem zajęcie się nim, nie zważając na jego złośliwości i na wypowiedzi określają-

ce drukowanie na emigracji jako składanie skarbów do dziupli; ostatecznie ta dziupla okazała się całkiem skuteczna i to nie tylko dla niego.

Później unikaliśmy dyskusji na ten temat, a Miłosz celowo sprowadził swoje związki z „Kulturą” do przyjaźni z Zygmuntem Hertzem. Moje z nim stosunki osobiste były zawsze bardzo na dystans. Weźmy, choć to niezbyt dobra analogia, Kota Jeleńskiego. Mimo rozmaitych kłótni i nieporozumień miałem z nim stosunek ludzki: sympatii, zaufania. Takiego stosunku ludzkiego między mną a Czesławem nigdy nie było. Nie przeszkodziło mi to przyjąć z zachwytem wiadomości o przyznaniu mu Nagrody Nobla i pojechać na uroczystość jej wręczenia. Bardzo się tym ucieszyłem, najzupełniej bezinteresownie, ze względu na niego. Nie odbierałem tego jako sukcesu „Kultury”, może dlatego, że Miłosz nigdy specjalnie do „Kultury” się nie przyznawał. Ale byłem tym bardzo przejęty.

Staraliśmy się w miarę naszych możliwości pomagać mu, gdyż jego pierwszy okres na Zachodzie był bardzo trudny. A zarazem awantury między Miłoszem a nami, zwłaszcza Zygmuntem i Zosią, były stałe. On negował istnienie łagrów, trochę z przekory, a trochę dlatego, że nie bardzo w to wierzył. Ale faktem jest, że występowały między nami różnice w ocenie Związku Sowieckiego i stalinizmu, do którego on podchodził w sposób bardzo łagodny. Widać to zresztą w jego wystąpieniu sprzed kilku lat w piśmie „NaGłos” w Krakowie, gdzie stwierdził, że marksizm wyprowadził Polskę z zaścian-ka. Takich konfliktów było sporo.

Moje stosunki z Wolną Europą nigdy nie były najlepsze, ale on uważał Wolną Europę za instytucję niesłychanie szkodliwą i na tym tle też dochodziło do spiek. M.in. gdy zrzucano do Kraju w ramach tzw. akcji balonikowej *Zniewolony umysł*, z którego zrobiono miniaturowe wydanie, o czym zresztą nikt z nas nie wiedział i co było pod tym względem posunięciem

dość gangsterskim. Wybuchła kolosalna awantura. Miłosz chciał wytaczać proces, ale do tego nie było niestety podstaw. Dowiedzieliśmy się o tym, jak Miłosz, zupełnie przypadkowo, gdyż ktoś nam przywiózł taki egzemplarz. Po dziś dzień nie wiem, czyja to była inicjatywa. Nowak nigdy nic mi o tym nie chciał powiedzieć. Mówił tylko, że nie miał z tym nic wspólnego i że było to poza sekcją polską.

Rozbieżności z Miłoszem dotyczyły też stosunku do Polski międzywojennej. A ponadto mieliśmy odmienne poglądy na wiele spraw kulturalno-literackich. Miłosz odnosił się entuzjastycznie do Andrzejewskiego. Bardzo go cenił i bardzo go bronił nawet wtedy, gdy Andrzejewski wydał *Partię a twórczość pisarza*. W swych przyjaźniach, co mu zresztą zostało po dziś dzień, Miłosz był bardzo wierny. Ale jego oceny ludzi były z gruntu subiektywne i dyskutować z nim na te tematy było nie sposób.

Pomijając dwie lub trzy próby, na samym początku, nie przypominam sobie, bym miał z Miłoszem jakąś ważną rozmowę. Nie sądzę też, by mój obraz tego, co się dzieje w Kraju, uległ zmianie pod wpływem rozmów z nim. *Zniewolony umysł* był dla mnie książką ważną, gdyż odegrała bardzo wielką rolę, ale uważałem ją za książkę fałszywą, gdyż, jak to zauważył Grudziński, kreowała mit ketmana, podczas gdy w grę wchodził po prostu pospolity strach i oportunizm. Książka ta nie ułatwiła mi zrozumienia świata komunistycznego. Ale ułatwiła mi zrozumienie polskiego środowiska intelektualnego, pozbawiając mnie wielu złudzeń. Tak np. rozszyfrowała Andrzejewskiego, co do którego miałem jeszcze złudzenia. Znałem go przed wojną, w okresie jego współpracy z „Prosto z mostu”, gdy napisał również kilka rzeczy w „Buncie Młodych”. Dyskutowaliśmy wtedy na temat religii i Kościoła, gdyż ja uważałem *Ład serca* za książkę obłudną; co dziwniejsze, Andrzejewski bardzo miękko protestował. W pierwszych

latach po wojnie nie widzieliśmy się. Spotkaliśmy się o wiele później, ale wtedy on utrzymywał stosunki głównie z Zygmuntem, który był w nim wręcz zakochany: tolerował wszystkie jego wybryki, dbał o niego, załatwiał mu jakieś stypendia i w ogóle mu matkował.

Jeśli Miłosz wywarł jakiś wpływ na linię „Kultury”, to dotyczyło to spraw literackich. Jako pisarza cenił go niesłychanie wysoko. Występował on też, acz niezbyt często, w roli doradcy, a jego sugestie i inspiracje były niekiedy bardzo ważne. To dzięki jego radom i z jego inicjatywy doszło do skutku wydanie Simone Weil czy materiałów dotyczących rewolucji węgierskiej z 1956 r. Trudno mi się jednak zgodzić z opinią wypowiedzianą przezeń w *Roku myśliwego*, że to on wyzwolił mnie z zakonserwowania w literaturze Dwudziestolecia międzywojennego. Nigdy nie żyłem okresem Dwudziestolecia i nie czekałem na Miłosza, by się z tego wyzwolić. Sam Miłosz przyznaje zresztą, że decyzja wydania *Trans-Atlantyku* była podjęta przed jego zjawieniem się w „Kulturze”. A była to decyzja poważna, gdyż z powodu oburzenia moralnego na Gombrowicza i na nowelę Kuncewiczowej *Leśnik* straciliśmy więcej abonentów niż z powodu naszego stanowiska politycznego. Ale nie zmieniliśmy kursu.

Miłosz był i jest dla mnie autorytetem wyłącznie jeśli chodzi o poezję, zwłaszcza o poezję nowoczesną, w której ja się zupełnie nie orientuję. W tej dziedzinie umiał zachować obiektywność nawet w sytuacjach bardzo dla siebie nieprzyjemnych, co ilustruje jego stosunek do Herberta, który zrobił mu w Berkeley dziką awanturę, kiedy Miłosz użył, u siebie w domu, określenia „bandyci z AK”. Niemniej jednak, gdy ukazały się nowe wiersze Herberta, Miłosz świetnie je przetłumaczył i wydrukował w „New York Review of Books”, a całe wspaniałe honorarium przekazał Herbertowi. Dla niego najważniejsze było, że jest to wielka poezja.

Co do mnie, jeśli chodzi o poezję, jestem wielkim konserwatystą. Bardzo lubię poezję Gałczyńskiego, którego znałem zresztą osobiście w dwóch okresach. Wtedy, gdy mieszkał jako rezydent u Misia Tyszkiewicza na Wileńszczyźnie, w Ornianach, skąd przysyłał mi nawet jakieś wiersze — bodajże *List znad rzeki Limpopo* — które drukowałem chyba jeszcze w „Buncie Młodych”. I kiedy znalazł się na Zachodzie. Zastanawiał się, co ma robić. Namawialiśmy go, by został. Wtedy pojechał do Drugiego Korpusu, gdzie był legendą, gdyż było tam mnóstwo młodych poetów — Olechowski, Międzyrzecki — którzy byli jego wielkimi wielbicielami. Nawet jedna bateria nosiła imię Gałczyńskiego. Nie zdecydował się jednak na emigrację, może, jak to u niego, pod wpływem kobiety. Zakochał się, zdradził Natalię i wrócił do Polski ze swą nową konkietą, którą Natalia, ma się rozumieć, przegoniła. Był to zabawny cygan, rozbrajający człowiek i świetny poeta, któremu dużo można wybaczyć za *Bal u Salomona* czy inne wiersze. Nawet jego oportunizm był podszyty jakimś dyskretnym nurtem opozycyjnym. Wiersz o Moskwie, która tonie w pomarańczach, robił wrażenie satyry.

W odróżnieniu od Gałczyńskiego nie lubiłem Tuwima, ani jako człowieka, ani jako poety. Ostatnim jego wierszem, który został mi w pamięci, był wstrząsający wiersz na śmierć Narutowicza. Jego późniejszą poezję odbierałem bardzo chłodno. *Kwiaty polskie* nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia. Nie podzielałem zachwyty, jaki budziły. Na mój odbiór Tuwima miał niewątpliwie wpływ negatywny stosunek całego naszego pokolenia do „Wiadomości Literackich”. Stąd też brała się moja długotrwała nieufność do Słonimskiego. Jedynym skamandrytą, z którym byłem zaprzyjaźniony, był Wierzyński. Bardzo go lubiłem.

Poznaliśmy się w czasie wojny, w Bukareszcie. Ułatwiłem mu wyjazd z Rumunii i otrzymanie jakichś pieniędzy. Po

wojnie widywaliśmy się podczas jego przyjazdów do Europy, gdzie zresztą bywał bardzo często. Kiedy Czesław wyjechał do Stanów Zjednoczonych, to Wierzyński wynajęli domek, który miał w Montgeron, i mieszkali tu ponad rok. Mieliśmy bardzo dobre stosunki, gdyż Wierzyński był zaprzyjaźniony z Mieroszewskim i z Gustawem, tak że należał bez mała do kręgu przyjaciół osobistych. Lubię jego poezję, z wyjątkiem wierszy przesadnie patriotycznych, które uważam za przeholowane.

Utrzymywałem do końca stosunki z Broniewskim, którego także bardzo lubiłem. Do *Słowa o Stalinie* odniosłem się z dużą pobłażliwością, właśnie dlatego, że go znałem. Nie zaskoczyło mnie to. Broniewski dość często tu przyjeżdżał. Za każdym razem zaczynało się od telefonu: „Panie Jerzy, czy pan mi poda rękę. Przecież poemat o Stalinie był doskonałym poematem”. Mówiłem, że podam mu rękę, i jeśli żona wypuszczała go spod opieki, to szliśmy na jakąś wódkę, gdzie on się szybko upijał. Ale z nim były specjalne stosunki. Z Mieroszewskim wypili chyba morze wódki w okresie jerozolimskim i kairskim. A poza tym był świetnym poetą i ciekawym, choć zapitym człowiekiem. Miałem do niego bardzo dużą słabość i mogłem mu znacznie więcej wybaczyć niż np. Iwaszkiewiczowi.

Nie lubiłem „Wiadomości Literackich” za ich pięknoduchostwo, za nieustanne szukanie „smaczków”, za brak jakiegokolwiek linii. Najpełniejszym tego wyrazem była postawa Słonimskiego: liberalizm bez granic. Dla mnie było to pismo bez kręgosłupa. A jego rzekoma nowoczesność była przeżuwanymi rzeczami już dawno powiedzianymi na Zachodzie — i nie tylko na Zachodzie. W dziedzinie kultury czy literatury „Bunt Młodych” i „Polityka” reprezentowały nadto pokolenie o wiele młodsze od pokolenia „Wiadomości Literackich” i które zupełnie nie mieściło się w ich polityce redakcyjnej. Po wojnie zaś

„Wiadomości” stały się pismem po prostu endeckim, symbolem polskiego Londynu. Nie znosiłem ich więc z powodów przeciwnych tym, dla których nie lubiłem ich przed wojną.

W dziedzinie literatury — i kultury w ogóle — pismem najbliższym „Buntu Młodych” był w moim odczuciu „Marchoń” Stefana Kołaczковского, którego znałem; pamiętam jakieś rozmowy z nim na temat Kadena-Bandrowskiego i Berenta, którego byłem wielkim zwolennikiem, o czym dalej. A co się tyczy Kadena, to bardzo go ceniłem, przede wszystkim za *Generała Barcza*. Przeczytałem tę książkę z wielką uwagą. Ale lubiłem również jego późniejsze powieści; byłem jednym z niewielu chyba czytelników, który miał dobrą opinię o *Mateuszu Bigdzie* czy *Czarnych skrzydłach*. Problematyka tych powieści bardzo mnie interesowała, a ich podejście do niej wydawało mi się uczciwe. Kiedy mówię o pięknoduchostwie „Wiadomości Literackich”, mam na myśli właśnie unikanie problematyki politycznej, a jeszcze bardziej — socjalnej, która mnie bardzo frapowała; wychowałem się przecież na Żeromskim.

Innym pismem, które uważałem za bliskie, był „Pion”. Może było tak ze względów osobistych, gdyż przyjaźniłem się z jego kolejnymi redaktorami: Kołonieckim i Święcickim. Ze Święcickim miałem stale do czynienia służbowo: przez pewien czas pracowałem w biurze prasowym Rady Ministrów, którego był dyrektorem, a w ministerstwach, gdzie byłem później, należały do mnie sprawy prasowe. Toteż widywaliśmy się często i dużośmy ze sobą rozmawiali.

Literatura nonkonformistyczna interesowała mnie jeszcze przed wojną. W Sejmie stykałem się z Irzykowskim, dość często z nim rozmawiałem i czytałem to, co pisał w „Robotniku”. Ale Irzykowski był dla mnie przede wszystkim autorem *Pałuby*, na którą trafiłem bezpośrednio po skończeniu gimnazjum i która wywarła na mnie silne wrażenie. Bardzo ważnym

autorem był dla mnie Witkacy. Czytałem z zachwytem *Pożegnanie jesieni* i *Nienasycenie*, a samego Witkacego bardzo lubiłem. W pewnym okresie miałem z nim żywy kontakt osobisty przez Boya-Żeleńskiego. Bywałem w salonie Żeleńskich, głównie ze względu na panią Zofię Żeleńską, bardzo nieprzeciętną, bardzo inteligentną i czarującą kobietę. Poznałem tam wiele różnych osób, m.in. Witkacego. Atmosfera tego domu wywarła niewątpliwie wpływ na moje gusta literackie; nie wykluczam, choć wiele się nad tym nie zastanawiałem, że oddziałał jakoś na mnie również Witkacy.

Bardzo nie lubiłem Zegadłowicza, i jako redaktora „Tęczy” poznańskiej, bardzo pobożnego i świętoszkowatego pisma, i jako pisarza: jego *Zmory* i *Motory* odrzucały mnie, choć nie jestem szczególnie pruderyjny. Z prozą awangardy — z Wałtem czy Sternem — stykałem się niewiele; zupełnie to do mnie nie przemawiało.

Nie ceniłem Dąbrowskiej jako pisarki. *Noce i dnie* były dla mnie nudną kobyłą. A moje stosunki z nią przed wojną były złe, co było dla mnie bardzo nieprzyjemne, ponieważ, gdy pracowałem w Ministerstwie Rolnictwa, wszystkie wolne chwile spędzałem w bibliotece, u Stanisława Stempowskiego, a i później bardzo się z nim przyjaźniłem. Nie rozumiałem, dlaczego Dąbrowska nie chciała podpisać swego artykułu protestacyjnego w sprawie Brześcia, który przysłała do „Wiadomości Literackich”, choć namawiali ją do tego i Stempowski, i Grydzewski. Miała przecież taką sytuację, że nic jej nie mogło grozić. Choć uważałem, o czym już mówiłem, że Centrolew groził destabilizacją Polski, byłem jednak zdania, że należy protestować przeciw wyczynom Kostka-Biernackiego. Takie rzeczy powinny być robione przyzwoicie.

To, że tak się nie stało, było następstwem nieprzyjemnych cech charakteru Piłsudskiego. Był on człowiekiem bardzo mściwym i takie poczynania jak Kostka-Biernackiego nieste-

ty tolerował czy dawał do zrozumienia, że należy je tolerować. Wiem od pani, która była przyjaciółką Piłsudskiego, że w jej mieszkaniu odbył się jeszcze przed majem konwentykl piłsudczyków, gdzie on zażądał, żeby w czasie jakiejś uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza otoczyć Sikorskiego i zbić go pasami oficerskimi. Nawet ci wierni piłsudczycy na to nie poszli. Pokazuje to mentalność Piłsudskiego w pewnym okresie jego życia.

Jedną z nielicznych rzeczy Dąbrowskiej, która mi się podobała, było *Na wsi wesele*. Przypisywałem temu opowiadaniu znaczenie polityczne. Myślę, że je przeceniałem, gdyż za dużo czytałem między wierszami. Później, gdy spotkałem Dąbrowską, okazało się to wielką przesadą: nic takiego nie miała na myśli. Ze względu na Jerzego Stempowskiego, który ją adorował, miałem wtedy do niej, przez krótki czas, stosunek pozytywny. Kiedy przyjechała po raz pierwszy do Szwajcarii, pojechałem, by z nią się spotkać. Była dość zszokowana. Nie można było z nią rozmawiać na spacerze, bo przystawała przed każdą wystawą i zachwycała się tym, co było w sklepie. Miała reakcje kobiece aż do przesady.

Później, gdy była u nas czy u Gustawa w Neapolu, wychodziły na jaw rozmaite zadrażnienia. Ale pierwsze spotkanie miało charakter sentymentalny. Dąbrowska dużo opowiadała o Stanisławie Stempowskim, ale dotyczyło to spraw czysto osobistych. Usłyszeliśmy też sporo anegdot, zwłaszcza z okresu wrocławskiego: o Kotcie i o Żukrowskim, których lubiła i ceniła. Była zachwycona Zachodem, ale nic nie mówiła o swoich ewentualnych kłopotach, np. z otrzymaniem paszportu. W sumie było to bardzo sympatyczne, ale nic nowego nie wносиło. Dąbrowska była kilkakrotnie w Maisons-Laffitte. Rozmowy z nią miały głównie charakter wspominkowy: o Filosofowie, o „Verbum”. Towarzyszyły temu klótnie nie z nią samą, ale z Kowską na temat jej strachu przed wojną. Uwa-

żała, że niczego nie należy robić, żeby nie sprowokować jakiegoś wybuchu. I odnosiła się negatywnie do emigracji.

Ferdydurke przeczytałem od razu, gdy książka się ukazała, bez oburzenia, ale i bez zachwyty. Gombrowicza poznałem w tym okresie i byliśmy w luźnych stosunkach towarzyskich. To dzięki mnie on wyjechał do Argentyny. Z okazji otwarcia nowej linii okrętowej kilka miejsc zarezerwowano, jak zawsze w takich przypadkach, dla literatów; mogłem go tam umieścić z tytułu mego ówczesnego stanowiska w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Tak że wtedy, gdy zwracałem się do Gombrowicza po wojnie, wiedziałem, że mam do czynienia z jednym z większych obrazoburców współczesnej literatury polskiej. Zaproponowałem mu pisanie dziennika, bo na podstawie *Trans-Atlantyku* i jego listów doszedłem do przekonania, że ta forma będzie mu szczególnie odpowiadała.

Ale moja współpraca z Gombrowiczem możliwa była tylko dzięki temu, że bezpośrednie kontakty między nami były bardzo rzadkie. Nasze pierwsze spotkanie zostało przezeń opisane w jego stylu. Muszę przyznać, że relacja jest w zasadzie wierna. Byłem sztywny, co mi się często zdarza w takich sytuacjach. I rzeczywiście nie lubię Mickiewicza. Wolę Słowackiego i przekładam *Beniowskiego czy Króla-Ducha nad Pana Tadeusza*.

Wtedy, po przyjeździe do Europy, Gombrowicz zamieszkał u nas. Trwało to jednak bardzo krótko, po prostu ze względów zdrowotnych: on nie mógł chodzić po schodach, a my nie mogliśmy przebudować całego biura, żeby go umieścić na dole. Później nie widywaliśmy się prawie wcale. Jako pisarza ceniłem go niezmiernie, zwłaszcza *Dziennik*. W ogólności pisarz interesował mnie w nim bardziej niż człowiek.

Bawiły mnie jego rozmaite snobizmy, z tym że — co było u niego niezmiernie przyjemne — manifestował je z przymrużeniem oka. Tak było ze słynnym: „ogłosiłem się hrabią”.

Kiedyś wysłaliśmy do niego z Kotem sfingowaną pocztówkę z wyrazami podziwu, którą podpisały wszystkie wielkie francuskie nazwiska arystokratyczne: La Rochefoucauld i cała błękitna księga arystokracji francuskiej. Gombrowicz potraktował tę pocztówkę ze śmiertelną powagą i włączył ją do dziennika. Ale kiedy zaczęliśmy z Kotem z niego pokpiwać, przyjął to właściwie z humorem.

Uderzał mnie jego niesłychany egotyzm. W jego korespondencji z najróżniejszymi osobami, którą pracowicie pozbierałem — z wyjątkiem listów do Sandauera czy innych nie znanych mi adresatów — nie ma nic ciekawego. Jest to korespondencja czysto handlowa. Stale mowa o korektach, powtarzają się prośby o przysłanie takich czy innych książek, o zajęcie się tłumaczeniami, o popędzenie Kota, bo w czymś się zaniedbał. W tej bogatej korespondencji są chyba tylko dwa bezinteresowne listy — do Marii Paczowskiej.

Gombrowicz był człowiekiem, którego polityka stosunkowo mało obchodziła, chociaż *Trans-Atlantyk* jest książką bardzo polityczną. Ale w naszych stosunkach nie odgrywało to roli. Byłem zafascynowany jego talentem. Dotyczy to zwłaszcza *Trans-Atlantyku* i pierwszych dzienników, które wywarły na mnie ogromne wrażenie. Reszta jego twórczości jest mi obca. Ale te dwie rzeczy uważam za znakomite.

Byłem w teatrze tylko na jednej sztuce Gombrowicza: na *Operetce* w Palais Chaillot. Przedstawienie bardzo mi się podobało. Tekst *Operetki* ogłosiłem może nie z niechęcią, ale bez przyjemności. Natomiast na scenie, w tej interpretacji, rzecz trafiła mi do przekonania. Widać tu, co znaczy inscenizacja. Zresztą, moja negatywna reakcja na lekturę *Operetki* brała się może z faktu, że jestem złym czytelnikiem sztuk teatralnych: nie umiem ich sobie wyobrazić na scenie i czytać ich, pamiętając, że nie są przeznaczone do czytania. Zapew-

ne dlatego bardzo lubiłem Schillera, który umiał wydobywać z nich pełnię sensu.

Przed wojną chodziłem dość często do teatru. Trzy przedstawienia utkwiły mi w pamięci: *Kniaź Piatomkin* Micińskiego wystawiony przez Schillera, *Wyzwolenie* Wyspiańskiego w Teatrze Polskim, też chyba Schillera, i jedna sztuka Rostrowskiego, która była zupełną kłapą, ale wtedy zrobiła na mnie duże wrażenie. W pierwszych latach pobytu w Paryżu zdarzało mi się jeszcze chodzić do teatru, ale od wielu lat już nie byłem na żadnym spektaklu. Na muzykę jestem zupełnie nieprzemakalny. Malarstwo nigdy mnie specjalnie nie interesowało, pomijając Malczewskiego i Wyspiańskiego. Dodam Cybisa. Malarstwa Józia raczej nie lubię, poza rysunkami i, jak on to nazywa, „wypilowanymi” martwymi naturami, które są bardzo wypracowane. Ale nie wypowiadam się na temat malarstwa, gdyż orientuję się w tej dziedzinie więcej niż słabo. Moim żywiołem jest słowo pisane.

Moją fascynację talentem i kult artysty, zwłaszcza artysty słowa, zawdzięczam profesorowi Kaczyńskiemu, który wykładał literaturę w naszym gimnazjum. W szóstej klasie przeczytałem historię literatury polskiej Antoniego Potockiego, bardzo młodopolską; byłem pod dużym wrażeniem tej książki, która w znacznym stopniu uformowała moje poglądy na literaturę i moje zainteresowania w tej dziedzinie. Do tego doszedł wpływ Brzozowskiego, który był jednym z moich ulubionych pisarzy. Dotyczy to zwłaszcza *Płomieni* i *Dębiny*, a w jeszcze większym stopniu *Legendy Młodej Polski*.

Mówiłem już chyba, że jestem żeromszczikiem. Mój Żeromski — to nie autor *Przedwiośnia*. To autor *Róży*, *Urody życia*, *Dumy o betmanie*, *Nawracania Judasza*, gdzie niektóre rozdziały są doskonałe. Byłem wielbicielem Micińskiego; *Xiądz Faust* i *Nietota* należały przez jakiś czas do moich ulu-

bionych lektur. Należały też do nich powieści Berenta. Na pierwszych latach studiów przeżyłem okres, bardzo krótki, kiedy takie rzeczy jak *Próchno* mnie fascynowały, co łączyło się z czytaniem Nietzschego, też zapewne pod wpływem Berenta, który go tłumaczył. Wtedy bardzo mi się to podobało. Dziś byłbym bardziej krytyczny wobec tego nazbyt już młodopolskiego języka. Ale w *Nurcie* i w *Oziminie* są sceny, które utkwiły mi w pamięci.

W *Oziminie* np. jest bardzo celna charakterystyka Polaków. Rzecz zaczyna się na balu, gdzie pułkownik rosyjski nagle dostaje wiadomość o wybuchu wojny z Japonią i zastanawia się przed powrotem do sali balowej, jak to oświadczyć. Powiedzieć po polsku: „wojna” — to za miętko. Więc wszedł do sali i powiedział: „Gaspadá, wajná!” Różnica między dźwiękiem „wojna” a dźwiękiem „wajná” wyraża całą różnicę dwóch narodów. To przeciwstawienie polskiej miękkości twardości rosyjskiej występuje u Błoka, u Mandelsztama, u Okudźawy. Bardzo bym chciał, by Polacy przyswoili sobie coś z twardości rosyjskiej, nie przestając być Polakami. By połączyli wolność i twardość.

Dlatego tak zafrapowały mnie dwie książki. Studnickiego *Sprawa polska*, świetna książka, która po raz pierwszy uświadomiła mi, że naszym nieszczęściem jest to, że nie przeżyliśmy okresu absolutyzmu oświeconego. I Kolankowskiego *Polska Jagiellonów*, która pokazuje, że prowadzili oni politykę dynastyczną, ale że naród nie chciał za nią iść. Kiedyjechałem do Tobruku, gdzie można było zabrać tylko plecak i chlebak, włożyłem do niego tę grubą książkę, choć wymagało to rezygnacji z części przydziału papierosów. Od państwa polskiego przed wojną oczekiwałem wykonania tej pracy, którą powinien był wykonać w Polsce absolutyzm oświecony. Niestety Piłsudski był człowiekiem chorym i już nie potrafił nic zrobić. Przełomem w jego życiu był naprzód traktat

ryski, który zmienił, o czym już wspominałem, jego pogląd na długotrwałość państwa polskiego. Kolejnym przełomem było zabójstwo Narutowicza.

Miałem kiedyś robić wywiad z Ratajem. Nic z tego nie wyszło. Ale w rozmowie, którą mieliśmy z tej okazji, Rataj pochwalił się, że parokrotnie nie dopuścił do rewolucji w Polsce. Powiedział też, że znał dwóch Piłsudskich. Piłsudski przed zabójstwem Narutowicza był człowiekiem towarzyskim, niezmiernie otwartym, z którym można było dyskutować. Piłsudski po śmierci Narutowicza był zamknięty, skupiony na kilku tylko sprawach, przepełniony nienawiścią i pogardą do ludzi. Zabójstwo Narutowicza zmieniło jego pogląd na Polskę i Polaków.

POZA KRĘGIEM POLSKIM

Nie jestem człowiekiem towarzyskim i nie mam uzdolnień językowych. Nawet po francusku mówię słabo, co bardzo mnie krępowało. „Kultura” miała jednak dwóch ambasadorów czy — lepiej — ministrów spraw zagranicznych: Józia Czapskiego i Kota Jeleńskiego. Zawdzięczaliśmy im niemal wszystkie nasze znajomości poza kręgiem polskim. Tak np. Jamesa Burnhama poznaliśmy, gdyż zainteresował się Józiem i, będąc w Paryżu, przyjechał do niego. Wtedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ciągnęły mnie do niego jego książki, o których prowadziliśmy z nim nie kończące się dyskusje i któreśmy wydali. Najwyżej z nich stawiam *Rewolucję manadżerską*; była dla mnie rewelacją.

Moje stosunki amerykańskie są żadne. Jedynym moim amerykańskim przyjacielem, nawet w sensie czysto osobistym, był Burnham. Widywaliśmy się często z nim i z jego żoną, gdyż oni sporo bywali w Europie. Rozmawialiśmy po francusku.

Ponieważ on posługiwał się tym językiem nie lepiej niż ja, więc nie sprawiało mi to trudności. A gdy Józio pojechał do Stanów Zjednoczonych jako wielki jałmużnik, w naszym najtrudniejszym momencie, to Burnham bardzo mu pomógł.

Jako jeden z głównych organizatorów Kongresu Wolności Kultury Burnham spowodował zaproszenie nas, tzn. Józia i mnie, do Berlina. Poprzednio byłem tam w 1930 r., na długo przed dojściem Hitlera do władzy, z powodów czysto osobistych: rodzice mojej późniejszej żony, którzy postanowili przenieść się do Francji, zatrzymali się na jakiś czas w Berlinie. Pojechałem pożegnać się z nią i wtedy właśnie zaręczyliśmy się. Dwadzieścia lat później Berlin był nie do poznania: same ruiny. Na Kongresie panowała atmosfera strachu; wielu uczestników bało się porwania przez NKWD. Nie miałem takich obaw i poszedłem nawet na spacer do Berlina Wschodniego, zobaczyć, jak wygląda. Różnica między Berlinem Wschodnim a Zachodnim nie była jeszcze wtedy bardzo ostra.

Sala obrad była przepelniona. Wydarzeniem sesji inauguracyjnej stało się wystąpienie Józia. Zrobiło zeń ono od razu gwiazdę Kongresu, czego organizatorzy nie przewidywali. Było to przemówienie bardzo emocjonalne, jak to u Józia. Powiedział on na wstępie dwa zdania po niemiecku. Resztę — po polsku. Ale Kongres bardzo dobrze zorganizowano i tłumaczenia były zapewnione. Tym, co zrobiło szczególne wrażenie na publiczności niemieckiej, było podkreślenie przez Czapskiego potrzeby pojednania między Polską a Niemcami. Był on prekursorem późniejszych inicjatyw zmierzających w tym kierunku.

Pozostałych wystąpień nie pamiętam. Ważniejsze od nich były dla mnie kuluary, gdzie zawarłem znajomość z Ukraińcami, Osadcukiem i Lewyckym, oraz z Rosjanami: Nikołajewskim z „Socjalistycznego wiestnika” i Wandą Pampuch-Brońską, którą poznałem przez Osadcuka. W Berlinie po-

znałem też Irvinga Browna, z którym i później utrzymywałem bardzo dobre stosunki. Rozmawiałem z nim na temat uniwersytetu dla uchodźców. Widywałem go jeszcze w okresie powstawania „Solidarności”. Dla „Kultury” nie miało to jednak żadnego praktycznego znaczenia. Poznałem również Boruchowicza, jeśli dobrze pamiętam jego nazwisko. Był on trockistą, byłem sekretarzem Lenina, i odgrywał ważną rolę w związkach zawodowych. Mówił doskonale po polsku i wyglądało na to, że nawiąże się z nim bardzo bliską współpracę, trochę taką, jaką mieliśmy z Burnhamem. Niestety wkrótce po spotkaniu w Berlinie Boruchowicz niespodziewanie zmarł.

Jedną z moich inicjatyw w pierwszych latach Kongresu był *Collège d'Europe Libre* w Strasburgu. Szło o to, by stworzyć uniwersytet dla uchodźców, dla studentów z Europy Wschodniej, który by miał prawa wyższej uczelni i internat. Zapalił się do tego Burnham, który temu bardzo patronował i czynił odpowiednie zabiegi. Wyszedł z tego niestety potworek. Liczyłem, że Burnham stanie na czele tego uniwersytetu, ale on wybuchnął śmiechem i powiedział, że jest związany z Waszyngtonem i że nie ma zamiaru wyjeżdżać z Ameryki. Kierownictwo objął Potulicki. *Collège* funkcjonował parę lat i odegrał pewną rolę, gdyż kilkaset osób skończyło dzięki temu studia i potem miało w swoich zawodach jakąś pozycję. Nic nie wyszło wszelako z mojej idei stworzenia ośrodka, który by miał charakter nie tylko naukowy, ale przyczyniał się również do zjednoczenia Europy Wschodniej.

Brałem jeszcze udział w zebraniu Kongresu w Brukseli, które zaowocowało dla nas nawiązaniem znajomości z Jeanne Hersch i Manesem Sperberem, o czym dalej. I dużo chodziłem na imprezy organizowane przez Kongres w Paryżu w ramach festiwalu „Dzieło XX wieku”. Zapamiętałem z nich nowocześnie operę pod tytułem *Konsul*, jeśli go nie przekre-

cam, co jest tym dziwniejsze, że na ogół oper bardzo nie lubię. Była to pierwsza opera, która zrobiła na mnie wrażenie.

Początkowo nasze stosunki z Kongresem układały się poprawnie. Józio odgrywał tam dość ważną rolę, zwłaszcza w Berlinie. Dzięki jego dawnej znajomości z Nicolas Nabokovem — kompozytorem i krewnym sławnego pisarza — który był wtedy szefem Kongresu, a którego Józio spotykał jeszcze w Petersburgu, mogliśmy załatwić przyjęcie Kota Jeleńskiego do Kongresu. Nabokov z pewnymi oporami na to poszedł. Utrzymywaliśmy niezłe, ale bardzo luźne związki z Josselsonem, który był mózgiem Kongresu, a potem okazał się przedstawicielem CIA w tej instytucji; był to bardzo interesujący człowiek, wybitnie inteligentny i bardzo twardy.

Po dziś dzień nie wiem, czy znał polski. Twierdził, że nie. Ale pamiętam, że był kiedyś z Jeleńskim u nas, przyjechał na herbatę. W jakimś momencie wyszedł do ogrodu, a za nim wybiegł ówczesny Black. Josselson nachylił się do niego i powiedział po polsku: „Chodź tu, piesku, chodź tu, piesku”. Innym razem byłem w biurze Kongresu z jakimś artykułem, którym byłem bardzo podniecony, i który pokazywałem Jeleńskiemu. Josselson zaglądał mu przez ramię. Powiedziałem: „Przecież pan nie zna polskiego”. Josselson uśmiechnął się krzywo i odszedł. W każdym razie był to najciekawszy człowiek w Kongresie. Jeleński bardzo go cenił i odwiedzał go nawet po ujawnieniu finansowania Kongresu przez CIA za jego pośrednictwem.

Działaczom Kongresu zawdzięczaliśmy zwłaszcza pomoc w lansowaniu Miłosza, którym oni się bardzo zaopiekowali. Drukowali jego eseje, a ponieważ mieli dużo pieniędzy, więc ich honoraria były bez porównania bardziej atrakcyjne niż nasze. Pomagał nam w tym zakresie zwłaszcza François Bondy, z którym moje stosunki były poprawne i rozciągały się również na grunt towarzyski. Bywał u nas i myśmy go odwie-

dzali. Załatwialiśmy z nim jednak wyłącznie sprawy kulturalne czy literackie. Dzięki Jeleńskiemu Kongres, a właściwie Bondy i „Preuves”, pomogli nam również w przypadku Gombrowicza, którego wiele drukowali. Jest to ich bardzo wielka zasługa. Istotną rolę w tej sprawie odegrał Bondy. Przed jego podróżą do Argentyny powiedzieliśmy mu, że powinien koniecznie porozmawiać z Gombrowiczem. Wrócił oczarowany przezeń, a później Kot bardzo spraw Gombrowicza pilnował.

Natomiast żadnej pomocy finansowej od Kongresu nie dostaliśmy. Przez pewien czas bardzo na to liczyłem, gdyż był to dla nas okres materialnie wyjątkowo ciężki, ale nigdy do tego nie doszło. Kongres sfinansował jedynie tłumaczenie i wydanie dwóch książek: Simone Weil i Raymonda Arona; obie tłumaczył Miłosz. Toteż o współpracy „Kultury” z Kongresem właściwie nie sposób mówić. Rozważano wprawdzie w jakimś momencie projekt zrobienia z „Kultury” pisma Kongresu, ale nie wyszło to nigdy poza bardzo luźne rozmowy i, jak sądzę, nie miało żadnych szans, choćby z uwagi na naszą chęć zachowania całkowitej niezależności.

Z pismami Kongresu nie mieliśmy systematycznych stosunków. Niekiedy podrzucaliśmy im jakieś materiały, zwłaszcza „Preuves”. Poczynając od naszego spotkania w Berlinie, między mną a Melvinem Laskym występowały chłód i niechęć, jak sądzę, wzajemne. Nie przeszkadzało mi to posyłać materiałów do „Der Monat”, ze zmiennym skutkiem. Z pismem Kongresu, „Encounterem”, popadliśmy w konflikt z powodu Łabędzia, który zachował się wobec nas w sposób bardzo niełojalny. Poznałem go przez Kota. Początkowo była to wielka przyjaźń i Łabędź był zainteresowany Tercem i Arzakiem, czyli Siniawskim i Danielem. Później wynikła sprawa akt ich procesu. Gdy je dostałem, on bardzo chciał zapoznać się z nimi i je wydać. Udostępniłem mu je więc pod warunkiem, że szybko je odeśle i że ukażą się po angielsku dopiero po wydaniu

polskim. Łabędź nie dotrzymał słowa i nigdy nie próbował się wytłumaczyć, tak że nie wiem, dlaczego to zrobił.

W naszych stosunkach z osobami, które spotykaliśmy na terenie Kongresu, musieliśmy początkowo przełamać wiele uprzedzeń, zwłaszcza Żydów. W Brukseli miała miejsce ostra scysja z naszą późniejszą wielką przyjaciółką, Jeanne Hersch, na tle jej bardzo negatywnego stosunku do emigracji i do Polaków, których uważała za antysemitów. Doszło do scen dramatycznych. Na ogół jestem człowiekiem bardzo spokojnym, ale tam krzyczeliśmy na siebie przez całą salę, a nawet biłem pięścią w stół. Ale jak to się nam często zdarzało, osoby uprzedzone do nas po nawiązaniu osobistych kontaktów stawały się naszymi przyjaciółmi.

Tak było właśnie z Jeanne Hersch, z którą ułożyły się bardzo miłe stosunki w dużej mierze za sprawą Józia, gdyż ona się w nim po prostu zakochała. Odwiedzała nas, a Zosia odwiedzała ją w Genewie, gdy bywała w Szwajcarii. Jeanne Hersch pisała do nas, zwracała nam uwagę na nowe książki, opiekowała się starym Vincenzem, który był wtedy w bardzo trudnej sytuacji; kiedy kupiła sobie mieszkanie w Paryżu, to Vincenz mieszkał u niej przez dobrych kilka miesięcy. Tłumaczyła Miłosza.

Tak też było z Manesem Sperberem, którego pierwsze reakcje na „Kulturę” były bardzo negatywne, nie z uwagi na poglądy „Kultury”, ale dlatego tylko, że był uczulony na Polaków. A później utrzymywaliśmy z nim bardzo bliskie stosunki, w tym również towarzyskie. Był nam bardzo życzliwy. To on uzyskał dla nas bezpłatne prawa autorskie od Koestlera; pierwszą książkę Koestlera wydaliśmy wprawdzie jeszcze w Rzymie, w przekładzie Gustawa, ale prawa do *Ciemności w południe* i innych jego książek załatwił Sperber. Koestler ustanowił również fundację, która od czasu do czasu dawała nam jakieś drobne sumy.



Czerwiec 1950, Berlin. Józef Czapski i Jerzy Giedroyc



1951, Maisons-Laffitte, 1 av. Corneille. Przed domem od lewej Jerzy Giedroyc, James Burnham, Zygmunt Hertz, Zofia Hertz, Maria Czapska, Czesław Miłosz, siedzi Józef Czapski



Lipiec 1952, Maisons-Laffitte, 1 av. Corneille. Od lewej stoją Jerzy Giedroyc, Zygmunt Hertz, Zofia Hertz, siedzi Zofia Romanowicz z psem Blackiem.
Fot. Henryk Giedroyc



Listopad 1954. Zofia Hertz i Zygmunt Hertz. Fot. Henryk Giedroyc



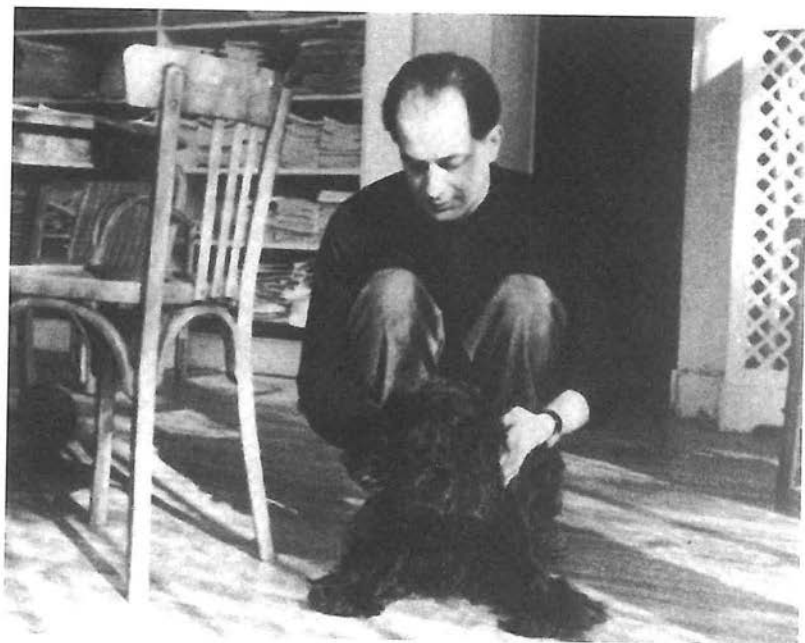
Kwiecień 1960, Poniedziałek Wielkanocny, Maisons-Laffitte, 91 av. de Poissy.
Od lewej Barbara Kwiatkowska, Maria Dąbrowska, Jerzy Giedroyc, Tula Kowalska,
Jerzy Andrzejewski. Fot. Henryk Giedroyc



Wielkanoc 1962, Maisons-Laffitte, 91 av. de Poissy. Od lewej Konstanty Jeleński,
Rula Łubieńska, Wacław Zbyszewski. Fot. Henryk Giedroyc



Wielkanoc 1963, Maisons-Laffitte. Od lewej Zbigniew Brzeziński, Jerzy Giedroyc,
ks. Józef Sadzik. Fot. Henryk Giedroyc



Lata 60., Maisons-Laffitte. Henryk Giedroyc z psem Blackiem



Połowa lat 60., Maisons-Laffitte. Od lewej Henryk Giedroyc, Zofia Hertz, Jerzy Giedroyc



Wiosna 1977, Maisons-Laffitte. Adam Michnik strzyżony przez Joannę Jaraczewską



Grudzień 1980, Sztokholm. Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski, Zofia Hertz
na uroczystości wręczenia Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla.
Fot. Tomasz Abramowicz



Październik 1982, Frankfurt. Andrzej Chilecki, Jerzy Giedroyc i Zofia Hertz
w czasie targów książki



Lata 80., Maisons-Laffitte. Zofia Hertz, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński.
Fot. Bohdan Paczowski



Marzec 1987, Monachium. Od lewej Leopold Unger, Bolesław Wierzbiański, Rowmund Piłsudski, Jerzy Giedroyc, Krzysztof Pomian, Kazimierz Sabbat, Waldemar Kuczyński, Aleksander Smolar, Lidia Ciołkosz, z tyłu zastąpięty Jakub Karpiński — wizyta w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa



Lata 80., Maisons-Laffitte. Jerzy Giedroyc. Fot. Bohdan Paczowski



Grudzień 1991, Paryż. Krzysztof Pomian, Jerzy Giedroyc, ks. Zenon Modzelewski – wieczór w ośrodku księży pallotynów

Sperber ułatwiał nam docieranie do francuskich środowisk wydawniczych i kulturalnych. To on pomógł nam wylansować, i to na dużą skalę, Pawła Zdziechowskiego. Pawła znałem jeszcze przed wojną; współpracował od czasu do czasu z „Buntem Młodych”. Był wtedy trochę, jak by się dziś powiedziało, playboyem. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, był dobrze sytuowany i miał duży talent nawiązywania stosunków. Poznałem przez niego wiele osób, w tym — przyszłych współpracowników; to on przyprowadził Straszewicza. Łączył dużą inteligencję z wszechstronnym talentem, ale na emigracji nie zdołał sobie ułożyć życia. Calmann-Lévy wydał jego książkę *Torricola*, która była wielkim sukcesem, i podpisał z nim od razu umowę na trzy następne; ale Paweł był leniwy i ich nie napisał. Gdy po kilku latach musiał zacząć na nowo, nie miał już żadnego powodzenia.

Wszystkie te kontakty umożliwiały nam oddziaływanie poza polskim gettem w świecie kulturalnym i wydawniczym. W stosunkach z władzami francuskimi i z kołami politycznymi ogromnie pomógł nam natomiast jeden z dobrych znajomych Józia, Malraux; pomocny w tym zakresie był również Anatol Mühlstein. Malraux pomógł nam, gdy napotkaliśmy przeszkody administracyjne przy kupnie domu. Pomagał nam również w okresie, gdy władze polskie protestowały przeciw istnieniu „Kultury”. Dzięki niemu interwencje Cyrankiewicza i Gomułki, podobnie jak interwencje sowieckie, były traktowane przez de Gaulle’a z lekceważeniem; byliśmy zresztą o nich zawsze nieoficjalnie informowani. To Malraux zawdzięczamy w dużej mierze, że Francuzi zachowywali się zawsze wobec nas bardzo przyzwoicie i że nigdy nie mieliśmy z ich strony żadnych trudności. Ale moje spotkania z nim były nieliczne; widywał go głównie Józio.

Drugim człowiekiem, który bardzo nam pomógł w kontaktach z Francuzami, był Anatol Mühlstein. Józio znał go jesz-

cze sprzed wojny, a ja poznałem go dzięki niemu. Mühlstein przyjechał do Józia na avenue Corneille, gdzieśmy wtedy mieszkali. Tak doszło do naszego pierwszego spotkania i do bardzo długiej i interesującej rozmowy na wszystkie tematy: o Becku, którego on nie znosił i którego ja broniłem, o Sikorskim, którego on z kolei bronił przede mną, o sytuacji we Francji. Wywiązała się z tego bardzo przyjemna znajomość. On bywał u nas, a i my jeździliśmy do niego z Józiem na jakieś obiady. Widywaliśmy się, jak na paryskie stosunki, dość często: raz na miesiąc, raz na sześć tygodni. Mühlsteinowi zawdzięczaliśmy bardzo przychylny stosunek do nas Quai d'Orsay i to, że informowano nas o różnych atakach, których byliśmy przedmiotem. Pewną rolę odgrywał w tym również inny przyjaciel Józia, Jean Laloy, dyrektor departamentu we francuskim MSZ.

Mühlstein był człowiekiem bardzo obolałym. Z powodu antagonizmu z Beckiem przyczynił się on w dużym stopniu do umocnienia pozycji Sikorskiego, odgrywając za kulisami znaczną rolę. Liczył przy tym, że zostanie ambasadorem we Francji. Mam wrażenie, że Sikorski mu to nawet obiecał. Nic z tego jednak nie wyszło. Zaproponowano mu bodaj Brukselę czy jakąś inną drugorzędną placówkę. Wtedy on zerwał stosunki z Sikorskim (którego w dużym stopniu wypromował), gdyż poczuł się bardzo dotknięty. Myślę, że jakąś rolę odegrały tu intrygi czysto personalne; może Mühlstein nie podobał się prof. Kotowi? Nie wykluczam nawet jakichś akcentów antysemickich.

Sprawy polskie Mühlsteina bardzo interesowały. Był on zaprzyjaźniony z twórcą Wspólnoty Węgla i Stali, René Mayerem. W 1956 roku podsunąłem mu więc pomysł, by dać Polsce dużą pożyczkę na modernizację kopalń węgla; byłaby ona spłacana węglem, na którym Francuzom bardzo wtedy zależało. Mühlstein miał nawet pojechać do Polski, żeby to nego-

cjować. Ale Jędrzychowski, który był przewodniczącym Komisji Planowania, całą sprawę storpedował.

Przez Józia poznałem Daniela Halévy. Był to dla Józia bardzo bliski człowiek i chodziliśmy do niego bardzo często. Rozmawiało się u niego na różne tematy, głównie o literaturze francuskiej; rozmowy z nim dały mi pewien pogląd na jej historię i na francuskie życie kulturalne. Bywał tam Laloy. Tam również poznałem Gafencu, byłego rumuńskiego ministra spraw zagranicznych, który mieszkał jakiś czas w tym samym domu, co Halévy. Również przez Józia poznałem, acz bardzo pobieżnie, Philippe'a Ariesa, a przez Kota Jeleńskiego — Raymonda Arona. Kilkakrotnie odbyły się zebrania z jego udziałem *en petit comité*, u Bondy'ego w domu. Mowa była o jego książce *Koniec wieku ideologii*, którą wydaliśmy, z czego był bardzo zadowolony, o Europie Wschodniej, o Rosji. Nie mieliśmy jednak żadnych stosunków osobistych. Ale bardzo ceniłem jego artykuły i moje analizy sytuacji międzynarodowej wiele mu zawdzięczały. Był niewątpliwie jednym z tych publicystów, których bardzo dokładnie studiowałem.

Z Davidem Roussetem zetknąłem się w czasie jego procesu przeciwko „Lettres françaises”. Na samym procesie nie byłem, ale brałem udział w rozmowach z adwokatami, którzy zwrócili się do mnie jako do eksperta. W centrum procesu była sprawa istnienia łagrów sowieckich. Lubilem w tych latach chodzić po księgarniach i grzebać w książkach. I właśnie w księgarni rosyjskiej na rue de l'Eperon znalazłem książkę wydaną oficjalnie w jakimś obozie koncentracyjnym, którą dałem adwokatom Rousseta; było to dla nich duże odkrycie i zrobili z tej książki użytek na procesie. Inną postacią, z którą miałem sympatyczne stosunki, zresztą dość krótkotrwałe, był Claude Mauriac. Spotkałem go, gdy organizował się Kongres. Był w podobnej sytuacji co ja, gdyż wydawał pismo, które miało trudności materialne, i również liczył na jakieś

duże pieniądze, których zresztą nie znalazł, tak że pismo zostało później zamknięte.

W prasie francuskiej nie mieliśmy nikogo. Gdy chciałem umieścić jakiś artykuł w „Le Monde”, posyłałem go po prostu pocztą. Znałem tylko dwóch korespondentów tej gazety w Warszawie. Philippe’a Bena spotkałem chyba jeszcze w Palestynie. Był publicystą „Maariv” i widywaliśmy się, gdy przyjeżdżał z Izraela do Europy. Gdy został korespondentem „Monde’u” w Warszawie, nadał utrzymywaliśmy bliskie i żywe związki, ilekroć wracał do Paryża. Wiele lat później, gdy „Monde” wysłał do Warszawy Bernarda Margueritte’a, mieliśmy z nim na początku dobre stosunki: przychodził do nas, dowiadywał się i informował, dawaliśmy mu kontakty; rozchwiała się to jednak, gdy zbliżył się do PAX-u przez swoją żonę.

Warto tu wspomnieć o jeszcze jednym znajomym Józia, poznanym jeszcze w Rzymie. Był to Malaparte. Kiedyś złożył on wizytę Józiovi i opowiedział o swojej ostatniej książce *Storia di domani*, której nie chiano mu wydać we Włoszech. Zosia zaproponowała mu, że my to wydamy i że ona to przetłumaczy. Zrobiła to i wydrukowaliśmy tę *Historię jutra* w „Kulturze”. Odtąd, ilekroć Malaparte przyjeżdżał, to dzwonił i nas odwiedzał, a jak wygłaszał jakiś odczyt, to nas zapraszał. Jako pisarz interesował mnie jeszcze przed wojną; po wojnie i Józio, i ja czytaliśmy *La Peau* i *Kaputt*. To świetne książki.

W tutejszą emigrację rosyjską wprowadził mnie także Józio. Wywiązała się z tego znajomość z Romanem Gulem, który później wyjechał do Nowego Jorku wydawać „Nowy żurnal”, oraz z historykiem i publicystą, Mielgunowem, z którym widywaliśmy się często, gdyż mieszkał niedaleko od nas. Prof. Karpowicz z Harvardu był tu tylko raz, gdyż stale mieszkał w Ameryce, ale byliśmy z nim bardzo zaprzyjaźnieni, zwłaszcza Józio. Bliższe związki z Iriną Iłowajską i z jej gazetą „Russkaja mysl” ukształtowały się dość późno, dopiero przez Nata-

lię Gorbaniewską; księżnę Szachowską znałem mało i niezbyt ją lubiłem.

Kontakty ze Związkiem Sowieckim nawiązały się wcześniej przez sekretarza redakcji „Nowego mira”, Baranowa, który przyjeżdżał do Krakowa i tam zaopatrywał się w „Kulturę”; w „Nowym mirze” w redakcji na półce stały podobno roczniki „Kultury” zasłonięte firanką. Wydarzeniem było wydanie przez nas Siniawskiego i Daniela. Pierwszy utwór Siniawskiego ukazał się w „Esprit”, dzięki Helenie Zamoyskiej, która jako katoliczka miała tam znajomych. Dopiero pod wpływem Augusta Zamoyskiego, który był zaprzyjaźniony z Czapskim i którego ja również znałem, przyniosła ona teksty Siniawskiego i Daniela do nas. Później wydawaliśmy Solżenicyna. Kiedy dostałem *Archipelag Gula*, pomyślałem, że Jerzy Pomianowski, który świetnie przełożył Babla, może być dobrym tłumaczem tej książki, i zaproponowałem mu to. On bardzo zapalił się do tej pracy i zrobił ją doskonale.

Wkrótce po tym, jak został przymusowo wysłany na Zachód, Solżenicyn zaprosił Józia i mnie do Zurychu. Odbył się wieczór, podczas którego on opowiadał swoje wspomnienia, a potem poprosił nas o zostanie i mieliśmy w trójkę bardzo interesującą dyskusję o sprawach polskich. Solżenicyn wiedział o „Kulturze”, choć sam nie czytał po polsku. Spotkanie z nim było dla mnie ważnym przeżyciem i zapisało mi się mocno w pamięci.

Kiedy Maksimow przyjechał do Paryża, Solżenicyn poradził mu, by porozumiał się z nami co do tego, jak zorganizować pismo, co spowodowało nasze wejście do „Kontynentu”. Maksimow nie znał żadnego języka poza rosyjskim i był tu zupełnie zagubiony, ale dysponował od razu wielkimi pieniędzmi, bo finansował go Springer. Nawiązała się między nami bardzo serdeczna współpraca. Józio, Gustaw i ja zostaliśmy członkami redakcji „Kontynentu”. Chodziliśmy na zebra-

nia i na różne spędy, które odbywały się w mieszkaniu Maksimowa. Józio uczestniczył w tym mniej. Bywaliśmy tam głównie z Gustawem. Przez Maksimowa poznałem panią Bonner, która tu przyjeżdżała, i nawiązałem przez nią kontakt z Sacharowem. Dzięki niemu doszło też, co było dla mnie bardzo ważne, do deklaracji działaczy rosyjskich w sprawie niepodległości Ukrainy. Po raz pierwszy grono wybitnych osobistości rosyjskich zaakceptowało niepodległość Ukrainy, z tym zastrzeżeniem, że w pewnych okęgach trzeba będzie przeprowadzić plebiscyt, na co Ukraińcy nie chcieli się zgodzić.

Do spraw niemieckich zawsze przywiązywałem wielką wagę. Równie wielką jak do spraw sowieckich. Stąd chęć ogłoszenia numeru niemieckiego „Kultury”, który ukazał się dopiero w latach osiemdziesiątych, ale o którym myślałem od bardzo dawna. Przez jakiś czas mieliśmy nawet korespondenta w Berlinie w osobie Jerzego Prądyńskiego, który wydawał tam biuletyn po niemiecku. Był to przedwojenny dziennikarz, którego znałem jeszcze z czasów, gdy pracował w „Polsce Zbrojnej”, doskonały facet, pistolet, z piękną kartą w Dru-gim Korpusie. Znał dobrze niemiecki i gdy znalazł się całkiem bez pracy, dał się namówić, choć „Kultura” płaciła mu bardzo mało, jak nam wszystkim. Żywiłem wtedy co do Niemiec różne nadzieje, z których w praktyce niewiele wyszło. Ale Prądyński zrobił dobrą robotę.

W pewnym okresie miałem dość rozbudowane kontakty w Niemczech. Ale jeździłem tam głównie w sprawach ukraińskich. Był taki Stefan Kozłowski, „major Aleksander”, bardzo sympatyczny człowiek. Przed wojną był specjalistą od przemysłu rolniczego i pracował jako administrator majątków ziemskich Radziwiłła. Był człowiekiem o poglądach prawicowych, związanym z Brygadą Świętokrzyską. Dowiedziałem się o nim od Ukraińców. Kozłowski miał w Niemczech powiązania wojskowe. W czasie wojny był on w obozie niemieckim. Pewne-

go razu wzięto go nagle z tego obozu i zawieziono do Dre-zna, gdzie w toku rozmów, w których brały udział bardzo wysokie szarże, proponowano mu organizowanie oporu antysowieckiego w Polsce. Kozłowski odmówił. Ale jego rozmówcy byli na tyle dżentelmeńscy, że umożliwili mu przejście przez front na stronę amerykańską, gdzie zresztą znalazł Smal-Stockiego, wybitnego uczonego ukraińskiego, niemal umierającego z głodu, i zaopiekował się nim. Stąd się wzięła jego przyjaźń z Ukraińcami. Ze swymi niemieckimi rozmówcami utrzymał on po wojnie kontakty czysto osobiste; może dawał im jakieś oceny czy informacje — tego nie wiem. U niego właśnie ich poznałem. Ale skończyło się na spotkaniach.

W Berlinie i Monachium była duża grupa Ukraińców: między innymi Lewycky i Osadczyk. Później, gdy szukałem kogoś do zrobienia antologii współczesnej literatury ukraińskiej, prosiłem Szewelowa, wybitnego ukraińskiego historyka literatury, o wskazanie kompetentnej osoby. Skierował mnie do Ławryniuki, który bardzo rzetelnie ją opracował. Po ukazaniu się *Rozstrzelanego odrodzenia* Ukraińska Akademia Nauk wydała książkę polemizującą z tą antologią. Zwyczajem sowieckim polemika była poprzedzona dokładnym streszczeniem książki, co znakomicie pomogło jej rozpowszechnieniu. W połowie lat osiemdziesiątych „Suczasnist” zrobiła nowe wydanie *Rozstrzelanego odrodzenia* na papierze biblijnym, które wysłano w znacznych ilościach na Ukrainę. Książka ta odegrała dość dużą rolę. Między innymi spowodowała wzrost liczby prenumeratorów „Kultury” Ukraińców, zwłaszcza w Kanadzie. Przede wszystkim zaś przyczyniła się na samej Ukrainie do powstania znaczącej grupy poetyckiej, tzw. *szes-tidiesatnikiw*.

We Francji utrzymywałem kontakty z Ukraińcami za pośrednictwem Kubijowicza, który był przed wojną docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Poznałem go w

zabawnych okolicznościach. Wracalem z urlopu w Rumunii i spotkalismy sie w pociagu. Przy przekraczaniu granicy okazalo sie, ze w Bulgarii podczas wymiany pieniedzy dano mi falszywe leje. I wtedy on mnie poratowal na granicy bulgarsko-rumunskiej, a pozniej, po raz drugi, na granicy rumunsko-polskiej. Wynikla z tego mila znajomosc. Kubijowicz w czasie okupacji byl przewodniczacy Komitetu Ukrainskiego w Krakowie, zachowal sie swietnie, a po wojnie odegral wielka role wzrod Ukraincow we Francji jako prezes instytutu im. Szewczenki w Sarcelles. Stworzyl imponujaca encyklopedie ukraińska, która wydano równocześnie po ukraińsku i po angielsku. Sarcelles stalo sie dzięki niemu ważnym ośrodkiem nauki ukraińskiej. A moja z nim znajomosc miała duże znaczenie dla stosunków „Kultury” z Ukraińcami.

PO PAŹDZIERNIKU

Śmierć Stalina nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia. Zdumiała mnie natomiast wiadomość o likwidacji Berii, gdyż przypuszczałem, że to on będzie rządził; wyglądało przecież na to, że oplątał wszystko. Ważnym wydarzeniem było też dla mnie powstanie w NRD w czerwcu 1953; wydawało mi się wtedy, że dojdzie albo do rewolucji w NRD, albo do zjednoczenia Niemiec. Później byłem bardzo poruszony strajkami w łagrach, a jeszcze później — tajnym raportem Chruszczowa.

Nie pamiętam, od kiedy zacząłem oczekiwać głębszych zmian w samej Polsce. Nie było tu chyba żadnej daty przełomowej. Cały czas pracowało się, by doprowadzić do takich zmian, i każdy sygnał, że coś się rusza, był bardzo ważny. Ożywienie kontaktów z Polską nastąpiło w 1954 roku. Przyszedł list od Kisiela. W tym i następnym roku widziałem się z dużą liczbą osób z Kraju, ale były to kontakty głównie lite-

rackie. Wszyscy pluli na ustrój. Robiło to takie wrażenie, że jak jest się tutaj, to trzeba ten ustrój krytykować, nawet bardzo ostro.

Dobraczyński np. zajmował postawę dość niezależną, nawet wobec Piaseckiego. W rozmowie z nim poruszaliśmy sprawę „Tygodnika Powszechnego”. Zapewniał, że Piasecki traktuje „Tygodnik” jako depozyt, aby zachować tę firmę, i później, gdy sytuacja ulegnie zmianie, oddać ją prawowitym właścicielom. Żukrowski był wielkim plotkarzem, lubił opowiadać „opozycyjne” anegdoty o Putramencie.

Gdzieś w tym okresie nawiązały się dobre stosunki z „Mazowszem” przez Mirę Zimińską, którą dobrze znał Czapski jeszcze przed wojną. Ilekroć przyjeżdżała do Paryża czy była gdzie indziej na Zachodzie, prosiła o przysłanie „Kultury” i książek. Była bardzo krytyczna w stosunku do tego, co się działo w Polsce. Dużo opowiadała o wyższych sferach komunistycznych, w których się obracała, opisywała je z ogromną złośliwością, w formie ośmieszających anegdot.

Zaskoczył mnie *Poemat dla dorosłych*. Wrażenie było tym silniejsze, że o ludziach takich jak Ważyk myśleliśmy jak najgorzej. Nie dlatego, że był komunistą. Zaprzyjaźniłem się z młodym Adamem Uziembłą, który też był komunistą. Ale Ważyk, chodzący z wielkim rewolwerem po przyjeździe z Rosji, jawił mi się jako postać humorystyczna i obrzydliwa. Toteż uznałem, że jeśli nawet on zajmuje taką postawę, jakiej dał wyraz w *Poemacie*, to widocznie coś się rzeczywiście zmienia. Nie myślałem wtedy, że mogą kryć się za tym jakieś manipulacje i intrygi w kierownictwie PZPR. Odebrałem to raczej jako ważny znak, że dokonuje się przełom. Ważyk później był u nas, kiedy gościliśmy Wata, z którym przyjaźnił się i z którym chciał się nagadać. Nie zostawił mi dobrego wspomnienia.

Prasę polską czytałem od początku. Dostawałem ją dzięki

umowie z Biblioteką Uniwersytetu Warszawskiego, która funkcjonowała przez wszystkie najgorsze lata: oni przenieśli mi pisma i przysyłali książki, które były mi potrzebne, a ja dostarczałem im w zamian książki francuskie i angielskie; jest tak po dziś dzień. Dzięki temu byłem uprzywilejowany, gdyż dostawałem wszystko. Toteż szybko zwróciłem uwagę na „Po prostu”, którym byłem bardzo zaskoczony; przedtem przeglądałem je tylko, gdyż było nudne, a tu nagle taki zwrot. Uderzał mnie w nim rewizjonizm i ostry krytycyzm widoczny choćby w takich artykułach, jak *Błoto i dolary*. Czytałem to pismo z pasją. I zastanawiałem się, skąd się ci ludzie wzięli. Okazało się, że w poprzednim okresie komunistycznym wyrosło całe pokolenie osób bardzo ciekawych, doskonałych publicystów, odważnych i inteligentnych. Było to dla mnie dużym zaskoczeniem. Z „Po prostu” miałem zresztą pośrednio kontakt przez Stefana Kurowskiego, którego ceniłem jako ekonomistę.

Jeszcze przed 1956 rokiem przysyłał mi on różne artykuły i materiały, a później udało się załatwić dla niego stypendium Forda, tak że mógł pojechać do Niemiec, do Szwajcarii i do Stanów; współpraca z nim była wtedy bardzo żywa. To, co dostawałem od Kurowskiego czy od Kisiela, przychodziło przez okazje: ktoś to przywoził. Później Mackiewicz po powrocie do Polski przysyłał nam w ten sposób artykuły podpisane Gaston de Cerizay. Jeden z nich dotarł do mnie nawet via Australia. A poza tym — były różne pomysły. Książka Grzędzińskiego o zamachu majowym doszła do nas w zabawce kubańskiej. Nie rozumieliśmy, dlaczego ją nam przysłano, aż Zygmunt wpadł na pomysł, że coś może być wewnątrz. Okazało się, że jest tam mikrofilm. Bardzo chętnie przewozili różne rzeczy cudzoziemcy. Szczególnie pomocna była w tym zakresie ambasada francuska.

Październik 1956 roku przeżywaliśmy z bardzo przesadny-

mi nadziejami. Wierzyliśmy wtedy, niestety, w jakiś bardziej liberalny komunizm. Od „Trybuny Ludu” poczynając, wszyscy proponowali nam wymianę pism i przysyłanie książek, pojawiło się mnóstwo przyjezdnych z Kraju, kontakty nagle rozszerzyły się w stopniu zaskakującym. Robiło to na nas bardzo duże wrażenie. Nie oczekiwaliśmy, rzecz jasna, że komuniści zorganizują wolne wybory. Ale sam fakt, że są wybory, gdzie wybiera się wśród różnych kandydatów, jawił się nam jako wielki krok naprzód. Spodziewaliśmy się, że prasa stanie się wolna. Myśleliśmy też, że Wyszyńskiemu uda się uzyskać znacznie więcej. Ale on ograniczył się do małego klubu poselskiego, choć gdyby zażądał czterdziestu posłów katolickich w Sejmie, toby ich zapewne dostał, bo Gomułka był w sytuacji przymusowej. Można było wtedy wymusić na nim ustępstwa idące dalej niż te, które uzyskano; byłyby później trudniejsze do zlikwidowania. Oczekiwaliśmy dużych luzów na odcinku kulturalnym. Nie szedłem tak daleko, by mieć nadzieję na uzyskanie w Polsce debitu dla „Kultury”, acz postulat taki był zgłaszany przez Związek Literatów. Ale liczyliśmy, że kontakty z Krajem będą znacznie łatwiejsze.

Choć wiele tych złudzeń rozwiało się bardzo szybko, Październik był bardzo ważną datą w historii Polski. Był to jedyne moment, gdy partia komunistyczna mogła być zaakceptowana przez społeczeństwo. Gdyby jej przywódcy mieli większą wyobraźnię, dalszy rozwój wypadków mógł być zupełnie inny. Nic takiego się już potem nie powtórzyło. Społeczeństwo poparło ówczesne zmiany niemal jednomyślnie. Ten nastrój był również na emigracji. „Kultura” udzieliła Gomułce kredytu zaufania, który cofnęliśmy po zamknięciu „Po prostu”. Ale NiD Rowmunda Piłsudskiego poszedł znacznie dalej, gdyż Rowmund podtrzymywał Gomułkę jeszcze długo potem. W noc przed wyborami z 1957 roku Nowak wezwał w Wolnej Europie do głosowania bez skreśleń; w tym punkcie była między

nami istotna różnica, bo ja uważałem, że trzeba głosować ze skreśleniami. Później Nowak powstrzymywał się przez dłuższy czas od atakowania władz PRL. Różnica w stosunku do audycji w poprzednim okresie była uderzająca. W sprawie głosowania Nowak zajął zresztą stanowisko zgodne z ówczesnym stanowiskiem kardynała Wyszyńskiego. Ale on zawsze liczył się z Kościołem.

Tymczasem Kościół pilnował przede wszystkim swoich spraw. Zależało mu na utrzymaniu czy na rozszerzeniu swego stanu posiadania. Rozumiem, że nie mógł popierać ruchów rewolucyjnych, choć takie wypadki zdarzały się w jego historii, ale w Polsce siedł zbyt daleko w swej ugodowości. Wystarczy przypomnieć przemówienie Wyszyńskiego w Częstochowie w 1980 roku. Robienie z Kościoła najważniejszej siły, która uratowała Polaków przed komunizmem, jest powieleniem legendy; stanowisko „Tygodnika Powszechnego”, który reprezentował katolicką lewicę, odegrało w jej ukształtowaniu się wielką rolę. A ostatecznie przyczynił się do tego fakt, że po wprowadzeniu stanu wojennego kościoły były azylami działań niezależnych, co rozciągnięto na całą politykę Kościoła w ciągu czterdziestu pięciu lat PRL.

Przy spotkaniach z różnymi młodymi ludźmi po Październiku zaskoczeniem dla mnie był ich poziom intelektualny. Byli bardzo odcytani i bardzo zorientowani. Przewinęło się ich tu bardzo wielu: STS z Andrzejem Jareckim, Jarkiem Ambramowem-Newerlim i Agnieszką Osiecką, chłopcy i dziewczęta, których bardzo lubiłem i lubię, ale którzy politycznie reprezentowali salonową opozycję; Janek Strzelecki, Leszek Kołakowski, Paweł Beylin, Andrzej Brzeski, który później został w Stanach Zjednoczonych. Wśród tych, których wtedy poznaliśmy, stanowisko wyraźnie partyjne zajmował tylko Jerzy Wiatr. Również on bardzo mi się spodobał jako inteligencja, chociaż był twardym komunistą; uważał, że system powinien

zostać taki, jaki jest. Widziałem go parę razy i mieliśmy długie dyskusje na ten temat. Bardzo dobre wrażenie zrobił na mnie również Wiesław Górnicki, który zainteresował mnie jako inteligentny i krytyczny obserwator, dobrze znający Stany Zjednoczone i wyrażający samodzielne sądy.

Pierwszym człowiekiem z Kraju, który nie poprzestał na opowiadaniu anegdot, był Janek Strzelecki. Przyjechał tu bardzo wcześnie na jakieś zawody narciarskie; miał kilku francuskich przyjaciół, z którymi jeździł na narty. Wtedy go poznałem i kontakt był bardzo dobry; były to pierwsze ciekawe rozmowy, które dawały jakąś analizę sytuacji w Polsce. Później przyjechał Jan Józef Lipski, a jeszcze później Witold Jedlicki. Przed nimi zjawił się Kołakowski. Rozmowy z nim były bardzo interesujące. Jeździłem nawet do niego do Amsterdamu, nim przyjechał do Paryża.

Miałem wtedy pomysł — wariacki, jak dziś widzę — żeby on został na Zachodzie i zaczął organizować nową Międzynarodówkę. Najzabawniejsze jest, że on na to właściwie siedł. Zarysowała się nawet możliwość wydawania przezeń pisma, obiecywano załatwienie mu katedry w Paryżu. Między innymi trzeba było dostać dla jego żony jakieś stypendium, żeby mogła przyjechać na Zachód. Tak że rzeczy były już dość daleko posunięte. Wszystko to zostało zburzone przez Schaffa, który wygłosił do Kołakowskiego dramatyczne przemówienie, że po śmierci Krońskiego filozofia polska jest zagrożona i że on powinien wrócić do Kraju, przy czym dał mu słowo, że będzie mógł wyjechać, ilekroć będzie chciał. Mam wrażenie, że Kołakowski przyjął to z pewną ulgą. Znalazł wyjście z mojej kombinacji.

Schaff odwiedzał mnie zresztą kilkakrotnie, a rozmowy z nim były na ogół interesujące. Bezpośrednio po Październiku, kiedy w Warszawie, w szkołach, rozegrały się jakieś hece antysemityczne, był on tym tak poruszony, że nawet zastanawiał

się, czy nie zostać na Zachodzie, choć skądinąd przywiązywał dużą wagę do Października i wiele sobie po nim obiecywał. Miał wielkie złudzenia, może nie tyle co do samego Gomułki, ile co do możliwości sterowania nim. Krytykował tych, którzy niepotrzebnie chcieli przyspieszać ewolucję, gdyż ta jego zdaniem szła i tak we właściwym kierunku — w kierunku, jak to się później mówiło, „socjalizmu z ludzką twarzą”. Ale po zamknięciu „Po prostu”, kiedy wypowiedzieliśmy zaufanie Gomułce, Schaff przyjechał do nas z Gottesmanem, szalenie oficjalny, wyciągnął z teczki jakieś odbitki i zapytał, czy będziemy współpracować z władzami PRL, grożąc, że w przypadku odmowy artykuły, które pokazał, ukazą się w prasie: w „Nowej Kulturze” czy w „Przeglądzie Kulturalnym”, już nie pamiętam. Rozstaliśmy się bardzo chłodno. Później Schaff robił w stosunku do nas jakieś gesty i od czasu do czasu podczas swoich pobytów w Paryżu nas odwiedzał.

Jednym z moich najciekawszych rozmówców w latach popaździernikowych był wspomniany już Adam Uziembło, syn starego Adama Uziembły. Stary Uziembło był związany od młodości z lewicowym ruchem niepodległościowym. Odegrał znaczącą rolę jeszcze w Rosji, w 1905 roku; ogłosił nawet jakąś republikę w guberni tambowskiej. W pierwszym okresie piłsudczykowski, grubo przed zamachem majowym, był jednym ze współpracowników „Głosu Prawdy”. Poznałem go po wojnie w Paryżu, gdzie żył w bardzo trudnych warunkach i wykładał w jakiejś szkole polskiej. Później przeniósł się do Wolnej Europy, gdzie był bardzo tępiony przez Nowaka, którego początkowy zachwyt dla niego ustąpił miejsca zniechęceniu, gdyż Uziembło pisał z trudnością i miał różne dziwactwa. Poznali się na nim jednak Niemcy: po wyjściu z radia wykładał literaturę polską i zaprzyjaźnił się ze znanym filozofem, Ernstem Blochem, z którym przez niego nawiązałem nawet jakiś kontakt.

Przez starego Uziembłę poznałem jego syna, też Adama, który był pułkownikiem Ludowego Wojska Polskiego, miał bardzo ciężkie przejścia w więzieniu, gdzie przesiedział bardzo długo, a wypuszczony, został po Październiku generałem i szefem Wojskowej Akademii Politycznej; o awansie na generała ambasada powiadomiła go telefonicznie, gdy akurat mieszkał u nas, równocześnie przyszła depesza od matki z gratulacjami. Zastanawialiśmy się z nim nad tym, co można zrobić, by odsowietyzować wojsko. Mówiliśmy o komunizmie, o jego stosunku do komunizmu, o reformach, jakie chciał przeprowadzić w Akademii, gdzie zamierzał włączyć do programu socjologię i inne zabronione przedtem dyscypliny. Nasze rozmowy trwały stosunkowo krótko, ale zachowaliśmy kontakt za pośrednictwem jego siostry, która do niego przyjechała, a później odwiedzała nas kilkakrotnie.

Innym generałem, z którym utrzymywałem stosunki, był Kuropieska. Poznałem go po jego wyjściu z więzienia przez Kisielewskiego, który powiedział mu, by nas odwiedził. Kuropieska zadzwonił po przyjeździe do Paryża i złożył nam wizytę. Później widzieliśmy się wielokrotnie, gdyż on tu dość często przyjeżdżał. Bardzo go ceniłem, bo dużo o nim wiedziałem od Boruty-Spiechowicza i innych jego przedwojennych dowódców. Rozmawialiśmy o sprawach wojskowych. Przed wojną, mimo dość niskiego stopnia, Kuropieska odegrał ważną rolę, gdyż skończył Akademię Sztabu Generalnego, chociaż był oficerem, który nie ukrywał swych poglądów komunistycznych czy komunizujących. Miał wielki wpływ na Borutę-Spiechowicza, którego był szefem sztabu. A poza tym, ponieważ dużo jeździł do Rosji, więc przywoził stamtąd ciekawe obserwacje o ludziach, których spotykał. Był lubiany, miał rozgałęzione stosunki i można było przez niego wiele rzeczy załatwić.

Z czołówki Klubu Krzywego Koła odwiedzał nas Jan Józef

Lipski. Korespondowałem też w owych latach z Aleksandrem Małachowskim, który przebywał w Kanadzie. Informował mnie on o Polsce, a ja jego — o stosunkach na emigracji. Małachowski pracował wtedy nad swą książką *Rzecz niepospolita*, która była bardzo interesująca. W tym okresie nasze kontakty były bardzo żywe i bardzo bliskie. Dopiero w latach osiemdziesiątych doszło do brutalnego zerwania. Z innych działaczy KKK była u nas Hanna Rewska.

Ale wtedy odwrót od Października poszedł już bardzo daleko. Pierwszym tego przejawem był proces Hanny Rewskiej oskarżonej o kolportaż „Kultury”. Rewska miała zaiste wielkie złudzenia, gdyż zbierała prenumeraty i kolportowała „Kulturę”; łącznie rozprowadzała bodaj kilkadziesiąt egzemplarzy. Dostawała je przez ambasadę francuską, gdzie mieliśmy z niektórymi osobami doskonale stosunki. Choć sam miałem wtedy nastawienie nazbyt optymistyczne, optymizm Rewskiej nawet mnie wydawał się przesadny.

Jej aresztowanie i proces bardzo nas poruszyły, jak później proces Rudzińskiej, tym bardziej znamieny dla oziębienia klimatu politycznego w Polsce, że nasze kontakty były bardzo niewinne. Prosiłem Rudzińską o przekład książki socjologicznej Feliksa Grossa oraz o materiały od profesora Wolskiego. Toteż aresztowanie jej było dla mnie zupełnie niespodziewane. Przez Juliusza Żuławskiego, który nam w tym bardzo przyzwoicie pomagał, posyłał mi Rewskiej, a później Rudzińskiej, pieniądze na paczki i na adwokatów.

W 1957 roku spotkałem się z Kisielewskim pierwszy raz po wojnie. Wznowiliśmy wtedy naszą współpracę i nasze kłótnie. A klóciliśmy się całe życie, co on zresztą bardzo dobrze opisał. Różniła nas polityka od czasu, gdy zaczął się nią zajmować w kole poselskim „Znak”. Kisielewski lubował się w *Realpolitik* i uważał, że Polska winna szukać porozumienia z Rosją, nawet kosztem Ukrainy, Litwy i Białorusi, przy czym o

wszystkich tych krajach nie miał zielonego pojęcia. Jego poglądy były mi z gruntu obce. A zarazem miałem zawsze do niego dużą słabość za jego wielką odwagę. I za jego przekorę. To są cechy, które bardzo lubię i bardzo cenię.

Różniła nas również literatura. Byłem na niego zły za *Sprzysiężenie*, gdzie radca Geysztor jest moim portretem, a szczegółowy opis naszego ostatniego lokalu redakcyjnego na Długiej jest bardzo wierny. Nie mogłem mu darować tego, że przypisał mi wielkie ambicje uregulowania stosunków polsko-niemieckich i oddziaływania na Hitlera — jakieś zupełnie niesamowite historie. Książka odpychała mnie też ze względu na rozbudowany wątek homoseksualizmu i impotencji, które odgrywają bardzo ważną rolę w życiu bohatera. Późniejsze powieści Kisielewskiego też mi się nie podobały z wyjątkiem *Widzianego z góry*. Tematyka jest za każdym razem bardzo interesująca, ale on nie umie sobie z nią poradzić. Opisy scen miłosnych są u niego humorystyczne, postaci — papierowe. Za to publicystą Kisielewski był świetnym. Tyle tylko, że potwornie nierównym. Powinien był całe życie pisać wyłącznie felietony, miast porywać się na powieści i na politykę. Był doskonałym felietonistą, a felieton był formą, w której wyraził się najpełniej.

Przez długi czas obaj, Mieroszewski i ja, byliśmy o wiele bardziej wyrozumiali wobec rewizjonistów niż wobec członków koła „Znak”. W tych drugich raził nas ich oportunistyczny połączony z lekkością. Mieliśmy bardzo nieprzyjemne rozmowy ze Stommą na temat ich minimalizmu i przesadnego optymizmu. Zawieyski sądził na przykład, że współpraca Kościoła z partią komunistyczną jest na najlepszej drodze, i wiele sobie po tym obiecywał. Uważał się za łącznika między Gomułą i Wyszyńskim i przeceniał nie tylko możliwości, ale i szanse tej współpracy czy nawet wzajemnej tolerancji. Ja zaś byłem zdania, że współpraca partii z Kościołem nie jest moż-

liwa, gdyż komuniści z uwagi na ich ideologię mogą uznać PAX czy Piaseckiego, ale nie niezależną politykę kościelną czy niezależnych działaczy katolickich.

Członkowie koła „Znak” za bardzo angażowali się po stronie władzy. W Sejmie występowali zawsze za. Jedynymi, którzy zabierali głos krytycznie, głównie w komisjach, byli Kisielewski i jeszcze jeden poseł, ekonomista z Krakowa, którego nazwiska nie potrafię sobie przypomnieć, i który potem znikł. Wszyscy oni traktowali ze śmiertelną powagą swoje tytuły, członkostwo w Radzie Państwa itp., i nazbyt na serio wzięli swoje możliwości jako posłów i działaczy. Pamiętam pogardliwe oceny Kisiela: „Ja jestem politykiem, a pan jest tylko kibicem, który zajmuje się literaturą i takim sobie gadaniem. Ale politykę robimy my”. On uważał się za wielkiego polityka, który prowadzi realistyczną działalność polityczną i ma wpływ na sytuację w Kraju.

W przeciwieństwie do członków koła „Znak” rewizjoniści byli tylko intelektualistami. Nie mieli wpływu na instytucje sprawujące władzę. Ale byli nam znacznie bliżsi, chyba dlatego, że mieli krytyczny stosunek do rzeczywistości polskiej. Ich nadzieje braliśmy bardzo na serio. W naszej sympatii do rewizjonistów miał może swój udział również brak zaufania do polskiej prawicy i brak zaufania do Kościoła. Uważałem, że chociaż lewica w społeczeństwie polskim była zawsze w znakomitej mniejszości, gdyż jest to społeczeństwo w swojej masie prawicowe czy zgoła endekoidalne, to ostatecznie właśnie lewica zawsze wygrywała przez cały XIX wiek, a nawet w latach przedwojennych.

Zapewne byłem bardziej wyrozumiały dla eks-komunistów niż dla ludzi takich jak Iwaszkiewicz, którzy komunistami nigdy nie byli, po prostu dlatego, że eks-komuniści byli znacznie ciekawszy. Weźmy Uziembłę czy Władysława Bieńkowskie-

go albo Stawara, który zadzwonił do mnie po przyjeździe do Paryża i pod koniec życia mieszkał u nas, gdy kończył swą ostatnią książkę, którą wydaliśmy. Umarł w szpitalu w Saint-Germain. Była to bardzo ciekawa postać. Nie mieliśmy żadnej rozmowy politycznej, gdyż on był w fatalnym stanie zdrowia. Nasze dyskusje dotyczyły trockizmu. Stawar w jakiś sposób czuł się trockistą, nie ukrywał tego i ponosił konsekwencje swej postawy; był przecież dosyć tępiony. To właśnie mi się u niego podobało. W naszych rozmowach usiłował mi wytłumaczyć, że nie mam racji w moim bardzo krytycznym nastawieniu do trockizmu.

W latach sześćdziesiątych liczba naszych kontaktów krajowych uległa ponownie zmniejszeniu, acz nigdy nie spadła tak nisko, jak przed Październikiem. Zarazem jednak nawiązały się nowe znajomości. Jedną z nich był Tadeusz Manteuffel, który dość często przyjeżdżał do Francji i z którym spotykałem się za każdym jego tu pobytem. Był to okres, gdy tworzyłem „Zeszyty Historyczne” i zasięgałem jego rady na ten temat. Rozmawialiśmy o najnowszej historii Polski. Nasze poglądy były bardzo zbliżone. Różniliśmy się tylko w jednej sprawie: on przywiązywał zbyt wielką wagę do możliwości współpracy stypendialnej z Francuzami, zupełnie bagatelizując Stany Zjednoczone, o co miałem do niego pretensje. Najciekawsze materiały do historii Polski są przecież w bibliotekach i archiwach amerykańskich.

Drugą znajomością zawarą w owych latach byli Maria i Stanisław Ossowsky, do których miałem wiele czysto osobistego sentymentu, których bardzo szanowałem i kontakt z którymi uważałem za niezmiernie dla siebie cenny. Z Ossowskim dużo dyskutowałem, między innymi o eksperymencie w Nowym Sączu. Pamiętam nasze ostatnie spotkanie w jakimś hotelu w Quartier Latin, gdzie Ossowsky zatrzymali się, wra-

cając z południa Francji. On siedział na fotelu i z trudem mówił. Pani Maria odprowadziła mnie na korytarz i nagle rozplakała się. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Z pisarzy mieszkał u nas jakiś czas Marek Hłasko, ale bliższe związki miał z nim Zygmunt, gdyż ja zupełnie nie nadałem się do roli *postillon d'amour* między nim a Sonią: „Powiedz tej gestapówce, że ją kocham”. Kiedyś przyjechał do niego wieczorem jego przyjaciel, reżyser filmowy nazwiskiem bodaj Goldberg, niski i szczupły. Zamknęli się u Hłaski w pokoju i pili całą noc. Rano widziałem, jak Hłasko wynosił go pod pachą, jak pakunek, do samochodu. Innym młodym pisarzem, który się tu pojawił, był Zbigniew Herbert. Początki naszej znajomości były trudne. Później to się zmieniło.

W Paryżu był wtedy także Andrzejewski, którego, jak już wspominałem, nigdy nie lubiłem. Był to jeszcze jeden podopieczny Zygmunta, który mu bardzo pomagał. Andrzejewski wydał u nas *Apelację*, a nadto przysłał mi rękopis tej nieszczęsnej *Miazgi*, pisząc, że chce go wydać w Polsce, ale pytając, czy chciałbym ją wydać, gdyby tam nie mogła się ukazać. Książka nie podobala mi się, ale była interesująca, więc odpowiedziałem twierdząco. Po czym zaczęły od niego przychodzić listy, że uzgodnił takie lub inne skróty, co do których prosił, by je zaznaczyć. Powtórzyło się to trzy lub cztery razy i w rezultacie w książce nic ciekawego nie zostało, tak dalece, że nawet tutejsi tłumacze Andrzejewskiego odmówili zajęcia się nią. Jego skłonność do ustępstw była zdumiewająca.

Jak doszło do spotkania z Watem, nie pamiętam. Mój stosunek do niego był dość sceptyczny, podobny do tego, jakiemu daje wyraz Zygmunt w swych listach do Miłosza. Zresztą nastąpiło między nami starcie w związku z jego książką. Wat zwrócił się do mnie za pośrednictwem Miłosza z propozycją wydania *Mojego wieku*. Po przeczytaniu odmówiłem, bo roi się tam od błędów, nie mówiąc już o rzeczach dość obrzydliwych,

jak to, co Wat pisał o Drugim Korpusie: „banda faszystów”. Nie miał o tym zielonego pojęcia, a Miłosz nie wiedział o tym wiele więcej. Nie mogłem tego puścić. Było też tam wiele nieścisłości, jeśli chodzi o jego kontakty rosyjskie; Heller wykazał, że on nie mógł się spotkać z osobami, co do których twierdzi, że je widział. Ale ani on, ani Miłosz nie chcieli przyjąć tych uwag do wiadomości i nie zgodzili się na żadne poprawki.

Irytowała mnie zawsze u Wata niechęć do mówienia o tym, co robił w Polsce po powrocie z Rosji. To był temat tabu. Podobnie bardzo dla niego drażliwy był okres lwowski. Kiedy Borwicz coś o tym napisał, Wat zrobił awanturę: jakim prawem ten pętał o tym pisze; tylko ja mogę o tym coś napisać. Powiedziałem mu wtedy, że Borwicz nie jest pętakiem, tylko poważnym historykiem, a co do niego, to przecież wielokrotnie go namawiałem, by przedstawił swą relację ze Lwowa. Nie chciał o tym słyszeć. Ostatecznie nasza współpraca ograniczyła się do wstępu, który pod pseudonimem Bergholz napisał do książki Siniawskiego i Daniela. Przez jakiś czas Watowie u nas mieszkali. Później z powodu jego stanu zdrowia bywali tu rzadko. Odwiedzałem go niekiedy u niego w domu.

Na emigracji znalazł się również Tyrmand, który podczas jednej ze swych pierwszych wizyt u nas zdeponował u mnie swój dziennik z 1954 roku, prosząc o przechowanie; jestem więc koronnym świadkiem na okoliczność tego, że ten dziennik nie został napisany już po wyjeździe Tyrmanda z Polski. Kiedy Tyrmand został na Zachodzie, znalazł się w trudnej sytuacji. Zaproponowałem mu wtedy opracowanie antologii „Kultury” dla czytelnika amerykańskiego, ponieważ wybierał się do Stanów. Uniwersytet w Albany, który dzięki staraniom Alicji Iwańskiej chciał wydać tę antologię, szedł tak daleko, że dał Tyrmandowi pensję *visiting professor* i gabinet z tabliczką na drzwiach, żeby się tym zajął. Ale on to wszystko zlek-

cewał. Przyjechał kilka razy do Albany, żeby skorzystać z basenu i zagrać w tenisa. Nie zrobił nawet planu antologii. Skończyło się na tym, że choć nie znam publiczności amerykańskiej, musiałem sam zrobić wybór. A rzecz została wykonana tak niechlujnie, że są tam rażące błędy. Na tym tle doszło do zerwania, gdyż on nie poczuwał się do winy i obraził się na nas.

Od chwili, gdy powstała Biblioteka „Kultury” i gdy podjęliśmy systematyczne wydawanie książek, poczta zaczęła przynosić dość dużo maszynopisów. Było wśród nich wiele grafomanii. Ale były też rzeczy o wielkiej wartości, jak choćby *Krótki żywot bohatera pozytywnego* Piotra Guzega, który przyjąłem z najwyższym entuzjazmem. Pomijając jednak takich autorów, jak Gombrowicz czy Miłosz, których drukowałem wszystko, co napisali, większość książek, wydanych w Bibliotece „Kultury”, wyrosła z moich inicjatyw. Były one przeważnie zwrócone ku książkom o charakterze politycznym, czego przykładem może być Archiwum Rewolucji, starałem się jednak nie pomijać utworów czysto literackich. W tej dziedzinie robiłem pewne eksperymenty, nie zawsze udane; początkowo bardzo mnie zafrapował Pankowski, który później przestał być dla mnie ciekawy. Innym przykładem może być Chciuk, dobry pisarz drugiej klasy. Bardzo imponował mi Wierzyński, ponieważ potrafił oderwać się od tradycji Skamandra. Jego ostatnie książki świadczyły o całkowitej zmianie rodzaju jego poezji, a zarazem były bardzo interesującym eksperymentem.

Największy sukces wśród czytelników emigracyjnych odniósł bez wątpienia *Doktor Żiwago* Pasternaka. Ukazał się w trzech wydaniach w łącznym nakładzie 15 tysięcy egzemplarzy. Tego pułapu nigdy więcej nie osiągnęliśmy. Sukces ten był dla mnie bardzo przyjemną niespodzianką. Większość naszych bestsellerów była zresztą dla mnie taką niespodzianką,

może ze względu na moją skrajnie pesymistyczną ocenę emigracyjnego rynku wydawniczego. Jedynym wyjątkiem były książki Solżenicyna, które poprzedziła taka reklama, że jego powodzenie — nie tylko *Archipelagu Gułag*, ale i wcześniejszych powieści — wydawało mi się dość naturalne. Ale do rekordu Pasternaka było mu daleko.

Z polskich książek szczególnie wielu nabywców zyskały sobie Czapskiego *Na niehludzkiej ziemi*, Herlinga *Inny Świat* i Swianiewicza *W cieniu Katynia*. Dobrze sprzedawały się książki Marka Hłaski, zwłaszcza *Cmentarze*, Orłosa *Cudowna melina* i niektóre powieści Stalińskiego-Kisielewskiego na czele z *Widzianym z góry*. Wszystkie te tytuły osiągnęły ponad trzy tysiące egzemplarzy, co uważaliśmy za sukces. Natomiast *Trans-Atlantyk*, którego wydanie było dla mnie źródłem szczególnej satysfakcji, rozchodził się bardzo powoli i z takimi trudnościami, że kiedyś do Zygmunta Hertza zadzwoniono specjalnie z Księgarni Polskiej na bulwarze Saint-Germain, by go zawiadomić o sprzedaży jednego egzemplarza. Z książkami Miłosza było nieco lepiej, ale też niezbyt dobrze; zaczęto je naprawdę kupować dopiero po otrzymaniu przezeń Nagrody Nobla.

Problematyka historii, a zwłaszcza historii najnowszej, bardzo mnie interesowała. Była często poruszana w „Kulturze”. Ale materiałów z tej dziedziny zaczęło być tak dużo, przy czym brakowało miejsca na inne rzeczy, że zdecydowałem się na ich wydzielenie.

Początkowo „Zeszyty Historyczne” były półrocznikiem. Później ustabilizowały się jako kwartalnik. Były od początku wydawnictwem bardzo cenionym, ale niestety nie wyrażało się to w prenumeratach. „Zeszyty Historyczne” były zawsze deficytowe, chociaż każdy, kto prenumerował łącznie „Kulturę” i „Zeszyty”, dostawał dużą zniżkę. Rezonans wśród historyków był znaczny, ale wydawniczo nie był to sukces.

„Zeszyty” przyciągnęły nowe pióra do współpracy dopiero w ostatnich czasach. Przedtem publikowałem materiały, które wydobywałem, gdzie się dało. Jest w Polsce wielu młodych historyków, których bardzo cenię i którzy są właściwie stałymi współpracownikami „Zeszytów”, jak Andrzej Friszke czy Grzegorz Mazur. Mam wrażenie, że „Zeszyty” wywarły jakiś wpływ na historiografię polską. Gdy przeglądam publikacje historyczne, cieszy mnie liczba odnośników do „Zeszytów”, których jest na ogół bardzo dużo. To wielka satysfakcja. Ale bywa, że nasze publikacje wywołują burzę w szklance wody. Niestety Polski jest to, że jej historia jest tak zakłamaną, jak nigdzie na świecie.

ZESPÓŁ „KULTURY”

W mojej prywatnej historii „Kultury” trzema najbardziej dramatycznymi wydarzeniami były choroba i śmierć Juliusza Mieroszewskiego, choroba i śmierć Zygmunta Hertza oraz śmierć Józia Czapskiego.

Choroba Mieroszewskiego była zupełnie przerażająca. Był to rak gardła i Mieroszewski strasznie cierpiał: napromieniowanie wypaliło mu policzki, wstawiono mu rurkę do krtani. Trwało to kilka miesięcy. Staraliśmy się sprawić mu trochę przyjemności. On zawsze marzył o kozuchu. Kilka miesięcy przed jego śmiercią udało się nam sprowadzić z Polski wspinały kozuszek zakopiański, który go bardzo ucieszył.

Mieroszewski był dla mnie najważniejszym partnerem dialogu. Jedynym, z którym byłem tak bardzo otwarty. Nie tylko dlatego, że wiedziałem, że mnie rozumie, ale również dlatego, że byłem pewien jego bezwzględnej lojalności. Nikt mi go nie zastąpił. Po jego śmierci w pewnym sensie zostałem sam.

Potem przyszła niespodziewana choroba Zygmunta, którą bardzo ciężko przeżyliśmy. Początkowo miał on jeszcze nadzieję, że jakoś się z tego wydobędzie; pod koniec zdawał sobie sprawę z sytuacji. Ale cały czas zachował zupełnie niezwykłą pogodę; martwiło go tylko, co się stanie z Zosią. Było to rzeczywiście wyjątkowe małżeństwo.

Józio zaczął ograniczać swój udział w sprawach „Kultury” na kilka lat przed śmiercią, by skupić się wyłącznie na malarstwie. Wtedy — z wielkim opóźnieniem — przyszły do niego pierwsze sukcesy. Pochłaniało go urządzenie wystaw. Zmniejszył zresztą nie tylko udział w sprawach „Kultury”, lecz cały zakres swych zainteresowań i krąg swych rozmówców, który ostatnio — poza rodziną — składał się głównie z Adama Zagajewskiego i Wojciecha Karpińskiego. Również moje z nim spotkania stały się w ostatnich latach rzadsze. On był pochłonięty malarstwem, a ja miałem coraz więcej pracy. Kiedyś rozmawialiśmy ze sobą co dzień. W ostatnich latach — co kilka dni, przy czym były to rozmowy dość przypadkowe. Ale były. Jego śmierć zamknęła ważny rozdział mojego życia.

*

W historii Instytutu Literackiego i „Kultury” Zosia i Zygmunt Hertzowie odegrali rolę decydującą. Byli wprowadzeni we wszystkie sprawy łącznie z tymi, które wymagały zachowania maksymalnej dyskrecji. Dotyczy to zwłaszcza Zosi, która stała się główną bohaterką tej historii nie tylko dzięki swej energii, ale również dzięki całkowitemu oddaniu się naszej sprawie i gotowości wzięcia na siebie związane z tym ryzyka. Wkład Zygmunta był ogromny, ale to, co robił, robił dla niej. Był przed wojną wysokim urzędnikiem w Solvayu. Po wyjściu z wojska mógł bez trudu znaleźć dobrze płatną i prestiżową pracę na Zachodzie. Miał zresztą wiele propozycji od

swej firmy, a mógł również wykorzystać rozgałęzione stosunki swego ojca w międzynarodowych sferach gospodarczych. Poświęcił się dla Zosi.

We Włoszech działalność Zygmunta była genialna: bez niej byśmy sobie nie poradzi. Zawdzięczamy mu stworzenie materialnych podstaw Instytutu. Później postawił na służbę „Kultury” swą pracowitość i zaradność, wykonując codzienne czynności, często męczące i monotonne, ale bez których nie moglibyśmy funkcjonować. Jego ciekawość ludzi i umiejętność nawiązywania kontaktów z nimi były niezastąpione. Jeśli Józio i Kot byli naszymi ministrami spraw zagranicznych, to Zygmunt był ministrem do spraw Polaków. Załatwiał zaproszenia i stypendia. Spotykał się i utrzymywał kontakty towarzyskie. Odgrywał bardzo często rolę piorunochronu w moich stosunkach z Miłozsem, które nie zawsze układały się najlepiej. Opiekował się Hłaską, Polańskim i mnóstwem innych osób, które przewinęły się przez nasz dom. Jego dziełem była też nasza przyjaźń z księdzem Sadzikim i pallotynami. Kiedy oni przyjechali z Zurychu, żeby założyć swój dom w Paryżu, odwiedzili nas. Była to bardzo miła wizyta, ale na niej zapewne by się skończyło, gdyby nie stosunki Zygmunta z Sadzikim.

Na głowie Zosi była od początku cała administracyjna strona „Kultury”. Ale jej wpływ na politykę „Kultury” i na mnie był zawsze bardzo wielki. Ma ona bardzo dużo zdrowego rozsądku i wielokrotnie umiała mnie powstrzymać przed rozszerzaniem frontu, angażowaniem się w nowe i ryzykowne przedsięwzięcia; jej interwencje nie zawsze były skuteczne, ale kilka razy uchroniły „Kulturę” od poważnych głupstw. Potrafiła też załatwiać wiele spraw dzięki umiejętności nawiązywania przyjacielskich stosunków z ludźmi. Jest widomą ilustracją mojej teorii, wedle której w Polsce najważniejsze są kobiety.

Rola Zosi i Zygmunta jest nie do przecenienia. Nie przy-

puszczam, by „Kultura” mogła być bez nich zaistnieć i przetrwać.

*

W okresie, kiedy pracowaliśmy razem w Propagandzie, Józio był dla mnie jednym z najbliższych ludzi. Nie mieliśmy wtedy żadnych konfliktów. Pierwszym zgrzytem w naszych stosunkach była sprawa przeniesienia się Instytutu do Paryża, czemu Józio był dość niechętny. Ale później służył „Kulturze” jako minister spraw zagranicznych, o czym była już wielokrotnie mowa. Jego rola była jednak znacznie większa: wnosił pewien szczególny klimat przyjaźni i bezinteresowności i wytwarzał dzięki temu jakąś atmosferę, jakąś aurę wokół całej tej roboty. Był pełen życzliwości do ludzi. Wyczuwało się w nim życie duchowe i to chyba tak bardzo frapowało i przyciągało osoby jakże przecież różne: od Kota Jeleńskiego do Jeanne Hersch.

Był człowiekiem o bardzo głębokich przeżyciach religijnych. Jego religijność wyrażała się też w wieloletniej współpracy z Antonim Marylskim i z Laskami oraz w lekturach takich autorów jak Bierdiajew, Peguy czy Jacob, z których twórczością zapoznałem się dzięki niemu. Peguy zrobił na mnie wrażenie większe niż Bierdiajew może dlatego, że zainteresowania Peguy nie ograniczały się do spraw religijnych czy filozoficznych. Podobnie dzięki Józiovi bardzo pogłębiłem znajomość literatury rosyjskiej, choć przecież zawsze się nią interesowałem. Dotyczyło to między innymi Dostojewskiego. Przedtem lubiłem zwłaszcza *Braci Karamazow*, a do innych jego dzieł odnosiłem się obojętnie lub ich nie czytałem. Józio, który szczególnie zajmował się Dostojewskim, wciągnął mnie w czytanie ich, a zarazem zmienił mój stosunek do nich.

Był niezmiernie pomocny w redagowaniu „Kultury”. Zawdzięczam mu bardzo wiele. Rozmowy z nim, ponieważ były

bezinteresowne, były dla mnie zarazem odprężające i zapładniające, gdyż często rodziły się z nich jakieś pomysły redakcyjne. Zaczynało się od omawiania jakiejś książki, a potem coś z tego wynikało. Malarstwem interesuję się mało. Ale kilkakrotnie byłem z Józiem na wystawach, co mi bardzo dużo dało. Do malarstwa Picassa podchodziłem z ogromną niechęcią. Józio ułatwił mi zrozumienie Picassa. Nie powiem, że mnie do niego przekonał, ale pozwolił go zrozumieć. Byłem z nim — i to parę razy — na bardzo ciekawej wystawie Waliszewskiego i Pirosmanszwilli. Byliśmy też razem na wystawie sztuki polskiej w Petit Palais; uderzyła nas wtórność tej sztuki, co do czego byliśmy całkiem zgodni.

Nie mieliśmy dyskusji na temat linii „Kultury”. Jeśli były dyskusje — i to niekiedy bardzo żywe — to raczej na tematy zupełnie oderwane: jakichś książek, jakichś pisarzy. Pamiętam, że dużo dyskutowaliśmy o Abellio, którym obaj byliśmy zafascynowani. Spory na tematy personalne wynikały między nami głównie z poczucia lojalności Józia: jeśli był jakiś ostry konflikt z Andersem, to nie przeciwstawiał się on mojemu stanowisku, ale starał się je łagodzić.

Nasze najostrzejsze spięcie dotyczyło Kongresu i Kota Jeleńskiego. Kiedyś Mieroszewski, nie pamiętam z jakiej okazji, napisał o Kongresie, że jest to cyrk. Kot straszliwie się na to obraził. Nie wiem już, o co chodziło. Wiem tylko, że z naszego punktu widzenia mieliśmy bardzo poważne zastrzeżenia do Kongresu. Wziąłem, rzecz jasna, stronę Mieroszewskiego. A Józio opowiedział się po stronie Kota tak zdecydowanie, że gotów był wyprowadzić się od nas. Bardzo mnie to dotknęło. Sądziłem, że w naszych stosunkach Kongres był rzeczą drugo- lub trzeciorzędną. A tu okazało się, że Kongres i Kot są dla niego znacznie ważniejsi niż nasza współpraca i przyjaźń. Ale potem wszystko się wyrównało.

Powrót do malarstwa dokonał się u Józia wiele lat temu,

ale bardzo długo nie miało to żadnego wpływu na rozległość jego zainteresowań. Później przechodzenie od „Kultury” do malarstwa stawało się coraz trudniejsze, jak gdyby za każdym razem musiał zaczynać od początku. Takie malowanie obrazów po przerwie określał jako „piłowanie”. Powstawały z tego bardzo wypracowane martwe natury, które były wstępem do rozkręcenia się malarskiego.

Po śmierci Józia kazałem zdjąć jego maskę pośmiertną i zrobić odlew ręki. Zależało mi na utrwaleniu jego wizerunku. Nie tylko dla nas. Maskę dostała Biblioteka Polska w Paryżu; kupił ją również krewny Józia, Janusz Przewłocki. Dla „Kultury” i dla mnie osobiście Józio był kimś niezmiernie ważnym. Ale uważam, co więcej, że wniósł on bardzo duży wkład do kultury polskiej w ogóle. Nie był prowincjonalny. Miał ogromną skalę zainteresowań ogólnoeuropejskich, co jest w kulturze polskiej dosyć rzadkie. Był wszechstronny. Absorbowały go malarstwo, literatura, kontakty z ludźmi, życie religijne. Również pod tym względem był postacią bardzo wyjątkową.

*

W wojsku znałem Mieroszewskiego dość przelotnie. Nasza znajomość pogłębiła się, gdy był już w Londynie. Zanim nie zdziwaczał i nie przestał utrzymywać kontaktów z ludźmi, spotykaliśmy się u Auberna Herberta lub u Józia Zielickiego. Nasze pierwsze londyńskie spotkanie odbyło się chyba u Auberna. W Londynie bywałem zazwyczaj dwa razy do roku i za każdym razem spotykałem się z Mieroszewskim. Później przyjeżdżałem już tylko do niego.

Początki były sympatyczne, ale nic jeszcze nie zapowiadało dalszego ciągu. Nie pamiętam, kiedy nasza znajomość przerodziła się w bliższą współpracę. Zaczęło to się niewątpliwie od kroniki londyńskiej, z której wyrosła publicystyka. Przeło-

mowym momentem w naszych stosunkach była sprawa Miłosza, kiedy Mieroszewski zajął takie stanowisko jak my, mieszkańcy domu „Kultury”, i nasi najbliżsi przyjaciele, jak np. Jeleński. Znaczenie sprawy Miłosza polegało również na tym, że konieczność ustosunkowania się do niego z jednej strony zacieśniła więzy w obrębie naszego zespołu, a z drugiej — przecięła inne, jak moją przyjaźń z Niezbrzyckim, który był przecież dla mnie przez długie lata kimś bardzo bliskim.

Przed wojną Mieroszewski był, jak przypuszczam, człowiekiem towarzyskim. Towarzyski był również w Kairze, choć wtedy bardzo pił; sam nie jestem abstynentem, ale to już przekraczało wszelkie granice. Przełom w nim zauważyliśmy z Zosią już we Włoszech, kiedy przestała istnieć „Parada” i wszystko zawisło w powietrzu. Zamykał się w pokoju i pił. Powodem było rozejście się z żoną. Na szczęście zaczęła się wtedy miłość z Inką, którą znał już wcześniej i która go z tego wyciągnęła. W Londynie na początku utrzymywał jeszcze jakieś stosunki towarzyskie: z Wierzyńskimi czy z Au-beronem, którego często odwiedzał. Później zamykał się coraz bardziej.

Mieszkał w małym domku dwurodzinnym. Parter zajmowała siostra Inki z mężem; Mieroszewscy zajmowali piętro. Była tam kuchenka, dwa pokoje i łazienka. Oboje byli bardzo porządnicy, ale wszędzie leżały książki i gazety, choć Mieroszewski nie miał pasji kolekcjonerskiej: nie przechowywał swego archiwum, a książki chyba rozdawał po wykorzystaniu. W środku mieszkania królował jamnik Puzio, który był niezwykle przywiązany do swego pana: rozumiał nawet jego myśli. Mieroszewski miał różne dziwactwa. Np. bardzo lubił zażywać tabakę. Był entuzjastą lampy naftowej, twierdził, że daje najlepsze światło, i bardzo się ucieszył, gdy kiedyś przywieźliśmy mu taką lampę.

Był bardzo przywiązany do swojej żony; żona, książki, pies i domek — to był obszar, z którego nie bardzo chciał wychodzić. Choć kuszących propozycji nie brakło, jak choćby zaproszenie do telewizji niemieckiej, która świetnie płaciła; Mieroszewski już je przyjął i w ostatniej chwili nawalił. Nigdy nie udało się go skłonić do wyjazdu z Anglii. A jego życie towarzyskie stało się minimalne: Wierzyńscy, z którymi był zaprzyjaźniony, Paweł Zaremba, Zdzisław Broncel.

Ten ostatni był dziwnym człowiekiem. Miał wspaniałą karierę: zaczął jako mały sprzedawca gazet w Warszawie i doszedł do stanowiska redaktora dodatku literackiego do „ABC”, który był doskonale prowadzony. Potem w Palestynie kierował „W drodze”, robiąc dobre pismo. W Londynie zaczął się wyczerpywać. Naprzód uważał, że musi sobie zabezpieczyć warunki materialne, kupił więc jakiś domek, który miał wynajmować; dom był luksusowo wyposażony i miał dobrze płacących lokatorów. Wtedy uznał, że musi kupić drugi dom. Potem uznał, że musi pisać po angielsku. I tak się marnował. Mieszkał blisko Mieroszewskiego. Ale spotykali się tylko wtedy, gdy ja przyjeżdżałem.

Trudno mi wyróżnić jakieś wątki twórczości Mieroszewskiego, gdyż czułem się z nią tak bardzo związany, że nie mam wobec niej niezbędnego dystansu. Łatwiej mi powiedzieć, gdzie się z nim nie zgadzałem. Otóż trochę śmieszyło mnie u niego, a trochę irytowało podkreślanie, że jest socjalistą. Zupełnie tego nie widziałem. Dla mnie była to poza, która wynikała z jego angielskich lektur. Gdybym miał określić jego poglądy, to prędzej nazwałbym go liberałem niż socjalistą. Nie w sensie ekonomicznym, rzecz jasna. Ale ekonomia go stosunkowo mało interesowała. Jako formacja był najbliższy Raymonda Arona: chłodna analiza i małe zainteresowanie sprawami ideologicznymi.

Mieroszewski miał niewątpliwie na mnie wpływ. Otwierał przede mną perspektywy na świat zachodni, gdyż wiedziałem o nim zawsze mniej niż o świecie wschodnim, którego on z kolei nie znał i który był mu obcy. Angielska literatura polityczna była dla mnie niedostępna, o ile nie było tłumaczeń francuskich czy polskich. A Mieroszewski bardzo gruntownie ją studiował. Ale, wbrew pozorom, nie był on moim informatorem w sprawach dotyczących polskiego Londynu i nie inspirował moich poglądów na ten temat. O ile w pierwszych latach pobytu w Londynie widywał jeszcze wiele osób i brał dość czynny udział w życiu emigracyjnym, to później oddalił się od niego. Jego wiedza o sprawach emigracyjnych brała się z „Dziennika Polskiego” i innych gazet. A do rzeczywistości polskiego Londynu mieliśmy pospołu, od początku, stosunek bardzo krytyczny.

Nie przypominam sobie konfliktu między nami. Mogły się nam zdarzać dość ostre wymiany zdań, ale trudno to porównywać z konfliktami, jakie miałem z Jeleńskim czy nawet z Józiem Czapskim. Może byliśmy bardziej zgrani politycznie. Nie uważam wprawdzie moich poglądów za socjalistyczne, ale są one niewątpliwie lewicowe.

Najważniejszym wkładem Mieroszewskiego do „Kultury” była jego publicystyka. „Kultura” jako pismo polityczne istniała w dużym stopniu dzięki niemu. Oryginalne były zresztą nie tylko jego poglądy, ale również sposób wysławiania ich, który bardzo wysoko cenię: zwięzłość i oszczędność w formułowaniu myśli, bez tych wszystkich ozdóbek, które są tak charakterystyczne dla pisarstwa Polaków — i nie tylko ich. To bardzo rzadka cecha. Za najważniejszy składnik jego dorobku uważam ideę ULB. Inne rzeczy, które pisał, miały za przedmiot zmieniającą się scenę polityczną i ulegały często dezaktualizacji. Ale ta idea jest czymś trwałym. Jestem przekonany,

że choćby jako jej twórca Mieroszewski zajmie ważne miejsce w historii polskiej myśli politycznej po drugiej wojnie światowej.

*

Między Gustawem a mną nie było żadnych kontaktów przez blisko dziesięć lat. Nie zaproponował mi wydania *Innego Świata*. Swój pierwszy po długiej przerwie tekst przeznaczony dla „Kultury” przysłał mi w liście. Do rozmowy między nami doszło z okazji mojego wyjazdu do Rzymu. Zatrzymałem się nawet u niego; Gustaw miał wtedy mieszkanie w Rzymie, które potem sprzedał. Nie była to rozmowa zasadnicza. Zaczęła się tak, jak gdyby nic między nami nie zaszło. Rozmawialiśmy o Silone, o różnych pamiątnikach, zwłaszcza o raportach Reale, ambasadora włoskiego w Warszawie zaraz po wojnie, którego Gustaw znał i skontaktował ze mną. Nie o sprawach osobistych. Ta rozmowa zapoczątkowała jednak jakieś zbliżenie. Ale nasze stosunki czysto osobiste były najbliższe w okresie, kiedy Gustaw był w podchorążówce. Teraz, co mnie trochę irytuje, Gustaw ustawia się na pozycji doradcy czy współpracownika, który jednak nie bierze odpowiedzialności za linię „Kultury”.

W ramach naszego podziału pracy do Gustawa należy literatura, zarówno poezja, jak proza. To on w znacznej mierze decyduje o naszej polityce w tej dziedzinie, gdyż ja prawie całkowicie polegam na jego ocenach i opiniach. Dotyczy to przede wszystkim tekstów drukowanych w „Kulturze”, w mniejszym stopniu książek. Zdarzały się nam niekiedy rozbieżności w sprawie jakiejś prozy, gdyż u Gustawa odgrywają dużą rolę antagonizmy osobiste. Tak np. on bardzo nie lubi Miłosa i z trudem to ukrywa. Jest więcej niż negatywnie nastawiony do Brandysa. Przekreśla Żukrowskiego nie tylko

jako człowieka, lecz również jako pisarza, choć ten napisał przecież dwie czy trzy dobre książki. Gustaw stosuje w tych przypadkach kryteria skrajne, które nie zawsze mi odpowiadają.

Zawsze mówiłem, że gdyby przykładać do pisarzy bezwzględne miary polityczne i moralne, literatura polska przestałaby istnieć. Dlatego uważam, że należy odróżniać autora od jego dzieła i osądzać dzieło osobno. Inaczej będziemy mieli nieustającą sprawę Brzozowskiego. Co do mnie, oceniam to, co ktoś napisał, nie wchodząc w to, kim on był czy jest. Podejście Gustawa jest zbyt purytańskie. I nie chodzi tu tylko o naturalną różnicę postaw między pisarzem, który ma prawo do jednostronności, a wydawcą, który musi być eklektyczny. Jest to u mnie nastawienie ogólne. Przyznaję pierwszeństwo dziełu.

Gustaw był dla mnie również partnerem w dyskusjach politycznych, choć nasze wymiany poglądów na te tematy nie były takie, jak z Mieroszewskim. Mieroszewski reprezentował moje stanowisko. Gustaw ma inny punkt widzenia. Nie jest chłodnym analitykiem — jest pełen pasji. I jest nie tyle politykiem, ile moralistą. Może właśnie dlatego częste dyskusje między nami na tematy polityczne były dla mnie bardzo ważne. Były ważne również dla „Kultury”.

Uznanie, nie tylko Kraju, ale i emigracji, przyszło do Gustawa za późno. Co do mnie, przy wszelkich różnicach czy nieporozumieniach między nami, uważałem go za bardzo wybitnego pisarza. Byłem pod wielkim wrażeniem *Innego Świata*. Jestem dość chłodny wobec takich utworów, jak np. *Wieża*: uznaję całe wirtuozostwo tej prozy, ale jest ona dla mnie nazbyt wypracowana. Stosuje się to jednak tylko do wczesnych opowiadań. Późniejsze — z nielicznymi wyjątkami — oceniam bardzo wysoko. Za największe osiągnięcie Gustawa uważam jednak dziennik. Była to jego inicjatywa, ale

może w jakiejś mierze zapłodniły go nasze rozmowy o dzienniku jako formie literackiej, o znaczeniu dziennika dla „Kultury” i o tym, jak trudno zastąpić Gombrowicza. Wiem, że moja predylekcja dla dziennika jako formy bierze się z tego, że jest on otwarty na treści publicystyczne. Ale bierze się i z tego, że dziennik na nich nie poprzestaje, lecz włącza je w bardziej różnorodną całość, co pozwala uniknąć nudy i zyskać większą liczbę czytelników. Kontrastem między publicystyką a krytyką, esejem czy fikcją dziennik Gustawa operuje po miśtrzowsku.

*

Kontakt z Kotem Jeleńskim nawiązał się dzięki Józiovi Czapskiemu w Paryżu, jeszcze przed naszym przeniesieniem się do Lafitu, a zacieśnił w czasie naszego i jego pobytu w Rzymie, kiedy mieliśmy okazję do bliższego poznania. Później Józio wręcz wymusił na Nabokowie przyjęcie Kota do Kongresu, gdzie Kot wszystkich oczarował i stał się niezastąpiony. Od tego czasu zaczęła się jego systematyczna współpraca z „Kulturą”. Był bez wątpienia najwybitniejszym krytykiem na emigracji. W sprawach kulturalnych byliśmy w pełni zgodni. Tylko w jednym przypadku zarysowały się w tej dziedzinie różnice między nami, zresztą nie najważniejsze; szło o Bobkowskiego, który i jako człowiek, i jako pisarz był Kotowi dość obcy. Kotowi zawdzięczam też orientację w literaturze światowej, którą stosunkowo mało znam, a nawet szerzej — w kulturze Zachodu: od poezji do malarstwa. Był niezwykle wielostronny.

Moją wieczną pretensją do Kota było to, że brał na siebie zbyt wiele obowiązków, toteż nigdy nie miał czasu. Przez pewien czas robił przegląd wydawnictw kulturalnych francuskich i włoskich, ale potem przestał, bo nie dawał sobie rady. Wielokrotnie prosiłem go o omówienie twórczości Jurgisa

Baltrušaitisa, którą znał i cenił; nigdy nie udało mi się tego uzyskać.

Kot był człowiekiem bardzo lojalnym, ale jego pierwszą lojalnością był Kongres Wolności Kultury. Tego właśnie dotyczył nasz najostrzejszy konflikt, o którym już wspominałem. Różniliśmy się jednak również stosunkiem do ludzi z Kraju. Kot kierował się sympatiami osobistymi oraz oceną kogoś jako artysty czy jako pisarza, a mało interesowała go postawa polityczna czy moralna. Weźmy choćby jego adorację Iwaszkiewicza. Był w niej nie tylko podziw dla pisarza czy poety. Była w niej również słabość do człowieka. Kot miał wyraźnie dla Iwaszkiewicza taryfę ulgową. Bronił nawet jakiegoś jego oburzającego opowiadania socrealistycznego. Ja widziałem Iwaszkiewicza podwójnie: jako człowieka i działacza, którego potępiałem, i jako pisarza, autora wielu wartościowych utworów, które na pewno wytrzymają próbę czasu. Kot nie wprowadzał takiego rozróżnienia.

Był, jak na mój gust, zbyt oderwany od rzeczywistości polskiej. Miałem wrażenie, a Józio miał podobne, gdyż pamiętam rozmowy z nim na ten temat, że korzenie polskie Kota uległy pewnemu osłabieniu. Był nazbyt kosmopolityczny. Nie uważam, by, mówiąc o słoni, należało zaraz przywoływać sprawy polskie. Ale sprawy polskie są dla mnie na pierwszym miejscu. One nie zajmowały pierwszego miejsca u Jeleńskiego. Może dlatego, że czuł się on równie dobrze we Włoszech czy we Francji. Nie był emigrantem, a myśmy byli emigrantami. Polska nie doskwierała mu tak jak nam. Nie kwestionuję bynajmniej jego patriotyzmu podczas wojny i później, gdy tłumaczył poezję polską i propagował literaturę polską. Tu jego zasługi są bezsporne. Ale, choć był bardzo zaprzyjaźniony z Józkiem i bardzo do niego przywiązany, czuł się lepiej wśród pisarzy i malarzy skupionych wokół Léonor Fini niż w środowisku polskim. Byli mu bliżsi. Mówił zresztą, nie tylko

do mnie, że gdyby przestał pisać w „Kulturze”, toby przestał pisać po polsku.

Bardzo uczynny, ułatwiał kontakty i załatwiał sprawy, nawet gdy go nudziły; w tym zakresie był mi ogromnie pomocny. A zarazem miał wielkie wątpliwości co do mojej polityki wobec Kraju. Zarzucał mi narażanie ludzi, a wysyłanie książek czy miniaturk uważał za działalność szkodliwą. Ale uniikał otwartej dyskusji ze mną na ten temat. Przedstawiał swe krytyki Zygmuntowi Hertzowi i usiłował oddziaływać na mnie przez Józia, który w tych sprawach był mu znacznie bliższy niż mnie. Różniliśmy się też w postawie wobec emigracji londyńskiej, do której Kot miał stosunek pobłażliwy czy sympatyzujący. Grydzewski i krąg „Wiadomości” byli mu bardzo bliscy.

*

Ważną postacią był dla mnie Jerzy Stempowski, który przyjeżdżał do „Kultury” mniej więcej raz na kwartał, z którym przez lata korespondowałem i do którego byłem bardzo przywiązany. Wysoko ceniłem jego eseistykę. Natomiast niekoniecznie liczyłem się z jego opiniami na tematy literackie, gdyż były często stronnicze. Tak np. miał on bardzo pobłażliwy stosunek do twórczości kobiecej. Posyłałem mu niekiedy teksty do oceny. Ale później przestałem posyłać materiały pisane przez kobiety; jak nie miał nic do powiedzenia, to pisał, że to jest tak dobrze napisane, jak ścięciem na maszynie. Miał też swoje manie prześladowcze.

Stempowski był naprzód korespondentem PAT-a w Paryżu, co chyba było synekurą. Później był sekretarzem Rady Ministrów przy Bartlu. To też było synekurą, ale dla Bartla bardzo pożyteczną, gdyż Stempowski miał kontakty z opozycją. Próby dogadania się z parlamentem szły właściwie przez niego. Bezpośrednio przed wojną Stempowski był bibliote-

karzem w Banku Rolnym. Umieścił go tam Ludkiewicz z tytułu więzi masonskich. To już była kompletna synekura. Masoneria w Polsce służyła chyba głównie do załatwiania synekur, gdyż nie odgrywała żadnej poważnej roli politycznej. Jedynym masonem działającym politycznie był Henryk Kołodziejski, dyrektor Biblioteki Sejmowej. Ale w ogólności sytuacja w Polsce była zupełnie inna niż we Francji Trzeciej Republiki, którą Jules Romains tak świetnie opisał w dwóch tomach swego cyklu *Les hommes de bonne volonté*.

Nigdy nie zdołałem się dowiedzieć, jakie było stanowisko masonerii wobec Piłsudskiego i zamachu majowego. Stempowski przyjechał do Warszawy na kilka dni przed zamachem majowym i od razu urzędował w Komendzie Miasta. Skąd się tam wziął i w jakim charakterze występował? Nigdy nie odpowiedział na moje pytania na ten temat. W każdym razie był wtedy piłsudczykiem, ale w wydaniu bartłowskim. Był zwolennikiem Piłsudskiego demokratycznego. Później był bardzo wrogo nastawiony do Piłsudskiego; na tym tle dochodziło między nami do poważnych kłótni i dyskusji.

W okresie, gdy Stempowski był bibliotekarzem Banku Rolnego w Ministerstwie Rolnictwa odbywał się zjazd cukrowników i Ludkiewicz wpadł na szatański pomysł, by powierzyć Stempowskiemu referat na temat historii cukru. Na sali siedzieli okropni kapitaliści, których można było posadzać o wszystko, ale nie o zainteresowania intelektualne, a Stempowski mówił ponad dwie godziny i nie skończył, choć doszedł tylko do uprawy trzciny cukrowej w starożytnym Egipcie. Patrzyłem na tych ludzi ze zdumieniem. Myślałem, że zaraz będzie awantura i posypią się protesty. Tymczasem byli zasluchani. Ale nikt już więcej nie proponował Stempowskiemu wygłaszania takich referatów.

Podsunąłem mu formułę notatek niespiesznego przechodnia, gdyż skłoniły mnie do tego jego listy. Jego rozmaite po-

myśli rodziły się w ten sposób, że najpierw pisał o tym w listach. Nie tylko do mnie. Listy do mnie pokrywają się często z listami pisanymi do Józia czy do Gustawa. Widać z nich, że Stempowskiego drażni jakiś pomysł, z którego wyjdzie w przyszłości esej, i że listy są dla niego brulionami tego eseju: pozwalają mu szlifować temat i wprowadzać doń różne odmiany. W sumie pisał bardzo trudno. Może dlatego, że był człowiekiem o fenomenalnym czytaniu i równie fenomenalnej pamięci.

Jako rozmówca Stempowski był bardzo ciekawy, ale miał skłonność do monologu. Kiedyś mieliśmy dyskusję na temat plagiatu. Przed wojną był głośny skandal, który wyciągnęło „Prosto z mostu”: Wincenty Rzymowski ogłosił pod swoim nazwiskiem artykuł złożony w znacznej części z cytatów z Bertranda Russella. Wspomnienie tej sprawy niesłychanie zirytowało Stempowskiego, który w zapale zaczął tłumaczyć, że plagiaty nie istnieją. Było to jeszcze na Korneju i pamiętam, że mając dość tej dyskusji poszedłem na górę, a Stempowski z dołu cienkim głosem dowodził, że nie ma plagiatów.

W sprawach politycznych ponosiła go fantazja. Potrafił opowiadać, że przed wojną w „Oazie” działacze sanacyjni truli ludzi kanapkami z nikotyną; gdy domagałem się, by mi powiedział, kto to robił i kogo tam otruto, bardzo się denerwował, ale nie odpowiadał. Miał rzekomo znajomego, jakiegoś tajemniczego Turka, który był znawcą zakulisowych spraw politycznych, wywiadów itp., na którego się powoływał. Nie był zbyt odważny. Przyjechał wieczorem w dniu, gdy coś zaczęło się dziać we Francji przed rozruchami algierskimi; na zajutrz rano postanowił wyjechać. A gdy zaczęła się wojna w Algierze, przysłał mi list, tłumaczący, że sytuacja stanie się bardzo trudna, że wprowadzi się na pewno cenzurę pocztową i że musimy opracować sobie poufny kod, aby móc się porozumiewać. I zrobił coś tak skomplikowanego, że nie sposób było zrozumieć.

Umiał być przekorny. Kiedyś w jakiejś księgarni literackiej w Paryżu był odczyt Malapartego, który nas tam zaprosił. Poszliśmy w trójkę: Józio, Stempowski i ja. Towarzystwo było bardzo lewicowe, a rzecz dotyczyła cenzury. Stempowski zabrał głos i wygłosił cały referat o tym, jak liberalna była cenzura carska. Merytorycznie miał rację, ale wszyscy się na niego rzucili. Wiedział, że tak będzie. Ale zdecydował się na to.

To były jego śmieszności. Ale poza tym był człowiekiem wyjątkowym z uwagi na skalę zainteresowań i erudycję. Wiele jego projektów skończyło się na niczym, jak np. pomysł napisania książki o Owidiuszu jako pierwszym emigrancie, do której długo zbierał materiały. Kiedyś będąc w Wiedniu odkrył pisarzy galicyjskich, między innymi Sachera-Masocha, i wyciągał bardzo ciekawe wnioski z ich lektury. Ale tego też nie dokończył.

*

Obiegowa opinia na mój temat głosi, że jestem despotą i że zespół „Kultury” nigdy nie istniał, chyba żeby przyjąć, że składał się zawsze tylko z jednej osoby, tzn. ze mnie. Wbrew tej opinii jestem otwarty na sugestie i krytykę i często zdarza mi się zmieniać zdanie po dyskusji. A zespół „Kultury” niewątpliwie istniał i istnieje. Składa się on z osób, których opinie cenię i biorę pod uwagę. Redagowanie „Kultury” było dla mnie poruszaniem się między tymi osobami i dokonywaniem arbitrażu między wyrażanymi przez nie poglądami, niekiedy różniącymi się od siebie, a niekiedy wręcz nie dającymi się pogodzić.

Ale chociaż zespół „Kultury” był dla mnie czymś najzupełniej realnym, to nie istniał on bynajmniej dla jego członków. Nie tylko dlatego, że nie spotykał się na zebraniach. Przede wszystkim dlatego, że był zbiorem indywidualności, które mogły współżyć ze sobą wyłącznie na dystans. Stempowski nie znosił Mieroszewskiego. Mnie tego nigdy nie mówił, ale

mówił to innym, od których to słyszałem. Między Józiem a Mieroszewskim kontakt był prawie żaden. Podobnie było między Mieroszewskim a Kotem. Gustaw miał ciepłe stosunki z Józiem i z Kotem, poprawne z Mieroszewskim i nie najlepsze ze Stempowskim. Z Mieroszewskim nikt poza mną nie był zresztą blisko, bo on był odludkiem. A dobrze ze wszystkimi byli — poza mną — tylko Zosia i Zygmunt.

Jeśli mam jakiś talent, to jest to talent reżysera: umiejętność dobierania tematów i ludzi. To sprawia, że mam nastawienie zespołowe i że jeśli jestem przekonany, to zmieniam zdanie. Nie tak, jak twierdził Kisiel, który zarzucał mi, że robię zwroty o 180 stopni. Zmieniam taktykę, bo polityka nie jest sakramentem; jeśli chce się ją uprawiać, to trzeba przylegać do rzeczywistości, która się zmienia. Trzeba umieć zachowywać zasady i zmieniać poglądy.

Zawsze byłem bardzo lojalny wobec wszystkich moich współpracowników, choć narażało mnie to na konflikty z niektórymi wtedy, gdy byli oni skłóceni między sobą i musiałem wziąć czyjąś stronę. Byłem też zawsze w pełni lojalny wobec moich szefów. Sądzę, że Anders popełnił wielki błąd, nie próbując współpracować ze mną. Bo na pewno byłbym jego bardzo lojalnym współpracownikiem. Lojalność jest dla mnie czymś bardzo ważnym. Brak lojalności czy podejrzenie o jej brak jest dla mnie najcięższym zarzutem.

NOWE TWARZE, NOWE PIÓRA

Przez długie lata bano się przyjeżdżać do Lafitu. Jedni wierzyli w dość rozpowszechnioną legendę, że jest tu podsłuch. Inni twierdzili nawet, że istnieją specjalne urządzenia, które działają na odległość i słyszą z zewnątrz wszystko, co się tu mówi. Zwróciłem się do specjalistów z radia francuskiego z

pytaniem, czy to jest możliwe. Owszem, powiedzieli, są takie prototypy, ale wielkości ciężarówki. Zresztą dzięki życzliwości radia francuskiego sprawdzaliśmy kilkakrotnie, czy nie ma u nas żadnych aparatów podsłuchowych. Nigdy niczego nie znaleziono. Takich legend było wiele. Obawiano się do nas pisać, bo listy miały rzekomo być czytane i cenzurowane na pocztce w Maisons-Laffitte. Mówiłem, że tę pocztę doskonale znam, i pytałem moich rozmówców, jak sobie wyobrażają taką kontrolę naszej korespondencji. Nigdy nie odpowiedziano mi na to pytanie. Ale w czytaniu listów wierzone nadal. Władze polskie, zwłaszcza konsulat, starannie podtrzymywały legendę o swej wszechwiedzy. Robiła to też służba bezpieczeństwa. Pewna malarka, z którą Zygmuntowie byli bardzo zaprzyjaźnieni, wróciła z Kraju przekonana, że „oni wszystko wiedzą”. Dlaczego? Bo przy odbieraniu paszportu oficer powiedział: „Pani bywa w Maisons-Laffitte”. A ona, miast zaprzeczyć, że tam kiedykolwiek była, zaczęła się tłumaczyć.

Z osobami, które były się do nas przyjeżdżać, spotykaliśmy się w kawiarniach. Skąd wzięła się legenda o Polakach jako urodzonych konspiratorach, nie umiem dociec. Polskie konspiracje polegały na tym, że wszyscy chcieli się spotykać w kawiarniach, o których było wiadomo, że siedzą tam sami Polacy: w „Deux Magots”, w „Old Navy” albo w „Cluny”. A ponieważ wszyscy o wszystkim mówią strasznie głośno, więc wystarczyło iść do jednej z tych kawiarni, usiąść w kącie, czytać gazetę i słuchać, by dowiedzieć się bez trudu o sprawach najbardziej poufnych.

To samo było z hotelami. Na rue de Seine był jakiś hotel, gdzie portier mówił po polsku; wszyscy tam mieszkali, choć ten portier miał opinię agenta. Alina Ślesieńska, którą bardzo lubiliśmy, zatrzymała się w Hôtel du Sénat na rue Saint-Sulpice. Któregoś dnia dzwoni przerażona, żebym czym prędzej przy-

jechał i ją ratował. Przyjeżdżam. Pyta mnie, co ma robić, bo schodząc ze schodów usłyszała, jak portier składał najczystsą polszczyzną raport o tym, z kim ona się spotyka. I prosi, żebym zapłacił za nią i zabrał jej rzeczy. Zrobiłem to. Przyjeżdża następnym razem do Paryża i gdzie się zatrzymuje? W tym samym hotelu. Pytam: dlaczego? Bo tam mówią po polsku. Podobną przygodę miałem z Marianem Eile.

W ciężkich latach osób, które przyjeżdżały do „Kultury”, było bardzo niewiele. Po Październiku liczba tych, które się bały, znacznie zmalała. Później ponownie nieco wzrosła, aż wreszcie, już po upadku Gomułki, spadła prawie do zera. Odtąd przez nasz dom przewinęło się mnóstwo gości z Kraju.

Gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych przyjechali tu z Warszawy zupełnie nowi młodzi ludzie: Adam Michnik i Barbara Toruńczyk. O Michniku miałem relacje, nim się tu zjawił, chyba z Krzywego Koła. Stosunki z nim były z miejsca bardzo serdeczne. Mogę nawet powiedzieć, że mnie fascynował. Spotkanie z tymi młodymi ludźmi urodzonymi już po wojnie wywarło w dużym stopniu wpływ na moje myślenie o Polsce. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że nie jest to bynajmniej, wbrew moim pierwotnym mniemaniom, reprezentacja młodego pokolenia, ale grupa zamknięta i wyizolowana.

Jakimi drogami dotarł do mnie *List otwarty* Kuronia i Modzelewskiego, nie pamiętam. Jeśli się nie mylę, dostarczyli mi ten dokument trockiści. Ale pamiętam pierwsze wrażenie z tej lektury: było niedobre. Tekst był szalenie sekciarski. Uważałem jednak, że jest bardzo potrzebny, i tylko dlatego go wydałem. Widziałem w nim dobrą dywersję w stosunku do partii. Osobista znajomość z Michnikiem i Toruńczyk oraz moje poczucie odpowiedzialności jako wydawcy *Listu otwartego* sprawiły, że śledziłem z bliska rozprawę dyscyplinarną studentów

na UW oraz proces Kuronia i Modzelewskiego; przekazywałem pieniądze na adwokatów, a później starałem się pomagać, posyłając paczki.

O wewnętrznych podziałach w kierownictwie PZPR wiedziałem już wcześniej, głównie od Witolda Jedlickiego, który zjawiał się tu z projektem książki o Klubie Krzywego Koła i napisał ją podczas pobytu u nas. On sam był bardzo ciekawą i zabawną postacią; mnóstwo opowiadał o swoich sukcesach u kobiet. Ale dużo też mówił o ówczesnej sytuacji politycznej w Polsce. Spotkanie z nim było dla mnie ważne, gdyż był pierwszym, kto szczegółowo opowiedział o tym, co się dzieje za kulisami KC, i o toczących się tam walkach frakcyjnych. Przypuszczam, że rozmawiał ze mną na ten temat również Kisielewski, ale nie utkwiło mi to w pamięci.

Wystąpienie studentów w marcu 1968 roku nie było dla mnie zaskoczeniem. Byłem tylko niemile zdziwiony tym, że wciąż jeszcze mówią o kierowniczej roli PZPR. Wkrótce jednak zaczęły się procesy uczestników tych wystąpień, a po nich — proces, który dotyczył nas szczególnie: sprawa „taterników”. Maciek Kozłowski, który był tu kilka razy, podejmował oryginalne, acz niekiedy wariackie inicjatywy. Bardzo interesowało go to, co się działo w Czechosłowacji, zaczął tam jeździć i wpadł na pomysł przerzucania tą drogą „Kultury” do Polski. Włączyło się w to kilka ciekawych osób. M.in. bardzo pomagał w tym Paweł Čarnogurski, znany działacz słowacki, który był z nami zaprzyjaźniony, gdyż dużo jeździł i odwiedzał nas kilkakrotnie; zaangażowana w to była również Agnieszka Holland. Tak powstała grupa Polaków i Czechów, która zajęła się tym przerzutem. Było to robione bardzo nieostrożnie, gdyż oni wzięli zbyt na serio „wiosną praską”.

Gdy byli tu ostatni raz, zabrali za dużo książek; przestrzegłem ich, ale odpowiedzieli mi, że na pewno je przewiożą. Zrobiłem wtedy notatkę, gdzie wymieniałem różne tematy,

które mnie w tym czasie pasjonowały; nie poruszałem żadnych spraw wojskowych, ale pytałem o nastroje w społeczeństwie i o stosunek do Rosji, tak że można było z tego zrobić dokument szpiegowski. Tworowska, której dałem tę notatkę, miała ją przeczytać i zniszczyć. Nie zrobiła tego i moja notatka wpadła razem z samochodem z książkami. Wiem, że została potem bardzo sfalszowana.

Maćka Kozłowskiego nadal bardzo cenię i mam z nim dobre stosunki, jak i z Karpińskim. Z innymi członkami warszawskiej grupy „taterników” zetknąłem się osobiście o wiele później.

Marzec 1968 zapoczątkował schyłek Gomułki. Krwawe stłumione wystąpienie robotników Wybrzeża spowodowało jego ostateczny upadek. Jeśli dziś można oceniać jego rolę raczej pozytywnie, to dlatego, że zwiększył zakres autonomii Polski w obrębie bloku sowieckiego i że przyczynił się do ułożenia stosunków z Niemcami. Zlikwidował kontyngenty węgla i podjął inne próby może nie usamodzielnienia, ale przynajmniej przeciwstawienia się eksploataowaniu Polski przez Związek Sowiecki. Był również zwolennikiem normalizacji stosunków z Niemcami; wiadomo dziś, że doprowadził do wizyty Brandta wbrew Moskwie. To są jego plusy. A po stronie minusów znajduje się 1968 rok oraz wydarzenia na Wybrzeżu, za które ponosi niewątpliwie odpowiedzialność, choć był dość bezradny w stosunku do swego otoczenia. Nie sądzę, by w tym, co się stało na Wybrzeżu, odegrała rolę manipulacja, ale doszła tam do głosu niesłychana głupota władz. Manipulacje zaczęły się potem, gdy wysunięto Gierka.

Ludzie, którzy znaleźli się na emigracji po marcu 1968 roku, mieli do nas początkowo stosunek wybitnie niechętny; pisał nawet o tym Gustaw, który pojechał specjalnie do Szwecji, by się z nimi spotkać, i został przyjęty bardzo zimno, czym był zaskoczony. Drukowałem wprawdzie Baumana i wydałem

książkę Hirszowicz, ale to było wszystko. Dopiero później odbył się zjazd w Paryżu z udziałem Kołakowskiego i Smolarów, gdzie nastąpiło jakieś zbliżenie z nami. Odtąd mieliśmy dobre kontakty z Alikiem Smolarem. „Aneks” był pożytecznym i ciekawym pismem, a wydawnictwo z nim związane prowadziło i prowadzi interesującą działalność.

Nowi autorzy zaczęli przychodzić do „Kultury” od końca lat sześćdziesiątych. Niektórzy przysłali tylko kilka artykułów. Inni pisali, mniej lub bardziej regularnie, przez wiele lat. A kilka osób zasililo krąg stałych współpracowników. Nie byli to koniecznie emigranci pomarcowi. Tak np. stosunki z Wojciechem Skalmowskim nawiązały się jeszcze, gdy studiował na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie Wschodnim. Prosił mnie o przysłanie mu jakichś książek. Komunikacja między Berlinem Zachodnim i Wschodnim była wtedy stosunkowo łatwa, więc mu je posłałem. Później posyłałem mu książki do Iranu. A jeszcze później zaczął pisać w „Kulturze”, jako M. Broński, o co miał do niego wielką pretensję „Tygodnik Powszechny”, z którym on czuł się bardzo związany, nawet uczuciowo. Zawdzięczam mu rozbudowę działu recenzji ze współczesnej literatury polskiej i obcej.

Innym autorem, z którym współpraca zaczęła się w tych latach i trwa do dziś, był Michał Heller. Korzystając z pobytu w Paryżu jego żona, Żenia, zadzwoniła do Zygmunta Hertza z polecenia jakiegoś wspólnego znajomego z Warszawy, żeby dostać książki. Na spotkanie z nią pojechała Zosia, której Żenia opowiedziała o swoim mężu, mówiąc, że chce zobaczyć, czy mogą urządzić się w Paryżu, bo on ma dość PRL. Żenia przyjeżdżała tu dwa lub trzy razy. Tak że kiedy Hellerowie zjawili się na stałe, przyszli do nas i od razu wywiązała się współpraca. Zaproponowałem Michałowi Hellerowi przegląd prasy sowieckiej, na co się zgodził i co jako Adam Kruczek

robi znakomicie po dziś dzień, tyle że prasę sowiecką zastąpiła prasa rosyjska.

Rozmowy z nim miały istotne znaczenie dla mojego rozumienia Związku Sowieckiego, gdyż zna on ten kraj z doświadczenia, a nie z gazet czy z książek. Zna też z czasu wspólnych studiów na uniwersytecie moskiewskim wiele osób, o których było głośno, jak Allilujewą czy Siniawskiego. Kruczek pisze po rosyjsku. Jego artykuły początkowo tłumaczyła jego żona, później tłumaczyłem je sam, a do ubiegłego roku robiła to Julia Juryś. Rozmawiam z nim regularnie o wszystkim, co dotyczy Rosji. Nasze kontakty są bardzo częste i bardzo bliskie.

W początku lat siedemdziesiątych zaczęła się również nasza współpraca z Leopoldem Ungerem. Jego brat był w Drugim Korpusie i zginął we Włoszech. A on sam spędził lata wojny w Rumunii, gdzie widywał się z Beckiem przez dwa ostatnie lata przed jego śmiercią. Był więc w środowisku mi bliskim. Pisze jako Brukselczyk o sprawach polskich i międzynarodowych. Nie zastąpił Mieroszewskiego i nigdy do tego nie pretendował. Ale dzięki niemu problematyka, którą podejmował Mieroszewski, została po jego śmierci obecna w „Kulturze”, przy czym traktowana jest kompetentnie, dowcipnie i z szerokim oddechem.

W tym samym okresie zaczął pisać do „Kultury” Kołakowski. Wniósł do niej bardzo dużo jako publicysta, choćby swymi *Tezami o nadziei i beznadziejności*. Wniósł również bardzo dużo zarówno w dziedzinie filozofii, jak w zakresie stosunku do Kościoła; jego sceptycyzm jest bardzo orzeźwiający. Kołakowski często tu wtedy przyjeżdżał i nasza współpraca była bardzo intensywna. Uległa rozluźnieniu z chwilą powstania „Aneksu”, który był mu zapewne bliższy. Śledziłem uważnie jego wcześniejszą twórczość, a *Główne nurty marksizmu* uznałem od razu za rzecz wielkiej wagi i zależało mi na jej

wydaniu. Lektura tej książki znacznie rozszerzyła moje horyzonty. W historii kultury polskiej Kołakowski zajmie jako filozof bardzo wysokie miejsce.

Ważnym autorem był dla „Kultury” Sławomir Mrozek, który w czasie swego pobytu we Włoszech zaprzyjaźnił się z Gustawem. Ale kontakt z nim nawiązał się przez Marię i Bohdana Paczowskich. Mrozek występował w „Kulturze” nie tylko jako dramaturg i autor felietonów, lecz również jako publicysta, którego wypowiedzi były ważne i celne. Później, gdy przeniósł się do Paryża, mieliśmy z nim bardzo przyjemne stosunki osobiste.

O przedwcześnie zmarłym Andrzeju Cholewickim dowiedziałem się, gdy wybrał wolność w Wiedniu i został tam korespondentem Wolnej Europy. Poznałem go na jakimś zjeździe kombatanów, na który przyjechał z jej ramienia. Był bardzo dobrze zorientowany w stosunkach niemieckich, a przede wszystkim podjął się rozprowadzania naszych książek wśród Polaków, przyjeżdżających do Niemiec. Potem okazał się też człowiekiem piszącym: zrobił dla mnie parę notatek, z których wyrosła kronika niemiecka. A poza tym zajmował się naszym stoiskiem na targach książki we Frankfurcie.

Wszyscy wymienieni teraz autorzy tworzą niejako drugie pokolenie „Kultury”, które zappełniło wyrwy spowodowane śmiercią Stempowskiego, Mieroszewskiego, Zygmunta Hertzka. Nie sądzę, by wraz z dojściem do głosu tego drugiego pokolenia dokonana się w „Kulturze” jakaś istotna zmiana akcentów. Ale moje stosunki z jego przedstawicielami nie były takie same, jak z ich poprzednikami. Nie byłem z nimi tak bezpośrednio i osobiście związany, jak z ludźmi z mego pokolenia, z którymi łączyła mnie niekiedy znajomość z czasów przedwojennych, kiedy indziej wspólne przeżycia w wojsku albo w pierwszych latach po wojnie.

Od końca lat siedemdziesiątych w „Kulturze” pojawiają się

coraz liczniej autorzy z Kraju. Pisał wtedy u nas Michnik. Pod pseudonimem Maciej Poleski zaczął drukować Sławek Bielecki, który nawiązał z nami kontakt bodaj jeszcze w latach sześćdziesiątych, podczas jakiegoś pobytu na Zachodzie. Współpraca z nim była intensywna i bardzo dobra. Publikowaliśmy wiele dokumentów przychodzących z Kraju, tak że „Kultura” stawała się coraz bardziej pismem krajowym w tym sensie, że sprawy krajowe, zawsze przecież u nas obecne i wysuwane na pierwsze miejsce, zaczęły teraz być systematycznie ujmowane z perspektywy uczestników czy naocznych świadków, a nie tylko obserwatorów z emigracji.

Stało się tak, gdyż w Kraju wreszcie zaczęło się coś dziać, podczas gdy emigracja zamierała. Po śmierci Andersa i innych czołowych postaci życia emigracyjnego zostało tylko kilka ośrodków: w Londynie Instytut Sikorskiego i POSK oraz „Wiadomości”, z którymi byłem skłócony, ale które były jeszcze czymś żywym; w Stanach Zjednoczonych „Nowy Dziennik”, który stał się interesującym pismem dzięki Wierzbiańskiemu; w Kanadzie coś powstało wokół „Związkowca” i Heydenkorna; mało znanym, ale ciekawym ośrodkiem jest Australia. Były to jednak nie powiązane ze sobą wysepki. Miałem wrażenie, że nikt poza mną nie utrzymywał kontaktu ze wszystkimi. Stąd kroniki australijska, kanadyjska i inne, które wprowadziłem do „Kultury” i które były jedynym chyba źródłem informacji o tym, co się dzieje na emigracji branej jako całość.

Na pierwszym miejscu wśród tych ośrodków powinienem był wymienić, rzecz jasna, Wolną Europę. Mówiłem już o niej sporo w związku z Nowakiem. Tu muszę się zatrzymać przy postaci Najdera, choćby dlatego, że pisał on dużo w „Kulturze” jako Socjusz. Poznałem go we wczesnych latach sześćdziesiątych. Później dałem mu nagrodę im. Mieroszewskiego i zacząłem go lansować na kierownika sekcji polskiej RWE. I wtedy bardzo szybko stosunki zaczęły się psuć. Najder namó-

wił mnie na wywiad dla Wolnej Europy. Przyjechał tu Mieszkowski i przez dwa lub trzy dni nagrywał ze mną ten wywiad. Przywiązywałem do niego dość dużą wagę. A tu po tygodniu dostaję list od Najdera, że nie może go wykorzystać, bo nagranie jest bardzo niedobre: otwarte okno, ptaki śpiewają itp. Wobec tego zapowiedział, że przyjedzie do Paryża i sam zrobi ze mną wywiad, a przedtem przysła kwestionariusz. Ale nigdy tego kwestionariusza nie przysłał i do wywiadu nie doszło.

Najder jest człowiekiem o bardzo wielkich ambicjach i równie wielkim talencie zrażania sobie ludzi i robienia intryg. Zespół RWE przyjął go przecież z otwartymi ramionami, w przekonaniu, że nareszcie będzie miał kogoś z prawdziwego zdarzenia, kto potrafi zdobyć sobie pozycję Nowaka. Ale z miejsca zaczęły się historie. Najder nie liczył się z umiejętnościami ludzi. Jedyłą kwalifikacją okazała się bezwarunkowa uległość wobec niego. W końcu musiał odejść.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych „Kultura”, która była poprzednio pismem zarazem literackim czy kulturalnym i politycznym, przechyliła się znacznie bardziej w kierunku polityki. Było to następstwem zmian, jakie dokonały się wtedy w polskim życiu politycznym i których szczególnie jaskrawym przejawem było powstanie KOR. Jego zasługi historyczne są ogromne: jako pierwszy przełamał strach przed wystąpieniem z podniesioną przyłbicą przeciw władzy komunistów, zajął się problemem robotniczym i zapoczątkował na dużą skalę akcję wydawniczą, której znaczenie było kolosalne. Dużą rolę odegrał też „latający uniwersytet”. Największym błędem KOR-u było to, że ograniczał się do chwili bieżącej. Nigdy nie chciał zastanawiać się nad przyszłością Polski. Ilekroć poruszałem tę sprawę, odpowiadano mi, że nawołuję do fantazjowania. KOR przegrał z chwilą, gdy ogłosił, że się rozwiązuje, choć zarazem

tworzył wrażenie, że dąży do opanowania „Solidarności”, co mu bardzo zaszkodziło.

Stosunki „Kultury” z KOR-em były bardzo bliskie, współpracowałem zwłaszcza z Anielą Steinsbergową i z Józefem Rybickim. Z mojej strony polegało to głównie na pomocy finansowej dla KOR, któremu w okresie procesów radomskich przekazywałem przez okazje pieniądze dla robotników. Była to pomoc bardzo znaczna. Ponadto Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce, który prowadzili w Chicago pan Migala i płk Jurewicz, bardzo pracowicie i ofiarnie zbierał pieniądze na ten cel i przekazywał je w całości za naszym pośrednictwem.

Wybór Jana Pawła II poza samym, zupełnie wyjątkowym, faktem, że Polak zastał papieżem, nie jest, moim zdaniem, datą zwrotną w historii Polski. Pielgrzymki papieża do Polski odegrały niewątpliwie wielką rolę, ale nie była to rola zasadnicza. To nie papież spowodował przełom w Polsce. Grunt pod „Solidarność” przygotował KOR wraz z wszystkimi tymi młodymi ludźmi, którzy działali w Gdańsku. Kościół od grudnia 1970 roku zachowywał się z dużą ostrożnością. Tak np. biskup gdański miał listę zabitych w grudniu, gdyż byli oni chowani z asystą kościelną ale nigdy nie udało mi się jej dostać. Wyszyński był cały czas manipulowany, straszony krwawymi wydarzeniami i interwencją sowiecką, co było m.in. powodem jego wystąpienia w Częstochowie latem 1980 roku.

„Solidarność” była zrywem o ogromnym znaczeniu, nie waham się powiedzieć — o znaczeniu światowym. Problematyka socjalna była wtedy w ślepych zaułku i wszystkim, od związków zawodowych na Zachodzie aż do Ameryki Południowej, „Solidarność” wydawała się jakimś nowym światłem. Toteż wzbudziła niezwykle zainteresowanie i ogromne nadzieje. Ale ten zryw został zmarnowany, ponieważ z miejsca zaczęły się

klótnie. Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej zostało uchwalone przypadkowo, a potem było potępiane.

Obecnie czynna jest już trzecia zmiana „Kultury”, reprezentowana przez takich autorów jak Tomasz Jastrun czy Krzysztof Wolicki. Mnóstwo osób w Polsce twierdzi, że wychowały się na „Kulturze”, ale ja mam poczucie, że takie przypadki są bardzo nieliczne. Piszę się nam laurki, w których przebija ton przemówienia pogrzebowego i które wydają mi się często bardzo przesadne. „Kultura” przenikała do Polski. Ale przenikanie i wpływy — to dwie różne rzeczy.

Kiedy dziś patrzę na to wszystko, myślę, że gdybym miał zaczynać ponownie w roku 1945 — robiłbym to samo, co robiłem. Ale robiłbym to inaczej. Nie wiem jak. Ale wiem, że inaczej.

Nigdy nie zastanawiałem się nad kandydatem na mego następcę. Wszystkie plotki na ten temat są bezzasadne. Po mojej śmierci „Kultura” przestanie wychodzić. Zostanie natomiast Instytut Literacki jako archiwum i biblioteka. Kierować nim będą Zofia Hertz i mój brat Henryk. Byłoby dobrze, gdyby znalazły się jakieś pieniądze na stypendia, które by umożliwiły prowadzenie tu badań, i na stypendia „twórcze”. Może uda mi się jeszcze przed odejściem tę sprawę załatwić.

PRZESŁANIE

Jeśli spojrzeć na historię Polski z lotu ptaka, to uderza ogromna ilość sprzeczności. Państwo i naród powstały z pokrewnych plemion złączonych siłą przez pierwszych władców: Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Było to początkowo dość niespójne, gdyż podziały i odrębności dzielnicowe trwały bardzo długo. Kraj był nadto rozdarty między Wschodem a Zachodem. Ilustruje to historia dynastii piastowskiej, na którą tak lubią powoływać się polscy nacjonaści. Wszyscy monarchowie żenili się na przemian z księżniczkami ruskimi i niemieckimi, których wpływ był ogromny, również w polityce. Kto na przykład uratował dynastię i zachował koronę dla Kazimierza Odnowiciela, jak nie jego matka, Rychcza, której rola jest mało znana i spotwarzana do tego stopnia, że gdy nie tak dawno Niemcy zaproponowali przeniesienie jej szczątków do Polski, spotkało to się ze sprzeciwem kardynała Wyszyńskiego.

Polska dała w swej historii dowody zadziwiającego liberalizmu: przyjęła Żydów i nadała im prawa w okresie, gdy byli prześladowani w reszcie Europy, a w czasach triumfującej gdzie indziej kontrreformacji pozwoliła protestantom — nawet antytrynitarzom — na praktykowanie ich wiary i objęła opieką Akademię Mohyły w Kijowie. Ale Polska dała też dowody fanatyzmu religijnego, który spowodował walkę z husytyzmem — co przekreśliło możliwość związania się z Czechami — a później znalazł wyraz w prześladowaniach innowierców.

Cechą naszej polityki zagranicznej było stale uzależnianie się od innych ośrodków: od Watykanu czy od Habsburgów,

połączone jednocześnie z ogromną prowincjonalnością. Wplątaliśmy się niepotrzebnie w wojnę z Turcją. Zwycęstwo pod Wiedniem było wielkim wyczynem wojskowym, ale błędem politycznym. Później, przez cały XIX wiek, to właśnie Turcja była jednym z poważnych ośrodków naszej działalności niepodległościowej.

Przy tym wszystkim atrakcyjność Polski była zdumiewająca. Potrafiliśmy wchłonąć kolonistów niemieckich, z których powstało polskie mieszczaństwo. Zasymilowaliśmy znaczne odłamy inteligencji żydowskiej. Spolonizowaliśmy również elity litewskie i ukraińskie. Jesteśmy krajem, który ma wspólnych bohaterów z sąsiadami: Adam Mickiewicz jest wielkim poetą polsko-litewskim; Kościuszko i Traugutt należą zarazem do Polaków i Białorusinów. Tę listę można by znacznie przedłużyć.

W tej dziwnej łamigłówce kryją się nasze wielkie szanse. Taką szansą może być nasza polityka wschodnia. Nie wpadając w megalomanię narodową, musimy prowadzić samodzielną politykę, a nie być klientem Stanów Zjednoczonych czy jakiegokolwiek innego mocarstwa. Naszym głównym celem powinno być znormalizowanie stosunków polsko-rosyjskich i polsko-niemieckich, przy jednoczesnym bronienu niepodległości Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich i przy ścisłej współpracy z nimi. Powinniśmy sobie uświadomić, że im mocniejsza będzie nasza pozycja na wschodzie, tym bardziej będziemy się liczyli w Europie Zachodniej.

Dzieje Polski cechuje stara tendencja do osłabiania władzy wykonawczej: słynne *pacta conventa*, anarchistyczna złota wolność, *liberum veto*. Przede wszystkim powinniśmy zmienić mentalność narodu. Wymaga to wzmocnienia władzy wykonawczej oraz kontroli sprawowanej nad nią przez Sejm. Wymaga to przebudowy systemu parlamentarnego, by wyeliminować zeń partyjnictwo i prywatę. Wymaga wprowadze-

nia rządów prawa i nieustępliwej walki z korupcją we wszystkich jej postaciach i odmianach. Wymaga prasy zarazem wolnej i przepojonej poczuciem odpowiedzialności. Wymaga rozdziału Kościoła od państwa. Wymaga poszanowania praw naszych mniejszości narodowych; musimy pamiętać, że jest to warunkiem dobrych stosunków z sąsiadami. Zdając sobie sprawę, że katolicyzm jest wyznaniem znakomitej większości narodu, musimy dbać również o Żydów, mahometan i protestantów oraz o prawosławie, które jest wyznaniem wielu obywateli polskich, a zarazem wyznaniem panującym w Rosji, na Ukrainie, na Białorusi.

Jest to ogólny zarys mojej wizji Polski, o której realizację walczyłem całe życie.

JERZY GIEDROYC

POSŁOWIE

O Jerzym Giedroycu zaczęto pisać bardzo wcześnie. Jako pierwszy zajęli się nim powieściopisarze, którzy wprowadzali go do swych utworów pod różnymi nazwiskami. Występował on więc jako Giedymin w *Robotnikach* Jeremiego Kornagi (Warszawa 1932), jako Gudult w *Alma Mater* Janusza Rabskiego (Poznań b.d.), jako radca Geyszor w *Sprzysiężeniu* Stefana Kisielewskiego (Warszawa 1947) i jako Kupść-Massalski w *Droga do Urzędu* Melchiora Wańkowicza (Nowy Jork 1955). Przedstawiono go też w kilku portretach piórem, z których wyróżniają się trzy. Jeden zawiera się w szkicu Wacława Zbyszewskiego *Zagubieni romantycy* (1959; przedruk w: tegoż, *Zagubieni romantycy i inni*, Paryż 1992). Autorem drugiego jest Konstanty A. Jeleński (*O „Kulturze” dla Francuzów*, 1981; przedruk w: tegoż, *Zbiegi okoliczności*, Paryż 1982). Trzeci — portret *en pied* na tle pięćdziesięciu lat historii Polski — jest dziełem Stefana Kisielewskiego (*Spotkania z Jerzym Giedroyciem*, 1986; przedruk w: G. i K. Pomianowie, wyd. *O „Kulturze”. Wspomnienia i opinie*, Londyn 1987). Zaś portret malarski, pędzla Józefa Czapskiego, wisi w domu „Kultury” w Maisons-Laffitte.

Sam Jerzy Giedroyc, choć udzielił wielu wywiadów, zwłaszcza w ostatnich latach, niemal nie wypowiadał się na własny temat. Jedynym ważniejszym wyjątkiem pod tym względem jest jego rozmowa z Aleksandrem Smolarem z początku 1975 roku, której publikację uznał wtedy za niewskazaną i która ukazała się dopiero dwanaście lat później („Aneks” 44, 1986).

Ta powściągliwość tłumaczy się tym przede wszystkim, że Jerzy Giedroyc jest stale zwrócony w przyszłość. Choć starannie gromadzi i przechowuje źródła historyczne, w szczególności te, które dotyczą Instytutu Literackiego, nie rozpamiętuje swych wspomnień. Jest zbyt zajęty wydawaniem „Kultury”. Ponadto Jerzy Giedroyc nie uważa się za człowieka piszącego, chociaż jest autorem co najmniej kilkunastu tysięcy listów. (Ich dokładna liczba nie jest na razie zna-

na. Nie dysponujemy nawet pełnym wykazem adresatów). Dopiero ostatnio zaczął ogłaszać w „Kulturze” pisane przez siebie *Notatki redaktora*. Przedtem jego drukowane teksty były rzadkością.

Wszystko to pozwala zrozumieć, dlaczego wspomnienia Jerzego Giedroycia powstały za sprawą bodźca z zewnątrz. Wyszedł on od księdza Zenona Modzelewskiego, superiora paryskiego domu księży Pallotynów i dyrektora należącego do nich wydawnictwa Editions du Dialogue. Kilka lat temu, chyba w roku 1989, ksiądz Zenon zaprojektował serię wydawniczą zatytułowaną *Świadkowie XX wieku*. Miały się w niej ukazać wspomnienia różnych osobistości polskich, których życie obejmowało całą tę epokę. Większość tomów tej serii już się zresztą ukazała.

Z propozycją przygotowania takiego tomu ksiądz Zenon zwrócił się, rzecz jasna, również do Jerzego Giedroycia, który wyraził życzenie, bym to ja przeprowadził z nim rozmowę na temat jego życia, bo nie miał on ani czasu, ani zamiaru spisywać swych wspomnień. Przyjąłem bez wahania tę zaszczytną dla mnie ofertę. Pierwsza tura naszych rozmów odbyła się między majem 1990 a lutym 1991 roku. Dostarczyła ona materiału, który pozwolił naszkicować pierwszy zarys tej książki, ale który przede wszystkim skłaniał do dalszych pytań. Nim jednak do nich doszło, zapoznałem się z całą korespondencją między Jerzym Giedroyciem a Juliuszem Mieroszewskim oraz z innymi dokumentami dotyczącymi życia Jerzego Giedroycia i historii Instytutu Literackiego. Druga tura rozmów odbyła się między marcem a wrześniem 1994 roku. Obie dały łącznie około 40 godzin nagrań.

Od początku byliśmy zgodni z Jerzym Giedroyciem, że forma wywiadu nie ma sensu. Nasze rozmowy nie trzymały się chronologii i skakały niekiedy z tematu na temat, kierując się logiką jego pamięci, której starałem się być posłuszny, gdyż pozwalała najsukcesyjniej przywołać przeszłość. Zrobienie z nagrań książki wymagało ułożenia całego materiału w sposób możliwie naturalny: respektujący następstwo zdarzeń i ich wzajemne powiązania. Stąd formuła *Autobiografii na cztery ręce*. Wszystkie zawarte w tej książce informacje i wypowiedziane w niej opinie pochodzą od Jerzego Giedroycia. Ale zostały one opracowane przeze mnie w tym znaczeniu, jakie

czasownik „opracować” ma wedle *Słownika języka polskiego*: „nadać [czemuś] określoną formę, wykończoną w całości i w szczegółach”.

Jerzy Giedroyc miał niezwykle bogate życie. Uczestniczył w wydarzeniach o znaczeniu historycznym, spotykał się z czołowymi polskimi politykami i pisarzami, a jego własne dzieło: „Bunt Młodych”, a później „Kultura” i wszystkie książki, które mogły zaistnieć wyłącznie dzięki Instytutowi Literackiemu — należy bezdyskusyjnie do największych osiągnięć kultury polskiej, a zarazem do historii politycznej i umysłowej Polski w dwudziestym wieku. Książka niniejsza opowiada o tym długim i nad podziw pracowitym życiu. Ale opowiada nie jak praca historyka, lecz jak zapis pamięci nieuchronnie subiektywnej i wybiórczej. Ten jej charakter starałem się zachować. Starałem się więc oddać nie tylko myśli i poglądy Jerzego Giedroycia. Również jego sformułowania. Starałem się przekazać jak najwierniej jego obraz świata i samego siebie.

Praca nad książką wyglądała następująco: na podstawie nagranych rozmów napisałem pierwszą wersję tekstu, którą Jerzy Giedroyc przeczytał, usuwając pewne fragmenty, zmieniając inne i wnosząc uzupełnienia. Wszystko to wraz z dodatkowym materiałem, który zgromadził się w toku rozmów prowadzonych równolegle do pisania książki, weszło do drugiej wersji tekstu. Jerzy Giedroyc przeczytał ją i wniósł do niej kolejne poprawki, nadając jej przeto kształt ostateczny.

Maszynopis przeczytali również p. Zofia Hertz i p. Henryk Giedroyc, których uwagi pozwoliły usunąć różne nieścisłości. Uwagi p. Jacka Krawczyka poczynione w trakcie sporządzania indeksu nazwisk pozwoliły usunąć inne. Wszystkim bardzo dziękuję za pomoc.

Maszynopisy z poprawkami Jerzego Giedroycia i kasety z nagraniami naszych rozmów będą udostępnione zainteresowanym we właściwym czasie w Dziale Rękopisów Biblioteki Narodowej.

KRZYSZTOF POMIAN

DOKUMENTY

ZAPISKI AMBASADORA ROGERA RACZYŃSKIEGO

dotyczące przejścia Naczelnych Władz Polskich
do Rumunii i rezygnacji b. Prezydenta R. P.
Prof. Ignacego Mościckiego

15 września 1939 r. otrzymałem za pośrednictwem Konsula Buynowskiego z Czerniowiec wezwanie przyjazdu do Kut do min. Becka. Telefon odebrałem około godz. 18-tej.

16 września 1939 r. wyjechałem pociągiem do Czerniowiec.

17 września 1939 r. przybyłem do Czerniowiec około godz. 7-mej 30 rano. Ponieważ samochód konsularny nie był gotów, wyjazd do Kut nastąpił około godz. 9-tej. Wziąłem 2 samochody i jechałem w towarzystwie wojewody Biłyka. Samochód konsularny pozostał przy moście po stronie rumuńskiej, celem zapewnienia powrotu.

Po polskiej stronie mostu granicznego spotkaliśmy wicedyrektora M.S.Z. Kobyłańskiego i paru innych urzędników, którzy rozmawiali z przedstawicielami rumuńskich władz granicznych. Stało tam sporo samochodów ciężarowych i osobowych czekających już na przepuszczenie na stronę rumuńską.

Okolo godz. 11-tej dotarliśmy do urzędu gminnego w Starych Kutach, gdzie się zatrzymałem, podczas gdy wojewoda Biłyk pojechał dalej do kwatery Naczelnego Wodza z zamiarem powrotu do Lwowa.

W urzędzie gminnym spotkałem płk. Tadeusza Schaetzla,

wicedyrektorów Michała Łubieńskiego, Józefa Potockiego oraz szereg innych urzędników M.S.Z., którzy poinformowali mnie o przejściu wojsk sowieckich, o dramatycznej rozmowie Grzybowski-Mołotow i wytworzonej inwazją sowiecką o godz. 4-tej z rana nową sytuacją.

Okolo godz. 14-tej przybył min. Beck z kwatery Naczelnego Wodza, gdzie konferował z marszałkiem Śmigłym i premierem Sławoj-Składkowskim.

Po dalszym oczekiwaniu przez blisko pół godziny, przyjął mnie min. Beck. Zaledwie wymieniliśmy kilka słów — zameldowano przyjazd Prezydenta Rzeczypospolitej, dla którego w międzyczasie przygotowywano śniadanie. Następuje przerwa w rozmowie. P. Beck wita Prezydenta R.P., po czym udaje się na dłuższą konferencję z ambasadorem francuskim Noëlem. Dopiero po jej zakończeniu p. Beck przyjmuje mnie ponownie. W bardzo krótkiej rozmowie udziela mi polecenia szybkiego powrotu do Czerniowiec i zażądania stamtąd telefonicznie od Ministra Spraw Zagranicznych Gafencu *droit de passage* dla Pana Prezydenta R.P. i Rządu.

W międzyczasie ambasador rumuński przy Rządzie Polskim Grigorcea znajdował się po stronie rumuńskiej w jednym z pogranicznych budynków rumuńskich, gdzie załatwiał z władzami lokalnymi sprawy przepuszczenia kolumny samochodów ministerialnych i rosnącej stale masy uchodźców. Słyszałem, że Grigorcea miał być przyjęty przez min. Becka o godz. 5-tej pp. Spotkałem Grigorcea w chwili wyjazdu, wsiadając do samochodu. Wyjazd z Kut nastąpił około godz. 16-tej samochodem w towarzystwie kpt. Jerzego Niezbrzyckiego, który udawał się z ramienia Sztabu do Czerniowiec i Bukaresztu.

Opuszczając Kuty nie miałem żadnych informacji o tym, jakoby do tego czasu podjęte były rozmowy czy pertraktacje z kompetentnymi czynnikami rumuńskimi w sprawie przejścia na terytorium Rumunii Naczelných Władz Polskich.

Przyjazd mój do Czerniowiec do Konsulatu nastąpił po godz. 18-tej. Otrzymałem telefoniczne połączenie z ministrem Gafencu dopiero po godz. 20-tej. Przypuszczam, że trudności uzyskania połączenia spowodowane były zajęciem linii przez rozmowy ambasadora Grigorcea, który komunikował się z Bukaresztem po swym spotkaniu z min. Beckiem.

W mojej rozmowie telefonicznej z min. Gafencu wykonałem ściśle instrukcje p. Ministra Spraw Zagranicznych, zgłaszając oficjalną prośbę o zapewnienie *droit de passage* dla Pana Prezydenta R.P. i Rządu. Pan Gafencu odpowiedział, że rumuńska Rada Ministrów zastanawiała się o godz. 11-tej rano nad wytworzoną sytuacją i że Król i Rząd postanowili udzielić Panu Prezydentowi i Rządowi Polskiemu gościny na ziemi rumuńskiej. Na moje powtórne żądanie nie gościny, lecz prawa przejazdu, otrzymałem od pana Gafencu wymijającą odpowiedź. W każdym razie Gafencu nalegał, aby Rząd Polski skorzystał z ofiarowanej gościny. Wobec powyższego, postanowiłem wyjechać najbliższym pociągiem do Bukaresztu, aby tam kontynuować pertraktacje. Okazało się jednak, że pociąg z Czerniowiec do Bukaresztu, wychodzący normalnie o 10-tej wieczór, został odwołany na skutek masowego przesuwania wojsk rumuńskich ku granicy polskiej.

Okolo godz. 1-szej w nocy udało mi się spotkać w Czerniowcach, w hotelu, wiceministra Spraw Wewnętrznych gen. Marinescu, który do tej pory oczekiwał na szosie przy wjeździe do miasta na kolumnę samochodów Pana Prezydenta i członków Rządu, aby ich powitać. Samochody skierowane jednak zostały inną drogą, wobec czego gen. Marinescu już się z nimi rozminął.

18 września powróciłem do Bukaresztu z bardzo znacznym opóźnieniem około godz. 17-tej. Postanowiłem przed nawiązaniem dalszych rozmów z rządem rumuńskim konsultować

ambasadora francuskiego i posła angielskiego, aby na podstawie posiadanych przez nich informacji zorientować się w sytuacji. Odwiedziłem ambasadora francuskiego o godz. 18-tej.

P. Thierry zakomunikował mi, że 17-go września między godz. 10-tą a 11-tą z rana poseł niemiecki Fabrizius dokonał wobec min. Gafencu bardzo stanowczej *démarche*, oświadczając, że gdyby Rząd Polski przeszedł na terytorium rumuńskie, to winien być bezwzględnie w Rumunii zatrzymany. W przeciwnym razie poseł niemiecki zagroził wciągnięciem przez Rzeszę ostatecznych konsekwencji w stosunku do Rumunii (wojna).

Powyższe wystąpienie niemieckie nastąpiło więc w jakieś 6 godzin przed rozmową między min. Beckiem a ambasadorem Grigorcea w Kutach, w toku której Min. Spraw Zagranicznych zamierzał załatwić sprawę tranzytu Naczelných Władz Polskich przez Rumunię.

Określając sytuację jako wysoce groźną, ambasador francuski oświadczył mi, że rząd rumuński, jego zdaniem, w żadnym wypadku nie zgodzi się na wyjazd Naczelných Władz Polskich i że sprawa stałaby się dopiero aktualna, gdyby rząd rumuński zdecydował się na rewizję swej proklamowanej uroczystości polityki neutralności.

Opuściwszy ambasadę francuską, miałem jeszcze 20 minut czasu do spotkania z posłem angielskim, wyznaczonego na godz. 19-tą. Kazałem się więc dalszą drogą, aby w międzyczasie rozważyć wytworzone położenie. Doszedłem do wniosku, iż w obliczu nowych faktów, o których się dowiedziałem, najważniejszą sprawą staje się uratowanie ciągłości najwyższych legalnych władz Rzeczypospolitej, zatrzymanych już faktycznie na terytorium stosunkowo słabego i zaskoczonego szybkością katastrofy polskiej państwa neutralnego. Uświadomiłem sobie, że najpilniejszym moim zadaniem, któremu wszystkie inne należałoby podporządkować, będzie nawiąza-

nie kontaktu z Prezydentem Mościckim i skłonienie go do odwołania w myśl przepisów konstytucyjnych następcy w osobie marszałka Śmigłego-Rydza (internowanego jako Naczelnego Wodza) i naznaczenie na jego miejsce kogoś spośród działaczy polskich, znajdujących się już na obczyźnie.

Gdy poseł angielski potwierdził mi w całej rozciągłości informacje i opinie udzielone przez ambasadora Thierry, zdecydowałem podzielić się z nim główną moją troską co do utrzymania legalnej ciągłości Najwyższych Władz Polskich dla umożliwienia organizowania dalszego oporu polskiego na terytorium alianckim. Poinformowałem posła angielskiego o przepisach naszej Konstytucji, przewidującej w czasie wojny wyznaczenie przez Prezydenta Rzeczypospolitej zastępcy.

Sir Reginald Hoare utwierdził mnie w przekonaniu, że należy szukać wyjścia z nader krytycznego położenia właśnie po tej linii.

Postanowiliśmy zastanowić się nad tym zagadnieniem jeszcze raz nazajutrz rano, wspólnie z ambasadorem francuskim. Ustalono więc spotkanie w ambasadzie francuskiej na ósmą rano, w dniu 19 września, przed moją wizytą u min. Gafencu.

Dnia 19 września odbyła się wspomniana konferencja we 3-ech w ambasadzie francuskiej, przy czym uznano jednomyślnie, iż trzeba dążyć przede wszystkim do zabezpieczenia ciągłości władz naczelných. O godz. 11-tej przyjął mnie min. Gafencu w M.S.Z., nie ukrywając głębokiego żalu i wzruszenia z powodu tragicznych wypadków.

Nie szukając żadnych uzasadnień prawnych oświadczył mi z całą szczerością, że znajduje się w niesłychanie ciężkim położeniu (*un cas de force majeure*). Jest mu niezmiernie ciężko i przykro, że musi na razie zatrzymać Pana Prezydenta i Rząd Polski w Rumunii, nie mogąc narazić swego kraju na nierówną wojnę z Niemcami, która musiałaby się skończyć

równie katastrofalnymi rezultatami, jak w Polsce. Rząd rumuński musiał ulec w tym wypadku przemożnemu naciskowi niemieckiemu, obawiając się zarazem niebezpieczeństwa inwazji sowieckiej, które jest tym realniejsze, że nie ma żadnych sprawdzonych informacji co do zamierzeń Sowietów względem Rumunii na najbliższą nawet przyszłość.

Wyraziwszy ze swej strony przekonanie, że rząd rumuński, pomimo ciężkich wydarzeń ostatnich dni, okaże mi pełne poparcie dla utrzymania przyjaznej współpracy polsko-rumuńskiej, poprosiłem min. Gafencu o umożliwienie mi natychmiastowego zgłoszenia się do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w nowym miejscu zamieszkania, na które wyznaczono pałacyk królewski w Bicz.

P. Gafencu skomunikował się w mej obecności telefonicznie z premierem Calinescu i udzielił mi pozytywnej odpowiedzi, z tym że wyjazd mój do Bicz nastąpi nazajutrz rano.

19-go wieczorem udałem się do b. Min. Spraw Zagr. p. Augusta Zaleskiego, który w międzyczasie przybył do Bukaresztu i zamieszkał w hotelu Athenée Palace. Poinformowałem p. Zaleskiego o zamierzonym wyjeździe nazajutrz rano do Bicz, celem skłonienia Pana Prezydenta Mościckiego do wyznaczenia nowego zastępcy na miejsce marszałka Rydzas-Śmigłego i sugerowanie mu konieczności zgłoszenia rezygnacji możliwie jak najprędzej.

Pan Zaleski uznał bez wahań, że powyższa koncepcja jest słuszna i jedynie celowa oraz zapytał się, czy miałbym kogoś na oku, jako najbardziej wskazanego kandydata na stanowisko nowego Prezydenta R.P., przewidując, że sprawa ta wypłynie w mojej rozmowie z Prezydentem Mościckim.

Odpowiedziałem, że nie wiem, kto z wybitnych Polaków zdołał dotąd przekroczyć granicę, że narzuca się nazwisko Ignacego Paderewskiego, że niestety nie ma wiadomości, co się dzieje z gen. Sosnkowskim, i że wśród poważnych kan-

dydatów widziałbym również osobę długoletniego Ministra Spraw Zagranicznych, czyli właśnie mego rozmówcę, p. Augusta Zaleskiego. Niezależnie więc od tego, jak by się p. Zaleski do tej myśli ustosunkował, nalegam nań usilnie, aby przyspieszył jak najbardziej swój wyjazd do Paryża i nawiązał tam natychmiast kontakt z naszą Ambasadą, gdzie powinno się skrzystalizować nowe nasze centrum dyspozycyjne. Ulegając mym perswazjom, p. Zaleski obiecał mi przyspieszyć możliwie formalności wyjazdowe.

20 września rano wyjechałem samochodem do Bicz wczesnym rankiem, mając przed sobą 450 klm. bardzo złej drogi, przeważnie w górskim terenie. Dotarłem na miejsce dopiero około godz. 17-tej. W pałacyku zajmowanym przez Pana Prezydenta i najbliższe jego otoczenie powitał mnie Szef Kancelarii Cywilnej, min. Stanisław Łepkowski, którego poinformowałem o celu mojej podróży. P. Łepkowski powiedział mi wówczas, że poprzedniego wieczoru, czyli bezpośrednio po zainstalowaniu się w Bicz, poruszył już z Panem Prezydentem zagadnienie zabezpieczenia ciągłości suwerennej władzy Rzeczypospolitej i wyznaczenia nowego zastępcy. Po krótkiej wymianie zdań p. Łepkowski wprowadził mnie do gabinetu Pana Prezydenta, który wydał mi się bardzo zmęczony i przygnębiony.

Prezydent rozpoczął rozmowę od zapytania, jak oceniam sytuację i jakie przywożę wiadomości.

Zreferowałem szczegółowo przebieg mej rozmowy z min. Gafencu oraz streściłem informacje i opinie uzyskane od przedstawicieli Francji i Anglii.

Reasumując oświadczyłem, że w wytworzonej koniunkturze uważam za najważniejsze i najpilniejsze salwowanie ciągłości legalnej władzy Głowy Państwa, co umożliwia i ułatwia nasza Konstytucja. Zaznaczyłem wreszcie, że według mego

zdania, które odosobnione nie jest, Pan Prezydent musiałby odwołać desygnację marszałka Śmigłego-Rydza, wyznaczając nowego następcę spośród osobistości polskich, przebywających za granicą, a mogących liczyć na harmonijne współdziałanie z rządami alianckimi. Wspomniałem też, że po dokonaniu tego ważnego aktu, mogącego mieć dla naszych interesów decydujące znaczenie, Pan Prezydent powinien by wyciągnąć konsekwencje w stosunku do własnej osoby.

Prezydent powiedział, że tę myśl przedkładał mu już poprzedniego dnia p. Łepkowski i że on ze swej strony czekał na zobrazowanie przeze mnie sytuacji, aby powziąć swe ostateczne decyzje. Tu Prezydent zaczął wspominać różne ważne momenty polityczne z przeszłości, względnie z osobistego swego życia, i wreszcie zapytał mnie, czy nie wiem, gdzie się obecnie znajduje gen. Sosnkowski. Poinformowałem Pana Prezydenta, że poszukiwałem specjalnie gen. Sosnkowskiego i muszę niestety stwierdzić, iż ani w Rumunii, ani na Węgrzech go nie ma, co sprawdziłem telefonicznie przed wyjazdem z Bukaresztu, rozmawiając z posłem Orłowskim w Budapeszcie.

Poruszywszy różne uboczne tematy, Pan Prezydent Mościcki zadał mi pytanie, jakich widzę kandydatów na jego następcę, gdyż według jego wiadomości mało kto z wybitnych osobistości opuścił kraj. Wymieniłem nazwiska Ignacego Paderewskiego, kardynała Hlonda, ministra Zaleskiego i wojewody Raczkiewicza.

Co do wszystkich prof. Mościcki wyraził z różnych względów wątpliwości. Jeśli chodzi o Ignacego Paderewskiego, którego uważał za najbardziej odpowiedniego kandydata, to zaznaczył, że ze względu na bardzo podeszły wiek i zły stan jego zdrowia nie będzie go można obarczyć tak ciężką misją. O kardynale Hlondzie powiedział natomiast, że chociaż historia przyznaje specjalną rolę polskim Prymasom, to ze względu na purpurę kardynalską wyniknąć by mogły bardzo znaczne trud-

ności i skrępowania. Co do dwóch następnych nazwisk wypowiedział się niejasno, wskazując, jak trudna jest jego decyzja i jak wielkiego wymaga zastanowienia. Wówczas p. Łepkowski, który asystował przy całej rozmowie, zwrócił się do Prezydenta z zapytaniem, czy nie chciałby samotnie rozważyć całości zagadnienia — po czym opuścił razem ze mną gabinet.

Pozostaliśmy przez dłuższy czas we dwójkę z p. Łepkovskim, po czym powrócił on do Pana Prezydenta i pozostał z nim blisko godzinę. Po upływie tego czasu zostałem znów wezwany do Pana Prezydenta, który powiedział mi tylko, że chce pracować z p. Łepkovskim i przygotować szereg pism, wobec czego zostanie u siebie, prosił natomiast żonę, aby zeszła na wspólną kolację, po zakończeniu której wezwie mnie znów do siebie.

Wezwanie to nastąpiło dopiero około godz. 23-ciej. Zastałem w gabinecie Prezydenta p. Łepkovskiego. Prezydent wręczył mi bez dalszych wyjaśnień dużą zapieczętowaną kopertę i polecił wysłać ją najpewniejszą drogą i możliwie szybko do ambasadora Łukasiewicza w Paryżu. Prezydent dodał, że gdy otrzymam od p. Łukasiewicza jakiegokolwiek wiadomości „o rodzinie Koneckich”, bym je natychmiast przetelefonował do Bicażu, gdyż są to umówione zdania.

Prezydent nie poinformował mnie, co się w kopercie znajduje, ani też nie wspomniał, na kogo padł jego wybór. Polecił mi równocześnie zachować zarówno przeprowadzone z nim rozmowy, jak i wszystko, czego byłem świadkiem, w najściślejszej tajemnicy, nie komunikując o tym nikomu, nawet Premierowi czy też min. Beckowi.

W tym momencie p. Łepkowski zwrócił uwagę na niewłaściwe pomieszczenie Głowy Państwa w Bicażu, kładąc nacisk na trudny dojazd, bliskość granicy sowieckiej, jak również węgierskiej, i wynikające stąd niebezpieczeństwa w razie naglej agresji sowieckiej.

Prezydent Mościcki przerwał mu bardzo stanowczo, zaznaczając, że rozumie drażliwą sytuację Rumunii i że nie chce stwarzać jakichkolwiek trudności swoją osobą królowi i rządowi rumuńskiemu. Zakazuje mi więc bezwarunkowo podejmowania jakichkolwiek kroków w kierunku zmiany miejsca pobytu, uważając, że wobec katastrofy, w jakiej się Polska znalazła, osobiste jego losy są najzupełniej obojętne.

Nazajutrz 21-go września wyruszyłem z Bicazu do Bukaresztu, dokąd dotarłem około godz. 16-tej, jadąc bez przerwy.

Ponieważ w tym okresie ambasada nasza była dosłownie zalana uchodźcami, którzy poza tym zwartą masą oblegali nasz urząd, uznałem za wskazane złożyć zaraz otrzymaną od Prezydenta kopertę w ambasadzie francuskiej, uważając, że istnieją tam lepsze warunki bezpieczeństwa. Zajechałem więc bezpośrednio do ambasady francuskiej, gdzie przyjął mnie ambasador Noël, który w międzyczasie dojechał był z Czeraniowiec do Bukaresztu. Odbierając ode mnie wiadomą kopertę, p. Noël poinformował mnie o zabójstwie premiera Calinescu, który niecałe trzy godziny temu padł ofiarą zamachu emisariuszy Żelaznej Gwardii.

Na tle tego zamachu grozić mogły jak najdalej idące komplikacje wewnętrzne i zewnętrzne, toteż ambasador Noël obiecał mi, że dostarczy jak najprędzej prezydencką kopertę do Paryża, zabierając ją osobiście, gdyż wyjazd jego do Francji przewidywany był w ciągu najbliższych 48 godzin.

Dnia 22 września otrzymałem przed południem telefon z Bicazu w sprawie natychmiastowego uzyskania przyjazdu do Bukaresztu min. Łepkowskiego. Pozwolenie to uzyskałem bez zwłoki od p. Gafencu, który i tym razem skomunikował się z premierem, gen. Argescu.

P. Łepkowski przybył do Bukaresztu znacznie po godz. 24-

-tej, będąc wielokrotnie zatrzymywany po drodze dla sprawdzenia dokumentów, co tłumaczyło się aktywnością policji rumuńskiej, utrudniającej dojazd do stolicy wobec toczących się dochodzeń po zabójstwie Calinescu. Zaraz po przyjeździe p. Łepkowski poinformował mnie, że Prezydent Rzeczypospolitej polecił mu wyjechać najbliższym pociągami do Paryża. Pytał mnie również, czy nie mamy wiadomości o gen. Sosnkowskim i w związku z tym telefonował do Budapesztu do posła Orłowskiego.

Następnie p. Łepkowski połączył się telefonicznie z ambasadorem Wieniawą-Długoszowskim w Rzymie. Prosił go, by oczekiwał nań na dworcu w Mediolanie i przygotował się na ewentualną wspólną z nim podróż do Paryża.

23 września rano wystawiono w Ambasadzie p. Łepkowskiemu nowy paszport dyplomatyczny, z którym udałem się osobiście o 8,15 rano do min. Gafencu, nalegając nań, by z ważnych względów państwowych zgodził się na wyjazd p. Łepkowskiego do Francji. P. Gafencu kazał natychmiast wystawić p. Łepkowskiemu wizę. Zdołaliśmy otrzymać jeszcze w ambasadzie francuskiej wizę wjazdową, natomiast nie było już czasu na otrzymanie wizy jugosłowiańskiej. Niemniej przeto p. Łepkowski wyjechał o godz. 10,05 Simplonem do Paryża, a wiza jugosłowiańska przekazana została w drodze telegraficznej na granicę.

Przy pożegnaniu p. Łepkowski prosił mnie usilnie, bym nie opuszczał Bukaresztu do chwili jego przyjazdu do Paryża, skąd mogą być zaraz wiadomości „o rodzinie Koneckich”.

25 września przed południem nadeszły różne telefoniczne i telegraficzne komunikacje z ambasady w Paryżu świadczące o tym, że zajęto się tam już sprawą tworzenia naszego nowego ośrodka władz państwowych. Później nadszedł taj-

ny telegram *statissime* następującej treści: „Proszę zakomunikować natychmiast Panu Prezydentowi R.P. «wszyscy zdrowi Podkomitet», telegrafować natychmiast naszą drogą, czy w sytuacji Pana Prezydenta zaszły zmiany. (—) Wieniawa Długoszowski, podpisał Łepkowski”.

Przy przetelefonowaniu tej depeszy do Bicz otrzymałem stamtąd następującą komunikację do natychmiastowego przenielegrafowania do Paryża: „Proszę poprosić Wieniawę, ażeby się zajął rodziną Koneckich (—) Kryński (—) Hartman”. Równocześnie adiutanci Prezydenta poinformowali mnie telefonicznie, że Pan Prezydent chciałby wysłać jednego z nich do Bukaresztu do króla z listem, który miałby być doręczony w mojej obecności, w pałacu.

26 września od rana podejmowałem różne kroki i załatwiałem liczne telegramy w związku z projektowanym przyjazdem adiutanta z Biczu. Udałem się w tej sprawie do min. Gafencu, który nie uznał za możliwe udzielić na to swej zgody, chociaż odwoływał się przedtem do premiera i do Pałacu. Oświadczył mi, że będzie najlepiej, gdy Pan Prezydent odda zapieczętowaną kopertę do króla prefektowi królewskiemu w Bicz, który dostarczy zarazem ten dokument najpilniejszą i najpewniejszą drogą do Bukaresztu.

Interweniowałem wówczas w Pałacu i przekonałem się, że sprawa była bezpośrednio referowana królowi. I adiutant króla płk. Russescu oświadczył mi definitywnie, że przyjazd adiutanta z Biczu uznany został za niemożliwy i że co najwyżej Pałac mógłby się zgodzić, aby list Prezydenta przywiózł jeden z cywilnych urzędników lub członków jego świty. Skoro zakomunikowałem powyższe telefonem do Biczu, dowiedziałem się, że Prezydent Mościcki jest z takiego postawienia sprawy przez stronę rumuńską bardzo niezadowolony i zaleca mi kontynuowanie dalszych starań.

Około godz. 15-tej zatelefonował do mnie ambasador francuski, abym był łaskaw zająć jak najprędzej do ambasady, gdyż ma mi niezmiernie pilną i ważną sprawę do zakomunikowania. Pojechałem zaraz do ambasady francuskiej. Ambasador Thierry przyjął mnie w swym biurze. Przed nim na biurku leżała notatka napisana na maszynie. Bardzo przejęty ambasador oświadczył mi, iż otrzymał bezpośrednie polecenie od premiera Daladier złożenia u s t n e g o oświadczenia p. Prezydentowi Mościckiemu, że jednak rozumiejąc, iż nie ma szans uzyskania pozwolenia na jazdę do Bicz doszedł do wniosku, iż może mnie tylko przekazać tę komunikację, prosząc o jak najszybsze podanie jej do wiadomości Prezydenta.

Komunikacja ta brzmiała niemal dosłownie jak następuje:

„Rząd francuski został poinformowany przez Ambasadora R.P. w Paryżu, że Prezydent R.P. desygnował swego Ambasadora w Rzymie jako ewentualnego swego następcę. Proszę natychmiast (*d'urgence*) zakomunikować ustnie p. Mościckiemu, że Rząd francuski nie mając zaufania do wyznaczonej osoby nie widzi ku żywemu swemu żalowi możliwości uznania jakiegokolwiek rządu powołanego przez gen. Wieniawę (*se voit quant à lui à son vif regret dans l'impossibilité de reconnaître*)”.

Teraz dopiero zrozumiałem istotny sens tajnej depeszy z Paryża Nr 26, która nadeszła do Ambasady poprzedniego wieczoru i została przetelefonowana do Biczu. Treść jej była następująca: „Proszę zakomunikować natychmiast p. Prezydentowi R.P. «rodzina Koneckich w porządku». Odpowiedzi p. Prezydenta R.P. będę oczekiwać dzisiejszej nocy (—) Łukasiewicz”. Tak więc dopiero przez ambasadora francuskiego dowiedziałem się po raz pierwszy o wyznaczeniu gen.

Wieniawy. Stawało się też zrozumiałe, dlaczego z Bicazu nalegano tak stanowczo na otrzymanie zezwolenia na przyjazd do Bukaresztu adiutanta p. Prezydenta.

Skomunikowałem się teraz powtórnie z min. Gafencu, prosząc go o zgodę na natychmiastowy mój wyjazd do Bicazu. Wróciwszy do Ambasady zastałem tam następującą komunikację z Ambasady R.P. w Paryżu: „Proszę zakomunikować komu należy, że Bolesław gotów wszystko wykonać, prosi jednak profesora o rozważenie, czy inny wybór nie byłby w danej sytuacji wskazany”.

Połączyłem się możliwie jak najprędzej telefonicznie z Bicazem, zapowiedziałem swój przyjazd, podałem do wiadomości p. Prezydenta ostatnią komunikację paryską oraz dodałem, „że nastąpiło veto francuskie na Bolcia”.

Około godz. 18-tej wyjechałem z Bukaresztu w towarzystwie radcy Jerzego Giedroycia do Bicazu. Dotarliśmy na miejsce dopiero 27. IX około 3-ciej z rana. Zajechaliśmy do hotelu.

27 września rano zgłosiłem się wcześniej do p. Prezydenta. Był on bardzo zatroskany i rozpoczął rozmowę od ubolewania nad stanowiskiem zajęтым przez rząd francuski. Oświadczył, że bardzo nieszczęśliwym jest fakt veta francuskiego przeciw Wieniawie, gdyż zdecydował się na tę desygację pod ściśle określonymi warunkami, od przyjęcia których był uzależnił to wyznaczenie.

P. Prezydent wyjaśnił dalej, że zostało ustalone, iż gen. Wieniawa wyznaczy ze swej strony iłoży natychmiast swój urząd w ręce ostatecznego kandydata, którego miał mu definitywnie wskazać Prezydent Mościcki.

P. Prezydent tłumaczył tę skomplikowaną procedurę tym, że wobec nikłej ilości działaczy polskich znajdujących się w danej chwili na Zachodzie mógł w pewnym momencie zna-

leźć się tam właściwszy kandydat od tych, którzy na razie stoją do dyspozycji. Znając gen. Wieniawę jako człowieka honoru, miał zupełną moralną pewność, że zobowiązania swego dotrzyma i że dołoży wszelkich starań dla utrzymania ciągłości najwyższej władzy.

Ze swej strony starałem się wytłumaczyć Prezydentowi Mościckiemu całą delikatność powstałej sytuacji i wskazywałem na konieczność jak najspieszniejszej ostatecznej decyzji. Poza argumentem, iż współpraca nasza z aliantami musi być bezzwłocznie podjęta, kładłem nacisk na niebezpieczeństwo stworzenia jakiegoś faktu dokonanego ze strony Niemców w związku z dającym się przewidzieć lada moment upadkiem broniącej się jeszcze Warszawy.

Rozmowy moje z prof. Mościckim przeciągnęły się przez szereg godzin przed i po południu i nie pozwalały, pomimo wszelkich usiłowań z mej strony, stwierdzić, do czego Prezydent zmierza.

Nie zdołałem uzyskać niczego więcej jak tylko obietnicę, że decyzja nastąpi w ciągu najbliższych trzech dni.

Chcąc przyspieszyć ostateczne załatwienie sprawy, pozwoliłem sobie zasugerować, że telefonuję do Paryża celem uzyskania nazwisk ewentualnych dalszych kandydatów, jacy w międzyczasie dojechać mogli do Anglii czy Francji.

W przerwie obiadowej zauważyłem przy wspólnym stole Dyr. M.S.Z. Tomira Drymmera z małżonką, którzy ze Ślanic przyjechali na kilka godzin do Bicaz.

Wyruszyłem do Bukaresztu w towarzystwie p. Giedroycia pod wieczór i dojechałem do stolicy 28 września wczesnym rankiem.

Dnia 28 września zapoznałem się w Ambasadzie z szeregiem nowych depesz i komunikacji z Paryża. 26. IX, już po moim wyjeździe do Bicaz, Ambasada otrzymała telegram od

ambasadora Łukasiewicza, który zapytywał, czy się porozumiałem z p. Prezydentem, i nalegał na natychmiastową odpowiedź, jakie są jego decyzje. Radca A. Poniński oddepeszował na to odwrotnie, że znajduję się u Prezydenta, skąd powrócę nazajutrz, oraz dodał, że Ambasada nie otrzymała do tej pory żadnej przesyłki od p. Prezydenta. 27. IX Ambasador Łukasiewicz prosił telegraficznie zawiadomić p. Prezydenta, że według ostatniego komunikatu Prezydenta Starzyńskiego, Warszawa będzie musiała zakończyć walkę prawdopodobnie nazajutrz.

Informacja ta została odwrotnie przekazana do Bicz.

Ze swej strony nadałem 28 września następującą pilną depeszę do Paryża:

„W związku z wytworzoną sytuacją wskutek sprzeciwu rządu francuskiego p. Prezydent nie wysłał listu do Króla. Prosi o zatelegrafowanie nazwisk ewentualnych kandydatów, których by Francja i Anglia na pewno akceptowały. Obiecuję decyzję za 2 do 3 dni”.

Dnia 29 września rano otrzymałem na ten telegram szczegółową odpowiedź podpisaną przez mego brata Edwarda Raczyńskiego, gen. Wieniawę-Długoszowskiego, min. Łepkowskiego i Ambasadora Łukasiewicza.

Treść następująca:

„Spośród wybitnych Polaków za granicą Hlond, Raczkiewicz i August Zaleski, jak przypuszczamy, nie spotkaliby się z opozycją Francji. Anglia zajmuje w tej sprawie stanowisko neutralne. Wiek i zdrowie Paderewskiego są poważną przeszkodą dla jego kandydatury. Co do Hlonda wszelkie dane, że nie mógłby przyjąć wyznaczenia. Pozwalamy sobie więc

przedłożyć kandydaturę Raczkiewicza jako b. Marszałka Senatu i Prezesa Związku Polaków Zagranicą. Ma on największe szanse penetracji opinii polskiej. Nie uważamy za możliwe uprzedniego oficjalnego uzgadniania kandydatów z rządem francuskim i angielskim i sądzimy, że trzeba ponieść pewne ryzyko.

Poprzednie zarządzenie p. Prezydenta zostało ogłoszone w wydanym tutaj kolejnym numerze „Monitora Polskiego”, który wprawdzie nie został rozpowszechniony, natomiast doręczony rządowi francuskiemu i angielskiemu. W ten sposób zarządzenie to uprawomocniło się. Wobec tego następne alternatywne zarządzenie p. Prezydenta R.P. należałoby wydać w sposób przewidziany 17 bm. w Kutach.

W tekście anulowałoby się zarządzenie o Wieniawie-Długoszowskim z tej samej daty. Po otrzymaniu za pośrednictwem Ambasadora R.P. w Bukareszcie decyzji p. Prezydenta R.P., nowe jego zarządzenie opublikujemy również w „Monitorze Polskim”.

Otrzymawszy powyższą komunikację, porozumiałem się bezzwłocznie z min. Gafencu, aby go uprzedzić, że muszę natychmiast wyjechać do Prezydenta, na co otrzymałem pozwolenie. Wyjechałem o godz. 14 z minutami w towarzystwie attaché ambasady Bronisława Sobańskiego i około godz. 23-ciej stanąłem przed pałacykiem w Bicz. U wejścia oczekiwał tam na mnie adiutant Prezydenta Kryński i oświadczył, że przed przeszło godziną odebrał nagłący telefon od radcy Ponińskiego z Bukaresztu, który mówił z ambasadorem francuskim i z ramienia ambasadora francuskiego p. Thierry nalegał, abym niezależnie od godziny przyjazdu do Bicz połączył się telefonicznie z ambasadą francuską w Bukareszcie, gdyż ambasador francuski ma mi bardzo ważną komunikację

rządu francuskiego natychmiast przekazać. Celem odbycia tej rozmowy uzyskano specjalne zarządzenie władz rumuńskich niezamykania tej nocy połączeń telefonicznych z Biczem.

Udałem się zaraz do merostwa, skąd jedynie można było telefonować. Uzyskanie połączenia z Bukaresztem mimo zarezerwowania linii trwało stosunkowo bardzo długo.

Nie wiedziałem wówczas wcale, że otoczenie Prezydenta zostało przez radcę Ponińskiego ogólnikowo poinformowane o treści tej ważnej komunikacji.

Radca Poniński mianowicie oświadczył, że ambasador francuski na skutek specjalnych instrukcji z Paryża gotów jest teje nocy wyjechać w jego towarzystwie do Bicz, celem przyspieszenia koniecznej decyzji, po którą ja udałem się do Bicz.

Kiedy połączono mnie z Bukaresztem nieco po północy, rozmawiał ze mną najpierw ambasador Thierry, stwierdzając, że mówi w obecności Ponińskiego, któremu odczytał poprzednio otrzymany z Paryża tekst.

Ambasador oświadczył, że mówi bezpośrednio z polecenia premiera Daladier: *primo* grono poważnych Polaków zgromadzonych dookoła Ambasadora R.P. w Paryżu wysunęło, niezależnie od rządu francuskiego, propozycję kandydatury b. marszałka Senatu Władysława Raczkiewicza, *secundo* rząd francuski wita tę kandydaturę z całą życzliwością i stwierdza, że Rząd powołany przez p. Raczkiewicza będzie uznany i będzie mógł korzystać z wszelkich przywilejów na terytorium francuskim, *tertio* wobec otrzymanych wiadomości o nowym porozumieniu sowiecko-niemieckim rząd francuski nalegałby, aby p. Prof. Mościcki powziął natychmiastową decyzję, gdyż obecna sytuacja grozi poważnymi komplikacjami.

Następnie zamieniłem jeszcze kilka słów z radcą Ponińskim.

Prosiłem adiutanta Kryńskiego, aby poinformował natychmiast p. Prezydenta o otrzymanych z Bukaresztu wiadomo-

ściach, i powróciłem z nim razem do domu zajmowanego przez Prezydenta, gdzie przygotowano mi nocleg. Po upływie dłuższego czasu zgłosił się do mego pokoju kpt. Kryński z nowym telefonogramem otrzymanym od radcy Ponińskiego z Bukaresztu.

Komunikacja ta, zrobiona na podstawie tajnego telegramu ambasadora Łukasiewicza, opiewała, że kandydatura p. Władysława Raczkiewicza została definitywnie ustalona i że sprzeciwu nie będzie.

P. Łukasiewicz prosi o depeszę lub telefon, że p. Prezydent dziękuje za zajęcie się rodziną Koneckich. Poprosiłem adiutanta, aby natychmiast podał tę komunikację do wiadomości Prezydenta, gdyż nie ma chwili czasu do stracenia.

Po pewnym czasie zameldował się znów adiutant, prosząc, „abym powoli się ubrał i przyszedł do Prezydenta”.

Zastąpiłem prof. Mościckiego w szlafroku, lecz rześkiego i bardzo spokojnego. Robił wrażenie człowieka, któremu kamień spadł z serca. Oświadczył mi na wstępie, że za poprzednią bytnością nie dał mi decyzji pomimo usilnych moich nalegań, gdyż chciał się jeszcze skomunikować z premierem Sławoj-Składkowskim, co też uczynił za pośrednictwem Drymmera. Następnie telefonował ze Sławojem, który w toku rozmowy powtarzał stale dwa nazwiska: Zaleski, Raczkiewicz — Raczkiewicz, Zaleski.

Ustalenie w Paryżu kandydatury p. Władysława Raczkiewicza jako definitywnej wita Prezydent z prawdziwym zadowoleniem i nie ma co do niej żadnych zastrzeżeń. Ciężka ta sprawa została więc pomyślnie załatwiona.

Tu p. Prezydent Mościcki zaczął mówić na temat projektowanego listu do króla, z którym powstało tyle trudności, i radził się, czy wobec zmienionej już sytuacji warto taki list pisać i wysyłać.

Odradziłem listu do króla i skorzystałem z tej sposobności,

aby przypomnieć prof. Mościckiemu potrzebę zgłoszenia rezygnacji. Prof. Mościcki zasiadł przy biurku i odezwał się mniej więcej w tych słowach: „piszmy, niech pan dyktuje”. Treść dokumentu, który powstał w tych niezwykłych okolicznościach, brzmiała jak następuje:

„Niniejszym pismem rezygnuję z urzędu Prezydenta R.P. Bicz, dnia 30 września. I. Mościcki”.

Dowiedziałem się później, że tejże nocy Ambasada R.P. w Bukareszcie otrzymała z Biczu polecenie wysłania do p. ambasadora Łukasiewicza w Paryżu, w imieniu Prezydenta R.P., wiadomości następującej treści: „Dziękuję za zajęcie się rodziną Koneckich”.

Otrzymawszy z rąk prof. Mościckiego autograf jego rezygnacji, udałem się na spoczynek.

30 września rano prof. Mościcki wezwał mnie znów do siebie, aby się pożegnać. Zgłosił wówczas życzenie wyjazdu do Szwajcarii i prosił o zajęcie się tą sprawą.

Po krótkiej tej rozmowie wyjechałem zaraz do Bukaresztu, gdzie przybyłem po południu. Zatelegrafowałem natychmiast do Ambasady w Paryżu: „Wróciłem do Biczu z pismem p. Prezydenta następującej treści: «Niniejszym pismem rezygnuję z urzędu Prezydenta R.P. Bicz, dnia 30 września. I. Mościcki»”.

Dokument wysłałem w dniu 2 października specjalnym kurierem do Paryża na ręce p. Ambasadora Łukasiewicza za Nr 420/39. Odnośna koperta zaadresowana była do p. Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza.

30 września otrzymałem telefonogram od premiera Sławoj-Składkowskiego ze Słanicu, że Rząd, dowiedziawszy się o rezygnacji prof. Mościckiego, zgłosił *in corpore* swą dymisję

i składa hołd nowemu Prezydentowi R.P. Tekst tego telefonogramu przekazałem 1-go października telegraficznie do Paryża z prośbą o zakomunikowanie p. Prezydentowi R.P. Raczkiewiczowi.

Bukareszt, maj 1940

(„Kultura” nr 9-10, 1948)

II

„KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO”
NA NOWEJ EMIGRACJI

Aktualność *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego* jest chwilami przerażająca. Ta mała „broszurka” — jak ją w liście do Garczyńskiego nazwał Mickiewicz — która w pierwotnej wersji nosiła nazwę *Katechizm pielgrzymstwa polskiego*, odczytywana w 114 lat po jej powstaniu na nowej emigracji, niepokoi w pierwszej chwili żywością bolesną, trudną i ciągle nieprzewidywaną. Czyżby znowu więznąć nam miały w gardłach słowa najwyższego potępienia pod adresem „rządów i mędrków francuskich i angielskich”, „kupców i handlarzy obojga narodów, łaknących złota i papieru i pieniędzy posyłających na zgębienie wolności”? Czyżby znowu, po wieku przeszło niewoli i wolności, trzeba było w *Litanii pielgrzymskiej*, w zwrocie „Przez męczeństwo żołnierzy zaknutowanych w Kronstadcie przez Moskali” słowo „Kronstadt” zamienić tylko na „Katyń”, a „zaknutowanych” na „zamordowanych strzałem w tył czaszki”?

Aktualność *Ksiąg* jest jednak nie tylko przerażająca, jest ona także — i to może nawet w nieporównanie większym stopniu — pouczająca. Nurt czasu, który dzieli pierwsze, paryskie wydanie tej książeczki od jej obecnego wydania rzymskiego, nie był tylko obojętnym i niewiele znaczącym upływem faktów, zdarzeń i doświadczeń. Dziś, wpatrzeni z lękiem w nieodwracalność koła historii, czujemy przecież, że jeśli nie zmieniła się sama zasada „pielgrzymowania dla wolności”, to inną już wypełniamy ją treścią. Bogatsi od owych 10 tysięcy na-

szych poprzedników z okresu *Ksiąg* o zjawisko niespotykanej dotąd masowości współczesnego pielgrzymstwa, musimy dbać usilnie o to, aby nie stało się ono tylko wyrazem „żołnierskiej hardości niepoddawania się wrogowi” (Pigoń), lecz żeby przeobraziło się w ruch społeczno-polityczny, w którego kręgu odnajdą swą godność polityczną i niezalaganą wierność ideałom społecznym wszyscy europejscy wygnańcy „sfer wpływów”. *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* nie są więc już dekalogiem wskazań i działania; są raczej poetyckim postulatem wykreślenia w „Europie bezlegalnej” (Norwid) strefy prawdziwych interesów dla tych Europejczyków, którzy śniąc o szumie swych ojczystych rzek w obozach wojskowych i barakach Unry, wiedzą naprawdę, dlaczego nie należy wracać.

(Gustaw Herling-Grudziński, fragment wstępu do *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza, jednej z pierwszych publikacji Instytutu Literackiego, Rzym 1946)

III

* * *

Ogłoszone na wstępie do pierwszego zeszytu „Kultury” dwa powojenne głosy czołowych myślicieli europejskich (Valéry’ego z r. 1919 i Crocego z r. 1946) uprzątniają, jak bardzo myśl o zmierzchu lub kryzysie cywilizacji, w której żyjemy, naturalna jest w czasach, wyłaniających się z każdej zawieruchy światowej.

W obu tych głosach rozbrzmiewa głęboki smutek ludzi, którzy wszystkie swe siły i umiejętności oddali pracy nad pogłębianiem i wznoszeniem kultury europejskiej, aby dożyć wreszcie dni jej śmiertelnego niebezpieczeństwa i zagrożenia. Ale brzmi w nich jednocześnie ogromna siła, siła niezłomnych przekonań, przywiązań i wiary wbrew „czasom pogardy”, wbrew „nadchodzącej i niepokonalnej barbarii”.

„Wszystko do Europy przyszło i wszystko od niej wyszło. Wszystko albo prawie wszystko” — pisze Valéry. „Walczyć na swoim posterunku *pro aris et focis*, o nasze kościoły i nasze domy, bronić ich do upadłego” — woła osiemdziesięcioletni filozof neapolitański, najbardziej nieprzejednany wróg faszyzmu włoskiego i Mussoliniego, Croce. Czy nie z tego samego ducha wyrosły wspaniałe słowa André Malraux, wypowiedziane na inauguracyjnym zebraniu UNESCO w Paryżu? Posłuchajmy: „Europa, o której dotychczas świat myślał w kategoriach wolności, uważa się dzisiaj tylko za igraszkę przeznaczenia. Ale zbyt często zapominamy, że nie pierwszy to

raz w dziejach Europy. Nie lepsza przecież była jej sytuacja za poprzednich inwazji. Gdy armia mongolska Dżyngis-chana szła na Wiedeń, czy los Europy był jaśniejszy? Czy lepszy był jej los, gdy u wrót stał Timur? Po bitwie pod Nikopolis, po bitwie pod Mohaczem? A przecież wtedy chodziło o śmierć i życie, a nie o rywalizację kultur i o dziedzictwo ducha. Czy jaśniejszy — pytam — był los Europy w czasie bitwy o Londyn? A jednak czy w chwili bitwy o Londyn ktokolwiek w Anglii albo nawet we Francji wątpił w zasadnicze wartości Zachodu? Nieprawdą jest, że umarł Europejczyk. Ale opuszczony, gdy sam porzucił swoje najistotniejsze wartości, szykuje się na śmierć, jak kierownicze warstwy dawnych imperiów gotowały się niegdyś na śmierć z chwilą, kiedy traciły wolę życia”.

Łaciński, francusko-włoski trójgłos nie wyczerpuje jednak bogatego wachlarza postaw ideowych w okresach powojennego zamętu i poszukiwania. Obok słów wiary i przywiązania padają słowa nienawiści i zniechęcenia. Obok stanowisk głęboko kulturotwórczych wyrastają jak grzyby po deszczu stanowiska wyraźnie antykulturalne. Obok prądów odrodzenia i odnowienia przepływają mętne fale rozkładu i zniszczenia.

Po tamtej wojnie modny był w Europie niemiecki katastrofizm cywilizacyjny. Przenikał do zmęczonych i zniechęconych umysłów, docierał na karty dzieł filozoficznych, wdrapywał się potajemnie na katedry uniwersyteckie. Dziś wiemy już, jaki był jego cel. Tym katastrofizmem apokaliptycznym rozkładał imperializm i nacjonalizm niemiecki wszystkie narody europejskie. Osłabiał w nich wolę walki, zatruwał je myślą o śmierci. Bo i o cóż walczyć, czego bronić w obliczu powszechnego *Untergang des Abendlandes*? Pod butem okupacji hitlerowskiej obudziła się w całej Europie myśl o przetrwaniu. Niestety,

nie utrzymała się ona dostatecznie długo, aby stawić czoło nowej groźbie.

Po tej wojnie katastrofizm niemiecki ustąpił miejsca „nowatorstwu” sowieckiemu. Pewnemu sobie, dynamicznemu i antytradycyjnemu „nowatorstwu”, o którym Croce mówił ogólnie, że „nie jest podniesieniem tradycji na wyższy poziom, lecz jej zerwaniem, oznacza ustanowienie barbarzyństwa i nadchodzi wtedy, kiedy natury dzikie i podłe, które, choć trzymane na uwięzi, istnieją w każdym społeczeństwie, nabierają w pewnej chwili rozmachu i wigoru, aby na koniec przeważyć i zapanować. One to, niezdolne do rozwiązania w sobie problemu istniejącej cywilizacji przez podniesienie jej na wyższy poziom, odracają ją, i nie tylko uciskają i prześladowają ludzi, którzy są jej uosobieniem, ale wąż się nawet niszczyć dzieła, będące przecież podnietą do nieustannego wzbogacania kultury, burzyć pomniki piękna, systemy myśli i wszystkie świadectwa wspaniałej przeszłości, zamykać szkoły, plądrować i palić muzea, biblioteki i archiwa i czynić rzeczy, które widzieliśmy i ciągle jeszcze obserwujemy”.

Upłynie zapewne znowu wiele lat, zanim narody obu półkul zrozumieją, że „nowatorstwo” sowieckie jest takim samym narzędziem znieczulenia kultury europejskiej, jak katastrofizm niemiecki był wcześniej narzędziem jej rozkładu. Nadchodzą czasy ponownego osłabienia woli, ponownego zatrucia myślą o śmierci. Bo i o cóż walczyć, czego bronić w obliczu powszechnego *Ex oriente lux*?

W tych warunkach rola, cel i zadania „Kultury” są dostatecznie jasne i nie wymagają zbyt szczegółowego wyjaśnienia.

„Kultura” pragnie uprzytomnić czytelnikom polskim, którzy, wybrawszy emigrację polityczną, znaleźli się poza granicami kraju ojczystego, że krąg kulturalny, w którym żyją, nie jest kręgiem wymarłym.

„Kultura” pragnie dotrzeć do czytelników polskich w kra-

ju i wzmóc w nich wiarę, że wartości, które są im bliskie, nie zawaliły się jeszcze pod obuchem nagiej siły.

„Kultura” chce szukać w świecie cywilizacji zachodniej tej „woli życia”, bez której Europejczyk umrze, tak jak umarli niegdyś „kierownicze warstwy dawnych imperiów”.

(„Kultura” nr 1, 1947)

IV

MANIFEST DEMOKRATYCZNY

I

Mamy dość *ancien régime*'u. Nie chodzi przy tym tyle o ustrój polityczny, ile o gospodarczy, a zwłaszcza o związany z nim system wartościowania ludzi. Widok głupawego syna bogatych rodziców, który rozbija się ostatniego typu cadillakiem i pogardza każdym, kto takiego właśnie cadillaca nie posiada, wydaje się nam nie śmieszny, ale wstrętny. Wartościujemy fakt, że on może mieć takiego cadillaca, i jego postawę nie ekonomicznie, nie estetycznie, ale moralnie. Uważamy, że ten fakt obraża zasady moralne. Wyrażenie „z lepszej rodziny” wydaje się nam nie tylko głupawe, ale i fałszywe, *m o r a l n i e* fałszywe. Zapewne, gotowi jesteśmy odróżniać syna uczciwych rodziców od człowieka wyrosłego w atmosferze przestępstwa. Ale to rozróżnienie, jeśli je nawet czynimy, nie pokrywa się z tym, które sugeruje powiedzonko o „lepszej” rodzinie, a mianowicie, że rodzina mająca więcej pieniędzy jest *m o r a l n i e* lepsza. Uważamy to za fałsz. Przestępstwo znaleźć można na wszystkich szczeblach drabiny gospodarczej. Podszywanie się zamożności pod uczciwość wydaje się nam oszustwem, niemal bluźnierstwem. Wielu spośród nas żenuje sam fakt istnienia służących. Coś zdaje się być w tej instytucji nie w porządku. Znając psychologię możemy zrozumieć ten czy ów łzawy artykuł ze wzruszeniem przypominający czasy, kiedy to Wielmożna Pani nie

potrzebowała sama myć srebrnych łyżeczek; ale my sami do tego nie czujemy najmniejszego pociągu.

Jest i więcej. Protest moralny wezbrał nie tylko przeciw wynoszeniu fałszywych wartości, na pieniądzech tylko opartej wielkości. Nie godzimy się dzisiaj łatwo nawet z wartościami rzetelnymi, o ile w imię tych wartości chce się wynosić jednych, a poniżać innych. Nieprawdą jest, by nasza epoka miała mniej zrozumienia dla kultury, dla spraw ducha; aby tylko jeden przykład przytoczyć: filozofia nigdy bodaj od czasów średniowiecza nie cieszyła się takim wzięciem, jak dzisiaj. Ale ceniąc wysoko dzieła pracy duchowej i uznając wyższość w danej specjalności tych, którzy do twórczości są zdolni, nie zgadzamy się na tworzenie z nich uprzywilejowanej kasty „lepszych” ludzi. Dzieje się tak, jak gdyby zostało przyjęte przez masy zdanie św. Tomasza: „Człowiek jest dobry lub zły w zależności nie od posiadanego rozumu, ale od posiadanej woli”. Profesor przestał nam imponować poza swoją specjalnością. Płacimy go dzisiaj gorzej od wykwalifikowanego monter — i, naszym zdaniem, słusznie, bo pełni pracę przyjemniejszą.

Krótko mówiąc, nasze poczucie moralne uległo demokratyzacji. Chcę z naciskiem podkreślić, że chodzi o poczucie *m o r a l n e*. Kapitalizm odrzucamy nie dlatego, by był on gospodarczo szkodliwy; być może, że nim nie jest; być może, że jest gospodarczo lepszy od innych ustrojów. My odrzucamy go jednak dlatego, że prowadzi do sytuacji *m o r a l n i e* niezdolnych. Zdajemy sobie dobrze sprawę, że niskie płace pracowników umysłowych mogą być dla przyszłości naszej kultury szkodliwe, bo mogą odciągnąć zdolniejszą młodzież od intelektualnych zawodów. Ale normy moralne — jak Kant dawno wykazał — różnią się od wszystkich innych tym właśnie, że są kategoryczne. Technika — a więc także ekonomia polityczna — mogą powiedzieć tylko, że o ile się chce tego

czy owego, należy postępować tak a tak — jej normy są zawsze imperatywami hipotetycznymi. Natomiast moralność hipotetyczna jest pojęciem sprzecznym: norma moralna mówi kategorycznie: tak ma być — *du sollst*. I dlatego, choćbyśmy mieli zubożeć na skutek realizacji naszych moralnych ideałów, nie możemy się cofnąć. W grze jest imperatyw kategoryczny, coś, co m u s i b y ć spełnione, bez względu na skutki.

Jedna jeszcze uwaga: zdaję sobie doskonale sprawę, że wielu ludzi współczesnych nie przeżywa tego zagadnienia tak, jak spróbowałem je przedstawić. W dalekich krajach nieeuropejskich jest to zapewne często normą. I u nas wielu jeszcze nie rozumie. Ale, jeśli się nie mylę przodująca warstwa społeczna w Europie, inteligencja, myśli i właśnie tak czuje. Otóż, jeśli chodzi o nasz kontynent, jest to jedynie ważna sprawa: kierunek nadają dziejom nie masy, ale ci, którzy się na ich czoło wybili.

II

Jakie są tej przemiany powody? Zapewne, przejścia ostatnich wojen przyczyniły się niemało do przyspieszenia procesu. Nie ulega wątpliwości także, że ustrój gospodarczy, w którym żyjemy, ułatwia i przyspiesza rozwój demokratycznych wartościowań. Ale sprowadzanie zjawiska do samych przyczyn gospodarczych — tak jak to czynią niektórzy komentatorzy Marksa — a tym bardziej do przypadkowych zdarzeń w rodzaju zawieruch wojennych, wydaje mi się bardzo głębokim nieporozumieniem. Demokratyzacja moralna, którą przeżywamy współcześnie, jest przede wszystkim wynikiem niemal dwa tysiące lat trwającego rozwoju ideologicznego Europy. Jest ona urzeczywistnieniem w psychice ludzkiej pewnych odwiecznych ideałów. Oczywiście, okoliczności umożli-

liwiły, ułatwiły tę realizację. Ale okoliczności nie stworzyły ideału, który już był u zarania. Dzieje Europy można pojmować jako historię przebijania się tego ideału przez zwąły przeszkód ku realizacji. Oto w krótkim zarysie jego historia.

Zacznijmy od końca i zadajmy sobie pytanie, co jest moralną podstawą normatywnych twierdzeń bolszewików? Nie lubią oni sami o tym mówić; ich moralność przenika ich pisma, ale bardzo rzadko jest formułowana, a gdy jest, to w sposób naprawdę niegodny, jako rodzaj najsłabszego utylitaryzmu społecznego. A powodem tej wstydlivosti i tej nieudolności jest to, że teoretycznej podstawy dla wartościowań w bolszewizmie po prostu n i e m a. Podaje się on za system czysto opisowy: stwierdza, że dzieje przebiegają w taki a taki sposób, że zatem musi dojść do takiego i takiego stanu. Jak z tego stwierdzenia f a k t u można wydedukować n o r m ę, musi pozostać zagadką. I, w rzeczy samej, nikt tego rodzaju dedukcji nie przeprowadza. Podstawa moralności socjalistycznej nie leży wcale w socjalistycznej wizji świata. Leży w atmosferze moralnej, którą socjalizm odziedziczył.

Odziedziczył po kim? Jeśli się nie mylę, bezpośrednio po twórcach Rewolucji Francuskiej. Oni to rozpalili poczucie braterstwa, równości, poszanowania dla każdego człowieka, byli słowem tymi, którzy czynnie usiłowali oprzeć rzeczywiste stosunki między ludźmi na demokratycznych zasadach. Ale, analizując ich duchową postawę, trudno się oprzeć wrażeniu, że i u nich zachodzi nieporozumienie. Ich ideałem był, jak wiadomo, świat grecko-rzymski, przedchrześcijański. Ci ludzie myśleli, że przeprowadzając rewolucję naśladują demokrację ateńską czy rzymską. W rzeczywistości uczynili coś zupełnie innego. Demokracje starożytne wcale demokracjami w naszym tego słowa znaczeniu nie były. Były systemami niewolniczymi, w których równość istniała — jeśli chodzi o wartościowania — tylko w ramach stosunkowo nielicznej warstwy rządzącej. Re-

wolucja natomiast przyniosła równość — powtarzam raz jeszcze, że mówię o wartościowaniach przywódców, nie o faktach społecznych — wszystkim. Była niesiona przez coś zupełnie innego niż duch „demokracji” antycznych.

Nowym czynnikiem, który pojawił się między upadkiem demokracji antycznych a Rewolucją, było chrześcijaństwo. Whitehead dopatruje się co prawda podłoża jeszcze głębiej, u Platona, mianowicie w jego doktrynie o duszy ludzkiej „nie z tego świata”. W rzeczy samej, skoro się raz przyjmie, że dusza ludzka jest czymś nadziemskim, wszystko, co nieduchowe — a więc zamożność, stanowisko społeczne, urodzenie i tak dalej — musi się wydać bez znaczenia. Ale Platon sam demokratą w naszym tego słowa znaczeniu nie był — nie tylko ustrojowym, ale nawet „społecznym”. Nic w tym dziwnego: bo, choć jego doktryna uczy obojętności wobec nieduchowych różnic między ludźmi, nie uczy i uczyć nie może niczego podobnego odnośnie do zalet duchowych. Pod tym względem Platon musiał uczyć, że ludzie są nierówni — bo tacy są w rzeczywistości. Zresztą myśliciel o tyle od niego bardziej zrównoważony, a instynktownie tak bliski naszemu zrozumieniu wartości, jakim był Arystoteles, ani na jotę nie zmienił w tej dziedzinie nauki swojego mistrza. Jego poglądy w tej sprawie przedstawić można z grubsza następująco. Celem życia jest kultura ducha (z pewnymi, typowymi dla niego, kwalifikacjami). Otóż dla kultury człowiek miary Fidiasza jest, oczywiście, bez porównania niemal nieskończenie ważniejszy od prostego wyrobnika. Aby więc Fidiasz mógł żyć w spokoju i dostatku, by tworzyć rzeczy dla ludzkości — nawet dla owego wyrobnika — bezcenne, warto poświęcić sto tysięcy takich wyrobników. Warto skazać ich na głód, na niedolę; warto trzymać ich w niewoli. Sto tysięcy takich żyć ludzkich jest ze społecznego punktu widzenia mniej wartych od jednego miesiąca Fidiasza. Takie jest w grubych zarysach rozumowanie Arystote-

lesa. Takie powinno by być — może i jest? — rozumowanie współczesnych komunistów. Przyznaję, że z t e g o, arystotelesowego, immanentnego stanowiska, wniosek wydaje mi się najzupełniej nie do odparcia. Nie, ani Platon, ani nawet Arystoteles nie położyli teoretycznych podstaw pod demokrację.

Podstawę tę dało dopiero chrześcijaństwo. Nie chcę tutaj pomniejszać innych wielkich religii — w szczególności buddyzmu, który zawiera, na innych założeniach, posłannictwo o podobnych konsekwencjach moralnych. Ale religią Europy, siłą ideologiczną, która ją ukształtowała, było chrześcijaństwo, nie buddyzm. Otóż w chrześcijaństwie znajdujemy, jeśli chodzi o naszą sprawę, trzy ważne dogmaty. Najpierw, dogmat synostwa Bożego, który uczy, że wszyscy ludzie bez wyjątku są dziećmi jednego Ojca, a więc braćmi, bez względu na wszystko inne. Następnie — i to wierzenie podkreśla znakomicie poprzednie — dogmat łaski: *bonum gratiae unius est plus quam bonum totius universi*: najmniejsza łaska jest czymś więcej niż dobra całego świata. Łaska jest bowiem według chrześcijaństwa udziałem w życiu wewnętrznym Boga, wyniesieniem na wyżynę przyjaźni ze Stwórcą. Jeśli tak jest, błedną wobec niej i muszą się wydać prochem i niczym wszystkie zalety. Nie tylko zalety materialne, posiadanie władzy, pieniędzy, stosunków, ale także zalety intelektualne, a nawet moralne. Weźmy wypadek skrajny: bohatera, który posiada męstwo i prawość w stopniu heroicznym, ale nie ma łaski — i porównajmy go z człowiekiem „szarym” bez wybitnego charakteru, ale który łaskę posiada. Ocena chrześcijańska wypada niedwuznacznie na korzyść tego ostatniego, przeciw bohaterowi. Przypominam tym, którym to twierdzenie wyda się zbyt śmiałe, hymn do miłości (to jest do łaski) w 13 rozdziale I listu do Koryntian: „Gdybym ciało moje wydał tak, iżbym gorzał, a miłości bym nie miał” — pisze św. Paweł — „niczym nie jestem”. To słowo musi być rozumiane dosłownie — bez

łaski (tj. miłości), człowiek jest n i c z y m. A kto z nas łaskę posiada, nie wiemy. Chrześcijaństwo postuluje więc z mocy swoich najgłębszych założeń odrzucenie wszelkich teorii „lepszych rodzin” i tym podobnych, które z jego stanowiska wydać się muszą nie tylko płaskie i głupie, ale wprost bezbożne. Dodać jeszcze trzeba, że ta teoretyczna nauka poparta jest w chrześcijaństwie przez życie Chrystusa, syna Bożego, który chciał się urodzić jako syn wyrobniczy, nie miał gdzie głowy złożyć i umarł śmiercią niewolnika. Na tym tle chrześcijanin niedemokrata wydać się musi, wyrażając się ostrożnie, ciekawym paradoksem.

Jest jeszcze w chrześcijaństwie trzeci czynnik: nauka sformułowana w słowach Ewangelii: „Nikt nie jest dobry, jeno Bóg”. W najgłębszej swojej istocie chrześcijaństwo jest przeciwne wszystkiemu, co prowadzi do ubóstwiania stworzeń, a więc także ludzi. Jak to się stało, że właśnie w dziejach chrześcijaństwa — i to nie tylko wschodniego — znajdujemy tyle bizantyzyzmu, jest jednym z najciekawszych jego paradoksów.

Zresztą, w historii tego olbrzymiego ruchu paradoksów takich jest więcej. Dlaczego, na przykład, proces przenikania tej podstawowej nauki nie tylko do życia, ale nawet do świadomości moralnej mas, był tak powolny? Można powiedzieć w tym wypadku, że idea była zbyt wielka, że napotykała na zbyt wiele trudności, by mogła się zrealizować prędzej. Ale dlaczego do jej urzeczywistnienia przyczynili się przede wszystkim ludzie, którzy dogmat chrześcijański porzucili? Jest bowiem faktem historycznym, z wielką erudycją oświetlonym przez Whiteheada, że deści angielscy, encyklopedyści, pozytywiści, socjaliści — a więc wszystko odstępcy od chrześcijaństwa, stali się w ostatnich wiekach głównymi nosicielami chrześcijańskiej doktryny moralnej, podczas gdy wielu chrześcijan nie rozumiało z niej niczego. Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć i to, co o tej sprawie czytałem, wydaje mi się nie-

BUNT NIEZALEŻNY UNGAN MŁODEJ INTELIGENCJI 20 GR MŁODYCH

R • O • K • I • V 20 • G • R • U • D • N • I • A • 1935 • R N • U • M • 49

KOLEKTYWIZACJA RZECZYPOSPOLITEJ

Mają...
W...
Stefan...

POLITYKA

TYGODNIK - CENA 25 GR.

WARSZAWA • NIEDZIELA 27 SIERPIEN 1939 R. • ROK X • Nr. 27 (201)

Z KIM PROWADZIMY WALKĘ?

POLITYKA GOSPODARCZA NIEMIEC HITLEROWSKICH

STANISŁAW SWIANIEWICZ

WYDAWCA **POLITYKA** WARSZAWA
R O K 1938

Książka Swianiewicza w Bibliotece „Polityki”

Nakaz podróży.

Polecam p. Marii Ingredynskiej i radcy Jeremu Siednycu
w udanie się, nieustannie w okolice Wroclawa i zameldować
nie nie do Ministra Spraw Wewnętrznych lub do mnie
Podróż polecam odbyć samochodem Min. Prem. i Handlu i
przez Wroclaw i Tade cywilne i wojskowe o udzielenie wszelkiej pomocy.

Antoni Roman
Minister P. H.

„Nakaz podróży” — wrzesień 1939, z podpisem min. Antoniego Romana

AMBASADA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W BUKARZESZCIE
Komisja Badawcza
Nr. 2. 10/10

BUKARZESZCIE, dn. 3. listopada 1940 r.
Pan Ambasador

Do

Pana Ambasadora R.P.

w Bukareszcie

W związku z roczną ostatnio odbytą z Pana Amba-
sadorem staferdą, że Komisja Badawcza przy tut. Am-
basadzie nie prowadziła żadnych dochodzeń przeciwko
p. Jerzemu Giedroycowi, a przekonane mi materiały ze-
brane przez Sędziego Kondrascu nie dają podstawy do
wzięcia tych dochodzeń.

Przewodniczący Komisji Badawczej

Aleksandrowicz
/Dr. Karol Aleksandrowicz/

Pismo Karola Aleksandrowicza z 3.11.1940

LEGACION DE CHILE

No. 2/940.

Certificat.

Legatiunea Republicii Chili din Bucuresti certifica prin
prezenta, ca d-l G I E D R O Y C Jerzy este functio-
nar al acestei Legatiuni.

Inscrisat cu Afaceri.

Miguel A. Rivera
/Miguel A. Rivera/

Bucuresti, 5 Novembre 1940.



Certificat z 5.11.1940

LEGACION DE CHILE

Nr.P/34/gen.

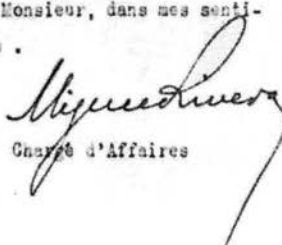
Bucarest, le 8 décembre 1940.

Monsieur,

Conformément au désir du Ministère Royal des Affaires Etrangères de Roumanie du 5 décembre 1940 No.75466 j'ai l'honneur de vous informer que je suis obligé de vous libérer de vos fonctions à partir de la date du 5 c.

A cette occasion j'ai l'honneur de vous communiquer que les Autorités roumaines demandent que vous quittiez le pays jusqu'au 15 c.

Veuillez croire, Monsieur, dans mes sentiments les plus distingués.


Chargé d'Affaires

A
Monsieur Jeray Giedroyc
à Bucarest.

Pismo Miguela A. Rivery z 8.12.1940

AMBASADA R.P.

w Bukarescie.

Stambuł, dnia 25 marca 1941r.

Minijezym stwierdzam, że P.Jeray Giedroyc poszedł po wyjeździe Ambasady R.P. w Bukarescie z mojego polecenia, w charakterze kierownika Wydziału Polskiego przy Poselstwie Wilijskim.

P.Jeray Giedroyc pełnił swe funkcje od 2.IX.40r. do 14.II.41 r. w najtrudniejszych warunkach, mimo niewątpliwego niebezpieczeństwa na jakie się narażał.

Opuszczył Rumunię na zalecenie Poselstwa Angielskiego, do którego w fakto byli podporządkowani w chwili wyjazdu tegoż Poselstwa z Rumunii.



Pismo Rogera Racyńskiego z 25.03.1941

ODZ. PROP. i Ośw. Dział APW.
L.dz: 384 /Prop/43/43.

M.p. 29.XI.43.

SZEF ODZ. PROP. i Ośw. APW.

W ED

Przedkładał wnioski awansowe do stopnia poruczników czasu wojny
w następującej kolejności:

1/Giedrojc Jerzy Władysław

2/Krychowicki Tadeusz

3/Haciński Zbigniew Edward

4/Boguszewski Henryk

p.o. Szef Oddz. Prop. i Ośw.

WS.
/ CZAPSKI Józef /
rta.

DOWODZIMO 3 KORPUSU
Zarządzenie Nr. 206 do
Rozkazu Tajnego Nr. 20
z dnia

M.p. dn. 9 lipca 1944 r.

DODATEK TAJNY

UKAZANIE

Szef Sztabu Korpusu przy rozporządzeniu dnia 17.VI.44 ukazał:

1/ - por. PUSIAŁOWSKI Józef z Oddz. Prop. i Kult. A.P.W. redaktora odpowiedzialnego "Tygodnika A.P.W. "Orzeł Biały" - 14-dniowym aresztem domowym za to, że umieścił w tygodniku bezpośrednio po zwycięskiej bitwie o M.CASSINO, artykuł, st. strz. BIELATOWICZA "IIPIA- CASSINO", który w tendencyjnym i fałszywym zestawieniu faktów starał się umniejszyć krwawą wysiłkę żołnierzy całego Korpusu w bitwie o M.CASSINO, a tym samym pośrednio znaczenie tej bitwy dla sprawy polskiej w obecnej chwili,

2/ - ppor. GIEROCY Józefa z Oddz. Prop. i Kult. A.P.W. - 14-dniowym aresztem domowym za to, że jako odpowiedzialny Szef Wydawnictw Wojskowych Biura Prop. i Kultury A.P.W. zezwolił na umieszczenie w "Tygodniku A.P.W. ORZEŁ BIAŁY" artykułu st. strz. BIELATOWICZA "IIPIA- CASSINO", jako artykułu szkodliwego i tendencyjnego, który wwołał zdziwienie i oburzenie żołnierzy 3 Korpusu.

Początek kary dla wyżej w wymienionych z dniem ukazania się rozkazu.

Za zgodności
WYKONAWCA
/ SKOWRONSKI
ptk. dypl.

Wg rozdzielnika Rozk. Tajnych Korpusu
od 1.dz.2 - do 27, oraz Baza Korpusu

2 POLISH CORPS
B. G. S.

8 AUG 45

ORDRE de MISSION.

Je designe 5/Lieut. GIEDROYC Jerzy..... comme
représentant en FRANCE du 2nd Corps Polonais.

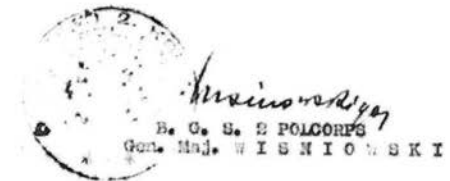
Les autorités militaires et civiles Françaises et
Alliées sont priées et les autorités militaires Polonaises sont
requises de prêter aide et assistance dans tous les cas de
nécessité.



CERTIFICATE

This is to certify that 2nd Lt. GIEDROYC Jerzy
is a representative of 2 Polish Corps in FRANCE.

All French and Allied Authorities are kindly
requested to grant him any assistance in case of need.



, 23 maja 1945r.

L.d.s. G/Pora/45

Do
Pana Jerzego Giedroycia
W. M. I. S. S. S. S.

Powierzam Panu z dniem dzisiejszym kierownictwo Wydziału
Europejskiego w Dziale Kontynentalnym.

MINISTER

Pismo Adama Pragiera z 22.05.1945

Ordre de mission z 8.08.1945 z podpisem gen. Wiśniowskiego

DOWÓDCA 2 KORPUSU

M.p. 4 października 1946.r.

PAN JERZY GIEDROYC

W. R. P.

W myśl rozkazu organizacyjnego, powołującego do życia Instytut Literacki /Casa Editrice "Letere"/ w Rzymie z dnia 28 września 1946 mianuję Pana Kierownikiem Instytutu.

Na kierownika literackiego powołuję Dr. Siutę Tadeusza, a na kierownika drukarni Wacława Władysława.

Kierownika ds. ogólnego wyznaczam płk. z.w.z. Witk.

DOWÓDCA 2 KORPUSU

Władysław Anders
WŁADYSŁAW ANDERS
Gen.Dyw.

Do wiadomości:

Amb. Papies.
Min. Informacji
Delegat Szefa Służby Pien.
Szef Oddz. Kultury i Prasy
Kwatermistrz

*Paul G. Giedroyc
1946 10 10
1946 10 10*

Pismo gen. Andersa z 4.10.1946

KULTURA

WYBÓR SZKICÓW, OPOWIADAŃ I SPRAWOZDAŃ

RYM

NR. 1

CZERWIEC 1947

PAUL VALERY Z - *Krytyka dzieła*
BENEDETTO CROCE Zmierzch cywilizacji

TYMON TERLECKI O. *Współczesność chrześcijańska*
ZYGMUNT ZAREMBA *Przeobrażenia i przemiany w sztuce miedzywojennego*
M. K. DZIEWANOWSKI *Wojna Ludów w Rzymie i Lombardii*
ANDRZEJ BOBKOWSKI *Nehyza*
WIKTOR WEINTRAUB *Lyttton Strachan*
TADEUSZ J. KRÓSKI *Filozofia egzystencjalna Sartre'a*
JOZEF CZAPSKI *Ratownicy (na łamach "Rivista")*
ARTHUR KOESTLER *Przypadek (z "Kroniki bez krzyku")*
HERMINIA NAGLEROWA *W inne czasy (Fragment powieści)*
FEDERICO G. LORCA *Wiosna*

1947.4

Redaktor

JERZY GIEDROYC
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

INSTYTUT LITERACKI
W RYMIE
W ALB. 17

INSTYTUT



LITERACKI

Winieta pierwszego numeru „Kultury”

Wycinek z „l'Humanité” (3.04.1947)

GEN. DYW. W. ANDERS,

1, HILL STREET,

LONDON, W.1.

Dnia 22 kwietnia 49.

Drogi Panie Poruczniku,

W dniu Patrona Pana
przesyłam moje serdeczne
i najlepsze życzenia wszel-
kiej pomyślności w Swojej
pracy kulturalnej i w życiu
osobistym.

Łączę żołnierski uścisk
dłoni.



Por. Jerzy Gedroyć,
Paryż.

WITOLD MALCUZYŃSKI

Dessin de J. Czapski.



Al terminar sus conciertos W. Małcużyński
firmará sus retratos, y los fondos conseguidos
de la venta son destinados al Instituto
Literario Polaco en París.

Ce dessin sera vendu au profit de l'Institut
Littéraire Polonais à Paris et signé par
M. W. Małcużyński après ses concerts.

Reproductions of this drawing will be sold
for the benefit of the Polish Literary Institute
at Paris and signed by Mr. W. Małcużyński
after his concerts.

Wam
 Władysław Gomułka
 Berlin, 29.06.1950

W imieniu p.o. kierownika resortu polityki i zagranicy, który z le-
 rzadą emigracyjną, na podstawie tajemniczego porozumienia z Tobą, si-
 cąca pismo wyraża stanowisko, że wszelkie próby podważenia w wy-
 nie i samowolne poparcie sprawy Władysława Gomułki w sprawie
 wolności kultury w Berlinie.

W związku z tym, proszę Cię o wyrażenie stanowiska w sprawie
 Gedy Narodowej.

Wraz z tym podaję korespondencję, proszę wyrażać stanowisko
 w sprawie.

Bohdan Osadczuk

№ 025 [redacted] Post
 Telegram: 928 AUGSBURG 2 23/22 23 1550 -

28 JUN 1950	KUSZKIEWICZ FRED DO	3
WRAZKOŁOWA 10		
WTA DO ATN DO LEONARD		

WRAZKOŁOWA 10 WRAZKOŁOWA 10 WRAZKOŁOWA 10
 WRAZKOŁOWA 10 WRAZKOŁOWA 10 WRAZKOŁOWA 10
 WRAZKOŁOWA 10 WRAZKOŁOWA 10 WRAZKOŁOWA 10

Pismo Bohdana Osadczuka z 29.06.1950

Appendix - 4

A Letter from André Malraux to "Kultura"

19, AVENUE VICTOR HUGO
 BOULOGNE, 17 SEINE

11 Janvier 1955

Chers Amis,

Une expérience que nous n'avons pas oubliée nous permet
 de reconnaître en Kultura, immédiatement et fraternellement,
 la revue d'un pays occupé.

Vous avez raison de dire que votre combat est mené par
 un groupe entouré de la solitude que rencontre quiconque dit
 " Non " à une oppression victorieuse; mais cette relative
 solitude est la rançon de ce que vous appelez, avec une fier-
 té légitime, votre indépendance morale, politique et matérielle.
 Que Kultura doive quitter l'immeuble qui l'abritait depuis
 sept ans en semble garant; l'aide que vous rencontrez depuis
 la Suède jusqu'à l'Amérique latine le semble aussi, précisé-
 ment parce qu'elle ne suffit pas. Peu importe: le garant de
Kultura, c'est chacun de ses numéros.

Si le monde comprend mal votre drame, c'est d'abord,
 me semble-t-il, qu'il tient la culture polonaise pour une cultu-
 re slave, parente de la culture russe. Oubliant que s'il y
 a un génie russe, il n'y a pas de culture russe au sens où
 l'on parle des cultures des nations occidentales; mais bien
 un lien complexe et ambivalent avec Byzance; et que la culture
 polonaise, liée au latin, ^{moderne} ~~non-slave~~, est une des cultures

Do Redakcji "Kultury"

Drodzy przyjaciele,

Doświadczenie któregośmy nie zapomnieli, pozwala nam od razu i po bratersku rozpoznać w „Kulturze” pismo okupowanego kraju”.

Macie słuszną mówiąc, że w boju, jaki prowadzicie jesteście grupą tak samotną, jak samotny jest każdy kto mówi „Nie” zwycięskiej przemocy; ta względna samotność stanowi cenę tego co uzasadniona wasza duma ma prawo uznać za waszą niezależność moralną, polityczną i materialną. Że „Kultura” musiała opuścić dom, w którym na przeciąg siedmiu lat znalazła schronienie — wydaje się być tego gwarancją; pomoc, z jaką się spotykacie, od Szwecji po Amerykę Łacińską — wydaje się nią być również, właśnie dlatego, że pomoc ta nie wystarcza. Mniejsza o to: gwarancją „Kultury” jest każdy jej numer.

Jeżeli świat niedostatecznie rozumie wasz dramat, dzieje się to, wydaje mi się, przede wszystkim dlatego, że uważa on kulturę polską za kulturę słowiańską, pokrewną kulturze rosyjskiej. Zapominając, że choć istnieje geniusz rosyjski, nie istnieje kultura rosyjska w tym sensie w jakim mówi się o kulturze narodów zachodnich; raczej więź, skomplikowana i dwuznaczna, z Bizancjum; i że kultura polska, związana ze światem łacińskim jest jedną z kultur Zachodu. Stąd okupacja kulturalna (a nie więź kulturalna!) która ciąży wam na równi z dosłowną okupacją. Stąd sens historyczny waszej akcji intelektualnej.

Nie broniąc Polski ani w imię traktatu wersalskiego, ani w imię kapitalizmu, bo odrzucacie i jedno i drugie, wskazując na głęboką niesprawiedliwość społeczną, której wasz kraj w imię sprawiedliwości społecznej stał się ofiarą, broniąc wolności twórczenia przeciwko okupacji, jaką wam narzucono, tak jak my jej broniliśmy zarówno przeciwko nazizmowi jak przeciwko Niemcom, jesteście razem z tymi, którzy, pomiędzy 1940 i 1944, bronili wszelkiej wolności, podobnie jak tylu innych broniło jej dawniej. Wysyłacie potajemnie do Polski książkę Orwella, a nie książkę doktrynera, podobnie jak nasi republikanie wysyłali do Francji „Châtiments” w wydrążonych popiersiach Napoleona III-go. I bez wątpienia czas aby Zachód zrozumiał, że jest z wami złączony, ponieważ wszelki opór jest kwestią wytrwania a pogotowie bojowe wymaga siły ducha.

André MALRAUX

- 2 -

.....
de l'Occident. D'où l'occupation culturelle (et non : le lien culturel !) qui s'ajoute pour vous à l'occupation tout court. D'où le sens historique de votre action intellectuelle.

En ne défendant la Pologne ni au nom du traité de Versailles, ni au nom du capitalisme, que vous rejetez l'un et l'autre, en montrant la profonde injustice sociale dont votre pays est victime au nom de la justice sociale, en défendant la liberté de création contre l'occupation qui vous est imposée, comme nous l'avons défendue à la fois contre le nazisme et contre l'Allemagne, vous êtes liés à tous ceux qui, de 1940 à 1944, défendrez la liberté tout court, comme tant d'autres l'avaient défendue avant eux. Vous faites répéter clandestinement en Pologne le livre d'Orwell, et non un livre de doctrine, comme nos républicains envoyaient en France les Châtiments dans les boîtes creux de Napoléon III ... Et sans doute est-il temps que l'Occident comprenne qu'il vous est lié parce que toute résistance est longue, et que l'attente du combat est nourrie par l'esprit.

André MALRAUX

CONFIDENTIAL

Ref.: 3/PLF/J.GI/1906/WORG

12 September, 1957

Dear Sir,

In reply to your recent letter, the following are the particulars of the military service of:

No. A.07336 2nd Lieut (Inf) Jerzy GIEDROYC

born on 27th July, 1906 at Minsk

parents: Ignacy and Franciszka nee SZARYCKA

Marital status (while serving): married to: Ewa Tatiana nee Schwetznor

Nationality: Polish Religion: Rom. Cath.

Civil occupation (prior to Army Service): Civil Servant

Service with the Polish Forces under British Command:-

from 18th April, 1941 (U.K.) to 6th April, 1948 (when was discharged at Demob. Centre Calais).

Service with the Polish Repatriation Corps: ~~Commissioned~~ None

~~reinstated to~~
~~Commissioned on~~
~~Unemployment~~

~~Commissioned~~
~~Commissioned~~
~~(Commissioned)~~

Former Service and History:-

Civil Servant (Polish Ministry of Industry and Trade) and journalist, did not serve with the Polish Army prior to the war and in Sept. 1939. In 1940/41 was employed for over 1 year at Polish Embassy and then Chilian Embassy in Bucharest (Roumania). On 18.4.1941 joined Polish Carpathian Bde in M.E. (private) and after operations in Tobruk served in M.E., Italy (1944/45) and in the United Kingdom till Nov. 1947, employed as Education Offr. then Press & Public Relation Officer and editor of Polish Military publications. From Nov. 1947 was employed at "Librairie Libella", 12 rue St. Louis en l'Isle, Paris IV. He was finally released from the Forces on 6.4.1948.

British:- 1939/45 Star, Africa Star, Defence Medal.
War Medal 1939/45

Belgium:- Order of the Crown - Chevalier's Cross.

Estonian:- White Star Order - Chevalier's Cross.

French:- Legion of Honour - Chevalier's Cross.

Roumanian:- Order of the Crown - Officer's Cross.

Remarks:- (1) He was commissioned in rank of 2/Lt. on 1.1.1944 (as officer for duration of the war).
(2) His record and services were satisfactory.

Yours faithfully,



[Handwritten signature]

Mr. Jerzy Giedroyc,
91, Avenue de Poissy,
Maison - Laffitte, S. et O.
FRANCE

P.S.F. 31.

Miles 6/56

zadowolające. Jedno jest jednak mimo tych wszystkich paradok-
sów pewne: że nawet tam, gdzie odpadła dogmatyczna posta-
wa chrześcijańska, motorem wszystkich poczynań pozostała
moralna atmosfera z tego dogmatu wyrosła. Bez niej ani Rewo-
lucja, ani pozytywizm, ani socjalizm nie są zrozumiałe.

Wywody te mają tylko jeden cel: wykazanie, że współczes-
na nasza postawa demokratyczna nie jest bynajmniej, jak się
to niektórym ciągle jeszcze wydaje, owocem „bolszewickiej
propagandy” albo „nieszczęśliwym spaczeniem kultury” na
skutek nieporządków i dojścia do władzy tych „z gorszych
rodzin”. Takie patrzenie na wypadki świadczy o skrajnej igno-
rancji sensu europejskich dziejów. Demokratyczny osąd
współczesny jest po prostu końcowym wnioskiem wyciągnię-
tym z ideologicznych założeń, które przepracowywały dusze
naszych ludów w ciągu XX wieków, jest organicznym wyni-
kiem całej naszej duchowej historii. Wypadki przyspieszyły
może rozwój moralny, tak jak mogły być go hamować albo
nawet unicestwić. Nie trzeba jednak zapominać, że idea raz
powołana do życia posiada dziwną moc zmieniania nawet
materialnych warunków. W każdym razie, to, co się stało, re-
wolucja moralna, którą przeżywamy, nie jest naleciałością
obcą: chodzi o rzecz naszą własną, krwawym, wielowieko-
wym wysiłkiem wypracowaną.

III

Wyciągam wnioski. Demokratyzacja moralna jest faktem
psychologiczno-społecznym, bo ogarnęła większość ludzi
należących do przodujących warstw w Europie. Jest faktem,
który wypływa organicznie z całości duchowych dziejów
Europy. Ten drugi czynnik jest wprawdzie, wobec kategorycz-
nego charakteru normy moralnej, nieistotny; gdybyśmy nawet

Pismo z 12.09.1957: przebieg służby wojskowej Jerzego Giedroycia

przejęli demokratyczne imperatywy od obcych, nie zmieniliby to ich obowiązującego charakteru. Ale fakt, że chodzi o normy swojskie, za którymi stoi olbrzymi autorytet tych, którym wszystko, co wielkie i dobre w naszym życiu, zawdzięczamy, dodaje naszemu moralnemu poczuciu godności i siły. Domagając się demokratyzacji, domagamy się nie tylko czegoś, co uważamy za słuszne, ale także czegoś, co stanowi, jeśli można się tak wyrazić, sens naszego dziejowego rozwoju. To jest wniosek pierwszy: nasza moralna postawa wobec obrońców *ancien régime*ów jest moralnie niezwykle mocna.

Drugi wniosek ma charakter przepowiedni. Gdy idea rośnie się po przodujących warstwach, gdy stanie się żywym wierzeniem inteligencji, nic, poza obcą siłą, poza wtargnięciem innych społeczeństw, nie może oprzeć się tej realizacji. Ale w naszym wypadku jest, jak powiedziano, coś więcej jeszcze. Idea demokratyczna jest nie tylko moralną postawą naszych warstw przodujących: jest także wynikiem dziejowego rozwoju, czymś, co organicznie wyrasta z walk, myśli i trudów wieków. Wniosek jest więc jasny: oprzeć się jej u nas nie potrafi nikt. Rewolucja moralna musi się przejawiać w formach ustrojowych i gospodarczych, opanować obyczaj. Stoimy w przededniu wielkiej zmiany, większej od tej, którą przeżyliśmy na przełomie XVIII i XIX wieku.

Toteż obrońcy *ancien régime*ów postawili na fałszywą kartę. Muszą przegrać. A raczej mają tylko jedną szansę wygrania: wdarcie się w nasz krąg kulturalny obcych sił, innych społeczeństw, w porównaniu do naszego zacofanych. Bez takiej interwencji historia przejdzie im ponad głowami. Sprawa jest przegrana z góry.

Te przewidywania nie powinny stanowić powodu do zmartwienia. Mówi się wprawdzie nawet, że obrońcy *ancien régime*ów są obrońcami Europy, jej tradycji i przeszłości, ale nie wydaje się, by ten pogląd był w jakimkolwiek stopniu uzasad-

niony. Tradycja Europy to przecież nie ten czy ów ustrój — widzieliśmy ich tyle! — to nie wartościowania i reakcja tego czy innego umarłego pokolenia. Tradycja Europy w tym, co najistotniejsze, jest niczym innym, jak dziedzictwem pewnych religijnych, moralnych, estetycznych i naukowych ideałów. Bronić tej tradycji nie znaczy kurczowo trzymać się form, które nasza kultura w marszu ku realizacji tych właśnie ideałów po drodze wytworzyła; bronić jej, znaczy obstawać przy tym, co istotne — przy samych ideałach. I dlatego ci, którzy się przysną do demokratycznych zasad, są świadomi, że to oni właśnie mają pełne prawo nie tylko do nazwy „obrońców Europy”, ale, co więcej, do tytułu prawdziwych konserwatystów. Konserwatyzm, tak jak go wielu pojmuje, jest według Whiteheada przeciwny istocie świata — bo świat jest w ruchu, a konserwatyzm tego typu chciałby go od przemian uchronić. Ale poza tym płytkim, niehistorycznym konserwatyzmem jest jeszcze konserwatyzm wyższego rzędu, dynamiczny wysilek nie tylko ku zachowaniu, ale urzeczywistnieniu rzeczy w kulturze naprawdę głębokich.

Jakkolwiek by jednak z tym było, ze stanowiska praktycznego jedno jest pewne: że Europy przez kurczowe trzymanie się przeżytych, przypadkowych form nie obronimy. Jest to, tak mi się wydaje, bardzo ważne wskazanie: komu los naszej kultury na sercu leży, niech baczy, by nie wiązał go z losami reakcji! Nie mógłby jej bardziej zaszkodzić niż przez takie powiązanie rzeczy wielkich z płytkimi.

IV

Dobrze, powie mi ktoś, ale czego panowie właściwie chcecie? Łatwo zrozumieć, że chodzi o jakąś reformę obyczaju, o podawanie np. ręki w jednakowy sposób bogatym i biednym,

uczonym i prostakom. To jednak jak na program społeczny jest niewiele. Czego chce ruch demokratyczny w dziedzinie ustroju politycznego i gospodarczego? Chce jakichś zmian, ale jakich? Jaki konkretny program mu przyświeca?

Na to pytanie trzeba najpierw odpowiedzieć, że oczywiście demokratyzacja moralna musi i powinna się przejawiać nie tylko w obyczaju, ale także w ustroju. Nas, ludzi nowoczesnych, rządzi nie tylko wartościowanie, nie tylko pewien typ reakcji, ale także pewne instytucje. Owe instytucje pragniemy znieść. Negatywny program jest dostatecznie jasny. Gdy nas jednak ktoś zapyta, jaki ma być świat na naszych ideałach zbudowany, myślę, że świadomy i myślący demokratą powinien odpowiedzieć uczciwie: cele są sprecyzowane, ale szczegółów nie znamy.

Stwierdzenie tej niewiedzy wydać się może oburzające. Tu są ludzie, zarzuci się nam, którzy chcą burzyć, a nie mają nawet planu odbudowy. Gubią się w „moralnych”, a więc uczuciowych rozważaniach, a na pytanie, czego konkretnie chcą, nie umieją dać odpowiedzi. Niepoważni marzyciele, szkodliwi przez brak konkretnego planu.

Ale tego rodzaju zarzuty nie wzruszają europejskiego demokraty. To, co się przeciwnikom wydaje marzycielstwem, uczuciowością, brakiem powagi wobec dramatycznych zagadnień rzeczywistości, jest jego zdaniem nie wadą, ale zaletą, nie marzycielstwem, ale właśnie realizmem. Zdaje sobie sprawę, że wypowiadam tutaj zdanie, które niejednego zadziwi i może nawet oburzy. Czyż my, Europejczycy, nie jesteśmy właśnie tymi, którzy racjonalizm nie tylko stworzyli, ale którzy także w jego stosowaniu przewodzą wszystkim ludom świata? Gdzie zrodziła się i do najwyższych szczytów wyrosła filozofia i nauka? Kto stworzył technikę? Jakżebyśmy właśnie mieli wyrzekać się racjonalizmu wobec zagadnienia, które nam najbardziej na sercu leżeć musi?

A jednak tak jest. Jedną z charakterystycznych cech europejskiego ducha jest właśnie to, że, w przeciwieństwie do ściśle racjonalistycznej organizacji wielkich imperiów wschodnich, gdzie wszystko działo się *po planu*, myśmy naszych spraw międzyludzkich *po planu* nigdy nie urządzali. Naszą metodą było zawsze *trial and error*. Wszystko co się naprawdę udało u nas, imperium rzymskie, Kościół katolicki, ustrój Wielkiej Brytanii, konfederacja szwajcarska i tak dalej, wyrosło powoli z wielu walk, z nieudanych prób, metodą kompromisu. Były co prawda wyjątki — jak np. urządzenie Anglii przez Normanów *po planu* feudalnego; były oczywiście i musiały być plany rzutowane przez różnych ludzi i zwalczające się grupy ideowe. Ale na ogół nigdy taki plan nie został „na czysto” zrealizowany. Tak postępowaliśmy zawsze i wydaje mi się, że w obliczu niesłychanych mordów, niesłychanej nędzy innych ludów, nie mamy czego żałować ani czego się wstydzić. Zresztą, taka jest już nasza natura i nasze dziedzictwo — my, Europejczycy, tak właśnie nasze sprawy urządzamy. Nie wydaje mi się także, byśmy w tym grzeszyli przeciw naszemu racjonalizmowi, z którego skądinąd mamy prawo być dumni. Bo racjonalizm wymaga rozsądnego działania; pozwala on na stosowanie jasno przemyślanych projektów tam, gdzie z n a m y dostatecznie położenie, gdzie reakcje materiału dadzą się w dostatecznej mierze przewidzieć. Planujemy więc samochód, a nawet miasto; planujemy bitwę i robimy projekty dla życia gospodarczego. Ale uczciwy racjonalista jest zawsze równocześnie empirykiem — wie, że w ostatecznej analizie rozstrzyga doświadczenie i że tam, gdzie doświadczenia jest mało, niebezpiecznie narzucać twory naszej myśli. Jest, być może, poza tym jeszcze coś głębszego w naszej empirycznej postawie: niechęć do przemieniania naszych społeczeństw w koszary, głęboko w nas zakorzeniona cześć dla wolności ludzkiej.

Zresztą, jeśli nie znamy szczegółów planu i wypracowanie ich wydaje się nam obecnie absurdalne, to nie znaczy, byśmy nie mieli myśli przewodnich. Chcielibyśmy, na przykład, aby każdy człowiek otrzymał naprawdę równy start życiowy. Pragniemy, aby każdy posiadał minimum przyzwoitej egzystencji. Chcemy przymus ograniczyć do koniecznego minimum. Chcemy, aby praca każdego z nas była, o ile możliwości, dla pracownika interesująca, aby był z nią tym zainteresowaniem związany. Żądamy zapewnienia każdemu człowiekowi jak największej strefy życia prywatnego. Chcielibyśmy, aby dobra kulturalne były wszystkim dostępne. Wydaje się nam, że powinno się sprawy urządzić tak, aby ludzie na czołowych stanowiskach nie mogli łatwo krzywdzić innych. Listę tych postulatów można by jeszcze przedłużyć. Ale jak je zrealizować w całości, tego jeszcze nie wiemy.

Jedno wydaje się pewne, jeśli chodzi o ustrój gospodarczy: nie da się u nas przeprowadzić — o ile, raz jeszcze powtarzam, nie wtargnie obca siła — ani skrajny liberalizm, ani pełny kapitalizm państwowy. Oba odrzucamy nie dlatego tylko, że dają złe wyniki gospodarcze, ale dlatego, że prowadzą do pogwałcenia demokratycznych zasad moralnych. Są między nami tacy, którzy rozwiązanie widzą w syndykalizmie, w powierzeniu warsztatów pracy pracownikom; rozwiązanie, które chyba w pełni urzeczywistnić się nie da. Są inni, którzy nie widzą innego wyjścia niż oddanie wszystkich warsztatów państwu; dla tych jednak pozostaje do rozwiązania problem, jak w takim ustroju, w którym państwo, a więc grupa ludzi rządzących, ma w ręku wszystko, uniknąć powszechnego niewolnictwa. Muszę przyznać, że patrzę osobiście z wielką sympatią na pracę, wysiłki i błędy labourzystów angielskich. Wydają mi się oni tak niesłychanie europejscy zarówno w rozumieniu podstawowych zasad demokracji, jak i w

owej metodzie próbowania, nieraz naiwnie, często zbyt śmiało, różnych pomysłów i projektów.

Reasumuję raz jeszcze: moralnie dojrzelismy do wielkiej przemiany; starych form mamy dosyć, chcielibyśmy urzeczywistnić nowe, które by bardziej odpowiadały naszemu moralnemu poczuciu. Poczucie to jest wynikiem naszych własnych, europejskich dziejów. A form, które wypadnie im dać, szukamy także naszym, europejskim sposobem, próbując różnych rozwiązań. Idea, organicznie z naszego dziedzictwa wyrosła, winna organicznie być wcielona w życie. Co do mnie, nie wątpię, że urzeczywistniona zostanie.

V

To jest, mamy prawo liczyć na jej realizację, o ile — jak już parokrotnie nawiasowo wspomniałem — nie wtargnie w tok naszego życia obca, plemienna siła. Otóż każdy wie, że zagrożenie takie istnieje: wtargnięciem grozi nam mianowicie nie tyle Ameryka (choć i ona nasuwa zagadnienie, którego lekceważyć nie powinniśmy), ile przede wszystkim Rosja. Rosja nie tylko brutalną siłą narzuca swoje koncepcje trzeciej części Europejczyków, ale interweniuje nawet tam, gdzie siły użyć jeszcze nie może, na Zachodzie. Interweniuje przy tym w sposób, który wywołuje zamęt, przesłania istotę zagadnienia i istotne między nami różnice, a zagraża nie tylko tym, co może zdziałać, gdy zajmie resztę Europy, ale i tym, co czyni obecnie przez swój przemożny wpływ. Dlatego zagadnienie Rosji musi być ze stanowiska wysuniętych tutaj też demokratycznych uważnie rozpatrzone; jest to zagadnienie w tej sprawie kapitalne. Polakowi szczególnie trudno jest o nim pisać: między nami a Rosją stoi mord katyński, męka setek tysięcy

wygańców, gwałt na milionach naszych ludzi. A jednak, jeśli chce się rzeczy widzieć takimi, jakie one są, trzeba się zdobyć na obiektywne, wolne od nienawiści spojrzenie. Uczylł wprowadzie Scheler i po nim powtarzają egzystencjaliści, że nienawiść „odslania” jakieś aspekty nienawidzonego przedmiotu, których bez niej dojrzeć niepodobna, ale Scheler tezy swojej nigdy poważnie nie udowodnił, a całe doświadczenie ludzkie przemawia przeciw niej, a za twierdzeniem, że nienawiść, jeśli nawet coś odslania, to wiele więcej i ważniejszych szczegółów zakrywa, oślepiając nienawidzącego. Kto chce rozumieć, musi patrzeć zimno na Rosję, jak na przedmiot, nie jak na wroga.

Powiedzmy więc najpierw, że bolszewizm niesie aż dwa czynniki do naszych podobne. Jest on — zapomina się o tym zbyt łatwo — tworem duszy rosyjskiej, a więc chrześcijańskiej; Lenin co prawda chrześcijaninem nie był i Boga nienawidził; ale podobnie nienawidziło Go tylu z naszych reformatorów, którzy przecież przejęci byli do głębi niektórymi postulatami moralności chrześcijańskiej. Ów element ewangeliczny jest więc pierwszym czynnikiem, który sprawia, że bolszewizm może na nas działać, że może zdobywać wśród nas zwolenników. Jest jeszcze i coś innego. Sam marksizm, wypaczony wprowadzie, spłycony, zbarbaryzowany, ale przecie marksizm. A marksizm jest po prostu jednym z tych paradoksalnych ruchów, które wiarę chrześcijańską odrzuciwszy, niesione są pod względem moralnym przez chrześcijaństwo. Jest on poza tym z nami związany bardziej bezpośrednio: publicystyka i propaganda socjalistów europejskich dokonała swego; jesteśmy wszyscy, jeśli o pewne moralne hasła chodzi, pod jego wpływem. Należy on obecnie już do naszego dorobku. Bolszewizm wyrosł z chrześcijańskiej duszy rosyjskiej i oparty na marksizmie zawiera więc elementy, które do nas przemó-

wić potrafią. Nie jest to tylko czysta teoria; doświadczenie wykazuje, że wielu, zbyt wielu myślących Europejczyków przyjmuje bolszewizm. Można naturalnie twierdzić, że czynią to z żądzy władzy, z samej nienawiści albo przez głupotę — ale co do mnie, nie wierzę, aby tak było. Zbyt wielu uczciwych i moralnie zdrowych ludzi czarowi bolszewizmu ulega, aby tak mogło być.

Ci ludzie popełniają jednak błąd, wynikający, jeśli się nie mylę, z parafianśszczyzny pewnego typu. Wydaje mi się mianowicie, że wszystkie narody świata są akurat takie w swojej kulturalnej istocie jak ich własny naród; i kiedy znajdują w propagandzie bolszewickiej hasła, na które my, Europejczycy, jesteśmy, dzięki naszej tradycji i historii, szczególnie czuli, wydaje im się, że bolszewizm niesie ze sobą postęp ku realizacji naszej idei. To jednak jest właśnie kapitalnym, nie do darowania, błędem. Bolszewizm jest, być może, postępem dla Rosjan; dla nas nim nie jest i w żadnych okolicznościach być nie może.

Rozpatrzmy najpierw rzecz apriorycznie. Czym jest Rosja? Zdaje mi się, że bez obrazy obiektywizmu można o niej powiedzieć, iż — jeśli idzie o ideę demokratyczną — jest krajem zacofanym. U nas idea ta kształtowała się poprzez znane etapy: prawo rzymskie — głoszenie Ewangelii — feudalizm — Renesans — Rewolucja Francuska — pozytywizm — socjalizm. Rosja nie знаła prawa rzymskiego. Rosja nie znała na serio feudalizmu; nie wytworzył się w niej typ wolnego człowieka. Rosja nie przeszła ani Renesansu, ani Rewolucji Francuskiej. Miała u podstaw chrześcijaństwo i dostała w podarku od marksistów strzępy naszego pozytywizmu. Jest krajem, z naszego historycznego punktu widzenia, biednym, o ubogiej przeszłości. My potrzebowaliśmy dwóch tysięcy lat takich doświadczeń, takich walk, aby dojść do tego, czym

jesteśmy; jakżeż oni mogli przeskoczyć to wszystko i stać się od nas pod tym względem lepszymi? Już *a priori* trzeba powiedzieć, że nic podobnego stać się nie mogło i że Rosja w stosunku do nas nie może być krajem postępowym.

Jeśli teraz popatrzymy na fakty, nietrudno będzie stwierdzić, że aprioryczne wnioski znajdują w nich pełne potwierdzenie. Wiem, że bolszewizm wniósł do tego kraju coś w rodzaju początkującego poczucia demokratycznego; wiem, że tęsknota za życiem, w którym nie byłoby panów i niewolników, i tam istnieje. Ale na panów i niewolników dzieli się ona przecież w sposób dla nas niezrozumiały i przerażający. Co więcej, choć panuje w tym kraju powszechne uznanie dla „prawa” gnębienia człowieka, nie ma przeciwwagi, czegoś co by przypominało nasz średniowieczny ideał rycerza czy wolnego chłopca, nie było od wieków i nie ma kasty ludzi, którzy niewolnikami być nie chcą. Rosja jest krajem nie tylko straszliwych nierówności, ale także krajem moralnie usankcjonowanego niewolnictwa. Zewnętrznym przejawem tego faktu jest instytucja niewolniczej pracy obejmująca wielomilionowe rzesze i rządy terroru na miarę u nas nie znaną. A to, że rosyjskie poczucie moralne nie protestuje, jest dowodem, że nie jest demokratycznie dojrzałe.

To jednak nie jest jeszcze najważniejsze. W powyższych rozważaniach stałem ciągle na stanowisku, że Rosję można z Europą porównywać, że można określać, kto zaszedł dalej po tej samej drodze. Otóż ta hipoteza jest niemal na niczym nie oparta. Oczywiście, bijącym w oczy, faktem jest przecież, że Rosja tworzy odrębny, wielce od naszego różny krąg kulturalny, że mogą być między nami a nimi punkty styczne, ale najzupełniej chyba przypadkowe — bo chodzi o dwie linie rozwojowe zasadniczo różne. W tych warunkach zakładanie, że Rosja może stanowić dla nas wzór do naśladowania, nie jest tylko błędem: jest po prostu nonsensem. Dorosły lew

może być ideałem lwiątko; ale nie będzie nim nigdy dorosły krokodyl, choć zdarzyć się może, że posiada on niektóre cechy i ze stanowiska natury lwa pożądane. Przejęcie rosyjskich ideałów tak dalece nie jest postępem, że jest po prostu *metabazis ejus allo genos*, przejściem na całkowicie inną płaszczyznę, do innej kultury.

VI

Rosja jest w tej chwili u nas największą podporą reakcji. Jej wpływ stanowi najpoważniejszą przeszkodę w realizacji europejskich ideałów demokratycznych. Nie chodzi tylko o to, że Rosja jest sama krajem reakcyjnym, krajem, w którym panują wartościowania w porównaniu z naszymi zacofane, a wraz z wartościowaniami instytucje sprzeczne z naszym poczuciem. I ten szczegół nie jest bez znaczenia, bo gdyby Rosja miała Europę opanować, groziłoby załamanie się naszej linii rozwojowej, po prostu zduszenie naszej kultury przez obcy krąg kulturalny. Ale Rosja hamuje nasz ruch rozwojowy nawet tam, gdzie jej policja nie może dławić głosu europejskiego sumienia. Jej wpływ stanowi dziś jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw dla demokracji właśnie tam, gdzie noga bolszewickiego komisarza jeszcze nie stanęła.

Chodzi o sprawę następującą. Rosja występuje na zewnątrz z propagandą niektórych haseł, pokrywających się z hasłami europejskiej demokracji. Jej agenci powtarzają nieustannie, że walczą z kapitalistami, z „lepszymi rodzinami” i tak dalej, że pragną przynieść równość, wolność, demokrację. Niektórzy spośród nas dają się uwieść tym próżnym słowom. Ale takich jest mniejszość. Większość ludzi, należących do przodujących warstw Europy, nie jest ślepa na rosyjskie zakłamanie, nie potrafi nie dostrzegać oczywistych faktów, które przeczą sło-

wom rosyjskich agentów i ich naiwnych „towarzyszy drogi”. Fakty te wołają o antydemokratyczny duch i antydemokratycznych instytucjach w Rosji współczesnej. Wołają także wielkim głosem, że Rosja jest kontynentem nam kulturalnie obcym, że zawładnięcie przez nią Europy byłoby może równoznaczne ze zniszczeniem naszej kultury.

Nic dziwnego, że wielu, zbyt wielu ogarnia strach. Świadomy swojej odpowiedzialności Europejczyk postawić sobie musi wobec grozy niebezpieczeństwa moskiewskiego pytanie, czy w chwili, gdy o sam byt naszej kultury idzie, wolno nam przeprowadzać zmiany, choćby najbardziej z moralnego punktu widzenia pilne — skoro te zmiany mogą osłabić nas, bo każda zmiana osłabia? Pytanie to muszą sobie postawić tym bardziej ludzie odpowiedzialni za los swoich krajów, za los Europy. I łatwo zrozumieć, że groza rosyjska hamuje rozmach demokratycznych reform, paraliżuje wolę zmiany u najbardziej nawet uświadomionych Europejczyków. Już pod tym względem więc wpływ Rosji działa na demokratyzację Europy hamująco.

To jednak nie wszystko. Zewnętrzne podobieństwo między moralnymi ideałami europejskiej demokracji a hasłami, których używa propaganda rosyjska, stwarza potężną broń w rękach reakcji. Cóż łatwiejszego, jak człowieka, który nawołuje do zniesienia niesprawiedliwości społecznej, który protestuje przeciw nieeuropejskiemu kultowi tak zwanych „lepszych” ludzi, który chciałby lepszego ustroju, nowych form życia — nazwać „bolszewikiem”? Że on te hasła przeżywa jako moralne imperatywy, podczas gdy dla agentów rosyjskich chodzi tylko o chwyt, na to nie zważa nikt. Że demokracja europejska jest w swej istocie chrześcijańska, a więc zorientowana na człowieka, podczas gdy Rosjanom chodzi nie o człowieka, ale o oderwaną dialektykę, tego obrońcy *ancien*

régime’ów nie widzą i widzieć nie chcą. Skutek jest taki, że zwolennik demokracji ma nieraz związane ręce.

W rezultacie, trzeba to ze smutkiem stwierdzić, groza rosyjska paraliżuje jednych, uniemożliwia działalność innym, innych jeszcze wprzega w rydwan antydemokratycznej, nieeuropejskiej sprawy — a wreszcie niektórych wprost wpędza w obóz reakcji.

W szczególnie trudnym położeniu znajdują się ci, którzy jak my, Polacy, nie mają żadnej możliwości przeprowadzania jakichkolwiek zmian, bo w kraju swoim nie rządzą. Groza tego, co się pod rządami moskiewskimi dzieje, jest tak wielka, że zupełnie naturalnie myśl nasza ześrodkowuje się na sprawie niepodległości, a więc na rzeczy czysto negatywnej albo, jeśli kto woli, czysto formalnej. Ponieważ jednak pusta forma nie może być ideałem, ponieważ nie można marzyć o „Polsce” ani walczyć o nią, nie nadając jej żadnej treści — idziemy po linii najmniejszego oporu i formę niepodległościową wypełniamy treścią najlepiej nam znaną — tym, co było u nas przed wojną. Bardziej jeszcze niż inni zagrożeni jesteśmy przez Rosję wtłoczeniem w obóz reakcji.

Ale tego Rosja współczesna zapewne chce i, być może, dąży świadomie do takiego zglajchszaltowania nas pod trypim sztandarem umarłej epoki. Gdyby się jej to udało, odniosłaby większe zwycięstwo niż w Jalcie: na placu pozostałaby sama, oko w oko z kierunkiem oczywiście skazanym na zagładę, pozbawionym dynamicznych sił moralnych, nie reprezentującym niczego. A wówczas z mocy tych strzępów naszych ideałów, jakie bolszewizm, mimo wszystko, reprezentuje, choć je spaczył i utopił w masie wartościowań i ideałów nieeuropejskich, przeciwdemokratycznych — mogłaby być pewna pełnego sukcesu, bo odniosłaby zwycięstwo na płaszczyźnie moralnej.

VII

Wnioski wydają mi się oczywiste. Nie wolno nam dać się wpędzić w obóz reakcji. Nie wolno zaprzestać naszej pracy, organicznie z całości europejskich dziejów wynikającej. Mimo straszliwego zagrożenia, mimo olbrzymich oporów, jakie nieprzyjaciel nam w nas samych stwarza — a raczej właśnie dlatego, że to zagrożenie i te opory istnieją — jest naszym obowiązkiem realizować to, co uważamy za słuszne i sprawiedliwe. Obowiązek ten nie jest łatwy. Dużo wygodniej jest chwycić się kurczowo prostych, „pryncypialnych” formuł: tej, która głosi, że wszystko ma zostać, jak było, albo tej, tak cudownie prostej, bolszewickiej. Urzeczywistniać nasz wielki i trudny ideał w nasz skomplikowany, empiryczny sposób jest znacznie trudniej. Znacznie trudniej jest tym bardziej, że wypada nam pracy tej dokonać trzymając jedną rękę na mieczu, co gorzej, poświęcając znaczną część czasu na kucie broni, bez której zginąć musimy. Ale to jest cena, jaką się płaci za wielkość. Wielka kultura nie realizuje się wygodnymi środkami: buduje się w walce, w obliczu niebezpieczeństwa, kosztem narażania wszystkiego, co się posiada i czym się jest.

Jeśli zaś o nas, Polaków, chodzi, nie tylko nie mamy prawa usuwać się od tej pracy, ale mamy w niej szczególne obowiązki. Zakładam, oczywiście — to jest inny aspekt współczesnej moralnej rewolucji — że w duchu nikt z nas nie jest już tylko Polakiem, ale Europejczykiem z kantonu Polska. Sytuacja jest obecnie taka, że (pomijając moralną stronę zagadnienia), wolność odzyskać możemy tylko pod warunkiem scalenia Europy i jej zwycięstwa w walce z molochem rosyjskim. Wszystko więc, co Europę wzmocni bez względu na to, jak ten czy ów Europejczyk z innych kantonów na naszą kantonalną sprawę się zapatruje, jest naszym lokalnym, polskim interesem. A wśród tych rzeczy jest obrona przeciw narzuca-

nej przez Rosję reakcyjności i walka o wprowadzenie w życie ideałów, o które warto walczyć i ginąć. Mamy nie mniej, ale więcej od innych powodów, by się od współpracy w tej dziedzinie nie usuwać.

Mamy jednak i inne zadanie, którego, o ile się orientuję, nie spełniamy prawie wcale: myślowe budowanie Polski przyszłości. Wydaje mi się, że przekleństwo jakieś ciąży na naszej myśli politycznej, która zakrzepła na poziomie z 1939 r. — jeśli nie z 1926 roku. Pewnie, że myśleć jest trudno, będąc tak daleko od realnej pracy w swoim kraju. A jednak myśleć trzeba. Trzeba dyskutować, tworzyć projekty, budować moralne poczucie, które pozwoli nam kiedyś wrócić do kraju z czymś więcej niż z ambicją zobaczenia z powrotem ojczystych stron i może ojczystego miejsca przy biurku.

ZESPÓŁ „KULTURY”

Tekst opracowany przez J. M. Bocheńskiego, O.P.
(„Kultura” nr 9, 1951)

V

Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 1-go czerwca br. odbył się Zjazd Polonii Amerykańskiej w Atlantic City, N. J., na który zjechało się około 800 delegatów różnych organizacji polonijnych w St. Zjednoczonych i Kanadzie oraz liczni przedstawiciele emigracyjni z Europy Zachodniej. Między innymi Zjazd zaszczylił swą obecnością dwaj Księża Biskupi polskiego pochodzenia: J.E. A. M. Zalewski i J.E. H. T. Klonowski. Miło nam stwierdzić, iż Polonia w Ameryce pamięta o swojej roli i przywiązaniu względem dawnej ojczyzny, Polski, manifestując je na takich czy innych zjazdach. Wszystko to wygląda bardzo pięknie, ale niejeden Polak zapatrujący się na obecne sprawy polskie w świecie z międzynarodowego punktu widzenia, gdy zanalizuje niezliczone przemówienia, odczyty i deklaracje, które zwykle sypią się z ust delegatów czy dyplomatów jak z rękawa, na pewno niełatwo mu przyjdzie wyrobić sobie jednolity pogląd na te sprawy. I tak na Zjeździe w Atlantic City, N. J., przemawiali pp. dr T. Bielecki, K. Bagiński, S. Pyzik, Sznajder i wielu innych. Panowie ci przypomnieli zachodniemu światu politycznemu Sybir i Katyń, wezwali władze amerykańskie do położenia kresu okupacji sowieckiej w Europie Środkowowschodniej, dodali ducha i nadziei Rodakom w Kraju, ostrzegając ich, by na razie nie podejmowali akcji antykomunistycznej, gdyż krok tego rodzaju przyczyniłby się raczej do zupełnej utraty dotychczasowego cienia wolności. Następnie była mowa o granicach Polski, której charakterystyczny urywek przytaczam. „Domagamy się uznania granicy Odry i Nysy Łużyckiej na zachodzie, a linii traktatu ryskiego ze Lwowem

i Wilnem na wschodzie, oraz całymi Prusami Wschodnimi i Królewcem na północy”.

Czyż nie są to marzenia ściętej głowy? I może Churchill miał rację, gdy w roku 1945 powiedział: „*Poles have every virtue, except political sense*”. Jesteśmy chyba jedynym narodem, który żyje wspomnieniami przeszłości, i patrzymy na rzeczywistość obecną przez szkła XIX wieku, kiedy to słowa Rzeczpospolita Polska oznaczały Koronę, Litwę i Ruś. Granice obecne są najkorzystniejsze dla Polski. Ziemie Odzyskane są naszą własnością, o których polskości nie tylko mówią fakty historyczne, lecz świadczą o niej nawet odkrycia prehistoryczne. A więc strzeżmy naszych granic na zachodzie; przekonajmy świat, iż mamy pełne prawo do Ziemi Odzyskanych.

Polacy lubią domagać się sprawiedliwości i wiedzą, jak ją ocenić, ale gdy przyjdzie się nam wymierzyć sprawiedliwość dla kogoś, to używamy bardzo skąpej i kto wie, czy nie wręcz fałszywej miary. Niemal 3/4 Polaków znajdujących się na emigracji pochodzi z tzw. Kresów Wschodnich. Znaczna część osiedliła się na Wołyniu, Polesiu i Podolu jako „koloniści” polscy po reformie rolnej, inni to potomkowie od wieków zamieszkałych tu rodzin polskich — dawnej szlachty. Kresy Wschodnie wraz z kilku milionami Rusinów (Ukraińców), Białorusinów i Litwinów przypadły Polsce Odrodzonej w wyniku traktatu ryskiego. Wilno na północy, Lwów na południu — te tak „szczeropolskie” miasta sprawiły nam najwięcej kłopotów i narobiły wrogów. Tak jak my Polacy mamy prawo do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, tak Litwini słusznie się domagają Wilna, a Ukraińcy Lwowa. Dowody historyczne wykazują, iż miasta te nigdy nie były rdzennie polskimi. Jakkolwiek faktem jest, że większość mieszkańców Lwowa i Wilna uważała się za Polaków przed rokiem 1939, to jednak grubo myli się ten, kto utrzymuje, iż miasta te muszą być kiedyś Polsce zwrócone. Litwini nigdy nie zapomną o Wilnie i do-

póty nie będzie zgody między nami, dopóki nie oddamy im tego Wilna. Z drugiej zaś strony Ukraińcy nie podarują nam Lwowa. Po zakończeniu ostatniej wojny Kresy Wschodnie zostały „oczyszczone” z Polaków. Gdy dojdzie do trzeciej wojny światowej i do ewentualnej klęski Rosji Sowieckiej, nasze apetyty na Lwów i Wilno powinny by już zupełnie wygasnąć. Niech Litwini, którzy gorszy niż my los przeżywają, cieszą się swym Wilnem, a we Lwowie niech powiewa sino-żółty sztandar. My zaś zwróćmy oczy na Wrocław, Gdańsk i Szczecin i budujmy Polskę na jej własnej glebie. Wtedy na pewno sąsiedzi nasi ze wschodu i północy obdarzą nas zaufaniem. Przy współpracy Ukrainy i Litwy, Federacja Europy Środkowowschodniej stanie się faktem dokonanym.

Ślę wyrazy wysokiego poważania.

Ks. JÓZEF Z. MAJEWSKI

*St. John Vianney's Seminary,
Pretoria, Afryka Połudn.*

(„Kultura” nr 11, 1952)

VI

NIEPOROZUMIENIE CZY TANI PATRIOTYZM?

NOTA REDAKCJI

W związku z listem ks. Józefa Z. Majewskiego i serią spowodowanych tym listem wypowiedzi naszych Czytelników, które drukujemy poniżej — pragniemy zaznaczyć, co następuje:

1. Kolumna Listów do Redakcji jest „wolną trybuną” i poglądy wyrażane w listach są wyrazem prywatnych opinii Czytelników, a nie Redakcji „Kultury”. Wystarczy pobieżnie przejrzeć ten dział, by stwierdzić, że zamieszczamy przeważnie listy, które wyrażają krytykę naszych poglądów, względnie reprezentują stanowisko odmienne od tego, które w danej sprawie zajmuje Zespół „Kultury”. Nie drukujemy listów z pochwałami i komplementami, bo uważamy, że na to szkoda miejsca.

2. Odnosnie meritum sprawy pragniemy przypomnieć naszym Czytelnikom, że pogląd Zespołu „Kultury” na zagadnienie ziem wschodnich sformułowaliśmy kilkakrotnie, omawiając te sprawy w artykułach J. Łobodowskiego i J. Mieroszewskiego. Celem uniknięcia nieporozumień definiujemy nasze stanowisko powtórnie:

Polska może odzyskać i utrzymać byt niepodległy tylko w ramach sfederalizowanej całej Europy. Twierdzimy, że prawo udziału w przyszłym europejskim federacyjnym związku mają nie tylko narody, które tworzyły niepodległe państwa w r. 1939, lecz również Ukraińcy i Białorusini. Z uwagi na niebezpieczeństwo imperializmu rosyjskiego, obecne i przyszłe —

powstanie niepodległej Ukrainy i jej uczestnictwo w europejskim związku federacyjnym — dla Polski jest sprawą pierwszorzędno znaczenia.

Jest nonsensem i złą wolą każdemu, który usiłuje wyprostować tragiczny splot stosunków polsko-ukraińskich, zarzucać sprzedawczykostwo i handlowanie ziemią Rzplitej. Na emigracji nikt nie jest upoważniony do zaciągania jakichkolwiek zobowiązań dotyczących zmiany granic. Nie zwalnia nas to jednak od obowiązku usiłowań zmierzających do wypracowania nowych form i koncepcji — zwłaszcza że od roku 1939 zaszły wielkie zmiany i odbudowa sytuacji przedwojennej na ziemiach wschodnich wydaje się nam zarówno niemożliwa, jak i niepożądana.

Wychodząc z takich założeń artykuł J. Łobodowskiego *Przeciw upiorom przeszłości* („Kultura” nr 2/52-3/53) — zaopatrzyliśmy notą od redakcji z zaznaczeniem, że pogląd autora w tej sprawie pokrywa się z opinią Zespołu „Kultury”.

Niestety istnieje spory odłam polskich polityków i publicystów na emigracji, którzy sądzą, że obrona Polski obejmuje również konserwację sporu polsko-ukraińskiego, i w zrozumieniu tej grupy każdy krok zmierzający do porozumienia pomiędzy Polakami a Ukraińcami jest zdradą i zbrodnią stanu.

Sytuacji polsko-ukraińskiej z r. 1939 ani w jej aspekcie politycznym, ani terytorialnym nie uważamy za ideał, który bez zmian należy odbudować. Wręcz przeciwnie. Ponieważ w chwili obecnej istnieje ponad 30 zatargów granicznych w Europie Wschodniej i Środkowowschodniej — nie ulega wątpliwości, że gdy przyjdzie do organizowania nowego systemu europejskiego, wiele granic — w tym i wschodnia granica Polski z r. 1939 — muszą być poddane rewizji. Istotną w tym zagadnieniu jest tylko jedna sprawa, a mianowicie, by ewentualne zmiany czy korektury nie były narzucone czy

podyktowane, lecz by opierały się o swobodnie powziętą decyzję narodów polskiego i ukraińskiego. Jesteśmy zwolennikami zmian, ale zwolennikami tylko takich zmian, za którymi wypowiedzą się w przyszłości upoważnione reprezentacje narodów polskiego i ukraińskiego.

Uważamy natomiast, że tu na emigracji jest naszym obowiązkiem przedyskutować w przyjaznej atmosferze całość tych spraw w nadziei wypracowania koncepcji, która posłużyć by mogła w przyszłości za podstawę rozmów polsko-ukraińskich.

ZESPÓŁ „KULTURY”
(„Kultura” nr 1, 1953)

VII

DO KRAJOWYCH CZYTELNIKÓW „KULTURY”

„Nowe Drogi” i „Trybuna Ludu” — organy Komitetu Centralnego PZPR — podjęły frontalny atak przeciwko „Kulturze”.

Głównym zarzutem jest, że redaktorzy „Kultury”, „głowami i nogami” tkwią w przeciwnym obozie. Zgodnie ze stalinowską tradycją, tak świetnie reprezentowaną przez osławiony biuletyn „Kraj” — ów „przeciwny obóz” oznacza imperia-listyczne, rewizjonistyczne Niemcy, sprzęgnięte z siłami reakcji całego świata.

Należymy niewątpliwie do odmiennego obozu niż „Trybuna Ludu” i „Nowe Drogi”, ale nasz rodowód nie wywodzi się ani z Waszyngtonu, ani z Bonn. Przynależymy do tego obozu Polaków w Kraju, którzy wierzą, iż „nie ma socjalizmu bez demokracji, a demokracji bez wolnej prasy”. Tego hasła nikt w Polsce nie zagłuszy i członkowie KC jeszcze nieraz posłyszają je na ulicach Warszawy. Teraz, gdy zamknięto „Po prostu” i ogranicza się prasę — na „Kulturę” w pierwszym rządzie spada cały ciężar walki o wolność i rzetelną demokrację.

Zdajemy sobie sprawę, że wszelka „nielegalszczyzna” utrudnia proces demokracji, ale nie mamy przed sobą innego wyboru. Spodziewaliśmy się, że partia rozsądną polityką wypośredkuje margines bezpiecznej wolności pomiędzy groźbą interwencji a naporem społeczeństwa. Niestety straszak interwencji służy przede wszystkim jako generalny argument do zwalczania najbardziej uzasadnionych żądań wolnościowych.

W kraju, w którym istnieje cenzura, nie ma potrzeby zamykać pism opozycyjnych. W przypadku „Po prostu” chodziło nie o zamknięcie pisma, lecz o rozbięcie grupy, która miała szansę stać się w przyszłości ośrodkiem krystalizacyjnym odrodzonej myśli socjalistycznej.

Nigdy nie było i nie jest naszym celem zaognianie stosunków polsko-rosyjskich. Nie tracimy nadziei, że przyjdzie chwila, kiedy Rosja zechce oprzeć się nie na satelitach i agentach, lecz na sojusznikach i przyjaciółach.

Wysuwając już przed paru laty koncepcję neutralizacji i ewakuacji wojsk sowieckich i amerykańskich z Europy Środkowowschodniej — spotkaliśmy się początkowo z tą samą nieufnością i konserwatyzmem w myśleniu na Zachodzie. Koncepcja ta jednak się przyjmuje, została przede wszystkim podtrzymana przez lewicę europejską z labourzystami na czele i dziś coraz więcej realistów politycznych i ludzi naprawdę dobrej woli, szukających wyjścia z impasu światowego bez katastrofy wojennej — do niej dołącza. Wierzymy, że tego typu rozwiązanie wpłynęłoby wydatnie na poprawę stosunków między narodami polskim i rosyjskim. Ale komunistyczne sfery, rządzące w Polsce, są przeciwne temu projektowi, bo realizacja tej koncepcji wyrażałaby się zmniejszeniem bezpośrednich wpływów sowieckich, a tym samym straszak interwencji — ten najbardziej wszechmocny i wszechstronny instrument polityczny — jednego dnia straciłby wszelki sens.

Tak w tej sprawie, jak i w sprawie Rad Robotniczych czy innych form samorządu społecznego i w ogóle w każdej sprawie — jedynym kryterium polityki Polski Ludowej jest nadal interes partii i racja stanu partii, a nie Polski.

Dając wyraz naszej wierze w możliwość ewolucyjnej zmiany i poprawę warunków w kraju — nie rozumieliśmy przez to, że któregoś dnia komuniści odejdą od komunizmu. Sądzieliśmy natomiast, że komuniści, wykorzystując wyjątkową sy-

tuację, zechcą zamienić ów przywilej geopolityczny, stanowiący fundament ich egzystencji, na autentyczne zaufanie i solidarne poparcie narodu. Droga do tego celu wiodła poprzez demokratyzację — poprzez poszerzanie marginesu wolności — poprzez budowę społecznego i gospodarczego modelu ustrojowego, który czyniłby zadość aspiracjom nie tylko parusettyśecznej partii komunistycznej, ale i pozostałej dwudziestoośmiomilionowej reszcie polskiego społeczeństwa. Komuniści polscy mieli przed sobą dosłownie dziejową szansę wykazania światu, że potrafią przewodzić demokratycznemu społeczeństwu w oparciu o demokratyczne metody i instytucje. Mieli szansę podważyć tezę — uznaną za pewnik przez setki milionów ludzi na Zachodzie — a mianowicie, że z komunistami nie można współpracować, a można ich tylko zwalczać. Całe zainteresowanie „polskim eksperymentem” sprowadza się *de facto* do tego problemu.

Dziejową szansę miał „polski eksperyment” przede wszystkim w bloku sowieckim i w Azji. Ile narodów, żyjących w poczuciu zupełnej beznadziei, nagle z Polską zaczęło wiązać swoją przyszłość. Co zrobiono, by te — w tej chwili nikłe — odruchy wykorzystać do współpracy? Tchórzostwo, prowincjonalizm, schlebienie tępemu szowinizmowi — kazało nadal ograniczać się jedynie do drętwych „dekad przyjaźni”. Co dano, co próbowano dać młodzieży niemieckiej, czeskiej czy ukraińskiej, by wziąć pierwsze z brzegu przykłady?

Jesteśmy realistami i nawet „Trybuna Ludu” przyznaje nam trzeźwość w ocenach sytuacji polskiej. Toteż nie domagaliśmy się całkowicie wolnych wyborów w obecnych warunkach. Ale demokratyzację i uspołecznienie można przeprowadzić i bez pełnych wolnych wyborów. Między wyborami i restauracją parlamentaryzmu a represjami prasowymi jest wielka różnica. Między wyborami a pacyfikowaniem demonstracji studenckich pałkami policji — jest różnica nie mniejsza. Co in-

nego domagać się wyborów, a co innego domagać się skasowania hańbiącego embarga na polskie zagraniczne wydawnictwa naukowe i literackie. W obecnej sytuacji Polska nie może być jeszcze, niestety, w pełni krajem demokratycznym — ale już nie musi być totalistycznym ciemnogrodem, gdzie nie dopuszcza się studium o Puszkynie wybitnego rusycysty — tylko dlatego, że zostało ono napisane i wydane w Ameryce.

Nie ulega dla nas wątpliwości, że hamowanie demokratyzacji, zwężanie sfery wolności, cenzury, konfiskaty, a ostatnio aresztowania — to wszystko w 80% nie jest dyktowane obawą przed interwencją sowiecką, ale względami partyjnymi. Partia czuje się zbyt słaba i wewnętrznie rozbita i dlatego wraca do metod policyjnych. I w tym miejscu komuniści wstępują w orbitę błędnego koła. Metody policyjno-administracyjnego przymusu partii nie wzmocnią, wzmocnią natomiast i skonsolidują opozycję, pogłębią rozczarowanie, zwiększą ogólną niechęć i marazm.

Mimo że „Trybuna Ludu” podjęła przeciw nam świętą wojnę — nie wpływa to w niczym na nasz stosunek do Kraju i do Władysława Gomułki. Jesteśmy zawsze gotowi popierać każdą sprawę, która leży w interesie Polski. Pozostajemy nadal przekonani, że jest rzeczą możliwą, w oparciu o Październik, budować postępowy, społecznie sprawiedliwy i coraz pełniej demokratyczny ustrój społeczny w Polsce.

Zdajemy sobie sprawę i z tego, że dla władz Polski ludowej jesteśmy niewygodni. Ale dlaczego w walce przeciwko „Kulturze” uciekać się do prostackich kłamstw?

„Trybuna Ludu” w omawianym artykule pisze m.in.: „...nad naszą granicą, wzdłuż Odry i Nysy, stałyby dywizje odwetowego Wehrmachtu. Te dywizje — to pierwszy punkt programu budowy «demokratycznego socjalizmu» w wydaniu pana Mieroszewskiego”.

To są zdania jakby żywcem wycięte z taśmy bierutowej propagandy: emigracja w sojuszu z odwetowym Wehrmachtem szykuje się do osadzenia w Polsce kapitalistów i reakcjonistów. Czy naprawdę redakcja „Trybuny Ludu” uważa wszystkich swych krajowych czytelników za idiotów?

Największe zagrożenie Ziemi Odzyskanych to nie Wehrmacht, który się jeszcze nie narodził, ale zbrodnicze zaniedbanie tych Ziemi, które są dziś większą pustynią niż w roku 1948. Proponujemy, by Gomułka, który zna przecież ten problem, odwiedził obecnie, po latach, Ziemię Zachodnią i wyciągnął ze swej podróży odpowiednie wnioski.

I wreszcie ostatnie nieporozumienie. Nie dobijamy się o debity dla „Kultury”. Walczymy jedynie o normalizację stosunków i w związku z tym o zniesienie embarga na periodyki i wydawnictwa emigracyjne. „Kultura” — tak jak docierała do Kraju za Bieruta — tak i dociera i będzie docierać za Gomułki. Popularność i pozycja „Kultury” w Polsce nie zrodziły się przecież z powietrza. Nielegalizację — powtarzamy raz jeszcze — uważamy za niebezpieczną dla demokracji. Niestety władze partyjne zmuszają do tej drogi nie tylko nas, ale wszystkie ideowo wartościowe i niezależne ugrupowania w Kraju, nie wyłączając najwartościowszych kół młodzieży.

Emigracji nie da się zredukować do pocziwej „Polonii”, wysyłającej paczki i dostarczającej dewiz. Wydawać by się mogło, że nikt nie jest bardziej powołany do trafnej oceny politycznej możliwości emigracji jak marksiści, którzy winni mieć żywo w pamięci rolę, jaką odegrały emigracyjne, lewicowe koła i związki. Prasa rosyjska sprzed pierwszej wojny światowej rola się od kpin z „kawiarnianych polityków” i „emigracyjnych kibiców”. A przecież z genewskich kawiarni wyszła rewolucja październikowa...

Inna jest nasza rola i inne nasze perspektywy. Niemniej

jednak zadanie nasze pojmujemy a m b i t n i e. Jesteśmy za socjalizmem i demokracją, za postępem i wolnością. Nikt nas nie przekona, że to są pojęcia przeciwstawne. Wiemy, że podobnie myślą tysiące Polaków w Kraju. Będziemy mówić za tych, którym konfiskują artykuły i likwidują pisma, za tych, którym zamykają usta gazem łzawiącym, za tych — którzy uciekli w obawie przed prześladowaniem. Będziemy walczyć wolnym słowem w imieniu zmuszanej coraz bardziej do milczenia polskiej niezależnej myśli.

REDAKTOR

(List na papierze biblijnym rozsyłany jesienią 1957)

VIII

DO CZYTELNIKÓW I PRZYJACIÓŁ

Z wielu względów trudno nam poruszać w druku niektóre problemy, sądzymy więc, że list, pozwalając nam na większą swobodę, spełni rolę niejako wewnętrznego biuletynu, informującego o naszych poczynaniach.

Polska ma największą emigrację polityczną i zarobkową ze wszystkich krajów Europy Środkowowschodniej. Temu też przypisujemy w pierwszym rzędzie fakt, że w ciągu lat już ponad jedenastu ukazuje się takie pismo, jak „Kultura”. Być może wybór Francji na siedzibę pisma okazał się o tyle szczęśliwy, że duże centrum międzynarodowe daje dostęp do wiadomości politycznych i kulturalnych, ułatwia śledzenie sytuacji w Polsce i chroni od zamknięcia się w jednym politycznym środowisku.

Przywiązujemy dużą wagę do równoległego rozwoju różnych ośrodków emigracji i do współpracy z nimi, rozumiejąc zwłaszcza znaczenie ośrodków zamorskich. Równocześnie, zapewne dzięki sile polskiej paryskiej tradycji, „Kultura” przekształciła się w rodzaj instytucji, na szczęście niebiurokratycznej, bo z bardzo szczupłym personelem. Dom nasz w Maisons-Laffitte pod Paryżem, zakupiony dzięki pomocy czytelników-przyjaciół, w znacznym stopniu wypełnia biblioteka, jak się zdaje jedyna tego typu na świecie, bo zawierająca zarówno publikacje emigracyjne od 1939 roku, jak książki i czasopisma wydawane w Kraju i na emigracji po 1945 r., nie mówiąc o literaturze zachodniej. W obecnej chwili biblioteka liczy 16 000 tomów i jest stale uzupełniana. — Obok niej jest biblioteka

pism obejmująca komplety pism w języku polskim, ukraińskim, litewskim, czeskim, rumuńskim oraz w językach zachodnich. To gromadzenie zbiorów okazało się, jak dowiódł upływ czasu, rozsądne, gdyż posiadamy druki niełatwe już do znalezienia nawet w bibliotekach Warszawy czy Krakowa.

Zarazem nasza działalność, początkowo ograniczona do wydawania miesięcznika, rozszerzyła się na inne dziedziny mocą samej konieczności. Wskutek pogłębiającego się kryzysu organizacji politycznych wiele zadań, które mogłyby być spełniane przez większe grupy, spada na barki naszego zespołu. Tak więc spostrzegliśmy, że zaczynając od małego, stopniowo zostaliśmy zmuszeni do podjęcia szeregu prac i doraźnych, i obliczonych na dalszą metę.

Przedstawiając nasze plany zaczniemy oczywiście od naszego pisma. Chcielibyśmy udzielać możliwie dużo miejsca życiu emigracji w różnych krajach, i to nie tylko w formie aktualnych wiadomości, ale opisów i analiz socjologicznych. Jak wiadomo, jest to dotychczas teren niemal dziewiczy. Drukowaliśmy już fragmenty pierwszej w tej dziedzinie książki o polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii, pióra B. Sulika i B. Czaykowskiego. Książkę tę wydamy w bieżącym roku.

Zagadnienie młodzieży wychowanej poza Polską i już dwujęzycznej szczególnie nas obchodzi i doceniamy ważną rolę, jaką ta młodzież może odegrać w przyszłości, stanowiąc pomost pomiędzy odmiennymi kulturami.

Co do naszego stosunku do Kraju, to nie możemy chyba być oskarżeni o sztywność postawy. Zawsze dbaliśmy o jak najżywszy kontakt z tym, co się tam odbywa, i nasz stosunek jest, pochlebiamy sobie, rzeczowy czy też empiryczny. Gotowi jesteśmy popierać każdą zmianę, która wychodzi na dobre 28 milionom mieszkańców Polski, jak złożyliśmy tego dowód w Październiku i bezpośrednio po Październiku. Wydaliśmy wtedy natychmiast w osobnej broszurze przemówie-

nie Gomułki, chcąc, aby dotarło do jak największej liczby odbiorców naszego pisma. Natomiast w walce z tendencjami powrotu do dawnego stanu rzeczy nie widzimy możliwości jakichkolwiek kompromisów. Tendencje te, naszym zdaniem, uległyby osłabieniu wskutek nowego układu międzynarodowego, dlatego też nieraz opowiadaliśmy się na łamach „Kultury” za koncepcją strefy zneutralizowanej i zdemilitaryzowanej w środku Europy.

Środowiska emigracyjne mają nieraz skłonność do zasklepienia się w swoim narodowym kręgu albo, przeciwnie, do zatracania swojej odrębności. I jedno, i drugie wydaje się nam szkodliwe. Stąd, starając się wyławiać nowe emigracyjne talenty literackie, uważamy zarazem za konieczną konfrontację polskich osiągnięć w literaturze, nauce i sztuce z podobnymi osiągnięciami krajów, gdzie nam przebywać wypadło. Publikujemy więc omówienia dzieł albo utwory obce w przekładzie. Korzystając z Paryża jako miasta, gdzie spotykają się ludzie różnych narodowości, zapewniliśmy współpracę szeregu pisarzy cudzoziemskich. Nieraz zdarza się, że ich utwory ukazują się w „Kulturze” niemal równocześnie z drukiem oryginału w innym języku. Zdarza się też, że utwory pisarzy polskich pojawiają się najpierw w „Kulturze”, a następnie, wydane w tłumaczeniu, przyczyniają sporo hałasu na terenie międzynarodowym. Nie ograniczamy się do tej wymiany i postanowiliśmy zrobić próbę nawiązania ściślejszej łączności z cudzoziemcami. W bieżącym roku zostanie wprowadzony w „Kulturze” kwartalny dodatek, w językach angielskim i francuskim, zawierający ciekawsze materiały, mogące zainteresować tych czytelników, którzy nie znają polskiego.

W jaki sposób, obok wydawania pisma, udało się nam działać również jako dom wydawniczy, sami nie bardzo wiemy. Niemniej Biblioteka „Kultury” obejmuje już dzisiaj ponad

czterdzieści pozycji. Akcja ta rozwinęła się głównie w ciągu ostatnich kilku lat i zadecydowała o tym wyraźna potrzeba. Nie dublujemy innych firm wydawniczych, wybieramy książkę, jeżeli nie może się ona gdzie indziej ukazać. W tej sytuacji są książki, które, czy to ze względu na nazwiska ich autorów, czy na ich treść, nie mają szans w Polsce. Tak np. olbrzymia ilość tłumaczeń z obcych języków sprowadza się w Polsce, wskutek wymagań cenzury, głównie do beletrystyki, natomiast dzieła o charakterze ideologicznym, nieraz podstawowe dla myśli współczesnej, są zakazane. Powoduje to bardzo ujemne skutki, gdyż ucieczkę od problematyki pozaliterackiej jako „niebezpiecznej”. Zresztą niektóre dzieła literackie też są objęte zakazem cenzury. Jakkolwiek pracujemy na emigracji i zasadniczo dla emigracji, wierzymy, że myśl wyrażona w polskim języku, czy będą to utwory oryginalne, czy tłumaczone, stanowi pewną całość i że powinniśmy wypełniać te luki. Tym się kierując, wydaliśmy w końcu ubiegłego roku tak zupełnie różne pozycje, jak *Wybór pism* Simone Weil, *Człowiek zbuntowany* Camusa, powieść *W polu* Rembeka, *Rewolucję menadżerską* Burnhama. Nasz program na najbliższą przyszłość przewiduje pierwszą doprowadzoną do ostatnich czasów *Historię Polski* Pawła Zaremby; polski przekład *Doktora Żiwago* Borysa Pasternaka, który przygotowuje Paweł Hostowiec, oraz specjalną kolekcję pod nazwą *Dokumenty*. Będzie ona zawierać materiały dotyczące zagadnień, które żywo obchodzą ludzi w Kraju czy też mają duże znaczenie ogólne. W kolekcji tej ukazał się obecnie *Program Związku Komunistów Jugosławii* wraz z najważniejszymi krytykami prasy sowieckiej, mającymi charakter zasadniczy. W najbliższym czasie ukaże się: *Kultura masowa* — dyskusja o *mass culture* tocząca się obecnie w Ameryce, w opracowaniu i przekładzie Czesława Miłosza, i jako dalsze tomy: anto-

logia artykułów ogłoszonych w ostatnich latach przez anty-stalinowskich marksistów zachodnich oraz antologia polskich prac z okresu „burzy i naporu”, tj. z lat 1955-1957.

Leży nam na sercu nieznajomość problematyki polskiej u najbliższych sąsiadów i, na odwrót, nieznajomość problematyki tych sąsiadów u nas. Dlatego przystępujemy, na razie dorywczo, do wydawnictw książkowych w językach obcych. W najbliższym czasie ukaże się czeski przekład *Cmentarzy* Marka Hlaski oraz antologia w języku ukraińskim *Rozstrzelane Odrodzenie*, obejmująca utwory (poezja, proza, dramat, esej) 40 najwybitniejszych pisarzy Ukrainy Sowieckiej z okresu 1917-1933. Ponieważ pisarze ci w większości zostali zlikwidowani, a dzieła ich są zakazane, antologia ta, objętości ok. 800 stron, będzie zapewne dla czytelników znających ukraiński, a przede wszystkim dla samych Ukraińców prawdziwym odkryciem nie znanej Ukrainy. Przedsięwzięcie, przynajmniej, dość szalone, ale celowe, jeżeli liczą się akty zmierzające do poprawy stosunków polsko-ukraińskich.

Kończąc ze sprawami wydawniczymi, przechodzimy do innych działów. „Kultura” co roku przyznaje dwie nagrody literackie, jedną dla pisarza emigracyjnego, drugą dla krajowego, w wysokości 100 000 franków każda, oraz nagrodę plastyczną, w wysokości 70 000 franków.

Napływ młodzieży z Kraju do Paryża na kilkumiesięczne pobyty związane ze studiami przyczynia nam wielu trosk. Młodzież ta jest, z powodu braku dewiz w Kraju, najczęściej zupełnie bez pieniędzy, z trudnością daje sobie radę w obcym mieście. Nie sposób jest odnieść się do jej losu obojętnie. Ustanowiliśmy więc dwa stypendia paromiesięczne po 25 000 franków i, biorąc pod uwagę, że hotele pochłaniają znaczną część studenckiego budżetu, zapewniamy potrzebującym bezpłatne mieszkanie w domu „Kultury”. Nie jest to akcja filantropijna, ale pomoc tym, co faktycznie studiuja,

robią prace dyplomowe, odbywają praktyki specjalizacyjne etc. Nie jest to też akcja polityczna, jakkolwiek mogłaby być tak w Warszawie interpretowana, toteż musi być prowadzona bardzo dyskretnie.

Zresztą na brak pieniędzy cierpią nie tylko przybysze z Kraju. Szereg literatów na emigracji, czy to ze względu na wiek, czy choroby, jest w nędzy, dlatego zmuszeni zostaliśmy wprowadzić dwa stypendia dla nich, jedno stałe, a drugie zmienne, w wysokości mniej więcej 25 000 franków każde.

Wydając miesięcznik i książki chcemy, żeby trafiały one do rąk nie tylko emigracyjnych czytelników. Wysyłamy więc bezpłatnie od 500 do 700 egzemplarzy każdej pozycji do Polski, częściowo pocztą, przede wszystkim przez okazje, nie możemy też, rzecz jasna, traktować przybyszów stamtąd jako handlowych klientów i dostają oni nasze wydawnictwa darmo.

W Polsce szereg osób wypuszczonych z więzień po Październiku 1956 znajduje się w skrajnej nędzy (często jest to forma dalszego prześladowania). Pomagamy im w miarę naszych możliwości, wybierając ludzi wybitnych i zasłużonych, niezależnie od ich przekonań politycznych, przez wysyłanie co miesiąc trzech do czterech paczek.

Ten nasz program jest, jak na pismo emigracyjne, bardzo ambitny i nieraz spotykamy się ze zdaniem, że zapewne stoją za nami jakieś potężne instytucje czy fundusze. Na szczęście, czy niestety, zdanie to nie odpowiada prawdzie. Z naszymi podkreślamy, że „Kultura” nie korzysta z niczyjej subwencji i nie jest związana z żadną organizacją, ani polską, ani cudzoziemską. Czasami ludzie dobrej woli pomagają nam jednorazowymi darami na poszczególne cele, czasami uzyskujemy pomoc na wydanie jakiejś książki, ale cały ten budżet musi być wygospodarowany z własnych funduszy, to jest z prenumerat „Kultury” i sprzedaży książek.

Gdybyśmy, zamiast rozwijać stopniowo nasze wydawnictwo w ciągu ubiegłych lat jedenastu, zaledwie utrzymywali je przy życiu, być może żenowałoby nas stwierdzenie, jakie nastąpi. Oto w chwili, kiedy wyraźniej niż kiedykolwiek dostrzega się społeczny pożytek takiej placówki jak nasza, zauważyć możemy w niektórych środowiskach emigracyjnych apatię oraz skłonność do odwracania się od polskich pism i książek. Przyczyny tego zjawiska są wielorakie, niepoślednie jednak znaczenie ma zapewne poczucie braku jasno określonych celów. My natomiast sądzimy, że najważniejsza jest postawa czynna i że celów działania jest raczej nadmiar — świadczą o tym chociażby dyskusje, zarówno na emigracji jak w Kraju, na temat wielu utworów przez nas drukowanych. Dlatego zwracamy się do naszych czytelników z prośbą o współpracę w przełamywaniu zaraźliwej apatii. Pomóc nam można tymi środkami, które stanowią naszą podstawę finansową, tj. prenumerując pismo i kupując nasze książki. Reforma monetarna we Francji ugodziła nas dotkliwie, gdyż podniosła znacznie koszt drukarni, prądu elektrycznego, pocztę etc. Mimo to prenumerata „Kultury”, 6 dolarów rocznie, a więc 50 centów miesięcznie, jest jedną z najniższych. Każdy, werbując nowych prenumeratorów, przekonując przyjaciół (a być może i siebie), że nasze książki zasługują na to, aby je kupować, przyczynia się do powodzenia naszej akcji. Prenumerata stanowi minimum, ale nie wystarcza. Idzie również o kupowanie książek. Rozprzedana książka pozwala na wydanie następnej, umożliwia również bezpłatną wysyłkę do Polski.

Oczywiście, można się z nami w wielu rzeczach nie zgadzać, mamy jednak nadzieję, że można ocenić nasze dobre intencje. Jeżeli nie zawsze mamy rację, to w każdym razie prowadzimy uczciwą dyskusję i nie wstydzimy się przyznawać do błędów. Naszym zdaniem postawa czynna, choćby

niekiedy prowadziła do różnic w opiniach, może jedynie nadać sens naszej emigracji. Po raz pierwszy zwracamy się do emigracyjnych czytelników z takim apelem. Dotychczasowy nasz dorobek daje gwarancję, że nie idzie tu o podtrzymanie efemerydy, ale o umożliwienie dalszego rozwoju placówce, która złożyła egzamin samowystarczalności. Stale ostatnio zwężający się zakres swobody słowa w Kraju zmusza nas do szczególnego wysiłku.

REDAKTOR JERZY GIEDROYC

Maisons-Laffitte, w marcu 1959

IX

Ś † P

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

ur. w Krakowie 3 lutego 1906 r.
zmarł w Londynie po ciężkiej chorobie
w dn. 21 czerwca 1976

„Pokładam w Bogu nadzieję, że nowe operacje nie będą konieczne i że niedługo będę mógł wrócić do normalnej pracy — bo choć «Kultura» daje sobie doskonale radę beze mnie — mnie trudno jest żyć bez pisywania do «Kultury», której poświęciłem najlepsze lata mojego życia”.

Tak zakończył Juliusz Mieroszewski swój *List do czytelników* z listopada ubiegłego roku. Powiedział w tym zdaniu, czym „Kultura” była dla Niego. Nad świeżym grobem Mieroszewskiego chcemy powiedzieć, czym był dla „Kultury”. Więcej niż jej naczelnym i bardzo wybitnym publicystą, od którego artykułów nasi czytelnicy zaczynali w ciągu dwudziestu sześciu lat lekturę miesięcznika. Był rzadkim okazem pisarza politycznego, oddanego swemu piśmu bez reszty. W małym londyńskim pokoiku, wypełnionym książkami i gazetami, myślał o jednym tylko: o kolejnym artykule do „Kultury”. Podczas częstych odwiedzin przyjezdnych z Kraju, i o ileż rzadszych wizyt znajomych emigracyjnych, mówił o jednym tylko: o sprawie polskiej w kontekście śledzonej uważnie, opukiwanej dzień po dniu, sytuacji międzynarodowej. Żył nieustanną myślą o miejscu niepodległej i demokratycznej

Polski w świecie z trudnym do wyrażenia samozaparciem, graniczącym z abnegacją. Był emigrantem politycznym doskonałym, zrosniętym ze swoją comiesięczną trybuną nierozdzielnie. Jak mało kto miał prawo napomknąć w liście do czytelników (który okazał się listem pożegnalnym) o „poświęceniu najlepszych lat życia” trwaniu i walce na posterunku publicystycznym, który był zawsze i przede wszystkim służbą czytelnikom.

Zapewne „Kultura” będzie sobie dawać radę bez Niego, ale nie — jak w przesadnej skromności sądził — doskonale. Śmierć Mieroszewskiego stwarza w naszym piśmie wyrwę, której nikt nie wypełni. Wraz z Nim umarła część „Kultury”.

REDAKCJA „KULTURY”
(„Kultura” nr 7-8, 1976)

Ś † P

ZYGUNT HERTZ

Współzałożyciel i najbliższy współpracownik Instytutu Literackiego po długiej i ciężkiej chorobie zmarł 5 października 1979 roku w Maisons-Laffitte, przeżywszy 71 lat; został pochowany 9 października na cmentarzu w Mesnil-le-Roi.

*

Jest to druga strata, która dotyka nasz mały zespół. Dla uczczenia pamięci Juliusza Mieroszewskiego i Zygmunta Hertza Instytut Literacki ustanawia coroczne stałe nagrody:

Nagrodę literacką im. Zygmunta Herta;
Nagrodę publicystyczną im. Juliusza Mieroszewskiego.
Wysokość każdej nagrody będzie wynosiła F. 5 000,00. Po
raz pierwszy będą one przyznane w końcu bieżącego roku.

REDAKCJA „KULTURY”
(„Kultura” nr 11, 1979)

X

ROZMOWA KRZYSZTOFA POMIANA
Z JERZYM GIEDROYCIEM

1. *Czy przypuszczał Pan, że dożyje do upadku komunizmu i odzyskania przez Polskę niepodległości? Jeśli tak, jak Pan sobie to wyobrażał? Co w wydarzeniach z lat 1989-91 było dla Pana najbardziej zaskakujące, co sprawiło Panu największą radość, co było najważniejszym rozczarowaniem?*

— Byłem od bardzo dawna przekonany, że imperium sowieckie upadnie i że wskutek tego Polska odzyska niepodległość. Nie przypuszczałem jednak, że to może nastąpić tak szybko i jeszcze za mego życia.

W wydarzeniach z lat 1989-91 największą radość sprawiła mi postawa społeczeństwa: niezmiernie jednolita, zdecydowanie antykomunistyczna i gotowa do największych poświęceń. Ta postawa społeczeństwa niestety nie tylko nie została wykorzystana, ale przeciwnie, zmarnowana. Największym rozczarowaniem była dla mnie postawa nowej elity politycznej, która doszła do władzy. Była ona do tego zupełnie nie przygotowana. Walczyła cały czas jedynie o nawiązanie dialogu z władzą komunistyczną, niezmiernie przeceniała siłę PZPR-u i na skutek tego z miejsca poszła na niepotrzebne koncesje i ustępstwa. Była również zupełnie nie zorientowana w rozpadzie imperium sowieckiego i jego słabości, żyjąc w ciągłym strachu przed reakcjami Moskwy. Ten strach paraliżował jakąkolwiek szerszą działalność, specjalnie na Wschodzie. Dawna opozycja zupełnie nie liczyła, że może nastąpić odzyskanie niepodległości i że ona dojdzie do wła-

dzy, wobec tego nie miała przygotowanych ani kadr, ani opracowanych ważniejszych zagadnień. Przez lata walczyłem o to, żeby się tym zająć. Pieniędzy było wystarczająco dużo, było wielu bezrobotnych intelektualistów i specjalistów, którzy mogli poszczególne tematy opracować, jak np. współpracę z Ukrainą czy z Rosją, gdy Polska odzyska niepodległość.

Zwracałem uwagę, jaką rolę tego rodzaju przygotowawcze prace odegrały w czasie konferencji pokojowej w Wersalu po pierwszej wojnie światowej. Były przygotowane opracowania ze wszystkich dziedzin; niestety tego obecnie całkowicie nie brano pod uwagę, uważając to za jedną z moich fobii.

2. Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia Pan dorobek Drogiej Rzeczypospolitej? Jakie pozostawił on wzorce do naśladowania? Jakie przykłady negatywne?

— W tej chwili panuje tendencja do bezkrytycznego brązowania tego okresu. Niewątpliwie było w Dwudziestoleciu bardzo dużo rzeczy pozytywnych i godnych naśladowania.

Przed wszystkim z miejsca dokonano ogromnego wysiłku scalenia prawodawstwa wszystkich trzech zaborów, uruchomiono w niezwykle szybkim tempie zniszczony przemysł, wyszkolono wojsko, co było przecież improwizacją.

Jedną z cech bardzo ważnych i pozytywnych była ogromna uczciwość. Pensje urzędnicze były bardzo niskie, tym niemniej nadużycia i łapownictwo zdarzały się bardzo rzadko. Nie wykorzystywano stosunków i protekcji. W całej historii Dwudziestolecia była tylko głośna sprawa *trafic d'influence* Parylewiczowej. Gdy premier Światłowski pojechał do Nicei na wakacje samochodem służbowym płacąc z własnej kieszeni za benzynę czy reperacje — wywołało to taką burzę, że spowodowało jego dymisję.

Wyostrzone poczucie państwowości, służby i ofiarności dla państwa było tak silne, że np. po klęsce wrześniowej i porachunkach z sanacją, które prowadził gen. Sikorski, wszyscy

przywódcy, jak marszałek Śmigły-Rydz czy min. Beck, zgłosili chęć współpracy, poinformowania o ich działalności — przecież w wielu wypadkach poufnej — jak np. umowa polsko-francuska czy pertraktacje z Anglią. Niestety zaślepienie partyjne spowodowało odrzucenie tej gotowości, z jakże wielką stratą dla sprawy polskiej. Tak np. przekazane do Angers materiały dotyczące umowy polsko-francuskiej nie były nawet rozpakowane.

Nie brakowało także spraw negatywnych: katastrofalna polityka narodowościowa, pacyfikacja Małopolski Wschodniej, niszczenie cerkwi, tendencje antysemickie i dyktatorskie, które ujawniały się w ostatnich latach przedwojennych, zaniedbanie kryzysu rolniczego, przeludnienie wsi, sztywna polityka finansowa (np. odmowa dewaluacji złotego), skłonność do działań nielegalnych, jak sprawa brzeska, i próby naginania sądownictwa dla celów politycznych, okłamywanie społeczeństwa — przedstawianie mu w sposób przesadnie optymistyczny potęgę kraju i wojska.

3. Jak określiłby Pan miejsce PRL-u w historii Polski:

a) czy można mówić o „czarnej dziurze”? Czy uważa Pan za trafne określenie: „Trzecia Rzeczpospolita”? Czy między PRL-em a Polską dzisiejszą widzi Pan jakąś ciągłość? Jaką?

b) Jaki jest Pana pogląd na „dekomunizację” rozumianą jako prawny zakaz zajmowania stanowisk publicznych przez byłych członków lub działaczy PZPR-u?

— „Trzecia Rzeczpospolita” to jakby stwierdzenie, że bezpośrednio po prezydencie Mościckim był prezydentem Wałęsa. Jest to zwykła bzdura. PRL, mimo zwasalizowania przez Związek Sowiecki, był jednak w pewnym sensie państwem polskim i na niektórych odcinkach dokonał rzeczy pożytecznych dla interesów Polski. Trzeba pamiętać, że nie tylko Stalin i KGB, ale także sami Polacy brali udział w zniewoleniu Polski, we wszystkich zbrodniach i nadużyciach.

Ciągłość między PRL-em a Polską dzisiejszą podkreśliła zresztą sama „Solidarność”, przeforsowując różnymi sztuczkami gen. Jaruzelskiego na prezydenta Polski czy w pewnej mierze fałszując wybory do Sejmu, aby nie wyglądało to na pogrom PZPR.

Przy okazji uwaga: nową elitę rządzącą cechuje po prostu brak dobrych manier: np. robienie nieprzyzwoitych sztuczek, by prezydentura Wałęsy nie została przyjęta z rąk Jaruzelskiego, czy nawet niezaproszenie go na intronizację Wałęsy.

„Dekomunizacja” czy różne grube kreski także są bzdurą. Wśród byłych członków PZPR-u było wiele osób przyzwoitych i cennych, nie mówiąc o tym, że przynależności do PZPR-u można się dopatrzeć w życiorysach wielu przywódców obecnego *establishmentu*. Natomiast jest zaskakujące, że nie pociągnięto do odpowiedzialności działaczy Bezpieki, sędziów i prokuratorów, odpowiedzialnych za haniebne represje i morderstwa. Sprawa ks. Popiełuszki i Przemyka — to grubo nie wszystko. Jest rzeczą niezrozumiałą, że nie zabezpieczono tajnych akt Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i bezpieki, nie mówiąc już o wywiadzie i kontrwywiadzie. Te wszystkie akta powinny były być zebrane w jednym miejscu, uporządkowane przez osoby godne zaufania. Ma się rozumieć, powinny one być tajne, ale powinny też służyć jako cenny materiał dokumentacyjny, niezmiennie potrzebny dla oczyszczenia atmosfery politycznej w kraju, która jest zatrutowana plotkami, publikowaniem różnych „niedyskrecji” ogłaszanych dla rozgrywek personalnych.

4. *Jak z perspektywy dnia dzisiejszego ocenia Pan „Solidarność”?*

— Negatywnie. Był to wspańiały zryw świata robotniczego i postępowej inteligencji, który w dużym stopniu został zmarnowany przez euforię, przecenianie własnych możliwości. Stan wojenny zastał „Solidarność” zupełnie do tego nie przygotowa-

na, bez zabezpieczenia ciągłości pracy i wypracowania linii postępowania. W czasie stanu wojennego pewne rzeczy zostały odbudowane nawet bardzo imponująco, jak prasa i wydawnictwa podziemne, ale jednocześnie powstały rozłamy i rozgrywki personalne. Dziś jest najwyższy czas, żeby odłożyć „Solidarność” do archiwum, a nie traktować jej jak dziurawego parasola, pod którym chce się chować różne rzeczy.

5. *Jaka Pana zdaniem powinna być w Polsce — dziś i w najbliższej przyszłości — rola państwa? W gospodarce? W kulturze?*

— Przez dłuższy czas rola państwa będzie bardzo duża. Przekształcenie się gospodarki Polski bez ingerencji państwa jest właściwie niemożliwe. To, że w tej chwili ta rola państwa jest głupia i szkodliwa, nie zmienia faktu, że bez działalności państwa jest niemożliwe przejście do nowego typu gospodarki. Tak samo rola państwa powinna być bardzo duża w dziedzinie kultury. Bez pomocy państwa nie mogą funkcjonować teatry, film, imprezy kulturalne krajowe czy międzynarodowe, życie naukowe, wydawnictwa wartościowe, które nie mogą liczyć na samodzielne utrzymanie się, etc.

6. *Jaka jest Pana wizja ustroju Polski?*

a) *z jakich wzorów winni czerpać autorzy nowej konstytucji?*

b) *jak widzi Pan stosunki władzy ustawodawczej i wykonawczej, rolę urzędu prezydenckiego, organizację aparatu państwowego, stosunki między państwem a Kościołem katolickim?*

— Przede wszystkim należy sprecyzować uprawnienia prezydenta, do których należą w pierwszym rzędzie: mianowanie premiera (ale nie odwoływanie go), rozwiązanie parlamentu, wprowadzenie stanu wyjątkowego, mianowanie naczelnego wodza.

Wybór prezydenta powinien nastąpić nie w wyborach

powszechnych, ale przez zgromadzenie elektorów, z których jedna trzecia składałaby się z przedstawicieli samorządów terytorialnych, jedna trzecia z samorządów i związków zawodowych, jedna trzecia z instytucji naukowych i kulturalnych.

Należy zredukować co najmniej o jedną trzecią liczbę posłów i senatorów.

Dla uniknięcia rozdrobnienia partyjnego — czego świadkami jesteśmy obecnie — należy wprowadzić, na wzór Niemiec, barierę uzyskania w wyborach co najmniej 5% głosów.

Ustalenie trybunałów rozjemczych, rozwiązujących konflikty i ograniczających prawo strajku, jeśli idzie o pracowników służby zdrowia, transportu i bezpieczeństwa.

Jeśli idzie o okres przejściowy, to należy się opierać na obecnie obowiązującej konstytucji. Wszystkie próby wprowadzenia „małej konstytucji” są szkodliwe i powodują tylko zamieszanie.

Działalność Kościoła nie może być sprzeczna z ustawodawstwem państwowym. Jest niedopuszczalne, jak to miało miejsce przy ostatnich wyborach, aby Kościół, czyli znakomita większość proboszczów, ustalał listy partii i osób, na które należy głosować, przy czym propagandę prowadzono jeszcze w dniu wyborów.

Powinien być przeprowadzony rozdział Kościoła od państwa.

Należy ustalić taryfy za usługi kościelne.

Należy zakazać ściągania z obywateli zamieszkałych w danych parafiach prawdziwych haraczów na budowę kościołów, jak to ma miejsce np. przy budowie kościoła na Okęciu.

Należy anulować niezrozumiałe przywileje, jak na przykład nadziały ziemi dla parafii z państwowego zapasu ziemi, której nie ma dla reemigrantów ze Związku Sowieckiego.

7. *Jakie są Pana zdaniem niebezpieczeństwa wewnętrzne, które grożą dziś Polsce?*

— Zniechęcenie i desperacja społeczeństwa z powodu obniżającego się stale poziomu życia, rosnące bezrobocie, kryzys rolniczy, brak zaufania do władzy. Tego rodzaju sytuacja może grozić nie kontrolowanym wybuchem.

8. *Jakie są niebezpieczeństwa zewnętrzne?*

a) *czy podziela Pan pogląd tych, którzy utrzymują, że Polska nie musi się interesować Rosją, gdyż ta nie jest naszym sąsiadem? Jak Pan widzi przyszłą rolę Rosji?*

b) *czy uważa Pan za uzasadnione obawy związane z możliwością pojawienia się na wschodniej granicy Polski niepodległej Ukrainy wyposażonej w broń nuklearną?*

c) *czy Pana zdaniem możliwe jest gospodarcze i cywilizacyjne skolonizowanie Polski przez Niemcy?*

— Rosja jest ciągle dla nas bardzo ważnym partnerem zarówno politycznym, jak i gospodarczym. Jest więc rzeczą wielkiej wagi znormalizowanie stosunków polsko-rosyjskich.

Niepodległość Ukrainy ma dla Polski ogromne znaczenie. Bardzo dobrze się stało, że Polska pierwsza tę niepodległość uznała i nawiązała stosunki dyplomatyczne. Nie obawiam się zagrożenia nuklearnego ze strony Ukrainy, wręcz przeciwnie. Ukraina chce usunąć ze swego terytorium broń nuklearną. Obawiam się jedynie koncentracji broni nuklearnych w republice rosyjskiej. Niebezpieczeństwem jest natomiast narastanie nastrojów skrajnie nacjonalistycznych różnych grup politycznych, na szczęście — jak dotąd — nielicznych. Z analogicznymi tendencjami w społeczeństwie polskim należy walczyć jak najbardziej energicznie.

Nie wierzę w gospodarcze i cywilizacyjne skolonizowanie Polski przez Niemcy. Przy całym pesymizmie, jeśli idzie o sytuację Polski, nasza prężność kulturalna jest wystarczająco silna. Trzeba natomiast szereg rzeczy uporządkować, jak np. sprawę Śląska, ale to jest osobne zagadnienie.

9. *Czy Pana zdaniem Polska ma jakieś szczególne obo-*

wiązki wobec swych sąsiadów z północy i ze wschodu, zwłaszcza wobec Litwy? Na czym one polegają?

— Pomijając względy historyczne i sprawę mniejszości polskiej na Litwie, bez współpracy z Litwą nie jesteśmy w stanie rozwiązać np. problemu Okręgu Kaliningradzkiego. Okręg ten, jeżeli zostanie zaludniony przez Niemców rosyjskich, może być dla nas ogromnym zagrożeniem w przyszłości.

Równie ważna dla interesów polskich jest Białoruś. Jest to spłot zagadnień bardzo dla Polski istotnych ze względów przede wszystkim narodowościowych i religijnych.

10. *Jak zapatruje się Pan na współpracę regionalną w Europie Środkowej, zwłaszcza w trójkącie Polska-Czechosłowacja-Węgry?*

— Ta współpraca ma dla nas ogromne znaczenie, gdyż może być ośrodkiem stabilizacyjnym dla tej części Europy zarówno na odcinku gospodarczym, jak i wojskowym. Po załamaniu się Paktu Warszawskiego i wobec niemożliwości wejścia do NATO — co zresztą miałyby swoje złe strony — możliwość stworzenia współpracy na odcinku wojskowym na wzór Francja-Niemcy byłaby doskonałym rozwiązaniem. Jest to bardzo trudne ze względu na niechętny stosunek tych krajów do nas, spowodowany naszymi błędami.

11. *Jaką rolę winna Pana zdaniem odgrywać w obecnych warunkach emigracja polska? Czy można mówić o emigracji politycznej?*

— Emigracja polityczna — jeśli przez nią rozumieć ośrodek londyński — przestała istnieć z chwilą przedwczesnego przekazania insygniów Polski Wałęsie i podporządkowania mu czynności likwidacyjnych.

Polski Londyn ma ciągle bardzo duże znaczenie na odcinku historyczno-kulturalnym i dlatego znaczne zasoby finansowe nie powinny w żadnym wypadku być przekazane do Polski, ale zużyte na zabezpieczenie działalności Instytutu im. gen.

Sikorskiego, Biblioteki Polskiej w Londynie i Biblioteki Polskiej w Paryżu. Należy kategorycznie się sprzeciwić istniejącym tendencjom przekazania do Polski zbiorów i archiwów. Losy Rapperswilu są wyraźnym ostrzeżeniem, a ponadto w obecnej sytuacji Polska nie jest w stanie tych zbiorów odpowiednio zabezpieczyć i utrzymać.

Złym objawem jest inflacja dekoracji i awansów, nieustanne jazdy do kraju dygnitarzy emigracyjnych dla przyjmowania różnych zaszczytów, branie udziału w ważniejszych wydarzeniach krajowych — w typowej roli *swadiebnego gienierała*.

Komisja Likwidacyjna wyznaczyła sobie pensje, rewizorzy p. Wałęsy też kosztują. To wszystko uszczupla pieniądze z takim trudem i wysiłkiem zbierane przez szeregową emigrację.

Należy również rozwiązać sprawę obywatelstw emigrantów polskich na Zachodzie. Jestem przeciwny utrzymaniu podwójnego obywatelstwa. Trzeba uporządkować współpracę Polski z emigracjami na Zachodzie, a specjalnie w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i Niemczech. Jest to problem bardzo złożony i jak dotąd Wspólnota Polska nie daje sobie z tym rady. Dotyczy to w najwyższym stopniu Polaków na terenie b. Związku Sowieckiego, gdzie nie mamy żadnej koncepcji działania. Ale to jest osobny, ogromny temat. [...]

12. *Jaka jest Pana wizja Polski i jej roli odgrywanej przez nią w Europie i w świecie?*

— Jak już wielokrotnie mówiłem, nasza rola w tej chwili może być ogromna. Jest obecnie koniunktura, jakiej nie mieliśmy od paruset lat. Mamy wszelkie dane, by przyczynić się do stabilizacji tej części Europy i być łącznikiem między Wschodem a Zachodem. Możemy też mieć wielki wpływ na procesy demokratyzacyjne w Rosji i na Ukrainie. Pytanie, czy tę koniunkturę jesteśmy w stanie wykorzystać. Osobiście jestem pesymistą.

UZUPEŁNIENIA, SPROSTOWANIA, ODPOWIEDZI

Pamięć ludzka jest zawodna. W mojej *Autobiografii* popełniłem pewną ilość błędów. Są osoby i sprawy, o których zapomniałem. Są takie, o których wyraziłem się w sposób nieścisły. Poprawianie czy uzupełnianie pierwotnego tekstu *Autobiografii* nie wydaje mi się wskazane. Ten tekst zaistniał już w świadomości czytelników, stał się przedmiotem wielu recenzji i listów, i zmienianie go dziś spowodowałoby tylko zamęt. Dlatego, korzystając z nowego wydania, zdecydowałem się na załączenie doń dodatku, który wspomina o kilku osobach pominiętych, przynosi dodatkowe informacje i wyraża moje stanowisko wobec niektórych kwestii spornych. Ułożyłem to wszystko mniej więcej w takiej kolejności, w jakiej poruszane tu sprawy występują w tekście *Autobiografii*.

Moje poglądy na wydarzenia bieżące wyrażałem wielokrotnie w wywiadach; nie uważam za wskazane powtarzanie w *Autobiografii* tego, co powiedziałem już gdzie indziej. Do obecnego wydania dodaję jednak tekst rozmowy, którą Krzysztof Pomian przeprowadził ze mną w paryskim Centre du Dialogue 6 grudnia 1991 („Kultura”, 1-2/1992, s. 83-90). Stanowisko, jakie zajmuję w niej wobec istotnych problemów politycznych i ustrojowych Polski, pozostaje nadal aktualne.

*

Zacznę od sprawy najważniejszej. Pracując nad *Autobiografią* pomiąłem, czego się bardzo wstydzę, kilka osób, z którymi blisko współpracowałem. Myślę tu w pierwszym rze-

dzie o p. Marii Danilewicz-Zielińskiej, której związki z nami są bardzo dawne; była ona autorką recenzji z pierwszego, rzymskiego jeszcze, numeru „Kultury”, a później przez wiele lat w sposób wysoce kompetentny prowadziła w „Kulturze” dział recenzji i dział kulturalny. Odwiedzała nas dość często, gdy jeździła do Monachium, do Wolnej Europy, lub do Genewy, na posiedzenia jury nagrody Kościelskich. I odegrała istotną rolę w kształtowaniu linii „Kultury” w kwestiach literackich. Ponieważ czytała bardzo dużo, więc zwracała uwagę na nowe talenty i na ciekawe teksty. To ona między innymi skontaktowała nas z grupą „Kontynentów”, w której skład wchodził młodzi poeci: Czaykowski, Czerniawski i in.; Maria Danilewicz-Zielińska opracowała ponadto dla nas trzy tomy bibliografii „Kultury” i „Zeszytów Historycznych” za lata 1958-1987 i jest autorką książki *Szkice o literaturze emigracyjnej*. Zresztą jej rady były dla mnie zawsze bardzo cenne. Fakt, że mogłem o niej zapomnieć, jest dobrą ilustracją przysłowia: pod latarnią jest zawsze najciemniej.

Inną postacią, o której powinienem był powiedzieć więcej, jest Stanisław Vincenz, który sporo publikował w „Kulturze” i który mieszkał u nas, gdy był w Paryżu. Później, kiedy przeniósł się do Szwajcarii, widywaliśmy się dość rzadko, ale korespondowaliśmy ze sobą. Polityka go nie interesowała. Rozmowy z nim, poza Huculszczyzną, która go zawsze pasjonowała, dotyczyły głównie literatury. Pamiętam jakąś rozmowę na temat Dantego, gdyż Vincenz proponował mi szkic na temat *Boskiej Komedii*. Jego ogromna skala zainteresowań była dla mnie dużym źródłem inspiracji. W pewnym sensie należał on do „niewidzialnej redakcji” — jak sam to określał.

W okresie bukareszteńskim utrzymywałem bliskie kontakty z Bohdanem Łączkowskim, ekonomistą i bardzo ciekawym, nieprzeciętnie inteligentnym człowiekiem. Odegrał on dość dużą rolę w okresie przedwojennym, zwłaszcza za rządów

Kościalkowskiego, jako szef biura prasowego i biura ekonomicznego Rady Ministrów. W Bukareszcie był kierownikiem biura prasowego ambasady, które doskonale funkcjonowało dzięki dużej skali jego znajomości i kontaktów w rumuńskim świecie politycznym i dziennikarskim. Kilka lat po wojnie wrócił do Polski, gdzie redagował „Handel Zagraniczny” i skąd dość często przyjeżdżał, gdyż był delegatem do GATT. Spotykałem się z nim w Szwajcarii. Był jednym z bardzo cennych dla mnie informatorów.

*

Wiele zastrzeżeń zgłosił Mieczysław Pruszyński. W faksie z 28 stycznia 1995 twierdzi on, że wbrew temu, co napisałem (s. 69), to dzięki niemu poznałem braci Bocheńskich, i że to on, a nie Miś Tyszkiewicz (s. 79) reprezentował wraz z Kostkiem Łubieńskim krakowski oddział Myśli Mocarstwowej. Uważa też, że moja wersja konfliktu z Ksawerym Pruszyńskim i okoliczności powstania „Problemów” (s. 70) nie odpowiada prawdzie. Jego zdaniem przyczyna powstania tego pisma była nie ambicjonalna, lecz polityczna: „Masoni» byli skłonni dać pieniądze na pismo prowadzące stałą kampanię przeciw obozowi w Berezie, a to było niemożliwe dla «Buntu Młodych», bo doprowadziłoby do jego likwidacji, i taki właśnie los spotkał «Problemy» po 8 miesiącach publikacji”. Będę się upierał, że moja wersja jest ścisła.

Mieczysław Pruszyński ma również zastrzeżenia do zamieszczenia przeze mnie listu Adzia Bocheńskiego do Wacława Zbyszewskiego, gdyż uważa ten list za niesłuszny i za niesprawiedliwy w ocenie jego osoby. W moim przekonaniu jest to dokument.

To, że Bocheński pisze w tym liście z entuzjazmem o rotmistrzu Klimkowskim, jest zrozumiałe. Klimkowski — o czym sporo pisałem w *Autobiografii* (ss. 108-110) — fascy-

nował intelektualistów: Czapskiego, Ulatowskiego, nawet prof. Kota.

Przyznaję natomiast, że o jednej rzeczy zapomniałem. O tym mianowicie, że Mieczysław Pruszyński prowadził w „Buncie Młodych” serię wywiadów historycznych, które w swoim czasie były prawdziwą sensacją.

*

Przypomnienie świetliczanki w Drugim Korpusie, Ligii — nie Lidii — Żółkiewskiej-Żołądkowskiej (s. 124) spowodowało list jej brata, p. Witolda Żółkiewskiego, który sprostował pismo jej imienia oraz podał datę urodzenia i miejsca pracy przed wojną: Instytut Higieny Psychicznej w Warszawie i Zakłady Opieki Społecznej. Dane te zostały włączone do obecnej wersji indeksu. Po otrzymaniu tego listu zacząłem prowadzić poszukiwania, bardzo trudne, gdyż nie żyje już niemal nikt, kto by mógł na ten temat coś powiedzieć. W toku tych poszukiwań dowiedziałem się jednak czegoś bardzo zaskakującego. Otóż w Instytucie Sikorskiego, w wykazie członków Drugiego Korpusu Ligia Żółkiewska-Żołądkowska po prostu nie figuruje. Nie ma jej. A przecież jako świetliczanka była na etacie wojska w ramach PSK, tzn. Pomocniczej Służby Kobiet. Nie ma też najmniejszej wzmianki o jej śmierci. Dodam, że poszukiwania prowadzili ludzie, którzy znają doskonale archiwa Drugiego Korpusu i do których mam pełne zaufanie. Tajemnicza historia.

W związku z tym proszę wszystkich czytelników *Autobiografii*, którzy by dysponowali informacjami na ten temat, o łaskawe nadesłanie mi ich na adres „Kultury”, który znajduje się w każdym numerze pisma.

*

Pani Adela Żeleńska w liście z 18 lipca 1995 r. sygnalizuje mi dwie popełnione przeze mnie nieścisłości związane z jej osobą. Oto jej wyjaśnienia:

Na str. 131 (w obecnym wydaniu s. 142) pisze Pan, że Józio Czapski objął w Paryżu placówkę Drugiego Korpusu i Ministerstwa Informacji. To drugie jest nieścisłe. Po uwolnieniu Francji Ministerstwo Informacji naszego rządu londyńskiego utworzyło w Paryżu swą własną „antenę” z odrębnymi zadaniami. Antenę ja miałam sobie powierzoną, pracując w Ministerstwie od grudnia 1939, pod moim ówczesnym nazwiskiem Adeli M. Dziadulskiej. Oboje z Józkiem, którego dobrze znałam jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, mieliśmy swe biura w Ambasadzie. Oboje musieliśmy ją jednocześnie opuścić w lipcu 1945 po cofnięciu uznania naszemu rządowi. Pamiętam, że Pan, akurat obecny w Paryżu, pomógł nam w wyniesieniu naszego skromnego sprzętu biurowego. Józio znalazł rychło pomieszczenie na poddaszu Hôtel Lambert. Zaangażował mnie tam do swej placówki, gdy po zdaniu swych funkcji w Londynie znalazłam się ponownie w Paryżu. Tak jak przedtem, tak i do końca placówka pracowała z ramienia i dla Drugiego Korpusu, bez związku z Ministerstwem Informacji.

Na str. 133 (w obecnym wyd. s. 144) pisze Pan, że przyszłam do Pana w imieniu ambasadora Kajetana Morawskiego, „z którym współpracowałam”, z listą osób przewidzianych do wyjazdu z Europy do Ameryki w razie wybuchu wojny z Sowietami. Z całą pewnością myli mnie Pan z inną osobą, bo ani nigdy nie miałam sposobności współpracować z ambasadorem Morawskim, ani o takiej liście nie wiedziałam i dopiero teraz się o niej dowiaduję.

Widocznie zawiodła mnie pamięć, gdy stwierdziłem, że to p. Żeleńska ustalała z ramienia ambasadora Kajetana Moraw-

skiego listę osób zagrożonych w razie wybuchu wojny z Sowietami, które miałyby wyjechać do Ameryki. Prawdopodobnie zajmowała się tym sekretarka ambasadora, p. Zabiello. Faktem pozostaje jednak, że taka lista była ustalana i że odmówiłem figurowania na niej.

*

Władysław Żeleński zwrócił mi uwagę, że pisząc o Józefie Zielickim (s. 142) wspomniałem tylko, że był on skazany na bardzo wysoki wyrok za działalność konspiracyjną we Lwowie, pod okupacją sowiecką, podczas gdy w rzeczywistości był on skazany na śmierć. Wyroku nie wykonano, bo akurat gdy miano go wyprowadzać z celi, przyszło zawiadomienie o amnestii.

*

Na moją *Autobiografię* Jan Nowak zareagował artykułem *Giedroyc i Wolna Europa* („Polityka”, 25 marca 1995) i paroma przyjaznymi listami. Pragnę wyjaśnić pewne nieporozumienia.

Powstanie Sekcji Polskiej RWE powitałem bardzo życzliwie. Mam jednak dość nieznośny zwyczaj występowania z miejsca z całym szeregiem sugestii i pomysłów; zacząłem nimi zasypywać Nowaka. Stworzyło to wrażenie u wielu osób, że było powodowane moją chęcią zajęcia jego stanowiska. Ma się rozumieć, była to zupełna bzdura. Na szczęście nie trwało to zbyt długo.

Nigdy nie miałem zastrzeżeń co do linii niepodległościowej Radia. Różnice dotyczyły przede wszystkim spraw taktycznych, jak zastosowanie się do zarządzeń PRL, by nie używać słowa „sowiecki”, a tylko „radziecki”; „Kultura” pisała „sowiecki”, RWE mówiło „radziecki”. Gdy Gomułka w swych pierwszych wyborach do Sejmu domagał się głosowania bez skre-

śleń i gdy „Kultura” reprezentowała stanowisko, że należy głosować, ale ze skreśleniami, Nowak — dosłownie w ostatniej chwili — zaapelował, by głosować bez skreśleń. Uważałem też, co nas różniło, że w trudnej sytuacji Gomułki, któremu było potrzebne zaufanie społeczeństwa, można było wywalczyć więcej ustępstw z jego strony. Tu zresztą miałem głównie pretensje do Prymasa.

Przy rozwichrzonym zespole w Radio potrzebna była dyscyplina, którą Nowak wprowadził żelazną ręką, przesadzając, jeśli idzie o pisarzy i artystów, i wykorzystując ich w sposób niewłaściwy. Tak np. wybitny muzyk i kompozytor Roman Palester nie mógł zajmować się działem muzycznym, a utrzymywanie Piotra Guzego na nocnej pracy w dzienniku radiowym praktycznie utrudniało mu, czy wręcz uniemożliwiało, pracę twórczą. Niepotrzebne też były konflikty z Odziejewskim, którego sam Nowak ściągnął przecież do pracy w Radio. Ale Nowak nie bardzo rozumiał, że trzeba jednak dbać o talenty i opiekować się nimi, a nie traktować ich jak urzędników.

Niewątpliwie Radio pomagało literatom, umożliwiając im egzystencję, jak np. Wierzyńskiemu, Wittlinowi czy Lechoniowi, ale chyba głównie dlatego, że nie było z nimi konfliktów. Natomiast gdy walczyłem o pomoc dla Witolda Gombrowicza, to z bardzo wielkimi oporami zamówiono u niego regularne felietony, obawiając się trudności we współpracy, bo „Gombrowicz nie zgodzi się na narzucanie mu tematów czy na cenzurę”. Starałem się wytłumaczyć, że pisarzom tej klasy nie można niczego narzucać. Skończyło się na tym, że wypłacano mu regularne honoraria, ale jego felietony nie były nadawane. Gdy po śmierci Gombrowicza prosiłem o udostępnienie mi jego tekstów, ponieważ chciałem je wydać, to okazało się, że ich w archiwach Radia nie ma. Szczęśliwym trafem Gombrowicz pisał z kopią. Rita Gombrowicz, która nie

znała języka polskiego, pokazała mi te teksty; zorientowałem się, że to są właśnie jego pogadanki radiowe. Wydałem je później w książce pod tytułem *Wspomnienia polskie — Wędrówki po Argentynie*.

Jan Nowak bardzo broni Komitetu „Wolna Europa”. Bynajmniej nie kwestionuję, że Komitet niezmiernie szeroko udzielał emigracji pomocy, w pewnym sensie bezcennej. Ale jednocześnie ingerował. Szkoda, że archiwa Komitetu są niedostępne dla badaczy, bo mając do nich dostęp, można by stwierdzić, na ile moje zastrzeżenia są uzasadnione, co przyczyniłoby się również do rozwiania różnych legend.

I wreszcie ostatnia sprawa. Jan Nowak wspomina, że odmówił wydania jego *Kuriera z Warszawy*. Jest to nieścisłe. Nowak przywiózł mi ogromny rękopis i prosił o natychmiastową decyzję, gdyż zależało mu, by książka mogła ukazać się jak najszybciej. Spędziłem dosłownie całą noc na czytaniu skryptu. Wydał mi się niezmiernie interesujący i ważny. Niestety, do umowy nie doszło. Nowakowi tak zależało na pośpiechu i postawił mi terminy tak krótkie, że nie mogłem podjąć się druku. Był jeszcze problem fotografii, których było bardzo wiele. Fotografii z zasady nie zamieszczałem, gdyż bardzo źle wychodziły na naszym papierze, a wkładki na papierze specjalnym nie mogliśmy robić ze względu na ich cenę. Tak więc do wydania *Kuriera z Warszawy* w Bibliotece „Kultury” nie doszło.

*

Jak już wyjaśniłem w liście do Magazynu „Gazety Wyborczej” (5-6 stycznia 1995), to, co napisałem (s. 177) o awanturze zrobionej przez Zbigniewa Herberta w domu Czesława Miłosza, który miał rzekomo użyć określenia „bandyci z AK”, było oparte na informacji z drugiej ręki, której nie miałem

okazji sprawdzić. Kampania, jaką ostatnio zorganizował Herbert przeciwko Miłoszowi, była zjawiskiem zawstydzającym. W tym sporze byłem całkowicie po stronie Miłosza.

*

Jednym z ważniejszych opuszczeń w *Autobiografii na cztery ręce* jest pominięcie osoby Andrzeja Micewskiego. Kontakt i współpraca z nim datują się od lat sześćdziesiątych. Przez cały okres PRL-u Andrzej Micewski bardzo często pisywał do „Kultury” pod wieloma pseudonimami.

Dodatkową więzią było to, że Micewski był bardzo bliskim przyjacielem Stefana Kisielewskiego i był jego łącznikiem ze mną dzięki stosunkowo częstym przyjazdom do Paryża, Wiednia czy RFN. U Micewskiego bardzo ceniłem jego świetną znajomość Niemiec, gdzie miał bardzo wysoką pozycję wśród episkopatu i organizacji katolickich. Zawsze uważałem, że byłby znakomitym korespondentem w Niemczech czy naszym ambasadorem po powstaniu tzw. III Rzplitej.

Współpraca nasza była dość burzliwa i z dużymi przerwami. Jedną z głównych przyczyn był mój krytyczny stosunek do działalności politycznej Kościoła. Gdy Kościół dla zneutralizowania i zwalczania „Kultury” stworzył periodyk pt. „Znaki Czasu”, Micewski był jego pierwszym redaktorem.

Micewski jest człowiekiem o bardzo wielkich ambicjach i zawsze chciał ocierać się o ośrodki władzy; stąd wynikały meandry jego działalności politycznej, począwszy od chwili, kiedy był *dauphin* Bolesława Piaseckiego, aż do teraz. Jednocześnie było to hamowane wielką, zbyt wielką ostrożnością, obawą przed zbyt dalekim zaangażowaniem się czy ryzykiem, co było powodem jego niepowodzeń. Mimo często zrywanych stosunków moja współpraca i przyjaźń z Micewskim przetrwały dotąd. Jest tak mało inteligentnych polityków,

historyków i publicystów, że trzeba ich skupiać, szukając możliwości współpracy. Bo ostatecznie mamy wspólne ideały i cele.

*

Kolejna sprawa, podniesiona przez p. Andrzeja Wata w liście do Krzysztofa Pomiana („Polityka”, 25 marca 1995, gdzie jest również list Czesława Miłosza na ten temat), dotyczy książki Aleksandra Wata *Mój wiek*. W *Autobiografii* powiedziałem (s. 213), że określił on był Drugi Korpus jako „bandę faszystów”. Takiej wypowiedzi w książce nie ma. Jest tam natomiast *passus* następujący: „Widziałem pociągi, które mijały mnie, z żołnierzami, zatrzymywały się czasem. Mogłem zobaczyć kredą napisane «Bij Żydów!» Niektórych Żydów brano do armii i jakoś była z nimi sztama. Tak nasz kochany Zygmunt umiał przejść, sporo było, sporo wyszło z armią Andersa. Gdybym pojechał do Jangi-Jul, tobym natrafił na Józia Czapskiego — znałem go, chociaż bardzo mało, także na mojego Józia z «dwójki», i na pewno bym pojechał, ale reguła, zwłaszcza w dalszych miejscach, niżej, była: «Bij Żydów!» i były wypadki wyrzucania z pędzących wagonów żydowskich już przyjętych żołnierzy. I tam, gdzie Żydów w ogóle nie znano, w Mołotowabadzie, na przykład, Polacy nauczyli Uzbeków antysemityzmu. Gdy widziałem te «Bij Żydów» na wagonie — dużo, kredą, to mnie to jeszcze bardziej zniechęcało do tego, żeby jednak jechać do wojska (bo była jednak w końcu jakaś możliwość)”. (Aleksander Wat, *Mój wiek*, Polonia, Londyn 1977, cz. 2, s. 298).

Antysemityzm występował bez wątpienia w Drugim Korpusie, choć samemu Andersowi i wielu jego oficerom był zupełnie obcy. Nie wierzę jednak opowiadaniu Wata o wyrzucaniu żydowskich żołnierzy z pędzących pociągów. Cały ten fragment jest nieporadną i pokretną próbą usprawiedliwiania

nia przez Wata jego decyzji o niepodjęciu żadnych starań, by wstąpić do wojska, do którego miał stosunek wyraźnie negatywny. Stosunek ten przebiegał również w rozmowach, jakie odbywaliśmy z nim, Zygmunt Hertz i ja. Przypuszczam, że sformułowanie określające Drugi Korpus jako „bandę faszystów” utkwilo mi w pamięci w następstwie tych rozmów, gdyż padało tam wiele sformułowań, które bardzo nas raziły, w tym może takie lub podobne.

Jak słusznie zauważa p. Andrzej Wat, propozycja wydania *Mojego wieku* nie wyszła i wyjść nie mogła od samego Aleksandra Wata. Wystąpił z nią Czesław Miłosz w sierpniu 1969 roku. Oto jego list do mnie:

Drogi Jerzy,

Wysłałem Ci osobną paczkę pierwszych 10 rozdziałów Wata (czyli 1/4 całości). Oczywiście, nie ma tu mojej przedmowy, którą, powinienem napisać. Wysłałem porcję, bo całość ważyłaby zbyt dużo, zresztą muszę stopniowo przepisywać tekst jeszcze przeczytać — ale przepisane jest już wszystko. Wytopienie z rudy tego stadium jak teraz kosztowało mnie dużo pracy. Kiedy będziesz czytać, zauważysz mimo to pewne powtórzenia — otóż po namysłach doszedłem do wniosku, że lepiej niektóre powtórzenia zachować, jeżeli dana sytuacja jest przedstawiona raz, żeby zilustrować jedną tezę, kiedy indziej znowu inną, w innym kontekście. I ostatecznie forma całości jest mówiona, co powtórzenia usprawiedliwia.

Bardzo ciekaw jestem Twego pierwszego wrażenia. [...]

Na list ten odpisałem 29 sierpnia co następuje:

Mój Drogi,

Dostałem Twój list i pierwszą część Wata. Przeczytałem to z miejsca i ma się rozumieć moje uwagi są robione na gorą-

co. To niewątpliwie jest bardzo ciekawe, miejscami nawet pasjonujące, ale nie znać na tym zupełnie ręki redaktora. Ogromna ilość powtarzań się. Zgadzam się, że to ma pewien sens, ale to trzeba w jakiś sposób reżyserować. Oceny Broniewskiego np. powtarzają się z wielką monotonnością czy też opinie Stawara o Czarnych skrzydłach, czy też ucieczki przed cenzurą do Lwowa i Poznania. To trzeba raz jeszcze dokładnie przeczytać z ołówkiem w ręku i dokonać dużych skreśleń. Niektóre ustępy są zupełnie niezrozumiałe. Nie ma tego zbyt wiele, ale jest. Jestem przeciwnikiem przypisów, na które chorują wydawnictwa krajowe, ale pewna ilość wyjaśnień wydaje mi się niezbędna. Tytuł całości wydaje mi się zbyt i pretensjonalny: Rapsodie polityczne??? Są również określenia, które są dziwne: co to znaczy „poronne”? Domyślam się z treści, że poronione. Dlaczego mówić pucz zamiast zamach majowy, co się przyjęło. Pucz ma wydźwięk bardzo specyficzny. Nie mówię już o nieścisłościach merytorycznych: Wat twierdzi, że Stawarowi zależało za wszelką cenę na uniknięciu „narodowego pogrzebu” etc. i tylko moja skłonność do robienia sekretów spowodowała, że go uroczyscie pochowano. Bzdura. Stawar wiedział, że jest ciężko chory, ale nie zdawał sobie sprawy z krótkich terminów, jakie mu zostały. Planował po wyjściu ze szpitala pojechać do Włoch. Na kilka dni przed śmiercią robił noty, korekty, wyjaśnienia. Te rozważania o Witkacym, że niby skąd w lejbguardyjskim pułku, skąd pieniądze etc. Zapomina, że to był już okres wojny i pułki gwardyjskie już nie przypominały „petersburskich nocy” czy jak się ta filmowa chała nazywała przed wojną. Zabawne, jak w pewnych kołach carska Rosja wybiła się w postaci romansideł Breszko-Breszkowskiego. No, ale to nie jest wina redaktora. W każdym razie trzeba coś zrobić, by to w sumie nie przypominało „zastolnych rozmów” Hitlera, które znasz.

Raz jeszcze powtarzam: to są uwagi na gorąco, a więc siłą rzeczy powierzchowne. Bardzo jestem ciekaw dalszego ciągu.

Teraz inna sprawa. Przysyłasz mi te teksty zapewne nie bezinteresownie, ale sugerując ich wydanie. Tu są dwie sprawy: kto ma prawa autorskie: Berkeley czy Ola; a poza tym jest sprawa finansowa. O celowości i potrzebie wydania nie potrzebujesz mnie przekonywać. Ale jak to zrobić przy mojej sytuacji? Utała się [opinia] pochlebna (że taki geniusz, wysiłek etc.) albo niepochlebna (subwencje CIA), że wydawanie jest dla mnie rzeczą więcej niż łatwą, praktycznie ograniczoną przelotnością drukarni. O ile „Kultura” jako taka jest dość mocno osadzona w siodle, o tyle wydawnictwa książkowe i „Zeszyty Hist[oryczne]”, do których przywiązuję wielką wagę, to jest chodzenie po linie. Do normalnego planu, tj. przyjęcia zobowiązań ok. 10-11 książek w jesieni 69 i przez rok 1970, doszedł Gombrowicz. Liczyłem bardzo — na podstawie spontanicznych deklaracji — na stosunki Kota, ale to, jak było do przypuszczenia, jest bujdą. Zaopatruje mnie w dobre rady, by rozpisać 1000 listów do uniwersytetów amerykańskich, by subskrybowały, i trudno mu wytłumaczyć, że bibliotekom nie wolno subskrybować i że uniwersytetów zainteresowanych slawistyką jest na świecie może 60-70. Twierdzi, że subskrypcja na emigracji będzie żywiołowa, kiedy wiem z doświadczenia dość krwawego, że jeśli będzie 200, to jest optimum. Napisał kilka listów: Stone, Ty, Pierre Emmanuel, i uważa, że wszystko jest załatwione. Mało tego, wpadł na pomysł, że konieczny jest do tego redaktor i że ponieważ Olga Scherer jest w kłopotach, to muszę ją zaangażować. Lubię Olę Scherer, ale redaktor może być potrzebny przy opracowywaniu tomu z korespondencją, ew[entualnie] opracowywaniu komentarzy do Dzienników, a więc najwcześniej za dwa lata. Jak mu to wykładam, to czuje się obrażony czy

szuka w mym stanowisku „zadnich myśli”, szykan etc. Ja 20 z górą lat wyciągam króliki z cylindra, ale i mnie, i Zosi przychodzi to coraz ciężiej. To nie jest biadolenie, ale przedstawienie rzeczywistości. [...]

Czesław Miłosz odpowiedział mi listem z 6 września 1969:

Wat. Tytuł n i e j e s t oczywiście Rapsodie polityczne. To tylko w słowie wstępnym Wata, które można zachować albo odrzucić. Tytuł całości jest do obmyślenia. Zasadniczo zgadzam się z Tobą co do powtórzeń. Wyczyściłem dużo, ale pierwsza wersja była tak niechlujna, również jeśli chodzi o maszynopis Oli, że w końcu człowiek się gubi — to dżungla. Był to też wynik moich rozważań — bo co robić, jeśli ten sam szczegół powraca w innym kontekście? Co do niejasności, to może przesadzasz, jak też co do wyrazów. Przymiotnik „poronny” figuruje w słownikach i jest używany w krytyce literackiej.

Zadaje sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby, gdyby ostateczne cięcia zrobił ktoś inny niż ja. Może Ty sam. Niewykluczone, że tracę dystans, znając ten tekst za dobrze. Bo ja wiem. [...]

Na tym skończyła się moja korespondencja na ten temat z Miłoszem. Po otrzymaniu pełnego tekstu odniosłem się do niego bardzo krytycznie, gdyż miałem wiele zastrzeżeń, zwłaszcza do relacji z pobytu w Rosji, która zawiera liczne nieścisłości. Sprawa wydania *Mojego wieku* wróciła później w rozmowach z p. Olą Watową wiosną 1970 roku. Jej ostatni list do mnie na ten temat z 4 czerwca 1970 roku zawiera prośbę o udostępnienie jej całości maszynopisu, którego kopii nie posiadała, co też zostało zrobione. Zapewne w toku jednej z naszych rozmów wyjaśniłem jej powody, dla których posta-

nowilem nie drukować *Mojego wieku*. Niemniej jednak dwa duże fragmenty tej książki opublikowałem w „Kulturze” w 1972 roku. W każdym razie moja ostateczna decyzja w tej sprawie nie została utrwalona na piśmie.

*

Adam Michnik w swej recenzji („Gazeta Wyborcza”, 13 września 1995) zadał mi kilka „pytań fundamentalnych”. Zanim odpowiem na nie, chciałbym jednak ustosunkować się do spostrzeżenia, które nie on jeden był poczynił, a które dotyczy potraktowania w *Autobiografii* okresu Drugiej Rzeczypospolitej w sposób znacznie bardziej szczegółowy i dokładny niż okresu powojennego.

Jest to zupełnie zrozumiałe. Jestem zwierzędziem politycznym, a moje możliwości oddziaływania politycznego na rzeczywistość polską w okresie Drugiej Rzeczypospolitej były bez porównania większe niż po wojnie. Ostatecznie, choć panujący klimat niezbyt temu sprzyjał, udało się załatwić, w dużej mierze z mojej inicjatywy, sprawę przyznania autonomii Małopolsce Wschodniej; gdyby nie wybuch wojny, byłoby to doprowadzone do końca. Podobnie mam jakąś zasługę w utrzymaniu ciągłości państwa polskiego w początkowym okresie wojny, gdyż brałem w tym bezpośredni udział. Takich możliwości już nigdy potem nie miałem. Musiałem się ograniczyć do wysuwania postulatów czy propozycji, które rzadko były wysłuchiwanie i tak czy inaczej realizowane.

Przechodzę teraz do odpowiedzi na jego pytania. Na pierwsze pytanie: „Czy możliwa była odmienna polityka polska przed 1939 r., która by odmieniła bieg wydarzeń?” — odpowiedzieć mógłby tylko wróżbita. Przypuszczam, że gdyby Marszałek Piłsudski żył i był w pełni zdrowia, toby dążył do opóźnienia wybuchu wojny. Ale to wszystko, co na ten temat można powiedzieć. Zresztą nie ulega kwestii, że inna polity-

ka jest zawsze możliwa; żadna decyzja polityczna nie jest jedynie słuszną. Ale kto i na jakiej podstawie może wiedzieć, że inna polityka zmieniałaby bieg wydarzeń?

Kardynalnym błędem polityki polskiej było, że mimo układu Ribbentrop-Mołotow nie liczyła się zupełnie z możliwością interwencji sowieckiej. Najlepszym tego dowodem jest, że do ostatniej chwili mówiono o transportach broni do Polski przez Związek Sowiecki. Zapewne Polska nie była w stanie nie dopuścić do porozumienia Niemiec hitlerowskich ze Związkiem Sowieckim. Ale mogła próbować przedłużyć walkę, stawiając opór Związkowi Sowieckiemu i koncentrując cały wysiłek przy granicy polsko-rumuńskiej. Tymczasem zaskoczenie było tak wielkie, że nie było ani wypowiedzenia wojny Związkowi Sowieckiemu, ani rozkazu walki. A możliwości obrony były. Wiadomo, choćby z wojny sowiecko-niemieckiej, że Brześć mógł się bronić bardzo długo. Z różnych relacji, m.in. z tego, co pisze Swianiewicz, wynika, że wojsko było gotowe do podjęcia działań. Ale nie było rozkazu.

Innym bardzo poważnym błędem było nadmierne zaufanie pokładane przez Polskę w traktatach polsko-angielskim i polsko-francuskim. Udzielona pożyczka nie została wypłacona. Nie było możliwości uzyskania od Francji i Anglii sprzętu wojskowego. Francja i Anglia weszły wprawdzie do wojny, ale nie przejawiały praktycznie żadnej aktywności. Nad tym przesadnym zaufaniem okazywanym sojuszom zachodnim warto się zastanowić również w obecnej sytuacji, gdy panuje opinia, że parasol NATO będzie nas chronić, i nie myśli się o możliwości prowadzenia innej polityki, choćby o rozbudowie naszej współpracy na każdym odcinku z Ukrainą.

Na drugie pytanie znacznie łatwiej odpowiedzieć. Uważam, że sama decyzja o zawarciu porozumienia ze Związkiem Sowieckim była słuszną. Negocjować ze Związkiem Sowieckim bezwzględnie należało. Ale uważam też, że można było wy-

negocjować układ znacznie bardziej korzystny dla Polski, gdyby Sikorski nie uległ tak bardzo presji Anglików, którym zależało wyłącznie na unormowaniu stosunków polsko-sowieckich, bez względu na koszty. Jest starą polityką rosyjską, nie tylko sowiecką, że w momentach kryzysowych zajmuje się stanowisko niezwykle twarde. Wysuwa się wtedy postulaty maksymalne, licząc, że coś uda się wywalczyć. Toteż Majski wynegocjował wtedy najlepszy z układów z Polską możliwych w danej chwili dla Związku Sowieckiego. Przykładem może być to, że ludzie urodzeni na terenach okupowanych przez Związek Sowiecki byli uważani za obywateli sowieckich, co stało się pretekstem do niepuszczania do wojska Ukraińców i Żydów. Związek Sowiecki stał na stanowisku, że terytorium zajęte przez Armię Czerwoną po agresji z 17 września 1939 roku, czyli tzw. zachodnia Ukraina i zachodnia Białoruś, stało się legalnie jego częścią w następstwie plebiscytu i że to nie podlega negocjacji. Sikorski zadowolił się ogólnym sformułowaniem unieważniającym pakt Ribbentrop-Mołotow, co nie miało żadnego znaczenia, było pustym frazesem. I co stało się pretekstem do oszukiwania opinii polskiej przez Sikorskiego, który twierdził, że jest to również unieważnienie plebiscytu; a tak wcale nie było.

Co się tyczy wreszcie decyzji o wywołaniu Powstania Warszawskiego, to w moim przekonaniu była ona błędna pod każdym względem.

Michnika uderza, że raz tylko pada nazwa „Solidarność”, a ani razu — nazwisko Lecha Wałęsy. Dlaczego miało być inaczej? Ta książka jest moją autobiografią, a nie historią Polski. Piszę w niej o osobach i sprawach, z którymi stykałem się bezpośrednio i które były dla mnie ważne. Lecha Wałęsę poznałem późno, a spotkanie z nim zrobiło na mnie raczej złe wrażenie. Ale skoro już o tym mowa, dodam, że w latach 1980-81 i w okresie stanu wojennego „Kultura” organizowa-

ła — i to w dużym zakresie — pomoc dla „Solidarności”, a gdy Wałęsa uosabiał ten wielki ruch społeczny, była chyba pierwszą instytucją, która wszczęła starania o przyznanie mu pokojowej Nagrody Nobla. I to z powodzeniem. Nie było powodu o tym wspominać, gdyż było to wtedy naszym elementarnym obowiązkiem. Późniejsze przemiany Wałęsy, który, odurzony pochlebstwami, uwierzył w to, że w pojedynkę obalił komunizm, sprawiły jednak, że zaczęliśmy się zastanawiać, czy zabiegając o tę nagrodę nie spowodowaliśmy ostatecznie więcej szkody niż pożytku.

INDEKS OSOBOWY*

- Abellio Raymond (1907–1986) — pisarz francuski 21, 220
 Abramow-Newerly Jarosław (1933) — pisarz 204
 Abramowski Edward (1868–1918) — filozof, socjolog; działacz społeczny 22
 Aleksandrowicz Jerzy (1887–1970) — lekarz, naukowiec; 1928–39 wykładowca i rektor Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie; 1939 wice-minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego 107
 Allilujewa Swietłana (1926) — córka Józefa Stalina 239
 Anders Władysław (1892–1970) — generał; 1917 dowódca szwadronu w 1. Pułku Ułanów; 1926–37 dowódca II Samodzielnej Brygady Kawalerii; we Wrześniu dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii; 1939–41 w niewoli sowieckiej; 1941–42 organizator Armii Polskiej w ZSSR; 1942–43 dowódca APW; 1943–45 dowódca II Korpusu; 1945 p.o. Naczelnego Wodza; 1946–54 Naczelnny Wódz i Generalny Inspektor PSZ; V 1954 mianowany generałem broni; 1954–70 członek Rady Trzech 72, 76, 96, 101, 106, 107, 109–111, 114–127, 132, 143, 157–159, 166, 220, 233, 241, 346
 Andriejew Leonid (1871–1919) — pisarz rosyjski 15
 Andrzejewski Jerzy (1909–1983) — pisarz 63, 176, 177, 212
 Arciszewski Mirosław (1892–1963) — dyplomata; 1932–38 poseł w Bukareszcie 87, 91, 157
 Arciszewski Tomasz (1877–1955) — działacz socjalistyczny; 1944–47 premier rządu RP 126
 Arcybaszew Michaił (1878–1927) — pisarz rosyjski; od 1923 w Polsce, współpracownik „Za swobodu” 16
 Ariès Philippe (1914–1984) — historyk francuski 195
 Aron Raymond (1905–1983) — francuski filozof, socjolog i politolog 191, 195, 223
 Babel Izaak (1894–1941) — pisarz rosyjski 16, 197
 Babiańska — studentka UW 14
 Bajkowski Jan (1905–1943) — pisarz, publicysta 43, 60
 Baltrušaitis Jurgis (1903–1988)

* Indeks nie obejmuje części „Dokumenty”. Kursywą oznaczono numery stron w obrębie „Uzupełnień”.

- litewski historyk sztuki 227, 228
- Bandurski Władysław (1865–1932) — biskup; kaznodzieja, honorowy kapelan I Brygady Legionów 32
- Baranow — sekretarz redakcji miesięcznika „Nowy mir” 197
- Barański Leon (1895–?) — 1935–39 naczelny dyrektor Banku Polskiego 80
- Bartel Kazimierz (1882–1941) — matematyk, profesor Politechniki Lwowskiej; 1926, 1928–29, 1929–30 premier 30, 139, 229
- Bau Zdzisław (1912–1991) — dziennikarz i publicysta; 1941–43 redaktor w „Orle Białym” 121
- Bauman Zygmunt (1925) — socjolog 237
- Bączkowski Włodzimierz (1905) — publicysta; 1930–39 redaktor kwartalnika „Wschód”; 1932–38 redaktor „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” 47, 48, 117
- Bąkiewicz Wincenty (1897–1974) — pułkownik; 1941–45 szef Drugiego Oddziału SG Armii Polskiej w ZSSR, na Bliskim Wschodzie i we Włoszech 115, 116, 122, 138
- Beck Jadwiga (1896–1974) — l-o voto Burhardt-Bukacka; żona Józefa Becka 143
- Beck Józef (1894–1944) — 1932–39 minister spraw zagranicznych; internowany, zmarł w Rumunii 14, 34, 39, 40, 43, 53, 71, 88, 93, 110, 194, 239
- Beck-Burhardt Joanna — córka Jadwigi Beck 103
- Begin Menahem (1913–1992) — żydowski działacz niepodległościowy; 1977–83 premier Izraela 122
- Ben Philippe *vide*: Niświski Norbert
- Berenbau Edward — przemysłowiec; przed wojną w Bielsku, po wojnie w Urugwaju 150, 153
- Berent Wacław (1873–1940) — pisarz 180, 186
- Beria Ławrientij (1899–1953) — 1938–46 szef sowieckiej policji politycznej NKWD; 1953 minister spraw wewnętrznych 200
- Beylin Paweł (1926–1971) — socjolog, muzykolog, publicysta 204
- Białas Franciszek (1900–1970) — działacz PPS, w czasie okupacji we władzach WRN; od 1946 w Londynie 170
- Bielatowicz Jan (1913–1965) — publicysta, krytyk; 1940–44 żołnierz Brygady Karpackiej; 1944–46 redaktor Biblioteki „Orla Białego”; 1949–51 redaktor londyńskiej „Gazety Niedzielnej”; 1951–55 redaktor „Życia” 113, 138
- Bielecki Czesław (1948) (Maciej Poleski) — architekt; publicysta polityczny; od 1979 współpracownik „Kultury” 241
- Bieńkowski Władysław (1906–1991) — publicysta, działacz polityczny; organizator PPR i KRN; 1948–56 dyrektor Biblio-

- teki Narodowej; 1956–59 minister oświaty 210, 211
- Bierdiajew Nikołaj (1874–1945) — rosyjski filozof i publicysta 219
- Bloch Ernst (1885–1977) — filozof niemiecki; profesor uniwersytetu w Lipsku i od 1961 w Tybindze 206
- Blumenfeld Izidor — matematyk; przemysłowiec lwowski 39
- Blumenfeld Stanisława — żona Izidora; współpracowniczka lwowskich „Sygnałów” i „Lwowa Literackiego” wspomagająca je finansowo 39
- Błok Aleksandr (1880–1921) — poeta rosyjski 186
- Bobiński Władysław (1901–1975) — płk; 1940–43 dowódca Pułku Ułanów Karpackich 97
- Bobkowska Helena z Mościckich (1897–1962) — żona Aleksandra 144
- Bobkowski Aleksander (1885–1966) — stryj Andrzeja; 1935–39 wiceminister komunikacji 144
- Bobkowski Andrzej (1913–1961) — pisarz; w czasie wojny we Francji, od 1948 roku w Gwatemali 141, 143–145, 156, 164, 227
- Bobrowski Czesław (1904–1996) — ekonomista i polityk; 1930–39 redaktor „Gospodarki Narodowej” 34, 166
- Bobrzyński Jan — działacz konserwatywny; publicysta 64
- Bocheńska Maria Małgorzata z Borkowskich (1882–1931) — matka Józefa, Aleksandra i Adolfa 74
- Bocheński Adolf (1909–1944) (Adzio) — publicysta „Buntu Młodych” i „Polityki”; 1940 żołnierz Brygady Podhalańskiej i 1940–44 Brygady Karpackiej 61, 62, 64, 65, 69–74, 77, 87, 96–100, 105, 108, 109, 159, 339
- Bocheński Aleksander (1904) (Olo) — publicysta, działacz polityczny; współpracownik „Buntu Młodych” i „Polityki”; 1947–52 poseł na Sejm 35, 65, 66, 74, 90
- Bocheński Józef Maria (1902–1995) — dominikanin; historyk logiki i filozofii; 1948–72 profesor uniwersytetu we Fryburgu 39, 72, 145, 146
- Bociański Ludwik (1892–1970) — pułkownik; 1935–39 wojewoda wileński 44, 49
- Boisgelin Gilles de (1919–1990) — arystokrata francuski; przyjaciel Józefa Czapkiego 153
- Bolesław I Chrobry (? 967–1025) — 1025 król Polski 245
- Bondy François (1915) — pisarz, wydawca, tłumacz; 1951–69 redaktor miesięcznika „Preuves” 190, 191, 195
- Bonner Helena (1923) — 1972–89 żona Andrieja Sacharowa 198
- Borejsza Jerzy (1905–1952) — działacz komunistyczny, publicysta; założyciel i prezes Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” 164

- Borkowski-Dunin Henryk (1907–1943) — 1936–39 dyrektor departamentu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego 32
- Borkowski-Dunin Piotr (1890–1949) — działacz konserwatywny; 1927–28 wojewoda lwowski, 1928–29 wojewoda poznański; po wojnie konsul Polski Ludowej w Rzymie 33, 35, 44, 48, 51, 64, 68, 74–76, 139
- Bornholz Tadeusz — pedagog 148
- Boruchowicz Leo — związkowiec amerykański 189
- Boruta-Spiechowicz Mieczysław (1894–1985) — generał; 1941–45 w PSZ; 1945–46 w LWP 207
- Borwicz Michał (1911–1987) — publicysta, historyk 213
- Brandt Willy (1913–1992) — 1969–74 kanclerz RFN 237
- Brandys Kazimierz (1916) — pisarz 225
- Breszko-Breszkowski Nikołaj — pisarz rosyjski 348
- Broncel Zdzisław (1909–1998) — publicysta, krytyk, poeta 223
- Broniewski Władysław (1897–1962) — poeta 113, 118, 179, 348
- Brown Irving (1911–1989) — amerykański działacz związkowy 189
- Brystygier Julia (1902–1975) — dyrektor Departamentu V MBP 164
- Brzeski Andrzej (1925) — ekonomista 204
- Brzeziński Zbigniew (1928) — po-
- litolog i polityk amerykański 173, 174
- Brzozowski Stanisław (1878–1911) — pisarz, krytyk, filozof 18, 37, 185, 226
- Burnham James (1905–1987) — amerykański socjolog i politolog; 1955–78 założyciel i redaktor „National Review” 78, 79, 138, 172, 187–189
- Burnham Marcia — żona Jamesa Burnhama 187
- Čarnogurský Pavol (1908–1993) — słowacki działacz polityczny 236
- Chałasiński Józef (1904–1979) — socjolog, 1936–39 dyrektor Państwowego Instytutu Kultury Wsi 137
- Charkiewicz Walerian (1890–1950) — publicysta wileński; kierownik Biura Historycznego i Muzeum APW 69, 108
- Chciuk Andrzej (1920–1978) — pisarz 214
- Chesterton Gilbert (1874–1936) — pisarz angielski 17, 18
- Chilecki Andrzej (1935–1989) — dziennikarz, publicysta; od 1959 w Austrii i RFN; współpracownik „Kultury” 240
- Chiriakowa-Weber Eugenia (1895–1939) — rosyjska poetka, publicystka i tłumaczka; od 1929 w Polsce 16
- Chomyszyn Hryhoryj (1867–1947) — greckokatolicki biskup stanisławowski 47
- Chruszczow Nikita (1894–1971) —

- 1953–64 pierwszy sekretarz sowieckiej partii komunistycznej 168, 200
- Ciano Galeazzo (1903–1944) — 1936–43 włoski minister spraw zagranicznych 40
- Ciołkosz Adam (1901–1978) — działacz PPS; historyk i publicysta 91
- Cittadini Irena — milionerka amerykańska 150
- Conrad Joseph (1857–1924) — pisarz angielski 17
- Cybis Jan (1897–1972) — malarz, krytyk sztuki, publicysta 185
- Cybulska Zofia (?–1980) — żona Aleksandra Weissberga 145
- Cyrankiewicz Józef (1911–1989) — 1954–70 premier PRL 193
- Czaplicki Janusz K. — uczeń gimnazjum im. Zamoyskiego 14, 22
- Czaplicki Zygmunt — uczeń gimnazjum im. Zamoyskiego 14, 22
- Czapnik — właściciel paryskiej drukarni S.N.I.E. 147
- Czapska Maria (1894–1981) (Marynia) — siostra Józefa; publicystka, pisarka 16, 152
- Czapski Józef (1896–1993) — malarz, pisarz; w 1916 w Korpusie Paziów, w 1917 w 1. Pułku Ułanów, w 1919 w Piotrogradzie — poszukiwania oficerów polskich w niewoli bolszewickiej; udział w wojnie polsko-bolszewickiej; studia w krakowskiej ASP; 1924–31 we Francji wraz z grupą kapistów; po powrocie do Polski liczne wystawy, 1939–41 po kampanii wrześniowej w niewoli sowieckiej; Szef Wydziału Propagandy i Informacji, a następnie Biura Wydawnictw Drugiego Korpusu; od 1947 w Maisons-Laffitte 16, 21, 33, 73, 96, 106–112, 115, 118, 119, 121, 122, 124, 127, 132, 138–144, 150–154, 156, 163–165, 174, 185, 187, 188, 192–198, 201, 215–221, 224, 227, 229, 231–233, 249, 340, 341, 346
- Czaykowski Bogdan (1932) — poeta, krytyk literacki, tłumacz 338
- Czerniawski Adam (1934) — poeta, krytyk literacki, tłumacz 338
- Daniel Julij (1925–1988) (Mikołaj Arzak) — pisarz rosyjski 191, 197, 213
- Danilewicz-Zielińska Maria (1907) — pisarka; bibliograf i bibliotekarz 338
- Dante Alighieri (1265–1321) — poeta włoski 338
- Dąb-Biernacki Stefan (1890–1959) — legionista; generał WP; 1940 internowany na wyspie Bute, zwanej Wyspą Wężów 117
- Dąbrowska Maria (1889–1965) — pisarka 16, 101, 181, 182
- Dąbrowski Eugeniusz (1901–1970) — ksiądz; biblista 163, 164
- Dembiński Henryk (1908–1941) — 1928–32 działacz „Odrodzenia”; 1935–36 założyciel i redaktor wileńskiego „Po prostu” 38

- Dickens Charles (1812–1870) — pisarz angielski 18
- Długoszowski-Wieniawa Bolesław (1881–1942) — generał; legionista i peowiak; 1928–30 komendant m.st. Warszawy; 1938–40 ambasador we Włoszech 39, 40, 93, 94
- Dmowski Roman (1864–1939) — współtwórca i przywódca ruchu narodowego 94
- Doboszyński Adam (1904–1949) — inżynier; działacz Stronnictwa Narodowego i Obozu Wielkiej Polski 70
- Dobraczyński Jan (1910–1994) — pisarz i publicysta; 1946–47 redaktor „Dziś i jutro”; 1953–56 przewodniczący komitetu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego” 140, 163, 201
- Doncow Dmytro (1883–1973) — ukraiński dziennikarz i publicysta polityczny 47, 75
- Doran — konsul brytyjski w Bukareszcie 102
- Dostojewski Fiodor (1821–1881) — pisarz rosyjski 15, 16, 24, 160, 219
- Dowbór-Muśnicki Józef (1867–1937) — generał; 1917–18 dowódca I Korpusu Polskiego w Rosji 10, 12
- Drymmer Wiktor Tomir (1896–1975) — 1931–39 dyrektor Biura Personalnego MSZ; 1933–39 szef Departamentu Konsularnego MSZ 29, 43, 48, 80
- Dzendzel Henryk (1895–1973) — działacz ludowy; 1923 sekretarz Wincentego Witosa 56
- Dziadulska Adela M. *vide*: Żeleńska Adela
- Džilas Milovan (1911–1995) — jugosłowiański działacz polityczny; dwukrotnie w więzieniu za publikację książek: 1956–61 *Nowa klasa* i 1962–66 *Rozmowy ze Stalinem* 168
- Eile Marian (1910–1984) — 1945–69 redaktor „Przekroju” 235
- Emmanuel Pierre (1916–1986) — pisarz francuski 349
- Erdman Jan (1906–1986) — reporter i dziennikarz; 1962–72 redaktor polskiej edycji miesięcznika „Ameryka” 105, 158
- Erdman Marta (1923–1982) — córka Melchiora Wańkowicza, żona Jana 158
- Erenburg Ilia (1891–1967) — pisarz rosyjski 16
- Fajans Roman (1903–1976) — reporter, publicysta, tłumacz 161
- Falczyńska Bronisława — gosposia Jerzego Giedroycia 77
- Felsztyn Tadeusz (1894–1963) — nauczyciel; 1929–39 wykładowca w Politechnice Warszawskiej; specjalista w zakresie balistyki i uzbrojenia 136
- Filosofow Dymitr (1872–1940) — rosyjski krytyk i eseista; od 1920 w Polsce, redaktor „Za swobodu” 16, 182
- Fini Léonor (1908–1996) — włoska

- malarka urodzona w Buenos Aires, towarzysząca życia Konstantego Jeleńskiego 228
- Florczak Zbigniew (1923) (Pelikan) — publicysta, eseista, tłumacz 157
- Folkierski Władysław (1890–1961) — romanista, profesor UJ; 1944–47 minister prac kongresowych; 1947–49 minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego 132
- Franco Francisco (1892–1975) — hiszpański generał i polityk 71
- Frankowski Jan (1912–1976) — ekonomista i działacz polityczny; 1947–72 poseł na Sejm 74, 77
- Friskze Andrzej (1956) — historyk; od 1982 redaktor działu historycznego w „Więzi” 216
- Frunze Michaił (1885–1925) — sowiecki komisarz ds. wojska i marynarki 16
- Gafencu Grigore (1892–1957) — 1938–40 rumuński minister spraw zagranicznych; po wojnie w Paryżu 195
- Galczyńska Natalia (1908–1976) — żona Konstantego; tłumaczka 178
- Galczyński Konstanty Ildefons (1905–1953) — poeta 178
- Gandhi Mohandas (1869–1948) — polityk i moralista indyjski 77
- Gaulle Charles de (1890–1970) — generał; 1940–45 szef londyńskiego Komitetu Wolnej Francji i Rządu Tymczasowego; 1945–46 i 1958 premier; 1959–69 prezydent Francji 72, 126, 127, 193
- Gawlina Józef (1892–1964) — od 1933 biskup połowy WP 121, 145, 146
- Gidyński Józef (1902–1977) — adwokat 173
- Giedroyc Bronisław — dziadek Jerzego 10
- Giedroyc Franciszka ze Starzyckich (?–1944) — matka Jerzego, Zygmunta i Henryka Giedroyciów 9, 10, 12, 13
- Giedroyc Henryk (1922) — brat Jerzego; od 1952 pracownik Instytutu Literackiego 13, 14, 54, 244, 251
- Giedroyc Ignacy (?–1944) — ojciec Jerzego, Zygmunta i Henryka Giedroyciów 9, 10, 12, 13, 19, 22
- Giedroyc Lucjan — pradziadek Jerzego 10
- Giedroyc Wiktor — stryj Jerzego 11
- Giedroyc Zygmunt (1909–1973) — brat Jerzego 9, 10, 13
- Giedroyc-Szwecow Tatiana (1913) — żona Jerzego 14, 15, 34, 188
- Gierat Stanisław (1903–1977) — działacz młodzieżowy; 1926–39 założyciel Związku Młodej Wsi „Siew” 37, 55, 132–134
- Gierek Edward (1913) — 1970–80 pierwszy sekretarz KC PZPR 237
- Goldberg Kuba — filmowiec 212
- Gombrowicz Rita — żona Witolda 343, 344

- Gombrowicz Witold (1904–1969) — pisarz 45, 177, 183, 184, 191, 214, 227, 343, 344, 349
- Gomułka Władysław (1905–1982) — 1956–70 pierwszy sekretarz KC PZPR 171, 193, 203, 206, 209, 235, 237, 342, 343
- Gorbaniewska Natalia (1936) — rosyjska poetka i tłumaczka; od 1975 w Paryżu 196, 197
- Gottesman Gustaw (1919–1998) — publicysta, tłumacz; 1954–63 redaktor „Przeglądu Kulturalnego” 206
- Górnicki Wiesław (1931–1996) — dziennikarz i publicysta 205
- Grabowska — redaktorka rozgłośni Głos Ameryki w Monachium 81
- Grabowski Witold (1898–1966) — prokurator; 1935–39 minister sprawiedliwości 41, 45
- Grabski Stanisław (1871–1949) — polityk i ekonomista 27, 60
- Grocholski Remigiusz (1888–1965) — wojskowy; 1942–43 komendant „Wachlarza” 28
- Grosfeld Ludwik (1885–1955) — działacz socjalistyczny; 1940–43 minister pracy i opieki społecznej 91
- Gross Feliks (1906) — socjolog, historyk, profesor uniwersytetu w Nowym Jorku 208
- Grudzińska-Stojanowska Krystyna (1915–1952) — malarka; żona Gustawa Herlinga-Grudzińskiego 141
- Grudziński Gustaw *vide*: Herling-Grudziński Gustaw
- Grydzewski Mieczysław (1894–1970) — 1924–39 wydawca i redaktor „Wiadomości Literackich” i 1946–66 londyńskich „Wiadomości” 181, 229
- Gryziewicz Stanisław (1904–1965) — ekonomista 162
- Grzegorzczak Marian (1887–1945) — dziennikarz prasy warszawskiej 26
- Grzędziński Januariusz (1892–1975) — pułkownik; pisarz i publicysta 202
- Grzybowski Wacław (1887–1959) — 1926 szef gabinetu premiera Bartla; 1927–35 poseł w Pradze; 1936–39 ambasador w Moskwie 29
- Gul Roman (1896–1986) — rosyjski pisarz i publicysta; 1966–86 redaktor kwartalnika „Nowyż żurnał” 196
- Guzy Piotr (1922) — pisarz i publicysta 214, 343
- Halévy Daniel (1872–1962) — francuski historyk i eseista 195
- Haller Józef (1873–1960) — generał; polityk 23
- Hamsun Knut (1859–1952) — pisarz norweski 17
- Hankey Robert M. (1905) — dyplomata brytyjski; 1936–39 konsul w Warszawie; 1939–40 konsul w Bukareszcie 102, 103
- Heller Eugenia (1922–1986) — żona Michała 238
- Heller Michał (1922–1997) (Adam Kruczek) — publicysta i histo-

- ryk rosyjski; od 1957 w Polsce, od 1969 w Paryżu; stały współpracownik „Kultury” 213, 238
- Henryk III Walezy (1551–1589) — 1573–74 król Polski 11
- Herbert Auberon (1922–1974) — arystokrata angielski; żołnierz Pierwszej Dywizji Pancерnej generała Maczka; przyjaciel „Kultury” 221, 222
- Herbert Zbigniew (1924–1998) — poeta i eseista 177, 212, 344, 345
- Herling-Grudziński Gustaw (1919) — pisarz, tłumacz; współpracownik „Orki” i „Orki na Ugorze”; 1940–42 w niewoli sowieckiej; żołnierz APW i Drugiego Korpusu; 1945–47 współpracownik „Orla Białego”; 1947–52 w Londynie współpracownik „Wiadomości”; 1952–55 pracownik RWE w Monachium; włoski korespondent „Kultury” 113, 114, 133–136, 138, 141, 142, 176, 179, 182, 192, 197, 198, 225–227, 231, 233, 237, 240
- Hersch Jeanne (1910) — filozof, uczennica K. Jaspersa; profesor uniwersytetu w Genewie 189, 192, 219
- Hertz Aleksander (1895–1983) — socjolog i publicysta 161
- Hertz Mieczysław (1870–1943) — ojciec Zygmunta Herta 217
- Hertz Zofia (1911) (Zosia) — prawnik w biurze notarialnym (zdała egzamin na stanowisko notariusza); 1940–41 internowana w Związku Sowieckim; współpracowniczka Wydziału Propagandy i Informacji APW i Drugiego Korpusu; od 1943 współpracowniczka Jerzego Giedroycia; współzałożycielka Instytutu Literackiego 60, 112, 113, 133–137, 141, 144, 152, 155, 175, 192, 196, 217–219, 222, 233, 234, 238, 244, 251, 350
- Hertz Zygmunta (1908–1979) — urzędnik w firmie Solvay; 1940–41 internowany w Związku Sowieckim; żołnierz APW i Drugiego Korpusu; współzałożyciel Instytutu Literackiego 133–135, 141, 144, 145, 154, 155, 168, 175, 177, 202, 212, 215–219, 229, 233, 234, 238, 240, 346, 347
- Heydenkorn Benedykt (1906) — socjolog; dziennikarz i publicysta 241
- Hirsztowicz Maria — socjolog 238
- Hitler Adolf (1889–1945) — 1933–45 kanclerz III Rzeszy 209, 348
- Hlond August (1881–1948) — kardynał; 1926–48 prymas Polski 32, 146
- Hładki Zygmunta (1896–?) — dyplomata 30
- Hłasko Marek (1934–1969) — pisarz 212, 215, 218
- Holland Agnieszka (1948) — reżyser filmowy 236
- Hollender Tadeusz (1910–1943) — poeta, tłumacz; 1933 współzałożyciel lwowskich „Sygnałów” 38, 39
- Hoppe Jan (1902–1969) — publicy-

- sta, działacz polityczny; 1930 założyciel „Jutra Pracy”; 1935–38 sekretarz Prezydium Sejmu 60, 90
- Horodyński Dominik (1919) — dziennikarz i publicysta 164
- Horzyca Wilam (1889–1959) — reżyser teatralny; publicysta, 1928–37 redaktor „Drogi”; 1937–39 współpracownik „Pionu” 37
- Hulls Leslie — 1941–44 brytyjski oficer łącznikowy przy APW 109
- Ibsen Henrik (1828–1906) — pisarz norweski 22
- Ilińska-Benenson Fira — żona Janusza Ilińskiego 173
- Iliński Janusz (1896–1961) — major 173
- Iłowajski-Alberti Irina (1924) — rosyjska publicystka; sekretarka A. Solżenicyna; od 1980 redaktorka paryskiego tygodnika „Russkaja mysl” 196
- Irzykowski Karol (1873–1944) — krytyk literacki, publicysta, pisarz 180
- Iwańska Alicja (1918–1996) — socjolog; pisarka 213
- Iwaskiewicz Jarosław (1894–1980) — pisarz 164, 179, 210, 228
- Jackson Charles D. (1902–1964) — 1951–52 amerykański przewodniczący Komitetu Wolnej Europy 165, 173
- Jacob Max (1876–1944) — pisarz francuski 219
- Jaklicz Józef (1894–1974) — pułkownik; IX 1939 oficer sztabu
- NW; 1947–48 szef Misji Likwidacyjnej PSZ we Francji 141
- Jan Paweł II (1920) (Karol Wojtyła) — papież 243
- Janta-Polczyński Aleksander (1908–1974) — dziennikarz, publicysta, pisarz 160–162
- Janta-Polczyński Leon (1867–1961) — ziemianin i polityk; 1930–32 minister rolnictwa 31–33, 160, 161
- Jarecki Andrzej (1933–1993) — autor piosenek i skeczów STS; reżyser teatralny 204
- Jarra Eugeniusz (1881–1973) — teoretyk i filozof prawa; profesor UW 23
- Jastrun Tomasz (1950) (Smecz) — poeta, eseista, publicysta; współpracownik „Kultury” 244
- Jedlicki Witold (1929–1995) — socjolog; członek Klubu Krzywego Koła 205, 236
- Jeleński Konstanty Aleksander (1922–1987) (Kot) — publicysta, krytyk, tłumacz; żołnierz Pierwszej Dywizji Pancерnej generała Maczka, współpracownik „Dziennika Żołnierza I Dywizji” i „Salamandry”; 1952–67 pracownik Kongresu Wolności Kultury; 1953–69 współpracownik miesięcznika „Preuves”, współpracownik „Kultury” 131, 143, 155, 175, 184, 187, 190, 191, 195, 218–220, 222, 224, 227–229, 233, 249, 349
- Jędrzychowski Stefan (1910–1996) — współpracownik wileńskiej

- grupy „Po prostu”; 1956–68 przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów 38, 195
- Jędrzejewicz Wacław (1893–1993) — polityk; 1933–34 podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu; 1934–35 minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego 86
- Jordan Zbigniew (1911–1977) — filozof i historyk filozofii, publicysta 57, 64, 156
- Josselson Michael (1908–1978) — Amerykanin urodzony w Estonii, dyrektor sekretariatu Kongresu Wolności Kultury 190
- Józewski Henryk (1892–1981) — polityk, działacz społeczny; 1928–38 wojewoda wołyński; 1929–30 minister spraw wewnętrznych 49–51, 116
- Juin Alphonse (1888–1967) — generał; 1944 dowódca korpusu francuskiego we Włoszech 72
- Juraha-Giedroyc Jerzy — 1925–26 działacz Polskiej Organizacji Fazystów 51
- Jurewicz Jan (1910) — 1976–90 działacz Komitetu Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce, Chicago 243
- Juryś Julia (1946) — tłumaczka; 1980–93 adiustatorka „Kultury” 239
- Kaczyński Marian — nauczyciel języka polskiego w gimnazjum im. Zamoyskiego 19, 185
- Kaden-Bandrowski Juliusz (1885–1944) — pisarz 135, 180
- Karński Władysław (1906–1983) — działacz narodowy; 1929–39 pracownik Prokuratury Generalnej, mianowany wicekonsulem w Bukareszcie 104
- Karczewski Jan (1900–1947) (Nulek) — kpt.; 1928–31 oficer Drugiego Oddziału przydzielony do Biura Prasowego RM; 1931–34 urzędnik MSZ 27, 28, 30, 41
- Karpiński Jakub (1940) — socjolog i publicysta polityczny; skazany w 1970 w procesie „taterników” na 4 lata więzienia 237
- Karpiński Wojciech (1943) — romanista; krytyk literacki, eseista 217
- Karpowicz Michaił (1888–1959) — historyk rosyjski; 1945–59 redaktor nowojorskiego kwartalnika „Nowyj żurnal” 196
- Kasprzycki Tadeusz (1891–1979) — generał; 1934–39 wiceminister i minister spraw wojskowych 49
- Kawałkowski Aleksander (1899–1965) — działacz społeczny; dyplomata 38
- Kazimierz I Odnowiciel (1016–1058) — książę polski, syn Mieszka II i Rychyzy 245
- Kedryn-Rudnicki Iwan (1896–1995) — ukraiński publicysta i działacz polityczny; 1937–39 redaktor polityczny „Diło” 47, 52
- Kewes Karol (1924) (K.S. Karol) — publicysta; 1953–64 współpracownik paryskiego tygodnika

- „L'Express” i „Le Nouvel Observateur” 167, 168
- Kiepusa Jan (1902–1966) — śpiewak operowy i estradowy 25
- Kipling Rudyard (1865–1936) — pisarz angielski 18
- Kisielewski Stefan (1911–1991) (Kisiel, Tomasz Staliński) — kompozytor; publicysta, pisarz; stały felietonista „Tygodnika Powszechnego” 81, 82, 165, 167, 202, 207–210, 215, 233, 236, 249, 345
- Kleszczyński Ignacy — dziennikarz 95, 99, 105
- Klimkowski Jerzy — adiutant generała Andersa 97, 106, 108–110, 119, 339, 340
- Koc Adam (1891–1969) — pułkownik; 1937–38 organizator i szef OZN 41
- Koestler Arthur (1905–1983) — urodzony w Budapeszcie angielski publicysta i pisarz 135, 192
- Kolankowski Ludwik (1882–1956) — historyk; profesor uniwersytetów w Wilnie i Lwowie 186
- Kołaczkowski Stefan (1887–1940) — krytyk i historyk literatury; 1934–38 redaktor kwartalnika „Marchoń” 180
- Kołakowska Tamara — żona Leszka 205
- Kołakowski Leszek (1927) — filozof 167, 204, 205, 238, 240
- Kołodziejski Henryk (1884–1953) — 1921–39 założyciel i dyrektor Biblioteki Sejmowej; mason 230
- Kołoński Roman (1906–1978) — poeta i tłumacz; publicysta, 1937–39 redaktor tygodnika „Pion” 180
- Komorowski-Bór Tadeusz (1895–1966) — generał; 1943–44 dowódca AK; dowódca powstania 1944; IX 1944 mianowany NW, V 1945 objął funkcję, XI 1946 zrzekł się na rzecz generała Andersa 118, 125
- Kontny Piotr (1895–1947) — doktor filozofii, przyrodnik; publicysta 46
- Kopański Stanisław (1895–1976) — generał; 1940–43 dowódca Brygady Karpackiej; 1943–47 szef sztabu NW; 1947–49 Generalny Inspektor Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia 106
- Korduba Miron (1876–1947) — historyk ukraiński; 1929–39 profesor UW 24
- Kornaga Jeremi *vide*: Piątkowski
- Korniłowicz Władysław (1884–1946) — ksiądz; 1934–39 założyciel i redaktor „Verbum” 16, 20
- Kostek-Biernacki Wacław (1884–1957) — VIII 1930 komendant twierdzy brzeskiej; 1931 wojewoda nowogródzki; 1932–37 wojewoda poleski 45, 49, 181
- Kościółkowski-Zyndram Marian (1892–1946) — 1930–34 wojewoda białostocki; 1934–35 minister spraw wewnętrznych; 1935–36 premier 35, 36, 339

- Kościusko Tadeusz (1746–1817) — generał; naczelnik powstania 1794 roku 100, 246
- Kot Stanisław (1885–1975) — 1920–33 profesor UJ; działacz ludowy; 1941–43 ambasador w Moskwie i Kujbyszewie; 1942–43 minister stanu na Bliskim Wschodzie; 1945–47 ambasador Polski Ludowej w Rzymie 52, 76, 87, 88, 92, 95, 96, 99–102, 104, 109, 110, 139, 194, 310
- Kotorowicz Henadij — dziennikarz ukraiński; współpracownik „Dilo” i „Polityki” 52
- Kott Jan (1914) — publicysta; krytyk literacki i teatralny 162, 163, 182
- Kowalczewski — ppłk; oficer do zleceń generała K. Sosnowskiego 43
- Kowalewski Jan (1892–1965) — płk; 1928–37 attaché wojskowy w Moskwie i Bukareszcie; szef sztabu OZN 55, 103, 119
- Kowalska Anna (1903–1969) — pisarka 182, 183
- Kozłowska Stefania — sekretarka Józefa Czapskiego 152
- Kozłowski Leon (1892–1944) — archeolog; polityk, 1934–35 premier 61, 92
- Kozłowski Maciej (1943) — historyk, publicysta; skazany w 1970 w procesie „taterników” na 4,5 roku więzienia 236, 237
- Kozłowski Stefan (?–1981) (major Aleksander) — oficer WP; inżynier 198, 199
- Koźniewski Kazimierz (1919) — pisarz i publicysta 163
- Krawczyk Jacek (1954) — od 1985 bibliotekarz Instytutu Literackiego 251
- Kroński Tadeusz (1907–1958) — filozof i historyk filozofii 156, 157, 205
- Król Marcin (1944) — historyk i publicysta 64
- Krzewski-Lilienfeld Karol (1893–1944) (kapral Szczapa) — legionista; literat 53, 89
- Kubijowicz Włodzimierz (1900–1985) — ukraiński geograf, demograf; 1928–39 profesor UJ; wydawca encyklopedii 200
- Kucharzewski Jan (1876–1952) — działacz niepodległościowy; historyk 39
- Kudłyk Mikołaj — linotypista w paryskiej drukarni Richard 148
- Kukiel Marian (1885–1973) — historyk; generał, 1940–42 dowódca Pierwszego Korpusu; 1942–49 minister obrony narodowej 114, 115, 158
- Kukliński Ryszard (1930) — pułkownik LWP; zastępca szefa Zarządu Operacyjnego SG przygotowującego wprowadzenie stanu wojennego w Polsce 174
- Kuncewiczowa Maria (1899–1989) — pisarka 177
- Kurdybacha Łukasz (1907–1972) — historyk oświaty 114
- Kuroń Jacek (1934) — wychowawca; działacz polityczny; skazany w 1965 na 3 lata więzienia za

- rozpowszechnienie *Listu otwartego do Partii*; 1976 współzałożyciel KOR 235, 236
- Kuropieska Józef (1904–1998) — generał; więziony w latach 1950–56; 1964–68 komendant Akademii Sztabu Generalnego 207
- Kurowski Stefan (1923) — ekonomista 202
- Kuryluk Karol (1910–1967) — publicysta; 1934 i 1936–39 redaktor lwowskich „Sygnałów” 38
- Kwiatkowski Eugeniusz (1888–1974) — działacz gospodarczy; polityk, 1935–39 wiceminister skarbu 66, 70, 85
- Laloy Jean (1912–1994) — dyplomata francuski 194, 195
- Lamont Wiktor (1891–1950) — 1928–31 wojewoda pomorski 44
- Langzam Władysław — właściciel paryskiej drukarni Richard 147, 148
- Laroche Jules (1872–1961) — dyplomata francuski; 1926–35 ambasador w Polsce 31
- Lasky Melvin (1920) — 1948–58 redaktor miesięcznika „Der Monat”, 1958–90 „Encounter” 165, 191
- Latinik Franciszek (1864–1949) — generał; VIII–X 1920 gubernator wojskowy Warszawy 18
- Lechoń Jan (1899–1956) — poeta, eseista, publicysta; 1943–46 współredaktor nowojorskiego „Tygodnika Polskiego” 107, 114, 343
- Lenin Włodzimierz (1870–1924) (Władimir Uljanow) — przywódca partii bolszewickiej 189
- Lewycky Borys (1915–1984) — ukraiński dziennikarz, publicysta i sowietolog 188, 199
- Lieberman Herman (1870–1941) — działacz socjalistyczny 23
- Liebermann — przemysłowiec lwowski 70
- Lipski Jan Józef (1926–1991) — historyk literatury, publicysta; działacz społeczny i polityczny; 1976 współzałożyciel KOR 205, 207, 208
- Listowski Anatol (1904–1987) — botanik, agrotechnik, profesor UJ i SGGW 62
- Lityński Zygmunt — dziennikarz 99
- Lopez Arturo — milioner chilijski 153
- Lubomirski Eugeniusz (1895–1982) — adiutant generała Andersa 97, 123
- Lubomirski Zdzisław (1865–1941) — ziemianin; polityk konserwatywny 28, 64
- Ludkiewicz Seweryn (1882–1964) — 1927–32 prezes Rady Nadzorczej Państwowego Banku Rolnego; 1932–33 minister rolnictwa 33, 230
- Ludwig Emil (1881–1948) — pisarz niemiecki 17
- Luksemburg Jerzy — sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi 88
- Łabędź Leopold (1920–1993) — publicysta; sowietolog, 1957–89

- redaktor kwartalnika „Survey” 191, 192
- Ławryniuk Jurij (1905–1987) — ukraiński krytyk literacki i publicysta 199
- Łączkowski Bohdan (1907–1981) — ekonomista, szef gabinetu premiera Kościalskiego, współpracownik „Polityki” 338, 339
- Łoś (Jan) Stanisław (1890–1974) — dyplomata; literat; historyk starożytności 51
- Łubieński Henryk (1901–1960) — dziennikarz i publicysta; 1935–39 współpracownik wileńskiego „Słowa” 54, 76, 77
- Łubieński Jerzy (1907–1958) (Jerzyk) — siostrzeniec Józefa Czapskiego 152
- Łubieński Konstanty (1910–1977) — publicysta i działacz katolicki 57, 69, 79, 339
- Łubieński Ludwik (1912–1996) — 1939 sekretarz ministra Becka; 1946–58 pracownik biura generała Andersa 110, 123
- Łychowski Tadeusz (1900–1967) — prawnik i ekonomista; 1937–39 naczelnik wydziału w Ministerstwie Przemysłu i Handlu 67
- Mackiewicz Stanisław (1896–1966) (Cat, Gaston de Cerizay) — pisarz i publicysta; 1922–39 redaktor i wydawca „Słowa”; 1954–55 premier RP na Uchodźstwie 45, 69, 71, 76, 77, 80, 100, 159, 160, 202
- Maczek Stanisław (1892–1994) — generał; 1942–45 dowódca Pierwszej Dywizji Pancerniej 131, 143
- Majewski Józef Z. — ksiądz 166
- Majski Iwan (1884–1975) — dyplomata sowiecki; 1932–43 ambasador w Londynie 353
- Maksimow Władimir (1930–1995) — pisarz rosyjski; 1974–92 założyciel i redaktor paryskiego kwartalnika „Kontinient” 197, 198
- Malaparte Curzio (1898–1957) — włoski pisarz i publicysta 17, 196, 232
- Malczewski Jacek (1854–1929) — malarz 185
- Malinowski Tadeusz (1888–1980) — generał 90
- Malraux André (1901–1976) — pisarz francuski; 1958–69 minister kultury 153, 193
- Małachowski Aleksander (1924) — dziennikarz i publicysta; 1958–61 prezes Klubu Krzywego Koła 208
- Małaniuk Jewhen (1897–1968) — poeta i publicysta ukraiński; od 1920 w Polsce, po wojnie w USA 48
- Mandelsztam Osip (1891–1938) — poeta rosyjski 186
- Maniu Iuliu (1873–1951) — polityk rumuński, przywódca Partii Narodowo-Chłopskiej 104
- Mann Thomas (1875–1955) — pisarz niemiecki 17
- Manteuffel Tadeusz (1902–1970) —

- historyk mediewista; profesor UW, 1935–70 dyrektor Instytutu Historii PAN 211
- Marchand André — pracownik paryskiej drukarni Richard 148
- Margueritte Bernard — dziennikarz francuski; korespondent „Le Monde”, a następnie „Le Figaro” w Polsce 196
- Marylski Antoni (1894–1973) — książdz; współtwórca i kierownik Zakładu dla Niewidomych w Laskach 21, 219
- Massonius Marian (1862–1945) — dyrektor gimnazjum w Mińsku Litewskim; profesor filozofii USB 12
- Matuszewski Ignacy (1891–1946) — pułkownik; polityk i publicysta; 1929–31 minister skarbu 28, 29
- Mauriac Claude (1914–1996) — publicysta i pisarz francuski 195
- Mauriac François (1885–1970) — pisarz francuski 17
- Maurois André (1885–1967) — pisarz francuski 100
- Mayer René (1895–1972) — polityk francuski; 1955–57 współtwórca i przewodniczący Wspólnoty Węgla i Stali 194
- Mazur Grzegorz (1952) — historyk; pracownik naukowy UJ 216
- Merrill Charles — administrator fundacji 172
- Micewski Andrzej (1926) — publicysta; działacz polityczny; 1986–88 redaktor „Znaków Czasu” 345
- Michnik Adam (1946) — historyk i publicysta 235, 241, 351, 353
- Miciński Bolesław (1911–1943) — eseista, krytyk literacki 62, 139
- Miciński Tadeusz (1873–1918) — pisarz 185
- Mickiewicz Adam (1798–1855) — poeta 136, 183, 246
- Mieczysławska Aniela z Lilpopów (1910–1998); 2-o v. Raczyńska — działaczka społeczna 173
- Miedziński Bogusław (1891–1972) — polityk i publicysta; 1935–38 wicemarszałek Sejmu 13, 41, 59
- Mielesko Tadeusz — dziennikarz Radia Wolna Europa 242
- Mielgunow Siergiej (1876–1956) — historyk rosyjski 196
- Mieroszevska Jadwiga z Czechowiczów (1921–1991) (Inka) — żona Juliusza 222, 223
- Mieroszevski Juliusz (1906–1976) — dziennikarz i publicysta; komentator polityczny; stały współpracownik „Kultury” 162, 169, 170, 179, 209, 216, 220–226, 232, 233, 239, 240, 250
- Mieszko I (?–992) — władca Polski 245
- Międzyrzecki Artur (1922–1996) — poeta i tłumacz 113, 178
- Migała Bonawentura (1907–1995) — 1976–90 działacz Komitetu Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce, Chicago 243
- Mikiciński Samson (1895–1941) — konsul honorowy Republiki Chile w Warszawie; 1940 urzędnik poselstwa chilijskiego w Bukareszcie i Stambule 101, 102
- Mikołajczyk Stanisław (1901–1967)

- działacz i polityk ludowy; 1943–44 premier 77, 115
- Miłosz Czesław (1911) — poeta, prozaik, eseista, tłumacz; 1980 laureat literackiej Nagrody Nobla 44, 63, 118, 155, 169, 170, 172, 174–177, 179, 190–192, 218, 222, 225, 344–347, 350
- Modzelewski Karol (1937) — historyk; działacz polityczny; skazany w 1965 na 3,5 roku więzienia za rozpowszechnienie *Listu otwartego do Partii* 235, 236
- Modzelewski Zenon (1933) — 1972–87 superior księży palotynów we Francji; dyrektor Centre du Dialogue 6, 250
- Mohyla Piotr (1597–1647) — metropolita kijowski i halicki; 1631 założyciel Akademii w Kijowie 245
- Mołotow Władysław (1890–1986) — 1939–49, 1953–56 sowiecki minister spraw zagranicznych 99, 352, 353
- Montini Giovanni Batista (1897–1978) — kardynał; 1963–78 papież Paweł VI 136
- Morawski Kajetan (1892–1973) — dyplomata i polityk; 1936–39 wiceminister skarbu; 1943–45 ambasador przy rządzie generała de Gaulle’a 20, 28, 60, 72, 78, 86, 127, 144, 145, 341, 342
- Morawski Tadeusz (1893–1974) — działacz społeczny i polityczny 28
- Moszyński Jan (1902–1943) — dziennikarz; sekretarz Janusza Radziwiłła 28
- Mościcki Ignacy (1867–1946) — 1926–39 Prezydent RP 34, 40, 86, 87, 93, 94
- Mrożek Sławomir (1930) — pisarz 240
- Mudryj Wasyl (1893–1966) — ukraiński działacz polityczny i społeczny; 1935–39 wicemarszałek Sejmu RP 52, 91, 92
- Mühlstein Anatol (1889–1957) — dyplomata; 1919–30 poseł w Brukseli; 1930–36 radca ambasad w Paryżu 145, 167, 193, 194
- Mussolini Benito (1883–1945) — 1925–43 dyktator Włoch 17
- Nabokow Nicolas (1903–1978) — kompozytor amerykański; 1951–63 Sekretarz Generalny Kongresu Wolności Kultury 190, 227
- Nagórski Zygmunt jr (1912) — dziennikarz 174
- Najder Zdzisław (1930) (Socjusz) — publicysta; 1982–87 dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa 241, 242
- Nakoniecznikow-Klukowski Bronisław (1888–1962) — 1933–34 minister rolnictwa 33, 47
- Napierski Stefan (1899–1940) — pisarz, tłumacz; 1924–39 współpracownik „Wiadomości Literackich”; 1938–39 wydawca „Ateneum” 63
- Narutowicz Gabriel (1865–1922) — 1922 Prezydent RP 23, 46, 178, 187
- Niedziałkowska Maria z Sipayłków — żona Mieczysława 90

- Niedziałkowski Mieczysław (1893–1940) — działacz PPS; 1919–35 poseł na Sejm; 1927–39 redaktor „Robotnika” 51, 52, 90
- Niemyski Stanisław (1904–1962) — działacz socjalistyczny; dziennikarz 22
- Nietzsche Friedrich (1844–1900) — filozof niemiecki 186
- Niezbzycki Jerzy (1902–1968) (Ryszard Wraga) — oficer Drugiego Oddziału Sztabu Generalnego; publicysta 29, 30, 59, 76, 89, 116–118, 222
- Nikołajewski Borys (1887–1966) — rosyjski historyk i publicysta 188
- Niświski Norbert (1913–1978) (Philippe Ben, Filip Ben) — dziennikarz i publicysta „Maariv”; 1956–58 korespondent „Le Monde” w Polsce 196
- Noël Léon (1888–1987) — dyplomata francuski; 1935–40 ambasador przy rządzie polskim w Warszawie i Angers 93
- Nowak Jan (1913) (Zdzisław Jeziorański) — 1952–76 dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa 81, 149, 170–173, 176, 203, 204, 206, 241, 242, 342–344
- Nowak-Dłużewski Juliusz (1893–1972) — nauczyciel i historyk literatury; współpracownik „Dziś i jutro” i „Słowa Powszechnego” 19
- Nowakowski Jan — dziennikarz serbski 168
- Nowakowski Zygmunt (1891–1963) — publicysta i pisarz 100
- Odojewski Włodzimierz (1930) — pisarz 343
- Okudźawa Bułat (1924–1997) — rosyjski poeta, prozaik, pieśniarz 186
- Olechowski Jan (1917–1956) — poeta, publicysta 113, 178
- Orłoś Kazimierz (1935) — pisarz 215
- Orłowski Stanisław (Ostaszewski) — podpułkownik dyplomowany 95
- Osadczyk Bohdan (1920) — ukraiński publicysta, dziennikarz, historyk; stały współpracownik „Kultury” 188, 199
- Osiecka Agnieszka (1936–1997) — poetka 204
- Ossowska Maria (1896–1974) — socjolog; 1945–48 profesor Uniwersytetu Łódzkiego; 1948–52, 1956–66 profesor Uniwersytetu Warszawskiego 211, 212
- Ossowski Stanisław (1897–1963) — socjolog; 1946 profesor Uniwersytetu Łódzkiego; 1947–52, 1957–63 profesor Uniwersytetu Warszawskiego; 1957 założyciel Polskiego Towarzystwa Socjologicznego 211, 212
- Owidiusz (43 p.n.e. – 17 lub 18 n.e.) — poeta rzymski 19, 232
- Pacewicz-Stocker Walentyna — żona Aleksandra Janty-Polczyńskiego 162
- Paczowska Maria — pisarka 184, 240

- Paczowski Bohdan (1930) — architekt 240
- Palester Roman (1907–1989) — kompozytor 343
- Pampuch-Brońska Wanda (1911–1972) — publicystka 188
- Pankowski Marian (1919) — pisarz 105
- Parnicki Teodor (1908–1988) — pisarz 63
- Pasternak Borys (1890–1960) — poeta, powieściopisarz rosyjski; 1958 laureat literackiej Nagrody Nobla 214, 215
- Pawlikowski Michał (1887–1970) — wydawca; poeta, eseista 132
- Peguy Charles (1873–1914) — pisarz i filozof francuski 219
- Perzyński Włodzimierz (1877–1930) — pisarz, publicysta 26
- Petlura Semen (1877–1926) — ukraiński mąż stanu, naczelnik Ukraińskiej Republiki Ludowej, szef armii; na emigracji w Polsce i Paryżu 116
- Petrażycki Leon (1867–1931) — socjolog i filozof prawa; 1918–31 profesor Uniwersytetu Warszawskiego 23
- Piasecki Adam (1899–1938) — publicysta; działacz konserwatywny; 1922–24 sekretarz marszałka Senatu; 1928–38 sekretarz klubu poselskiego BBWR 28
- Piasecki Bolesław (1915–1979) — działacz polityczny ONR; 1952–79 założyciel i przewodniczący Stowarzyszenia PAX 41, 54, 74, 201, 210, 345
- Piasecki Julian (1896–1944) — wojskowy; 1933–39 wiceminister komunikacji 89
- Piasecki Sergiusz (1901–1964) — pisarz 137
- Piasecki Stanisław (1900–1941) — publicysta i krytyk literacki; 1933–39 założyciel i redaktor „Prosto z mostu” 62
- Piaskowski Stanisław — inżynier 147
- Piątkowski (Jeremi Kornaga) — kapitan, autor książki *Robotnicy* 249
- Picasso Pablo (1881–1973) — malarz 220
- Pieczynis Sylwester — nauczyciel historii w gimnazjum im. Zamoyskiego 11, 18
- Pieracki Bronisław (1895–1934) — polityk; 1931–34 minister spraw wewnętrznych 74
- Piestrzyński Ryszard (1902–1962) — publicysta; 1944–58 redaktor „Orla Białego” 91, 101, 124, 125
- Pilatowa Janina (1905–1986) — filolog; 1943–47 redaktorka Wydawnictw Wojskowych na Bliskim Wschodzie 114
- Pilniak Borys (1894–1937) — pisarz rosyjski 16
- Piłsudska Aleksandra (1882–1963) — żona Marszałka 40
- Piłsudski Józef (1867–1935) — Marszałek 11, 28, 30–33, 35, 38, 40–42, 45, 46, 51, 53, 54, 78, 93, 94, 103, 116, 119, 123, 124, 126, 146, 181, 182, 186, 187, 230, 351
- Piłsudski Rowmund (1903–1988)

- założyciel Myśli Mocarstwo-
wej i 1945 Polskiego Ruchu
Wolnościowego „Niepodległość
i Demokracja” 14, 34, 35, 57, 58,
203
- Pirosmaniszwili Niko (1862–1918)
— gruziński malarz samouk 220
- Piskor Aleksander (1911–1972) —
pisarz i publicysta; dyrektor lon-
dyńskiej Vistula Press 134, 148
- Poczbütt-Odlanicki Stanisław
(1898–1981) — wileński dzia-
łacz polityczny 65
- Podoski Bohdan (1894–1986) —
prawnik, polityk; 1935–38 wice-
marszałek Sejmu 56
- Polakiewicz Karol (1893–1962) —
działacz ludowy; 1930 wicemar-
szałek Sejmu 56
- Polański Roman (1933) — reżyser
filmowy 218
- Pomian Grażyna — socjolog; wy-
dawca materiałów do współ-
czesnej historii Polski 249
- Pomianowski Jerzy (1921) — ese-
ista i tłumacz literatury rosyj-
skiej 197
- Poniatowski Józef (1897–1995) —
ekonomista, polityk; publicysta;
1942–44 redaktor „Orla Białego”
99, 113, 138
- Poniatowski Juliusz (1886–1975) —
inżynier rolnik, ekonomista;
1934–39 minister rolnictwa 34–
36, 43, 49, 50, 81, 133, 166
- Poniński Alfred (1896–1968) — dy-
plomata; 1935–40 radca posel-
stwa w Bukareszcie 87, 93
- Popławski Jan — współpracow-
nik „Buntu Młodych” 20, 58, 59
- Potocki Antoni (1867–1939) — kry-
tyk i historyk literatury; publicy-
sta 185
- Potocki Artur (1899–1941) — dzia-
łacz konserwatywny 56, 57
- Potocki Franciszek (1877–1949) —
polityk; 1928–38 szef Departa-
mentu Wyznań w Ministerstwie
Wyznań Religijnych i Oświece-
nia Publicznego 32
- Potulicki Michał (1897–1984) —
prawnik; 1952–58 rektor Col-
lège de l'Europe Libre w Stras-
burgu 189
- Pożaryski Jan — działacz akade-
micki 14, 25, 26, 60, 90
- Pragier Adam (1886–1976) — pu-
blicysta; działacz socjalistyczny;
1944–49 minister informacji i
dokumentacji w Londynie 117,
118
- Prądyńska Anna — siostra Marii;
żona Adama Skwarczyńskiego
59
- Prądyńska Maria (1908–1994)
(Maja) — sekretarka „Buntu
Młodych” i „Polityki” 37, 59–61,
78, 94, 114, 134
- Prądyński Jerzy (1908–1954) (Ber-
lińczyk) — dziennikarz i publi-
cysta; 1952–53 berliński kore-
spondent „Kultury” 151, 198
- Pruszyński Ksawery (1907–1950)
(Grabiec) — publicysta, dzien-
nikarz; 1948–50 poseł Polski
Ludowej w Hadze 38, 69–71, 73,
87, 94, 99, 100, 105, 139, 140,
339

- Pruszyński Mieczysław (1910)
(Miś) — publicysta i działacz
polityczny 61, 69–71, 87, 98, 99,
105, 139, 140, 339, 340
- Prystor Aleksander (1874–1941) —
pułkownik; 1930–31 minister
przemysłu i handlu; 1931–33
premier; 1935–38 marszałek
Senatu 41, 47, 64
- Przewłocki Janusz (1927) — sio-
strzeniec Józefa Czapskiego 221
- Putrament Jerzy (1910–1986) — pi-
sarz; 1945–47 poseł Polski Lu-
dowej w Bernie; 1947–50 amba-
sador w Paryżu 201
- Rabski Janusz (1900–1941) — dzia-
łacz akademicki; 1921 założy-
ciel i pierwszy prezes korporacji
„Patria” 24, 249
- Raciński Zbigniew (1906–1997) —
publicysta 121
- Raczkiewicz Władysław (1885–
1947) — 1939–47 Prezydent
RP 126
- Raczyńska Helena z Rohozińskich
(1892–?) — żona Rogera 34
- Raczyńska Róża (1849–1937) —
matka Rogera i Edwarda 33
- Raczyński Edward (1891–1993) —
dyplomata; 1934–45 ambasador
w Londynie; 1979–86 Prezydent
RP na Uchodźstwie 35, 93, 127,
168, 170
- Raczyński Roger (1889–1945) —
polityk i dyplomata; 1929–34
wojewoda poznański; 1934–36
podsekretarz stanu w Minister-
stwie Rolnictwa; 1938–40 amba-
sador w Rumunii 20, 33–36, 42,
44, 50, 56, 58, 86, 87, 89, 91–94,
102, 108
- Radziwiłł Janusz (1880–1967) —
działacz konserwatywny 28, 64,
90, 198
- Rajchman-Floyar Henryk (1893–
1951) — polityk i wojskowy,
1933–35 minister przemysłu i
handlu; 1935–38 poseł na Sejm
86
- Rataj Maciej (1884–1940) — dzia-
łacz ruchu ludowego; 1922–27
marszałek Sejmu 187
- Reale Eugenio (1905–1986) — wło-
ski działacz polityczny i dyplo-
mata; 1945–47 ambasador w
Warszawie 225
- Régamey Constantin (1907–1983) —
kompozytor i krytyk muzyczny;
profesor literatur słowiańskich i
sanskrytu w Lozannie 139
- Reisler Ignacy *vide*: Sawicki Jerzy
- Rewska Hanna (1915–1970) —
geograf; skazana w 1958 na 3
lata więzienia za kolportaż
„Kultury” 208
- Ribbentrop Joachim von (1893–
1945) — 1938–45 niemiecki
minister spraw zagranicznych
352, 353
- Romains Jules (1885–1972) — pi-
sarz francuski 230
- Roman Jerzy — brat Antoniego;
matematyk 36
- Roman Antoni (1892–1951) —
dyplomata; 1934–36 poseł w
Sztokholmie; 1936–39 minister
przemysłu i handlu; internowa-

- ny w Rumunii, po wojnie pracownik Ministerstwa Handlu Zagranicznego 15, 36, 37, 43, 67, 85, 86, 88, 110, 111, 144
- Roman Maria z Załęskich (1900–1977) — żona Antoniego 15
- Romanowicz Kazimierz (1916) — księgarz; 1946–93 właściciel paryskiej „Libelli” 145
- Romanowicz Zofia (1922) — pisarka i tłumaczka 145
- Rose Adam (1895–1951) — ekonomista; 1936–39 wiceminister przemysłu i handlu 34, 35, 162
- Rostworowski Karol Hubert (1877–1938) — dramaturg i poeta 185
- Rousset David (1912–1997) — francuski działacz polityczny i publicysta 195
- Rożanow Wasilij (1856–1919) — pisarz i filozof rosyjski 15
- Rubel Ludwik (1897–1958) — dziennikarz i publicysta; działacz polityczny 111
- Rudnicki Adolf (1912–1990) — pisarz 163
- Rudnicki Klemens (1897–1992) — generał 143
- Rudzińska Hanna (1919–1992) — sekretarka Klubu Krzywego Koła i Polskiego Towarzystwa Socjologicznego; skazana w 1962 na 1 rok więzienia za współpracę z „Kulturą” 208
- Rudzki Adam (1901–1987) — ekonomista i działacz polityczny 172
- Russell Bertrand (1872–1970) — matematyk, logik i filozof angielski 231
- Rybicki Józef (1901–1986) — filolog klasyczny, nauczyciel; 1945 współzałożyciel Zrzeszenia „WiN”; 1976 współzałożyciel KOR 242
- Rycheza (?–1063) — żona Mieszka II, matka Kazimierza Odnowiciela 245
- Rydz-Śmigły Edward (1886–1941) — Marszałek; 1939 Naczelný Wódz; 1939–40 internowany w Rumunii 14, 41–43, 46, 53, 61, 85, 86, 88, 89, 94, 117, 125
- Rzewuski Tadeusz (1893–1971) — ksiądz greckokatolicki 24
- Rzymowski Wincenty (1883–1950) — literat i publicysta; 1933–37 członek PAL 231
- Sabbat Kazimierz (1913–1989) — działacz harcerski i polityczny; 1976 prezes Rady Ministrów i 1986–89 Prezydent RP na Uchodźstwie 168, 172
- Sacharow Andriej (1921–1989) — fizyk rosyjski; 1975 laureat pokojowej Nagrody Nobla 198
- Sacher-Masoch Leopold von (1836–1895) — pisarz austriacki 232
- Sadzik Józef (1933–1980) — ksiądz; 1973–80 założyciel i dyrektor Centre du Dialogue w Paryżu 218
- Sakowski Juliusz (1905–1977) — krytyk literacki; urzędnik w Ministerstwie Informacji w rządach Sikorskiego i Arciszewskiego 117

- Samczuk Ulas (1905–1987) — pisarz i dziennikarz ukraiński 17
- Sandauer Artur (1913–1989) — krytyk literacki, publicysta, tłumacz 184
- Sapieha Adam (1867–1951) — kardynał; biskup krakowski 136, 139
- Sawicki Jerzy (1910–1967) (Ignacy Reisler) — adwokat i prokurator; 1952–67 profesor Uniwersytetów Łódzkiego i Warszawskiego 68
- Schacht Hjalmar (1877–1970) — finansista i polityk niemiecki; 1934–37 minister gospodarki 80
- Schaetzel Tadeusz (1891–1971) — pułkownik; 1935–38 wicemarszałek Sejmu 32
- Schaff Adam (1913) — filozof marksistowski; 1959–68 członek KC PZPR 205, 206
- Scharf Juliusz (1892–1970) — właściciel drukarni w Krakowie i 1950–70 firmy księgarskiej „Cra-covia” w Londynie 114, 118
- Scherer Olga — pisarka, tłumaczka 349
- Schiller Leon (1887–1954) — reżyser teatralny 185
- Semerau-Siemianowski Mściwój (1885–1953) — lekarz 15
- Sienkiewicz Henryk (1846–1916) — pisarz 137
- Sieroszewski Wacław (1858–1945) — pisarz i działacz niepodległościowy 22, 137
- Sikorski — major; intendent 134
- Sikorski Władysław (1881–1943) — generał; 1939–43 premier, minister spraw wojskowych i Naczelný Wódz 52, 61, 71, 92–95, 101, 104, 106, 107, 110, 111, 120, 121, 182, 194, 353
- Silone Ignazio (1900–1978) — włoski pisarz i działacz polityczny; 1955 współzałożyciel miesięcznika „Tempo Presente” 225
- Singer Bernard (1893–1966) — dziennikarz i publicysta; 1925–39 współpracownik „Naszego Przeglądu” 15, 49, 68
- Siniawski Andriej (1925–1997) (Abram Terc) — pisarz rosyjski; od 1973 na emigracji w Paryżu 191, 197, 213, 239
- Siuta Tadeusz (1913–1978) — historyk starożytności; pracownik Instytutu Literackiego w Rzymie 134, 135, 141
- Skalmowski Wojciech (1933) (M. Broński) — orientalista; krytyk literacki i publicysta; współpracownik „Kultury” 238
- Skiński Wiktor (1900–1956) — 1935–39 naczelnik wydziału prasowego MSZ 72
- Składkowski-Sławoj Felicjan (1885–1962) — 1936–39 premier i minister spraw wewnętrznych 159
- Skwarczyński Adam (1886–1934) — działacz polityczny; publicysta 37, 38, 41, 58–60
- Skwarczyński Stanisław (1888–1981) — generał; 1938 szef OZN 61, 65, 66, 79
- Sławek Walery (1879–1939) — legionista i peowiak; 1928–35 organizator i prezes BBWR; 1938

- marszałek Sejmu 41, 42, 46, 64, 69
 Słonimski Antoni (1895–1976) — poeta, publicysta; 1924–39 stały współpracownik „Wiadomości Literackich”; 1956–59 prezes Związku Literatów Polskich 178, 179
 Słowacki Juliusz (1809–1849) — poeta 21, 183
 Smal-Stocki Roman (1893–1969) — ukraiński językoznawca, działacz polityczny i dyplomata 199
 Smolar Aleksander (1940) — ekonomista i socjolog; 1973–89 redaktor kwartalnika „Aneks” 238, 249
 Smolar Eugeniusz (1945) — dziennikarz Sekcji Polskiej BBC 238
 Smoleński Marian (1894–?) — pułkownik; szef Drugiego Oddziału SG 89, 90
 Sołtysik Kazimierz (?–1938) — publicysta; współpracownik „Bunt Młodych” i „Polityki” 77
 Solżenicyn Aleksandr (1918) — pisarz rosyjski; 1970 laureat literackiej Nagrody Nobla; 1974 pozbawiony obywatelstwa i deportowany z ZSSR 108, 197, 215
 Soroka Wacław A. (1917) — działacz ludowy 96
 Sosnkowska Jadwiga (?–1993) — żona Kazimierza 102
 Sosnkowski Kazimierz (1885–1969) — generał; 1939–40 Komendant ZWZ, 1943–44 Naczelnik RP; 1943–44 Naczelnik Wódz 40–43, 53, 85, 93, 117
 Sperber Manes (1905–1984) — pisarz i wydawca francuski 189, 192, 193
 Stachiewicz Wacław (1894–1973) — generał; 1935–39 szef Sztabu Generalnego 52
 Stachniuk Jan (1905–1963) — publicysta; założyciel i redaktor „Zadrugi” 53
 Stahl Zdzisław (1901–1987) — polityk; publicysta 124–126, 146, 161
 Stalin Józef (1879–1953) (Iosif Dzugaszwili) — 1922–53 przywódca sowieckiej partii komunistycznej 99, 109, 179, 200
 Starzycka Eulalia (Ela) — ciotka Jerzego Giedroycia 13
 Stawar Andrzej (1900–1961) — publicysta i tłumacz 211, 348
 Steinsbergowa Aniela (?–1988) — adwokat; obrońca w procesach politycznych; 1976 współzałożycielka KOR 243
 Stempowski Jerzy (1893–1969) (Paweł Hostowiec) — publicysta, eseista, tłumacz; 1948–69 współpracownik „Kultury” 16, 29, 46, 101, 135, 139, 168, 182, 229–233, 240
 Stempowski Stanisław (1870–1952) — działacz polityczny; 1924–39 bibliotekarz w Ministerstwie Rolnictwa 16, 36, 116, 137, 139, 181, 182
 Stern Anatol (1899–1968) — poeta 181
 Stomma Stanisław (1908) — publicysta; katolicki działacz spo-

- leczny; 1956–76 przewodniczący koła poselskiego „Znak” 209
 Stone Shepard (1908–1990) — dyrektor programów międzynarodowych Fundacji Forda 349
 Straszewicz Czesław (1904–1963) — pisarz i publicysta 62, 63, 193
 Strindberg August (1849–1912) — pisarz i dramaturg szwedzki 22
 Stroński Andrzej — sekretarz generała Andersa 97, 98
 Stroński Stanisław (1882–1955) — działacz polityczny; publicysta; 1924–28 redaktor „Warszawianki”; 1939–43 wicepremier i minister informacji 26, 61, 92, 97, 98
 Strug Andrzej (1871–1937) — pisarz i publicysta; działacz PPS 137
 Strumph-Wojtkiewicz Stanisław (1898–1986) — pisarz i publicysta 26
 Strzelecki — pułkownik; opiekun Klubu 11 listopada 41
 Strzelecki Jan (1918–1988) — socjolog; publicysta; działacz socjalistyczny 204, 205
 Studentowicz Kazimierz (1903–1992) — ekonomista 61, 62, 65–70
 Studnicki-Gizbert Władysław (1867–1953) — działacz niepodległościowy i polityk; publicysta 56, 60, 62, 74, 80, 90, 186
 Stypułkowska Aleksandra z Rabskich (1906–1982) — prawnik; dziennikarka Rozgłośni Polskiej RWE 14
 Subotin Stojan (1921–1977) — serbski badacz i tłumacz literatury polskiej 168
 Swianiewicz Stanisław (1899–1997) — 1930–39 profesor ekonomii politycznej USB 49, 61, 62, 65, 80, 215, 352
 Sypniewski Tadeusz (?–1998) — publicysta 101
 Syruczek Wacław (1903–1944) — dziennikarz, publicysta 87
 Szachowska Zinaida (1906) — rosyjska publicystka; 1966–78 redaktorka paryskiego tygodnika „Russkaja mysl” 197
 Szczapa-Krzewski *vide*: Krzewski-Lilienfeld Karol
 Szeptycki Andrzej (1865–1944) — metropolita Kościoła grekokatolickiego; ukraiński działacz społeczny i polityczny 24, 32, 75
 Szewelow Jurij (1908) — ukraiński historyk i krytyk literacki; 1952–77 profesor Harvard i Columbia University 199
 Szlagowski Antoni (1864–1956) — biskup sufragan warszawski 20
 Szmigielski Jan (1889–?) — ksiądz; prefekt szkolny w Warszawie 20
 Szostak — pułkownik; szef ośrodka szkoleniowego wojsk pancernych w Gallipoli 115, 116
 Szpotański Stanisław (1880–1936) — pisarz i publicysta 136
 Szturm de Sztrem Tadeusz (1892–1968) — demograf i statystyk; współtwórca Instytutu Gospodarstwa Społecznego 36, 137
 Szyzsko-Bohusz Zygmunt (1893–

- 1982) — generał; 1940 organizator i dowódca Brygady Podhalańskiej 158
- Ślesieńska Alina (1926–1994) — rzeźbiarka 234, 235
- Światło Józef (1905–?) — wicedyrektor X Departamentu MBP 174
- Święcicki Tadeusz (1893–1973) — dziennikarz i publicysta 59
- Świrski Czesław — adiutant Marszałka Piłsudskiego 42
- Telmany Adam — porucznik 115
- Tennenbaum Henryk (1881–1946) — ekonomista; profesor Szkoły Głównej Handlowej 91, 92, 95
- Tetmajer Kazimierz (1865–1940) — pisarz 9
- Tito Josif Broz (1892–1980) — działacz komunistyczny; 1945–53 premier; 1953–80 prezydent Jugosławii 168
- Toruńczyk Barbara (1946) — socjolog, 1977–81 współredaktorka „Zapisu” 235
- Traugutt Romuald (1826–1864) — generał; ostatni dyktator powstania 1863 roku 246
- Troczyński Konstanty (1906–1942) — krytyk literacki i publicysta 57, 137
- Turowicz Jerzy (1912–1999) — dziennikarz i publicysta; od 1956 redaktor „Tygodnika Powszechnego” 21
- Tuwim Julian (1894–1953) — poeta 16, 178
- Tworowska Maria (1939) — skazana w 1970 w procesie „taterników” na 3,5 roku więzienia 237
- Tworzydło Stanisław — podpułkownik; kierownik Sekcji Wydawniczej APW w Palestynie 114
- Tyrmand Leopold (1920–1985) — pisarz, publicysta 213, 214
- Tyszkiewicz Jan (1896–1939) — działacz konserwatywny 77
- Tyszkiewicz Michał (1903–1974) (Miś) — współzałożyciel Myśli Mocarstwowej 77, 79, 178, 339
- Tyszkiewiczowa Anna Maria (1902–1950) (Hanka Ordonówna) — pieśniarka, aktorka i malarzka 77
- Ulatowski Jan (1907–1997) — publicysta, historyk sztuki, tłumacz 100, 109, 137, 138, 340
- Unger Leopold (1922) (Brukselczyk) — dziennikarz w „Życiu Warszawy”; 1969 publicysta brukselskiego „Le Soir”; współpracownik „Kultury” 239
- Uziembło Adam jr (1906–1990) — generał; matematyk; więziony w latach 1949–54; wykładowca i komendant WAP 201, 206, 207, 210
- Uziembło Adam sr (1885–1971) — działacz polityczny, dziennikarz 206, 207
- Vincenz Andrzej (1922) — żołnierz Dywizji Pancerniej generała

- Maczka; profesor slawistyki na uniwersytetach niemieckich 143
- Vincenz Stanisław (1888–1971) — przemysłowiec; publicysta; 1926–29 redaktor „Drogi”; badacz i znawca kultury huculskiej; pisarz 37, 39, 46, 143, 192, 338
- Waliszewski Zygmunt (1897–1936) — malarz 219
- Wałęsa Lech (1943) — działacz związkowy i polityczny, 1990–95 Prezydent RP 353, 354
- Wańkowicz Jolanta (1923–1964) — córka Witolda, radcy handlowego ambasady RP w Waszyngtonie 153
- Wańkowicz Melchior (1892–1974) — pisarz; 1927–39 wydawca „Roju”; reporter; 1943–45 korespondent wojenny 114, 115, 157–159, 249
- Wasiutyński Wojciech (1910–1994) — działacz akademicki; 1933–34 publicysta „ABC”; 1935–37 sekretarz redakcji „Prosto z mostu” 43, 53, 156
- Wat Aleksander (1900–1967) (Stefan Bergholz) — pisarz 181, 201, 212, 213, 346–350
- Wat Andrzej (1931) — historyk sztuki 346, 347
- Wat Paulina (1903–1991) (Ola) — żona Aleksandra; tłumaczka 213, 349, 350
- Wążyk Adam (1905–1982) — pisarz 201
- Wąchała Władysław (1905) — porucznik; pracownik Instytutu Literackiego w Rzymie 134–136, 141
- Wąsik Wiktor — nauczyciel łaciny w gimnazjum im. Zamoyskiego 19
- Wehr Witold (Wiciower) — pracownik protokołu dyplomatycznego MSZ 31
- Weigel Michał — nauczyciel łaciny w gimnazjum im. Zamoyskiego 19
- Weil Simone (1909–1943) — francuska pisarka i filozof 177, 191
- Weissberg-Cybulski Aleksander (1901–1964) — urodzony w Krakowie fizyk austriacki; 1937–40 więziony w ZSSR; w czasie wojny w Polsce 145, 152
- Wenda Sława — żona Zygmunta 89
- Wenda Zygmunt (1896–1941) — legionista; 1926–27 adiutant Marszałka Piłsudskiego; szef sztabu OZN i 1938 poseł; 1939–40 oficer do zleceń Marszałka Rydza-Śmigłego 30, 52, 61, 85, 86, 89
- Wertyński Aleksandr (1889–1957) — rosyjski poeta i kompozytor 17
- Wiatr Jerzy (1931) — socjolog i politolog marksistowski 204, 205
- Wiatr Józef (1889–1977) — generał 110
- Wielowieyski Józef (1879–1951) — dyplomata i polityk 28, 64
- Wierzbiański Bolesław (1915) — dziennikarz i redaktor nowojorskiego „Nowego Dziennika” 241
- Wierzyńska Halina (?–1980) — żona Kazimierza 222

- Wierzyński Kazimierz (1894–1969) — poeta 178, 179, 214, 222, 343
- Winiewicz Józef (1904–1985) — dziennikarz, publicysta; dyplomata; 1947–55 ambasador w Waszyngtonie; 1956–72 wiceminister spraw zagranicznych PRL 65, 77–79, 92
- Winiewicz Magda — córka Józefa 78
- Winiewicz Maria — żona Józefa 78
- Wiśniowski Kazimierz (1886–1964) — generał 113, 133
- Witek Ignacy — pułkownik; intendent 134
- Witkiewicz Stanisław Ignacy (1885–1939) (Witkacy) — pisarz; malarz, teoretyk sztuki; filozof 73, 181, 348
- Witos Wincenty (1874–1945) — działacz ludowy; 1923, 1926 premier 56
- Wittlin Józef (1896–1976) — pisarz 343
- Wojciechowski Stanisław (1869–1953) — 1922–26 Prezydent RP 119
- Wolicki Krzysztof (1925) — dziennikarz, publicysta; krytyk teatralny; współpracownik „Kultury” 244
- Wolski Jan (1888–1975) — ekonomista; inicjator spółdzielczości pracy; 1956–62 członek Klubu Krzywego Koła 208
- Wolski Władysław (1904–1977) — urzędnik MSZ; dziennikarz i publicysta 24, 90, 91, 101, 102, 104, 143
- Woźniak Jan (?–1991) — major, do-
- wódca kompanii transportowej w Brygadzie Karpackiej 106
- Wrangel Piotr (1878–1929) — generał rosyjski; od 1920 na emigracji 26
- Wrzos Konrad (1905–1974) — dziennikarz; 1929–39 sprawozdawca polityczny „IKC” 30, 31
- Wysłouch Seweryn (1900–1968) — socjolog i historyk prawa; 1935–39 docent Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie 49, 65
- Wyspiański Stanisław (1869–1907) — dramaturg, poeta; malarz 22, 185
- Wyszomirski Jerzy (1900–1955) — publicysta; 1923–39 współpracownik wileńskiego „Słowa” 69
- Wyszyński Stefan (1901–1981) — kardynał; 1948–81 prymas Polski 203, 209, 243, 245, 343
- Zabiello Janina — sekretarka ambasadora Kajetana Morawskiego 342
- Zacwilichowski Stanisław (1902–1930) — oficer Drugiego Oddziału Sztabu Generalnego; 1926–29 sekretarz premiera Bartła 28–31, 36, 117
- Zagajewski Adam (1945) — pisarz 217
- Zagórski Jerzy (1907–1984) — pisarz 140, 163
- Zajączkowski Tadeusz (1897–1959) — pisarz, publicysta 41, 58
- Zakrzewski Tadeusz (1893–1966) — podpułkownik; 1938–39 attaché wojskowy w Bukareszcie 52, 93

- Zaleski August (1883–1972) — dyplomata i polityk; 1947–72 Prezydent RP na uchodźstwie 126, 168
- Zaleski Wojciech (1906–1960) — dziennikarz, publicysta; działacz polityczny 15, 43, 53, 60
- Zamoyska-Peltier Hélène (1924) — urodzona w Rydze francuska rusycystka; żona Augusta 197
- Zamoyski August (1893–1979) — rzeźbiarz 197
- Zamoyski Stefan (1904–1976) — działacz społeczny 150, 153
- Zaremba Paweł (1915–1979) — dziennikarz, publicysta; historyk 148, 149, 223
- Zaremba Zygmunt (1895–1967) — działacz socjalistyczny; publicysta 145
- Zawieyski Jerzy (1902–1969) — pisarz; 1957–69 poseł koła „Znak” 209
- Zborowski Samuel (?–1584) — rotmistrz królewski; skazany za zabójstwo na banicję; samowolnie powrócił do kraju; pojmany i ścięty 160
- Zbyszewski Karol (1904–1990) — pisarz i publicysta 79
- Zbyszewski Wacław A. (1903–1985) — dziennikarz i publicysta; współpracownik „Słowa”, „Buntu Młodych” i „Polityki”; w czasie wojny pracownik Ministerstwa Informacji; współpracownik „Kultury” 74, 79–81, 96, 140, 249, 339
- Zdziechowski Paweł (1914–1972) — pisarz i publicysta 62, 193
- Zegadłowicz Emil (1888–1941) — pisarz; 1928–29 redaktor poznańskiej „Tęczy” 181
- Zielicki Józef (1910–1973) — działacz społeczny, matematyk, nauczyciel 107, 115, 122, 142, 143, 221, 342
- Ziemann Sonia — aktorka niemiecka; żona Marka Hłaski 212
- Ziemiański Bolesław (1901–1976) (Mościbrodzki) — oficer WP; 1926–35 szef ochrony osobistej Marszałka Piłsudskiego; w czasie wojny w Rumunii 101–103
- Zimińska-Sygietyńska Mira (1901–1997) — aktorka, reżyser, współzałożycielka zespołu „Mazowsze” 201
- Znaniecki Florian (1882–1958) — socjolog i filozof; 1920–39 profesor Uniwersytetu Poznańskiego 33
- Żaba Norbert (1907–1994) — dyplomata 103
- Żabotyński Włodzimierz (1880–1940) — działacz syjonistyczny 48, 49, 67
- Żejmo-Żejmis Stanisław (1903–1942) — antropolog; wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego 62
- Żeleńska Adela M. (1897–1997) (Dziadulska) — żona Władysława; tłumaczka 144, 145, 340, 341
- Żeleńska Zofia (1886–1956) — żona Tadeusza 23, 181
- Żeleński Stanisław (1905–1981) — syn Tadeusza; aktor 14, 22, 23

- Żeleński Tadeusz (1874–1941) (Boy) — krytyk literacki i teatralny, publicysta i pisarz, tłumacz 22, 181
- Żeleński Władysław (1903) — prokurator 87, 145, 342
- Żenczykowski Tadeusz (1907–1997) — działacz polityczny; publicysta 169
- Żeromski Stefan (1864–1925) — pisarz 18, 19, 37, 180, 185
- Żongolłowicz Bronisław (1870–1944) — ksiądz; 1930–36 podsekretarz stanu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego 32
- Żółkiewska-Żołądkowska Ligia (1907–1945) — psycholog; świetliczanka w Drugim Korpusie 124, 340
- Żółkiewski Witold — brat Ligii 340
- Żukrowski Wojciech (1916) — pisarz 201, 225
- Żuławski Juliusz (1910–1999) — pisarz 208
- Żychliński Józef (1890–1941) — prezes wielkopolskiego związku cukrowników 58

WYKAZ SKRÓTÓW

- AK — Armia Krajowa
- APW — Armia Polska na Wschodzie
- ASP — Akademia Sztuk Pięknych
- BBC — British Broadcasting Corporation (Brytyjska Korporacja Radiofoniczna)
- BBWR — Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem
- CIA — Central Intelligence Agency (Centralna Agencja Wywiadowcza)
- D.O.Gen. — Dowództwo Okręgu Generalnego
- FON — Fundusz Obrony Narodowej
- GATT — General Agreement on Tariffs and Trade (Układ Ogólny w Sprawie Cel i Handlu)
- GISZ — Główny Inspektorat Sił Zbrojnych
- KC — Komitet Centralny
- KKK — Klub Krzywego Koła
- KOR — Komitet Obrony Robotników
- KRN — Krajowa Rada Narodowa
- LWP — Ludowe Wojsko Polskie
- MBP — Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
- MHZ — Ministerstwo Handlu Zagranicznego
- MSZ — Ministerstwo Spraw Zagranicznych
- NATO — North Atlantic Treaty Organization (Pakt Północnoatlantycki)
- NiD — „Niepodległość i Demokracja” (Polski Ruch Wolnościowy)
- NKWD — Narodnyj Komissariat Wnutriennych Diel (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych)
- NRD — Niemiecka Republika Demokratyczna
- NW — Naczelnny Wódz
- ONR — Obóz Narodowo-Radykalny
- OZN — Obóz Zjednoczenia Narodowego (Ozon)
- PAL — Polska Akademia Literatury
- PAN — Polska Akademia Nauk
- PAT — Polska Agencja Telegraficzna
- PIC — Polish Information Center
- PKO — Poczтовая Kasa Oszczędności

POSK — Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny
POW — Polska Organizacja Wojskowa
PPR — Polska Partia Robotnicza
PPS — Polska Partia Socjalistyczna
PRL — Polska Rzeczpospolita Ludowa
PRO — Public Relations Officer
PSK — Pomocnicza Służba Kobiet
PSL — Polskie Stronnictwo Ludowe
PSZ — Polskie Siły Zbrojne
RFN — Republika Federalna Niemiec
RM — Rada Ministrów
RP — Rzeczpospolita Polska
RWE — Radio Wolna Europa
SG — Sztab Generalny
SGGW — Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego
STS — Studencki Teatr Satyryków
UJ — Uniwersytet Jagielloński
ULB — Ukraina, Litwa, Białoruś.
UNDO — Ukraińskie Nacionalno-Demokratyczne Objednannia (Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne)
USA — United States of America (Stany Zjednoczone Ameryki)
USB — Uniwersytet Stefana Batorego
UW — Uniwersytet Warszawski
UWO — Ukraińska Wijkowa Orhanizacija (Ukraińska Organizacja Wojskowa)
WAP — Wojskowa Akademia Polityczna
WiN — „Wolność i Niezawisłość”
WP — Wojsko Polskie
WRN — „Wolność-Równość-Niepodległość”
YMCA — Young Men's Christian Association (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej)
ZPMD — Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej
ZSSR — Związek Sowieckich Socjalistycznych Republik
ZWZ — Związek Walki Zbrojnej

SPIS RZECZY

Jerzy Giedroyc: Słowo wstępne [1994]	5
--	---

CZĘŚĆ PIERWSZA. W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

Rodzina	9
Szkoła. Studia	18
Doświadczenia zawodowe i polityczne	27
Sanacja	44
„Bunt Młodych”	56
Ludzie „Buntu Młodych”	69

CZĘŚĆ DRUGA. WOJNA

Bukareszt	85
Wojsko	105
Anders	119

CZĘŚĆ TRZECIA. EMIGRACJA

Początki Instytutu Literackiego: Rzym	131
Pierwsze lata w Paryżu	141
Między Krajem a Londynem	156
Literatura i polityka	174
Poza kręgiem polskim	187
Po Październiku	200
Zespół „Kultury”	216
Nowe twarze, nowe pióra	233

Jerzy Giedroyc: Przesłanie	245
Krzysztof Pomian: Posłowie	249

DOKUMENTY

Zapiski ambasadora Rogera Raczyńskiego	255
„Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” na nowej emigracji. Fragment	276
Wstęp do pierwszego zeszytu „Kultury”	278
Zespół „Kultury”: Manifest demokratyczny	282
Ks. Józef Majewski: List do redakcji	304
Nieporozumienie czy tani patriotyzm? Nota redakcji	307
Do krajowych czytelników „Kultury”	310
Jerzy Giedroyc: Do Czytelników i Przyjaciół	316
Juliusz Mieroszewski. Zygmunt Hertz	324
Rozmowa Krzysztofa Pomiana z Jerzym Giedroyciem w Centre du Dialogue w Paryżu 6 XII 1991	327
Uzupełnienia, sprostowania, odpowiedzi [1996]	337
Indeks osobowy	355
Wykaz skrótów	385

Sprzedaż wysyłkową książek SW „Czytelnik”
 prowadzi Księgarnia Wysyłkowa „Faktor”
 02-792 Warszawa 78, skrytka pocztowa 60
 tel./fax 649 55 99

„Czytelnik”, Warszawa 1999. Wydanie I w tej edycji
 Ark. wyd. 19,6; ark. druk. 24,5+3,5
 Skład: WMC s.c., Warszawa
 Druk i oprawa: Drukarnia Narodowa w Krakowie
 Zam. wyd. 446; druk. 138/99
 Printed in Poland



**BIBLIOTEKA
· CZYTELNIKA ·**

Dotychczas ukazały się:

Tadeusz Borowski – Kamienny świat
Michał Bułhakow – Mistrz i Małgorzata
Erskine Caldwell – Poletko Pana Boga
William Faulkner – Światłość w sierpniu
Zbigniew Herbert – Barbarzyńca w ogrodzie
Gustaw Herling-Grudziński – Inny Świat
Johan Huizinga – Homo ludens
Jarosław Iwaszkiewicz – Zarudzie
Ryszard Kapuściński – Imperium
Jan Kochanowski – Poezje
Tomasz Mann – Czarodziejska góra
Marcjalis – Epigramy
Adam Mickiewicz – Pan Tadeusz
Czesław Miłosz – Rodzinna Europa
Igor Newerly – Wzgórze Błękitnego Snu
Józef Roth – Marsz Radetzky'ego
Tadeusz Różewicz – Na powierzchni poematu i w środku
Julian Strykowski – Głosy w ciemności



**BIBLIOTEKA
· CZYTELNIKA ·**

W przygotowaniu:

Jacek Bocheński – Nazo poeta
Elias Canetti – Auto da fé
Antoni Czechow – Wybór opowiadań
André Gide – Lochy Watykanu
Ludwik Hirsfeld – Historia jednego życia
Curzio Malaparte – Kaputt
Czesław Miłosz – Ocalenie
Jean Paul Sartre – Mur
Juliusz Słowacki – Poezje
Laurence Sterne – Życie i myśli
JW Pana Tristrama Shandy
Julian Tuwim – Kwiaty polskie



ISBN 83-07-02688-1



9 788307 026886

Jerzy Giedroyc



AUTOBIOGRAFIA...